



Krystyna
Januszewska

**Niebo ma
kolor zielony**

Krystyna Januszewska

Niebo ma kolor zielony

Rodzicom

Napisałam do pewnego poety, że z wiekiem coraz mniej czuję w sobie ciało, a coraz bardziej duszę. Nie odpisał na list. Nie wiem dlaczego. Może się obraził albo może myśli wciąż nad tymi słowami, zastanawia się, co odpowiedzieć. A ja chciałam tylko wiedzieć, czy to, co czuję, to wynik osobistych wycieczek w moje ego, czy jedynie letnia melancholia, nawiedzająca mnie ostatnio coraz częściej.

Dotychczas odbierałam swoje życie jak płynący nieprzerwanym strumieniem ciąg dotyczących mnie zdarzeń. Dziś, gdy rozejrzę się, widzę, jaki niewielki miałam w tym udział. Może gdybym wiedziała wcześniej, że rzeczy i tak dzieją się same, ocaliłabym siebie. Dystans do spraw doczesnych, gdy w perspektywie został do przebycia mocno skrócony odcinek drogi, całkiem inaczej ustala hierarchię wartości. Wiek obliguje do wydawania opinii o życiu, więc stan bogacenia ducha jest całkiem naturalny i konieczny. Sędzia musi być sędziwy. Ludzie młodzi spoglądają sprawom prosto w oczy, szybko podejmują decyzje, brakuje im tego spokojnego podejścia do szczegółów.

Niestety, choć z czasem przybyło mi rozwagi i wyrozumiałości, choć wszystko, co dzieje się w moim życiu, mieści się w granicach umiaru, są jeszcze sprawy, dla których porzucę wszelki rozum i rzucę się na oślep przed siebie.

Nad głową mam niebo, ciemne jak atrament, i gwiazdy. Ciało wypełnia mi słodycz, myśli błądzą w mroku, przytulają się do mokrej trawy pokrytej wieczorną rosą.

Powietrze hipnotyzuje. Jest piękna noc. Mieszkam za miastem, na pustkowiu, gdzie nie docierają już żadne miejskie światła, a ostatnia latarnia miga niewyraźnie za zakrętem. Droga, która prowadzi do domu, urywa się zaraz za płotem i kończy w ślepym polu.

Ludzie pytają, czy nie boję się tu mieszkać. Wydaje im się, że żyjąc tam, w gąszczu domów, między sobą i ze sobą, są bezpieczniejsi. Nie wiem, kto ma rację.

Pewnie nikt. Dziś już nie ma na Ziemi bezpiecznych miejsc. Jedno wiem na pewno: nie mają nad sobą takiego nieba. I nawet, jeżeli jego grafit jest zdradziecki, bo daje pretekst złym mocom, warto zaryzykować.

Siedzę na kamiennym murku pod domem i rozmyślam. Rozmyślanie to moje ukochane zajęcie. Na to nie brakuje mi czasu. Mama spokojnie zasnęła po ciepłej kąpieli, a jej ciche chrapanie przeszkadza Dunie, starej wilczycy, wprowadzając niepokój w jej leniwą egzystencję. Pachnie maciejka i floksy. Delikatny szum wiatru i łopot drobnych liści brzozy zapowiadają zmianę pogody. Dzisiejszy dzień był parny i bezwietrzny. Roślinom przyda się trochę wilgoci.

Patrzę w niebo i zastanawiam się, czy gdzieś tam, pomiędzy gwiazdami jest miejsce na moje myśli. Czy istnieje w odległych przestworzach stratosfera ludzkich marzeń i przestrzeń, do której kierują się nieśmiało prośby i gorliwe modlitwy wszystkich ludzi?

Gdy miałam dziesięć lat, napisałam w pamiętniku, że w dwutysięcznym roku będę miała czterdzieści siedem i niemożliwe, żebym dożyła tak sędziwego wieku. Dziś czuję się tak samo dzieckiem jak wtedy. Moje serce przepojone jest miłością do wszystkiego, co mnie otacza. Kocham swój stary dom, porośnięte dzikim winem, rozsypujące się mury raj, w którym mieszkam od urodzenia, stare sady za płotem, z białymi wapiennymi nogami, i krótką trawę wzdłuż rzędów drzew, którymi spaceruję każdej wiosny w porze kwitnienia jabłoni lub jesienią ścielącą się pod nogami czerwienią jabłek i jaskrawą żółcią spadających liści. Kocham stare trzeszczące schody, prowadzące do wąskiego pokoju, małą, ciasną kuchnię i jasny pokój, którego okna jak niebiańska maszyna startują prosto w niebo. Wpatruję się z taką samą miłością w śnieg, gdy błyszczy w pogodny dzień na ziemi i gdy zwisa wielkimi czapami na kulistych lampach przy bramie. Lubię lizać lodowe sople, robić orła na śniegu. Każdej wiosny czekam na pierwsze przebiśniegi, na zapach fiołków, na to, że zakwitną krokusy pod płotem, a po nich wszystkie inne kwiaty, kochane przeze mnie wciąż tak samo.

Ciężar doświadczeń minionych lat nie zmienił we mnie niczego i wiem, że starość nie ma na imię zmęczenie. Życiem nie można się zmęczyć. Za krótko trwa. Tak chciałabym wiedzieć, co będzie po nim. Boję się utraty tego, co zebrało się w mojej duszy przez lata. Śmierć mnie nie przeraża, ale to, że znikną bez śladu moje marzenia, uczucia, wszystko, co tak bardzo zaprzęta mi głowę i absorbuje myśli, że nic nie pozostanie po mnie, gdy umrę, ale uleci w górę razem z parą wodną. Może przeniesie część moich marzeń i pragnień w swoim oddechu i zasieje gdzieś w polu, a potem wyrośnie z nich piękne drzewo, roślina, cokolwiek, w czym mogłabym jakoś przetrwać.

Strach przed nicością deformuje stosunek do tego, co wieczne. Zaczynam popadać w melancholię, coraz częściej wracam do wspomnień i zastanawiam się, czy warto było tak bardzo się starać. Każdy dzień topnieje mi w rękach, rozplywa się w codziennych czynnościach, maleje do drobiazgów, przepływa daleko od tego, co miało być w życiu najważniejsze. Co zrobić, by najeść się go na zapas, by gdy minie, dało takie uczucie sytości, że nie będzie żal odchodzić?

Zycie wymaga ode mnie dojrzałości, a ja chciałabym być znowu dziewczynką i bawić się nim jak pluszową zabawką. A więc siedzę na murku, a w ręce trzymam monetę.

Ona musi rozstrzygnąć konkurs na najbliższe lata. Ten konkurs rozpisало życie i od wielu lat czeka na rozwiązanie. Rzucę więc monetę, niech wybierze za mnie.

Moneta jak złoty motyl poszybowała wysoko nad głową, odbiła w sobie światło jakiejś odległej gwiazdy, okręciła się kilka razy w powietrzu i za chwilę spadła bezdźwięcznie w trawę. Zostanie w niej do jutra. Potrzebuję jeszcze jednej spokojnej nocy. Chcę ją przespać z przekonaniem, że jutro będzie tak samo dobrze jak wczoraj, a może lepiej.

Zamykam za sobą drzwi domu i wchodzę do środka. Za mną wślizguje się pies. Nie lubi być z dala ode mnie. Z radia na piętrze sączy się cicha muzyka. Idę spać.

Poduszka dziwnie twarda. Kołdra parzy i kłuje. Przez głowę przebiegają zagmatwane myśli, powieki drżą niespokojnie. Nie wytrzymam. To zbyt trudne. Wstaję, wkładam sandały, biorę ze stolika latarkę i wychodzę przed dom. Błyska blade okrągłe światelko. Szukam monety leżącej gdzieś pod nogami. Muszę znać swoją przyszłość już teraz.

No i mam ten swój następny dzień. I cóż z tego? Mąż znów wstał lewą nogą. Rzadko wstaje prawą. Wprawdzie śpi od okna i lewa bardziej mu pasuje, ale głównie dlatego, że taki to już typ człowieka. Spoglądanie na świat przez szare okulary to jego specjalność. Na dole słyhać, jak mama buszuje w łazience. Za oknem świat i bez okularów męża dość szary. Siedzę na schodach w koszuli i czekam na wolną łazienkę. Duna polizała mnie w gole kolano. Chyba zebrało jej się na amory. Też jest smutna, nic dziwnego, wczoraj skończyła dziesięć lat. To poważny wiek jak na psa.

Stoję przed lustrem. A tu jak zwykle pierwsze spojrzenie i szok, wstrząs i osłupienie. Takie stany załamania od jakiegoś czasu przeżywam każdego ranka.

Wtedy myślę: Fatamorgana? Na jednej połowie twarzy odbity koronkowy wzorek z poduszki (prezent od teściowej), na drugiej kształt guzika. Do obiadu nie zniknie, to pewne. Teraz już wiem, dlaczego pies mnie polizał. To suka, żal jej się zrobiło biednej pani.

Zanim wszyscy wyszli z łóżek, przestało padać, a na niebie pokazało się słońce.

Zanosilo się na piękny dzień. Myślałam, że jak zwykle w czasie weekendu będzie brzydka pogoda, ale moje krakanie na szczęście się nie sprawdziło. Śniadanie jemy na trawie. To znaczy na trawie stoi stół, a na stole śniadanie. Wszystko jak z reklamy margaryny. Przystojny mąż, podający herbatę, wypielęgnowana babcia, ja, czyli pani domu, i brakuje tylko rozwrzeszczanych dzieci. Jest za to pies. Prawie jak dziecko.

W atmosferze przesadnej uprzejmości posyłamy sobie grzeczne uśmiechy, prawimy komplementy. To nie zapowiada niczego dobrego. Matka wysyła do mnie sygnały SOS, udaję, że ich nie dostrzegam i już wiem, że tego nie da się odroczyć. Padają słowa, których tak się boję.

- Mieliśmy dzisiaj podjąć decyzję w sprawie domu. - Mąż, mieszając herbatę w swoim ulubionym kubku z prosiaczkim, spogląda na mnie przeciągle i znacząco.

Mruga przy tym okiem i robi głupie miny. Wzruszam ramionami, jakbym nie wiedziała, o co chodzi. Słońce przesuwają się tuż nad trawą. Jeszcze nie razi, jest zbyt nisko, lecz ja mrużę oczy, szukam ucieczki w jego blasku, udaję oślepienie. Zasadnicze rozmowy na trudne tematy przyprawiają mnie o ból głowy.

- Jakiego domu? - dopytuje się mama, która zawsze pierwsza odpowiada na pytanie, bez względu na to, do kogo jest skierowane. - Kupujecie jakiś dom? -

Wielki znak zapytania zawisa wysoko nad stołem.

- Raczej sprzedajemy, mamo - mąż wyraźnie akcentuje drugie słowo.

- Wy macie jakiś dom? - mama wciąż nie dopuszcza nikogo do głosu. Udaje, że nie wie, o co Karolowi chodzi.

- My nie - brzmi okrutnie. - Ale wy tak - patrzy jej prosto w oczy. Matka blednie. Nie mogę znieść jej spojrzenia. Oczy wbiłam w ciemny sęk na blacie sosnowego stołu i chce mi się wyc. Zerkam ukosem na męża, a on zdziwiony wzrusza ramionami. Czuję, że ta chwila ciszy kosztuje moją matkę kilka dni życia. Kuli się w sobie, a jednocześnie w jej oczach dostrzegam niebezpieczne błyski.

Czekam, kiedy wybuchnie.

- Karol żartował - uśmiecham się niepewnie, żeby załagodzić sytuację. Może kolejny raz da się odsunąć na później nieznośny temat domu. Mylę się.

- Więc o co chodzi z tym domem? - matka nie ustępuje. Będzie drażyła tak długo, aż nie powiemy sobie wszystkiego do końca. Karol tylko czeka.

- Chcemy kupić większe mieszkanie. Czas najwyższy, żeby coś postanowić. -

Marszczy brwi i robi groźną minę. Przybiera wojowniczą pozę, dając jej odczuć, że to nie przelewki.

- Nie rozumiem, mówicie jakoś niezrozumiale. - Błękitne oczy starej kobiety rozbiegły się pomiędzy mną a Karolem. Próbuje wziąć go na litość. Najpierw podchodzi do sprawy rzeczowo, a później zaczyna udawać starą kobietę, która już nie bardzo wie, co jest grane. Znamy ją pod tym względem wszyscy. Karol nie daje się nabrać. Spogląda niewzruszonym wzrokiem, sugerując, że nie z nim te numery.

Na chwilę milknie, wsuwając do ust plasterki żółtego sera. W powietrzu wisi ołów. Duna, wyczuwająca najdrobniejsze nastroje rodziny, podnosi łeb pod stołem i przechylając głowę to w jedną, to w drugą stronę, docieka, o co chodzi. Obie z mamą wyglądają tak samo. Różnica polega na tym, że pies milczy.

- Słyszałam wyraźnie, że mówiliście o domu - matka nie ustępuje.

Karol odkręca słoik z dżemem, smaruje chleb, a jednocześnie z kamienną twarzą zadaje cios w jej serce.

- Myślę, że już dawno powinniśmy byli dogadać się w tej sprawie. - Odwraca głowę w moją stronę. Spuszczam wzrok na kolana. Zna mnie. Wie, jak bardzo tego nie chcę, a jednak mówi. - Małgosia nie chciała, żebym z wami o tym rozmawiał.

Obiecała załatwić to sama, ale nie ma odwagi. - Wyciera pobrudzony dżemem palec w rąbek obrusu. - Rozumiem ją - kontynuuje. - Ten dom jest dla niej wszystkim.

Powoli podnoszę głowę.

- Rozmawialiśmy o tym, ale w kategoriach przyszłości - odzywam się skruszona. Moja wystająca broda wydłuża się kilka centymetrów.

Zawsze, gdy kłamię, zdradza mnie.

- Więc jeżeli ją rozumiesz, to o co chodzi? - pyta mama Karola, puszczać mimo uszu moje słowa. - Dlaczego upierasz się przy swoim, jeśli wiesz, że to ją rani?

- Syczy, a kropla śliny spada na obrus, obok posmarowanej przez Karola kromki chleba.

- Ja nikogo nie chcę skrzywdzić ani wykorzystać - tłumaczy się. Wbił swoje białe zęby w jagodowy dżem i mówi z pełną buzią. - Zachowujecie się obydwie jak małe dziewczynki. - Przełknął duży kęs. Rękę z chlebem trzyma wysoko nad stołem, a palcem drugiej stuka w blat. - Ten dom umiera! Zrozumcie to wreszcie! - Zakrztusił się słodką papką. - Nie wytrzyma następnej zimy. Rozsypie się i wtedy będzie za późno. Trzeba go sprzedać i wreszcie zacząć normalnie żyć.

- Zamilkł. Też milczałam, bo argumentów przeciwko nie było. Mogłam się jednak spodziewać riposty ze strony mamy.

- Normalnie, to znaczy jak? - ruszyła do ataku. - Co dla ciebie znaczy normalnie?

- Mamo, daj spokój - stanęłam w obronie męża. Czułam się głupio z tym milczeniem. Jakbym nie miała własnego zdania. - Karol dobrze myśli - usiłowałam go bronić. - Napatrzył się na to nasze życie i chce pomóc.

- Małgosiu! - Uniesiony w górę palec - wyrocznia wymierzał sprawiedliwość. - Nie ma mowy o sprzedaniu domu. My z ojcem nigdy się stąd nie wyprowadzimy. Chyba po śmierci.

Spojrzałam na męża. Przełknął ostatni kęs i teraz zacisnął nerwowo szczęki. Nie dał się łatwo splawić. Złość zbierała w nim z każdą chwilą. Prawą stopę owinał wokół nogi od krzesła i miarowo podrygiwał. Herbata w szklankach niebezpiecznie falowała. Wiedziałam, że teraz wytoczy największe działa. Jak ja go znałam.

- Więc zostaniecie bez Małgosi - powiedział jednym tchem, wypuszczając głośno powietrze. - Już dość długo mieszkam sam. Czas skończyć tę farsę. Bardziej wyrozumiałego zięcia byś nie znalazła. - Odwrócił się w stronę mamy. - Niestety moja cierpliwość się kończy. Też chcę mieć normalny dom.

- Jak można mieć normalny dom w takim małym mieszkanku - parsknęła oschle matka.

- No właśnie! - krzyknął Karol. - Jak można? - zaśmiał się upiornie. - I właśnie dlatego chcę sprzedać wasz dom.

- Dobrze powiedziane - zaznaczyła. - Wasz, ale nie twój. A co z nami? Z ojcem i ze mną? - zapytała, udając rozbawienie. - Nie masz do tego prawa.

- Wy zamieszkacie w bloku - powiedział, cedząc słowa. - Tam gdzie teraz jest Małgosi gabinet. To wygodne i dobrze utrzymane mieszkanie. Ma dwa pokoje, przestronny balkon i bardzo uczynnych sąsiadów. Za pieniądze ze sprzedaży domu, oszczędności, które mamy, i ze sprzedaży mojego mieszkania kupimy nowe, większe.

- I co? - teraz ona krzyczała.

- I nic, poza tym, że wreszcie, po raz pierwszy od dwudziestu ośmiu lat będę miał przy sobie żonę.

- Karol, czy ty wiesz, że to jest szantaż? - mamie zabrakło innych argumentów.

- Wiem - odpowiedział Karol.

Kilka dni temu zauważyłam na świeżo odnowionej elewacji wymalowany zieloną farbą wielki napis: „Dzieci to kupa radości z przewagą kupy”. Bardzo mnie to rozśmieszyło. Ciekawe, kto był autorem tego rewelacyjnego odkrycia? Jako przykładna matka powinnam zaprzeczyć, lecz myślę sobie, że byłaby to zbytnia kokieteria. Nikt lepiej niż matka nie wie, ile samozaparciu potrzeba, by wychować na ludzi to, co powstało z dwóch nieprzeczuwających komórek.

Jednej okrągłej, leniwej i drugiej szybkiej, przewrotnej i ogoniastej. To się nazywa dopiero akt tworzenia. Czasami efekty tej twórczości pozostawiają wiele do życzenia. Dzisiaj, po rozmowie przy stole, czułam się takim nieudanym efektem. Wiedziałam, że kładzie mnie na łopatki brak argumentów, a jednocześnie chciało mi się beczeć, że nie umiem się postawić.

Zawsze łatwo ulegałam rozważnej perswazji i to coś bywa wciąż silniejsze ode mnie. Karol był człowiekiem praktycznym, a ja sentymentalnym. Uświadamiał mi, że tak musi być, że gdyby wszyscy byli równi, nie byłoby postępu. To zrozumiałe, tylko strasznie smutne.

Mama po śniadaniu poszła do swojego pokoju. Była wyraźnie wyprowadzona z równowagi. Nic dziwnego. Rozmowy na temat domu zawsze podnosiły napięcie. Od kilku lat

wisiał nad nim wyrok. Nie pomogły doraźne remonty ani poprawki. Dom się rozpadał i już nic nie mogło go uratować. Inwestycje nie miały sensu. Trzeba by budować od podstaw. Tylko po co i dla kogo? A blok? Może to jest jakieś wyjście? Tylko że mama nigdy nie mieszkała w bloku. Jak ognia bała się ciemnych klatek schodowych, a najbardziej - zamkniętych przestrzeni. Całe życie chroniła mnie przed nimi. Teraz ja z Karolem chcę skazać ją na taki koniec. Nie wiem doprawdy, po czyjej stać stronie, czego bronić, zdrowego rozsądku czy sentymentalnej miłości do ziemi, która powoli staje się przekleństwem. A może ona nie uświadamia sobie, co jest dla niej lepsze? Może w przytulnym mieszkanku odnajdzie nagle swój azyl?

Gdy mama była młodsza, praca aż paliła jej się w rękach. Nawet ten wielki ogród nie dał jej rady. Dziś już po nim nie chodzi. Drepcze tylko wokół domu i nie wystawia nóg poza wybrukowany taras. Do miasta woźę ją samochodem. Już nie widzi urody świata. Spogląda obojętnie przez szybę, najczęściej przed siebie, i wszystko jej jedno, czy dopiero kwitną kasztany, czy już opadają liście.

Horyzont jej problemów zatacza coraz mniejsze koło i dotyczy raczej spraw przyziemnych. Pieniądze, zdrowie, co na obiad, kiedy do kościoła, gdzie siedziała w kościele pani Stefa, jak była ubrana, ile ksiądz zebrał do koszyka, dlaczego mąż Stefy tak pije, kiedy przyjedzie Agnieszka, dlaczego ojca boli żołądek, jaki upiec placek na niedzielę, dlaczego doktor się do niej nie uśmiechnął, gdy była w przychodni, kto zabrudził podłogę w korytarzu, dlaczego pies sąsiadów podkopał się pod nasz płot? Można wymieniać bez końca. Jej romantyczna dusza stwardniała i stała się głucha na subtelne bodźce, którymi zazwyczaj się podniecała. Jeszcze kilka lat temu potrafiłyśmy przesiedzieć pół nocy pod drzewem i słuchać odgłosów natury, tańczyć w kwitnącym sadzie, kiedy nikt nas nie widział, wachać w maju wiciokrzewy, w sierpniu rzucać się jabłkami.

Wychodziła czasem o świcie oglądać wschód słońca albo stała w deszczu i pozwalała, żeby zmoczył ją do suchej nitki. Dziś nic jej nie cieszy, wszystko irytuje, myśli, że lata, które przeżyła, uprawniają ją do bezkarnego oceniania ludzi. Spogląda na wszystko przez pryzmat własnych doświadczeń i nie rozumie, że świat się zmienia.

Zaprzecza sama sobie. Co kiedyś wywoływało w niej radość, teraz wzbudza agresję.

Czepia się o wszystko. Nawet o lwie paszcze, które już wiele lat temu wrosły korzeniami w fundament domu. Wyrosły pod oknem w szparze między murem budynku a wybetonowanym tarasem. Z każdym rokiem były bujniejsze. Nie marzły zimą.

Ogrzewały się ciepłem domu. Korzenie zapuściły głęboko i co roku odrastały wciąż wyższe. Kwiat dorodny, wysoki, o ciemnoszkarłatnych płatkach. Tego roku zaczęły ją denerwować.

- Trzeba wreszcie wyciąć te badyle - powiedziała kilka dni temu.

- Przeszkadzają ci? - zapytałam zdziwiona.

- Nie można utrzymać porządku. Wciąż pełno suchych liści i te kwiaty opadają bez przerwy. Potem się je rozdeptuje i zostają ciemne ślady.

- Nigdy ci nie przeszkadzały. Chwaliłaś się, że nasz dom promieniuje pozytywną energią, bo nawet kwiaty wrastają w niego jak ludzie.

- Bzdury - prychnęła zniecierpliwiona. - Tylko niszczą mury. Wrastają korzeniami w fundamenty, rozsadzają ściany. Zobacz, jak ten dom wygląda. Rozpada się jak spróchniała doniczka. Kwiaty wypily z niego całą krew. Dlatego mają taką czerwoną barwę. To nasza krew, tu, na betonie. Rozdeptujemy ją swoimi nogami. -

Rzuciła ścierką o ziemię i weszła do domu.

Nie mogę się z tym pogodzić. Czy to naturalne, że ktoś tak wrażliwy mógł na starość tak bardzo zdziwaczeć? Wszystko tak szybko mija. Zmieniają się rodzice, zmieniamy i my. Tak trudno się z tym pogodzić.

Karol poszedł w pole, na spacer z psem. Widzę ich przez okno ze swego pokoju.

Idą wąską drogą wzdłuż zebranych pól rzepaku. Tak pięknie kwitł tego roku, a jak pachniał. Zaciągnęłam się odruchowo.

W domu zrobiło się cicho - muszę popracować. Czego jak czego, ale papierów pilnuję. To jedna z barier, którą pokonałam w swoim życiu. Papierkowej roboty nienawidzę ponad wszystko. Gdy zbliża się koniec miesiąca, na samą myśl dostaję mdłości, tak samo intensywnych od dwudziestu lat, od dnia, gdy otworzyłam swój prywatny gabinet i oprócz dyplomu stomatologa musiałam przejść przyspieszony kurs ekonomii stosowanej. Przez kilka miesięcy walczyłam z biurokracją.

Postanowiłam obrazić wszystkie urzędniczki w urzędzie skarbowym, ze złości, że przyszło mi robić coś tak bezsensownego. Podałam się zaraz po tym, jak obciążono mnie solidną karą za błędne i składane po czasie zeznania podatkowe.

Szybko nauczyłam się pokory. Metoda kija i marchewki okazała się najlepsza.

Niestety w podatkach nie przewiduje się marchewek. Wystarczy, że widmo kija już nie wisi nad głową, by odzyskać spokój i zadowolenie.

Na obudowie monitora obok firmowego znaczka widnieje czarny napis „smile”. Dziś niestety nie jest mi do „smile”. To zadziwiające, jak często traci się chęć do życia. Dzisiaj jest

sobota, jeszcze tylko jutro, a potem, gdy Karol wyjedzie, jakoś udobrucham matkę. Porozmawiamy ze spokojem i może znajdzie się rada.

Czasami odwlekanie jest najlepszym wyjściem. Odwlekamy sprzedaż domu już ładne kilka lat, to może da się i dłużej.

Słyszę na schodach kroki.

- Mamo - wołam i wybiegam z pokoju. Od tego, co odpowie, zależy atmosfera w domu.

- Upiekę placek na jutro - odpowiada spokojnym głosem. - Wieczorem przyjedzie ojciec i Agnieszka.

- Jest jeszcze sernik - przypominam.

- Za mało. Upiekę drożdżówkę z malinami.

Dobra nasza - pomyślałam, szczęśliwa, że się nie boczy. Tak nie lubię, gdy chodzi obrażona. Musi sama zrozumieć, że wszystko kiedyś się kończy. Nie jest przecież małym dzieckiem, a ja porozmawiam z Karolem, żeby nie naciskał.

Agnieszka przyjechała bez Piotrusia.

- Michał zabrał go na lody - oznajmiła, zamykając samochód. - Odwożę ci dziadka i wracam. - Wyjęła z bagażnika brązową teczkę i postawiła na trawie.

- Rozmawiałaś z lekarzem? Co powiedział na temat serca?

- Rozmawiałam. Powiedział, że wszystko w porządku. Obejrzał EKG, zmierzył ciśnienie, wypisał receptę i kazał za miesiąc sprawdzić cholesterol.

- A zapytałaś, dlaczego zemdlął?

- Prawdopodobnie spadek ciśnienia. Kazał dziadkowi robić wszystko o połowę wolniej, zrezygnować z wysiłku i po południu uciąć drzemkę.

- Co dziadek na to? - zapytałam.

- Grzecznie słuchał, ale jak wyszedł na korytarz, zakaszłał i powiedział - „niedoczekanie”.

- Tak myślałam. Uparty jak zwykle.

- Ale trochę się przestraszył, bo w przychodni spotkał znajomego. Z tej samej miejscowości, gdzieś ze Wschodu - tak mi potem tłumaczył. Chwilę rozmawiali. Ten znajomy też choruje, zdaje się coś z wątrobą. Pogadali, pogadali - ten umarł na serce, ten na serce, ten na cukrzycę. Kiedy wsiadaliśmy do samochodu, dziadek tylko mruknął pod nosem - „niewiele nas zostało” - i już się do mnie nie odezwał.

- A gdzie jest teraz? - Rozejrzałam się.

- Wysiadł. Zauważył, że wali się słupek z prawej strony i brama haczy w czasie otwierania.

- Ta brama trzyma się na słowo honoru. Cud, że jeszcze stoi, jak wszystko w tym domu. Pójdę po niego. - Ruszyłam w stronę, skąd dochodziły hałasy. - Powiem mu, że jest nieposłusznym pacjentem.

- A ja wracam do siebie. - Dała buziaka i wskoczyła do samochodu. - Wpadnijcie kiedyś na kawę. Już tak dawno was nie było.

- Rzeczywiście. - Zatrzymałam się. - Jakoś ostatnio nie mamy nastroju.

- Domyślam się, że chodzi o dom?

- Znasz moje zdanie w tej sprawie.

- Znam, ale niekoniecznie popieram - zamyśliła się. - A zresztą, nie wiem...

Spójrz na swoich rodziców. Czy oni dadzą radę?

- Sami nie, ale ze mną?

- Ty też już wyمیękasz - stwierdziła z rozbrajającą szczerością. - Przecież widzę. Sprzedaj to i spróbuj żyć inaczej.

- A oni?

- Też się przyzwyczajają. Musisz ich tylko przekonać.

- Łatwo radzić.

- Dziadek ci nie odmówi. On zrozumie. Gorzej babcia. Z babcią będą kłopoty.

- A mnie się wydaje, że babcia głośno krzyczy, a dziadek naprawdę cierpi. Wiesz przecież, że nigdy się nie skarży, nie żali. Zgodzi się, a potem się załamie.

- Mamo, wiesz przecież, że ja ci nie pomogę. Mam glebowstręt, to już sprawdzone.

- Oczywiście, że wiem i nie liczę na to.

- Weź to pod uwagę i zdecyduj - pomachała mi jeszcze na pożegnanie i odjechała, trąbiąc przy bramie na dziadka i krzycząc do niego przez otwarte okno:

- Dziadku, wracaj do domu, miałeś sobie uciąć drzemkę!

Rodzice długo rozmawiali. Jak zwykle więcej mówiła mama. Tylko kilka razy słyszałam niski głos taty. Rozmawiali o domu. Mama skarżyła się na Karola, relacjonowała poranne wydarzenia. On tylko wtrącał słowa, jak sufler zza sceny.

Trudno było z minimalnych wypowiedzi, z tych kilku pomruków, ustalić jego zdanie. Tylko z wyrazu twarzy i z gestów można było przypuszczać, w jakim jest humorze. Znałam wszystkie odcienie tych humorów. Wystarczyło spojrzeć. A jednak czasem miałam wątpliwości. Człowiek, gdy myśli, posługuje się skrótami, ale gdy te myśli wyraża, potrzebuje wielu słów. U mojego ojca było odwrotnie. Minimum słów, maksimum udręki.

Gdy słyszę grzmot, domyślam się, że nadchodzi burza, kiedy garnek jest rozżarzony, wiadomo, że się przypalił, gdy kwiaty bledną, to znaczy, że czegoś im brakuje. Te prawa w przypadku ojca nie obowiązują. Po nim nie pozna się nic. Ze wszystkimi smutkami drepcze do swojego kasztana i jemu się żali.

Kasztan był najważniejszym drzewem w naszym ogrodzie. Stał niedaleko domu, dokładnie w miejscu, od którego rozchodziły się ścieżki w ogrodzie. Ojciec dbał o niego do przesady. Często śmiałyśmy się z mamą, widząc, z jaką pieczołowitością go pielęgnuje, ile mu poświęca czasu. Gładził go, jak ukochaną kobietę, jak wiernego konia czy psa. Przystawiał czoło do szorstkiego pnia i tak stał. Miałam wrażenie, że w ten sposób izoluje się od otoczenia i traci poczucie rzeczywistości. Może to drzewo dawało mu złudzenie siły, bezpieczeństwa, a może, co jest mniej prawdopodobne, odbierał przez nie sygnały z zaświatów. Gdy kiedyś spytałam go, co robi, odpowiedział mi, że rozmawia z duchami. Innym razem, że kombinuje, czym wytepić turkucia podjadka, bo mu niszczy sadzonki. Gdyby był poetą albo pisarzem, myślałabym, że szuka natchnienia. Więc czy ten kasztan był miejscem, w którym rozwiązywał swoje wątpliwości, miejscem mistycznego kultu, czy tylko chwilowej ucieczki? Niestety, do tego potrzebny byłby wtajemniczony interpretator, bo nam nie wystarczało cierpliwości.

Kasztan rzeczywiście nie był zwyczajnym drzewem. Miał swoją prawdziwą historię.

Legenda głosi, że ojciec wyhodował go z nasienia przywiezionego z rodzinnej miejscowości. Była tam kasztanowa aleja. Dostał to nasienie od swojego ojca, podobnie jak reszta braci, i identyczne zadanie - wyhodować z niego drzewo pamięci, które przypominać będzie rodzinny dom i tę kasztanową aleję. A potem z nasion nowego drzewa ich dzieci miały posadzić swoje, następnii swoje, i następnii, i tak aż do końca świata.

Usłyszałam szczenie psa. Muszę nastawić wodę. Dochodzi siedemnasta. W naszym domu to czas na kawę. Karol strzeże tego rytuału jak jakiejś świętości, ojciec też. Kawa jest dla niego okazją do rozmów o sprawach niecierpiących zwłoki. Przy kawie nie wolno czytać gazet, oglądać telewizji ani milczeć, nawet wtedy, gdy nie ma się niczego do powiedzenia. Karol zaraz po kawie pójdzie pracować do swojego pokoju. Nawet w niedzielę ma coś do zrobienia. Nie dlatego, że jest pracoholikiem, albo że tak bardzo kocha swój zawód. Robi to, bo jest solidny. Nie znosi improwizacji. Do zajęć ze studentami przygotowuje się perfekcyjnie. Choć zajmuje się tym od wielu lat, nie pozwala sobie na fuszerki. To już taki człowiek. Niestety, ta dokładność nie dotyczy wszystkiego. Karol ma swoje słabe strony, pewnych rzeczy nie cierpi ponad wszystko.

Niebo odbija się w starej porcelanie mamy. Małe bukietki fiołków przewiązanych różową wstążeczką na każdej z filiżanek. Obok kubek z różowym prosiaczkiem, jedynie kolorem wstążeczki nawiązujący do tonacji. Z pergoli rozstawionej nad tarasem zwisają gałęzie dzikiego wina, dając o tej porze miły półcień.

Kawa gotowa. Karol zameldował się pierwszy, a mama odmówiła. Mimo że przyjemny zapach nawet umarłego wyciągnąłby z łóżka, ona wykpiła się znów bólem głowy.

- Mama nie będzie z nami piła? - zapytał, gdy zabrałam ze stołu jedną filiżankę.

- Boli ją głowa - odpowiedziałam.

- To tylko wymówka. - Nie dał się oszukać. - Poszła oglądać argentyńskie seriale.

- Myślisz, że polskie są dla niej lepsze?

- Oczywiście - powiedział podniesionym głosem. - Ukazują nasze sprawy, pokazują realia, są bliższe kulturowo.

- Ale bardziej przygnębiają.

- A niby dlaczego?

- Łatwiej pogodzić się z cudzą biedą, niż z tą, która istnieje tuż obok.

- Być może. - Nie chciał wdawać się w dyskusję. Zmrużył oczy i odwrócił twarz w kierunku słońca. Przez szczelinę pomiędzy pnączami przedostawało się światło, a on jak słonecznik ustawiał się w jego stronę. Człowiek z miasta, przemykający zazwyczaj w cieniu jakiegoś muru, ładował akumulatory.

- A ojciec, jego też boli głowa?

- Położył się. Chyba śpi.

- No to zostaliśmy sami - uśmiechnął się zadowolony. - Rzadko mamy okazję sami wypić kawę. - Kubek z różowym prosiaczkiem, którego nie cierpiałam, wędrował co chwilę do ust Karola. - W poniedziałek zaczynają się egzaminy wstępne, muszę wracać. Zapomniałem ci powiedzieć. - Zrobił krótką pauzę. - W przyszłym roku będę dojeżdżał do Krakowa.

- Jak to? - byłam zdziwiona.

- Mam seminaria w Instytucie Języka Polskiego - odwrócił wzrok. - Nie mówiłem ci wcześniej, bo nie byłem pewien. Zresztą kto wie, co będzie w listopadzie.

- Mówiłeś, że masz już dość dojeżdżania.

- Nie obawiaj się, to tylko kilka wykładów. - Podniósł kubek. - Jest jeszcze kawa? A może do tego małe ciasteczko?

Nalewając kawę, myślałam o przyszłości. Jak to będzie? Zupełnie inne życie, nowe problemy, inne rozmowy, nowe środowisko. Karol będzie jak ryba w wodzie. To jego świat.

Ma ciekawą pracę, chce mu się uczyć, pisać. Czy znajdę dla siebie w mieście jakieś zajęcie? Może będę pomagał Karolowi? Podjął się wielkiego dzieła.

Przyda mu się ktoś do pomocy.

- Będę miała dużo czasu - powiedziała głośno. - Mogę ci pomóc.

- To niezły pomysł - przytaknął. - Będzie dużo danych statystycznych. Trzeba je wprowadzić do komputera. Przyda się jakiś pracownik fizyczny - żartował.

- Mówię poważnie - zachnęłam się.

- Ja też. We wrześniu zaczną spływać pierwsze dane ze spisu powszechnego. Lepiej już nie mogło być - zacierał radośnie dłonie.

Karol zajmował się onomastyką. Zbierał, klasyfikował i badał pochodzenie nazw własnych. Szczególnie interesowała go antroponimia, której przedmiotem są nazwy własne osób.

Po dobrej godzinie naszego błądzenia mgła niespodziewanie opadła. Widocznie prysnął zły czar i ciemne siły nadnoteckich łąk dały za wygraną. Dojechaliśmy na miejsce oszołomieni nadmiarem wrażeń i szczęśliwi, bo przecież nigdy nie wiadomo, co komu jest pisane. Gospodarze lokalu, znani z dbałości o klienta, wynagrodzili nam z nawiązką przykrości, serwując przysmaki zakładu. Zaczęliśmy winem dla rozgrzewki (panie wybrały się w bardzo skąpych kreacjach) i gorącą zupą. Był barszcz z kołdunami i kodiciki panierowane w otrębach. Coś przepyszne. Wprawdzie Karol narzekał, że nie jest koniem i żeby mu czasami na talerz nie sypali owsa, ale poza nim nikt nie protestował. Potem podano zakąski w stylu staropolskim i ryby. Ucztę zakończyły tradycyjnie kawa i ciasto.

Posileni, rozgrzani i odprężeni przesiadaliśmy się w fotele, by popijając smakowite wino, spokojnie pogadać.

A w wielkim kominku trząsał ogień, senny jazz poruszał biodrami, długowłosa kelnerka w ostrym makijażu, ocierając się o kolana naszych mężów, trzepotała zalotnie rzęsami. Ciemnozielone ściany ozdobione starymi obrazami, kredensy pełne delikatnej porcelany i nieco tandetnych figurek, ciężkie zasłony, kandelabry przenosiły nas w świat z końca dziewiętnastego wieku. Jakże łatwo daliśmy się ponieść urokowi miejsca. Przeszłość, którą zawsze dało się tak wygładzić, by sprawiała przyjemność, rozstawiła obok nas bezpieczny parawan, a my, zatracając się bez reszty w jego granicach, wspominaliśmy dawne czasy, lata, gdy jak piękne żaglowce porwane bezkrytycznym prądem marzeń, wypłynęliśmy na szerokie wody, pełni wiary w siłę miłości i ludzką życzliwość. Teraz, po latach, jako sterane wraki, zmęczeni, wpływamy do portu przeznaczenia z lekkim uczuciem wstydu i zawodu, wygodni, rozleniwieni, sfrustrowani. A jeszcze niedawno przepelniała nas wiara w

cuda. Pchaliśmy przed sobą wózki z dziećmi i nie w głowie nam były samochody, wille, wczasy w Portugalii, kolacje w Hiltonie. Spało się pod namiotem, wożąc cały ekwipunek na rowerze, a dziecko w plecaku. Jakież to było cudowne. Teraz one odjeżdżają w świat szybkimi samochodami, późno zakładają rodziny i długo myślą, czy warto sprawić sobie dziecko. A nam się wydaje, że jeszcze za mało dla nich zrobiliśmy. Wciąż gnębi nas pytanie, czy aby dobrze przygotowaliśmy je do życia. Tuż obok dzieją się wielkie rzeczy, świat pędzi jak szalony, a nasze pociechy mają czas i zastanawiają się, na co pójść w tym tygodniu do kina. Im się nie śpieszy. Ani do dzieci, ani do żeniaczki. To tylko nam, gdy patrzymy na ten mały skrawek drogi, który dzieli nas od końcowej przystani, tak pilno. To my popędzamy sprawy, by zdążyć coś jeszcze z tego życia wykręcić. Świat naszych dzieci istnieje w innym wymiarze i wskazówka zegara inaczej się obraca.

Swobodna rozmowa, jak zawsze w tym gronie, zesłała na sprawy powszednie. Myśmy martwiły się spadkiem kondycji, panowie interesami.

- Wiem, że w rzeczywistości wszyscy jesteśmy egocentrykami i staramy się skupić na sobie uwagę całego świata, lecz ja naprawdę potrzebuję odpoczynku. Muszę gdzieś wyjechać. Sama. - Joanna, wystawiając na pokaz opalone nogi, próbowała tłumaczyć nam własne problemy.

- No więc, na co czekasz? - zapytałam, wiedząc, że to tylko kokieteria i kto jak kto, ale ona nie zostawi Pawła samego na gospodarstwie. - Zafunduj sobie jakąś wycieczkę. Chyba cię stać? - zapytałam, choć bardzo dobrze znałam odpowiedź.

- Wycieczka nie rozwiąże sprawy - zaprzeczyła pośpiesznie.

- Może wizyta u psychologa? - zaproponowałam.

- No coś ty! Zagadałabym go na śmierć. Przecież mnie znasz, wiesz, co się dzieje, gdy ktoś mi każe opowiadać o sobie. To raczej ja mogłabym być psychologiem. Z moją fantazją, z bogatym wnętrzem - zaśmiała się. - A jednak ostatnio coś mnie gryzie.

- Ciebie? - zapytałam zdziwiona. - Nie wierzę.

- Mówię serio - zaakcentowała. - Nie wiem, co to jest. Dopada mnie dziwna chandra. Chodzę smutna, zamyślona. Drażni mnie najgłupsza rzecz.

- Może hormony? Kiedy ostatni raz sprawdzałaś sobie poziom hormonów? - zapytała złośliwie Maryla.

Joanna spojrzała nieufnie. Lubiły się z Marylą, ale istniała między nimi utajona, nigdy niewyartykułowana otwarcie rywalizacja. Pierwsza nieco egzaltowana i nadwrażliwa na punkcie swojego życia i urody, której nie poskąpiła jej matka natura, druga bardziej energiczna, przedsiębiorcza, nieco męska, a jednocześnie zgryźliwa i zazdrosna o walory

swego mniej doskonałego ciała. Znały się wiele lat, powierzały najskrytsze tajemnice, ale układ sił był zawsze taki sam: Joanna pełna ufności, otwarta i szczerza, choć nieco męcząca ze swoimi wątpliwościami, Maryla w wiecznej opozycji, z gotowymi receptami na wszystko, krytyczna i czasem niesłusznie okrutna. Gdy długo się nie widziały, tęskniły za sobą i szukały okazji do spotkań. Później nie mogły zasnąć, długo przeżywając wymierzane sobie nawzajem złośliwości. Joannie wydawało się, że bez zarzutu prowadzi dom, wychowuje dzieci, Maryla wciąż wytykała jej błędy, starannie wyszukując w niedościgłym ideale jakiejś skazy. Ich rozmowy kończyły się prawie zawsze dysharmonią. To samo dotyczyło ich mężów. Między nimi panował niemal identyczny konflikt charakterów i sposobów rozumienia świata. Potrafiliby godzinami toczyć dysputy, obstając przy swoich racjach, broniąc ich pazurami, przy czym jeden robił to delikatnie, z umiarem, a drugi ciął na oślep, czasem w nie do końca słusznej sprawie, po to tylko, by nie przyznać się do błędu. Dziwna to była przyjaźń. Pełna przywiązania, gotowości do wszelkiej pomocy w sprawach istotnych, a jednocześnie bolesna. Można ich było przyrównać do kochanków, którzy nie potrafią okazać sobie miłości w inny sposób, jak tylko raniąc się i poniżając, a gdy zadawane ciosy stają się nie do zniesienia, rozstają się na pewien czas, by gdy znów do siebie zatęsknią, paść sobie w ramiona i w miłosnym akcie dokonać kolejnych aktów zbrodni przeciwko sobie.

- Marzy mi się samotna wyspa - Joanna próbowała skusić nas swoimi wizjami - albo mały, pusty dom na wielkiej łące, w domu jedna izba, łóżko, stół, czajnik i kawa. Może jeszcze kilka kartonów książek do przeczytania. To wszystko. Jednego nie chcę na pewno - nie chcę człowieka.

- To może zabierz jeszcze samochód, telewizor, komputer - Maryla udawała zatroskaną. - Co by tu jeszcze? - kpiła. - Powinnaś koniecznie wziąć ze sobą Pawła.

- Wykluczone, żadnych ludzi, a tym bardziej mężczyzn. Jestem zmęczona ludźmi.

Naprawdę! - zapewniała żarliwie. - Bardzo chce mi się uciec od wszystkiego, odpocząć. Potrzebuję pobyć sama ze sobą, bo w gruncie rzeczy jestem typem samotnika, choć może patrząc na mnie, trudno się tego domyślić - powiedziała, prostując łopatkę. - Potrzeba zmusza mnie do przebywania z ludźmi na co dzień, więc dla odmiany teraz pragnę ciszy i beczynności, czasu na przemyślenie wielu spraw.

- Myślałyśmy, że bycie w centrum bawi cię. Jesteś zawsze taka radosna i świeża.

- Chciałam być miła.

- To tylko pozory - zaprzeczyła kategorycznie. - Przywiązałam do siebie wszystkich tak mocno, że gdy ich widzę, dostaję duszności. Nie lubię pieszczot, spacerów, wspólnych posiłków. Wszystko to mnie irytuje. Te opowieści, niekończące się historie ze szkoły, z

treningów, problemy Pawła. Moja twarz kamienieje, gdy ich słucham, z trudem nakładam maskę zainteresowania i stroję miny, by nie podpadło. Nudzą mnie frustracje mojego męża, konflikty w pracy, finansowe dylematy. Chcę, żeby cały świat odczepił się ode mnie na jakiś czas. -

Odwróciła głowę i spojrzała do tyłu, jakby się bała, że Paweł usłyszy.

- Nie ma problemu. Powiedz Pawłowi, żeby zamknął cię w piwnicy - zaproponowała Maryla. - To mniej kosztowne i bardzo skuteczne. Zanim się nacieszysz wolnością, już będziesz prosiła, by cię przyjął z powrotem. Po co kombinować, wyjeżdżać, gdy sprawa jest prosta?

- Pewnie - odgryzła się Joanna. - Gdybym była taka gruboskórna jak ty, nie miałabym wątpliwości. Dla ciebie wszystko jest dużo prostsze. Ze mną jest inaczej, jestem inna i koniec.

Maryla piła drobnymi łydkami, a lepkie wino błyszczało na jej dużych i napiętych wargach. Jednym uchem słuchała, o czym rozmawiamy, wtrącając od siebie jakieś słowo, a drugim kontrolowała naszych panów. Widziałam, że z uwagą przygląda się Pawłowi, jakby znalazła w nim nagle coś specjalnego, jakby oceniała, czy ten niesamowicie przystojny facet wybrał sobie na żonę właściwą kobietę.

- Jasne, że jesteś inna - z pogardą wzruszyła ramionami.

- Kto jak kto, ale my na pewno nie wyglądamy na syjamskie siostry.

- Nie rozumiem, co masz na myśli? Próbujesz mi dokuczyć. Mam wrażenie, że jesteś po ich stronie. - Spojrzała za siebie. - Ja wiem, że ich rozmowy - pokazała palcem na naszych mężów - bardziej cię pociągają niż nasze. Tobie nigdy tusz nie będzie się kojarzył z rżęsami, ale raczej z kalką techniczną albo maszyną drukarską.

- Co mam na to poradzić? - Maryla roześmiała się szczerze. Udawała, że ma gdzieś docinki Joanny. - Mnie te babskie filozofie na temat przekwitania i rozmowy o kłopotach egzystencjalnych okropnie nudzą. Wymyślcie sobie problemy tam, gdzie ich nie ma. Takie biadolenie nie przysporzy ci chwały - spojrzała znacząco. - Jak będziesz za dużo stękała, to cię Paweł wymieni na młodszą albo na bardziej energiczną, choćby taką jak ja - uśmiechnęła się zalotnie. - A swoją drogą twój mąż wygląda niezdrowo. Pod oczami ma wory, usta w dół, uszy opuszczone. Jakby był chory.

Rzeczywiście, mąż Joanny miał niewyraźną minę. W rękę trzymał papierosa, a centymetrowy popiół wisiał nad czystym obrusem. Tylko patrzeć, jak spadnie.

Tomasz gestykulował, mówił głośno czymś podniecony, aż w kącikach ust zebrała mu się ślina. Paweł słuchał z apatycznym wyrazem twarzy, jakby tylko czekał, aż skończy.

- Może się znowu pokłócili? - zauważyłam.

- Nie było żadnej kłótni. Jestem cały czas na podsłuchu - Maryla pospieszyła z wyjaśnieniem.

- Podziwiam cię za tę podzielność uwagi - powiedziałam.

- To rutyna. W interesach muszę mieć oczy i uszy szeroko otwarte.

- Ja otwieram tylko oczy - zażartowałam - bo moi klienci najczęściej milczą.

- Jesteście w lepszej sytuacji - Joanna znów uderzyła w smętny ton. - Macie jakieś atrakcje. Ja tylko dzieci i mąż i te ich wieczne pretensje i kłótnie.

Jestem zbyt uwiązana, zniewolona. Mój Paweł, gdy przez jeden dzień nie ma mnie w domu, jest jak dziecko. Nic nie je.

- W takim razie - poprawiła ją Maryla - raczej jak pies. To psy nie jedzą z tęsknoty. Faceci z tego powodu się upijają.

- Ty masz na wszystko odpowiedź - Joanna skwitowała zde gustowana i zrobiła obrażoną minę, ale nie na długo. Nigdy nie dąsała się dłużej niż pięć minut.

Obie tak były zajęte głupią sprzeczką, że nie zauważyły, jakie wzbudzają zainteresowanie. Goście przy sąsiednich stolikach dyskretnie spoglądali w naszą stronę. Ktoś nastawił głośniej radio, a po chwili zjawił się kelner z pytaniem, czy coś jeszcze podać.

Patrzyłam na nich i zadawałam sobie pytanie, co łączy nas wszystkich ze sobą? Z przerażeniem stwierdziłam, że niewiele. Kiedyś łączyła nas chęć wspólnej zabawy.

Spotykaliśmy się prawie co tydzień. Trochę alkoholu, słoik śledzi albo ogórków i było wspaniale. Zabawa trwała do rana.

Zmiany następowały wraz z potrzebami. Potem przyszła polska rewolucja ekonomiczna, zmiany polityczne. Było o czym mówić, o co kruszyć kopie, o co się droczyć. Każdy z nas w jakimś sensie zmieniał swoje życie. Budowaliśmy nową rzeczywistość, własną świadomość, chcieliśmy się ustawić z wiatrem, nabrać go w żagle i odpłynąć.

Najdalej odpłynął mój młodszy brat Marek, bo aż do Australii. Marek to nietypowy przypadek, trudny do zdefiniowania. Nikt do końca nie wie, dlaczego wyjechał. Z tchórzostwa, z bezradności, może z głupoty, z nadziei, że za drugą miedzą, za trzecią, będzie lepiej? Ludzie będą lepsi i kraj sprawiedliwszy albo on sam okaże się jednostką wybitną, tu niedocenioną, niedoinwestowaną? Może się obraził, może odrodził, a może się dusił w gęstej od żalów atmosferze domu? Jak to się stało, że z melancholika, typa często będącego w depresji, narodził się nowy człowiek, inny, niż wszyscy myśleli, inny, niż on sam o sobie myślał? Tego nie dowiem się nigdy. Żeby to zrozumieć, żeby pojąć tę przemianę, musiałabym być cały czas obok niego i przekonać się na własne oczy.

Tymczasem upłynęło kilka lat, wszystko już wiadomo, przed nami szara egzystencja, bez wiraży i wielkich przewrotów. Pozostało jedynie odcinać kupony i powoli wycofywać się z interesów. My swoje zadanie już wykonaliśmy niemal do końca. Nadchodziło nowe pokolenie. Między nami jest przepaść podobna do tej, która podzieliła nas i naszych rodziców. Świat odradza się w nowych technologiach, dzieli na niepodłączonych i podłączonych. Rodzi się romantyka cyfrowa i wirtualna na takim poziomie, którego my nie będziemy w stanie pojąć.

Kapcaniejemy, gorzkniejemy, opuszczamy skrzydła. Patrzę na Pawła i Tomasza, jak skaczą sobie do gardeł, i myślę, że oni mają już dość. Coś w nich umarło. Jakaś radość z bycia ze sobą. Brak im cierpliwości, jest w nich nietolerancja, starcze przekonanie, że ja wiem najlepiej. Przestraszyłam się swoich myśli.

Zrobiło się późno. Wypadało z wolna szykować się do powrotu.

- Przejdźmy się jeszcze. Za budynkiem jest ogród, ławeczki - zaproponował Karol.

Poszłam w tym czasie zapłacić rachunek. Wolę robić to sama. W ten sposób unikam niepotrzebnych komentarzy. Zresztą Karol nie będzie pytał. To go specjalnie nie interesuje.

Wyszliśmy na zewnątrz. Otoczyła nas ciemność. Ruszyliśmy drogą wysypaną białym żwirem. Szelest drobnych kamyków i jasna płaszczyzna chodnika nieomylnie wyznaczały kierunek marszu. Mokra trawa błyszczała i odbijała w sobie światło księżyca. Słysząc było głośnie kumkanie żab. Gdzieś w pobliżu musiała być woda. Na końcu ogrodu wyłonił się ukryty w wysokiej trawie staw. Jego nieregularne brzegi porastała trzcina i tatarak. Całą powierzchnię pokrywały płaskie talerze grzybieni. Obeszliśmy staw dokoła. Tylko w jednym miejscu można było swobodnie dojść do brzegu. Tafla wody pokryta rzęsą wyglądała jak zielony dywan. Z oddali dochodziły odgłosy burzy - czaiła się gdzieś za lasem.

- Ale pięknie - powiedziała Maryla. - Jak cudownie pachnie! Czujecie? - zapytała.

- Czujemy - odpowiedzieliśmy chórem, uśmiechając się do siebie.

- Życie jest piękne - dodała, obejmując stojącą obok niej Joasię, a ta, dyskretnie, żeby nie spłoszyć tej rozkosznej chwili, wolną ręką poprawiła fryzurę.

Już wieczór. W domu panuje niezmacona cisza. Jestem sama. Karol wyjechał.

Kolejny tydzień bez niego. Ile jeszcze przede mną takich tygodni? Nawet nie zdążyłam porozmawiać z nim o ważnych sprawach. Pozostaną niezafatwione do piątku. Stoję przy oknie i patrzę. Biedne, opuszczone dziecko, z czołem przyklejonym do szyby, wypatruje pomocy. Za oknem długie gałęzie wierzby tańczą na wietrze, jak warkocze krakowianki. Wiatr okręca je wokół pnia i płacze.

Błyszcą białe spody liści, niczym nocne motyle szybują na tle ciemnego nieba. Z ciemności wychodzą do mnie moje strachy. Otulają ramiona, pieścą wąsatymi palcami uszy, głaszczą policzki, aż dostaję od tego gęsiej skórki. Czuję na twarzy dotyk włochatej ćmy. Otrząsam się ze wstrętem. Zamykam oczy, czekam chwilę. Po drugiej stronie szyby słyszę tępe uderzenia. Jasna plama mojej twarzy przyciąga owady. Jestem jednym z nich. Stopniowo rozpląwam się w mroku.

Ogarnia mnie uczucie podobne do ekstazy. Piersi twardnieją z niecierpliwością, jakby zbliżał się do nich upragniony kochanek. Strach i rozkosz, obawa i podniecenie. Umieszczona pomiędzy ciemnym wnętrzem domu a ciemnością za oknem, jestem niczym. Mogłoby mnie nie być wcale. Bez kształtu, bez cienia, bez ciała.

To nawet przyjemne. Chciałabym tak bez końca. Dać się zamknąć w ramionach wiecznych rozkoszy i wiecznej niepewności. Może tak właśnie jest po śmierci.

Jest się wszędzie, a zarazem nigdzie. Ani tu, ani tam. To nie byłoby złe wyjście. Jest mi dobrze, a więc może po śmierci też będę się czuła podobnie?

Strach i rozkosz, obawa i podniecenie. Stany, za które w życiu dużo by się dało.

Dla tych stanów ludzie skaczą na bandzo, rzucają się z wysokiego urwiska do wody, wspinają na tysiące metrów w górę, oddają nałogom, umierają po to, by zachłysnąć się takim szczęściem choć przez chwilę. Niebo składające się z obawy i ekstazy, z rozkoszy i niepewności, to jak bycie w stanie wiecznego zakochania.

Taka nagroda za uczciwe życie, to jak upojny do granic wytrzymałości miłosny akt. Czyż nie jest to wspaniała perspektywa? Ale dlaczego niemożliwa tu i teraz?

Czemu odpływa ode mnie tak szybko i niespodziewanie, jak przyszła? Powoli wybudzam się i powracam do miejsca, z którego wystartowałam w błogi i beztroski niebyt. Czuję na twarzy gorąco, miękkość w kolanach. Stoję przy oknie w pokoju, jest mi słabo. Kontakty z naturą zawsze wywołują u mnie stany nietypowego podniecenia. Następują niespodziewanie. Nie potrafię tego przewidzieć. Kiedyś, gdy analizowałam na zajęciach strukturę komórki zwierzęcej, konkretnie trzustki, doznałam nagłego oczarowania. Oglądanie wnętrza takiej drobiny w mikroskopie elektronowym, to jak podróż dookoła świata w kabinie samolotu. Labirynt barwnych krajobrazów, widzianych z lotu ptaka, w rzeczywistości ma wielkość około dziesięciu mikrometrów, a oglądany w takim powiększeniu kojarzy się z wędrówką po nieprzebytych krainach z dziecięcego snu. W marzeniach zrobiłam się całkiem małeńka, taka dosłownie jak atom, i pokonując kolejne stopnie trudności, poznawałam wnętrza wszystkich struktur, zaczynając od samego jądra, kanałami błon retikulum, cieśninami mitochondriów, śladami rybosomów, pomiędzy wzgórzami aparatu Golgiego,

wprost do przestrzeni międzykomórkowej, która jak kosmos dla jednej komórki, jest niekończącym się bezkresem. Świat mikrokosmosu mnie urzeka, zachwyca i ciekawi.

Gdyby nie zdrowy rozsądek, dałabym się mu pochłonać bez reszty.

Agnieszka przywiozła dziś album ze zdjęciami. Na wszystkich jestem ja i Piotruś, mój wnuk. Jak to się stało, że tylko nas fotografowali? Może sama pchałam się przed obiektyw, nie pamiętam. Mały jest bardzo rezolutny. Bez problemu daje się wciągnąć w zabawę. Karol nie ma takiej cierpliwości. A mnie cieszy szczebiotanie tego malucha, wieczny ruch i bałagan, który robi w domu. Karol wymyka się wtedy cichcem do ogrodu albo czyta gazetę zabarykadowany w pokoju.

Mały Piotruś jest pomostem. Myślmy o nim: jest przyszłością. Naszą nadzieją na kontakt z czasem przyszłym, człowiekiem, który wskaże właściwy kierunek. Jeszcze na razie jest naiwny i żądny wiedzy, którą posiadamy, ale za kilkanaście lat pokaże nam, co potrafi.

Agnieszka jest do mnie niepodobna. Ma drobną figurę i delikatne rysy. Nigdy nie miała kłopotów z tyciem. Gdy ja wbijam żarłoczny wzrok w kawałek ciasta i molestuję swoją wolę, walcząc z apetytem, ona wcina dwunastego cukierka i popija słodką kawą. To nie jest sprawiedliwe. Na Agnieszkę patrzy się z przyjemnością, można patrzeć bez końca, taka jest kobieca. Karol mówi, że przesadzam. Mąż Agnieszki też uważają za piękność, a Karol mówi, że to dlatego, iż zaślepia go seks. Głupie gadanie. Karol mówi, że ja jestem pięknością. Głupie gadanie. Jak już przyjedzie w ten piątek, to się tylko podlizuje. Ale w gruncie rzeczy to jest przyjemne.

Zawsze w niedzielę wieczorem jestem smutna. Zostaję w domu z dwójką starych ludzi i muszę słuchać opowieści o chorobach, bólach, stanach przewodu pokarmowego i moczowego. Muszę nasłuchiwać ich oddechów, bicia serca, muszę wstawać nocami, by odprowadzić ich do ubikacji, nieraz kilka razy, bo giną we własnym domu, gdy zaspany umysł zawodzi i otoczy ich ciemność. Muszę czuć się młoda wśród starych i szczebiotać tak przekonywająco, jak szczebioce mały Piotruś, gdy do nas przyjeżdża.

Odpowiedzialność, którą dostałam w spadku po przodkach, nie pozwala mi odejść od rodziców. Już widzę w ich oczach tamten brzeg. Prześwituje gdzieś pod źrenicą, ukazuje się na kilka sekund i znika. Nieraz jest jak świetlista równina, jak wschód słońca, jak zielona rzeka, i wtedy ogarnia mnie spokój. Czasem, gdy umęczeni codziennymi troskami, spoglądają spod zmarszczonych brwi, łypią złowrogo, nieprzytomnie, pojawia się jasna obwódka i pulsuje w rytm tętna i odlicza, odlicza, odlicza - może to ostatni rok, ostatnia wiosna, ostatnie święta? Jak wynagrodzić im tę świadomość? Czy czują, że to nadchodzi, czy wiedzą i tylko udają przed nami, że wszystko w porządku? To patrzeć co dzień na rodziców, na ich

odchodzenie, dzieciństwo, na to bezradne dreptanie po pokoju, wieczne czegoś gubienie i szukanie, wiąże mnie i wykańcza. To mnie wykańcza i postarza. Karol ma rację. Jeżeli czegoś nie postanowimy, to nigdy nie będziemy razem.

Kilka dni tygodnia minęło jak chwilka. Już czwartek. Siedzę na ławce w ogrodzie i czekam na Marylę. Umówiliśmy się na dwunastą w gabinecie, ale nie przyszła.

Potem dzwoniła, że wpadnie na kawę i przyniesie ze sobą ciasto. Mam nadzieję, że będzie niedobre. Ostatnio nie wbiłam się w ulubioną sukienkę. Bez tej sukienki nie wyobrażam sobie lata. Muszę schudnąć. Gdybym tylko nie była taka leniwa.

Rower do ćwiczeń stoi w łazience, na strychu tarza się w kurzu kilka przyrządów, skakanek itp., które zakupiłam kiedyś w dobrej wierze i nie miałam dość samozaparcia, żeby z nich skorzystać. Mnie nie chce się ruszyć nawet małym palcem u nogi. Najbardziej lubię, jak ruszają się moje myśli. Tylko od tego niestety nie da się schudnąć.

Słońce grzeje niemiłosiernie. Kocham takie grzanie. Wokół mnie latają niebieskie ważki i żółte motyle. Parę kroków dalej przepływa przez sad strumyczek, szerszy bądź węższy w zależności od tego, czy lato jest suche, czy mokre. Czasami, gdy jest bardzo cicho, słychać jak szmerze, przeciskając się pomiędzy drobnymi kamieniami. Bardzo lubię położyć się w trawie i z bliska patrzeć w wodę. Wodny świat jest coraz bliżej i czuję się jak mucha siedząca na liściu albo zielona żaba, która przerwała na moment kumkanie i patrzy na ojczysty krajobraz.

Z daleka słychać czyjeś głosy. To mama wylewnie wita Marylę. Znam ją dobrze, nie zrezygnuje z małego interview, wszystko z Maryli wyciągnie. Zanim zakończą te ceremonie, zdążę się zdrzemnąć.

- Małgosiu! - słyszę głos mamy. Zawsze, gdy rozmawia z kimś obcym, zwłaszcza gdy chce dobrze wypaść, zmienia ton. Nie trzeszczy jak co dzień i nie mruczy niezrozumiale pod nosem, tylko wyraźnie i słodko woła: Małgosiu!

Podnoszę się wolno i widzę Marylę. Idzie niezgrabnie, tonąc po kolana w dawno niekoszonej trawie, i z obrzydzeniem opędza się od owadów. Bardzo się ich boi, bo jest na nieuczulona. Ma na sobie szeroką spódnicę w jakieś kwiatki i koronkową bluzkę, jak zawsze. Maryla uwielbia koronki, bez względu na czas i okazję. Kocha je wtedy, gdy są modne i kiedy są zakazane. Nosi na wesela, na pogrzeby, do pracy i na wakacjach. Nawet kostium kąpielowy ma z koronki, i nocną koszulę. To się nazywa wierność. Nie oceniam tego. Ja też mam swoje zboczenia.

- Małgośka - teraz ona krzyczy - chodź do domu, w ogrodzie jest za gorąco.

- Już idę - odkrzykuję i pokazuję palcem na drugi koniec sadu. Tam w cieniu pod młodą brzoźką ustawiłam stolik. Będzie można spokojnie porozmawiać. Mama nie lubi siedzieć w słoneczny dzień na dworze. Maryla rozumie bez słów. Obie idziemy w tamtą stronę. Czuję z daleka przeszywający wzrok. Zawsze, zanim się przywita, musi mnie obciachnąć z góry na dół i zarejestrować każdy szczegół wyglądu. To działa u niej jak odruch bezwarunkowy. Nie potrafi nad nim zapanować, nawet w najniewinniejszych sytuacjach, chociażby takich jak ta. Niczego się przed nią nie ukryje, nawet pryszcza na czole. Odruchowo przeczesuję palcami włosy i opuszczam na twarz przydługawa grzywkę. Tak na wszelki wypadek.

Już od godziny plotkujemy. W cieniu jest chłodno, a i owady jakoś omijają to miejsce. Maryla rozmarzona, z przymkniętymi oczami, wygląda na śpiącą.

- Mieszkasz w raj - mruczy pod nosem. - Te zapachy są zniewalające, wszystkie na raz i każdy z osobna. - Wciąga w nozdrza woń jaśminu. - Szkoda, że nie mogę nabrać tych zapachów w kieszeń i zanieść ze sobą do domu. Uwielbiam jaśmin. A ty, jakie zapachy lubisz najbardziej?

- Myślisz o kwiatkach, czy tak ogólnie?

- O kwiatkach oczywiście. - Maryla jakoś złagodniała. Wyraz zacięcia na twarzy towarzyszący jej nieustannie rozplynał się w słońcu. Zrobiła się całkiem ładna z tym łagodnym uśmiechem w kącikach ust, z przymrużonymi oczami. Pomyślałam, że za mało się śmieje. Ile razy ją widzę, zawsze jest poważna.

- Najbardziej lubię zapach fiołków, konwalii i piwonii - wyliczałam. - Dlatego, że to zapachy wiosny. Fiołki wkładam sobie do nosa...

- Jak to - do nosa? - zaśmiała się.

- Do każdej dziurki po jednym kwiatku. Żeby niczego nie uronić. Chcę się nawąchać na zapas.

- Jesteś niesamowita.

Było miło jak nigdy. Rzadko kiedy mogłam porozmawiać z nią w taki sposób. Myślę, że to przyroda wyzwoliła z niej prawdziwą naturę i sprawiła, że zapomniała trzymać fason.

- To powietrze mnie rozłożyło - tłumaczyła się. - Miałam ciężką noc. Bolał mnie ząb.

- No właśnie, zapowiedziałaś się na dwunastą. I co z tym zębem? - zapytałam.

- Przestał boleć - wyjaśniła krótko. - Nie miałam dziś ochoty siadać na fotel, przyjdę innym razem.

- Jak znowu zaboli?

- No właśnie, jak zaboli.

- Musisz się pośpieszyć, bo za dwa tygodnie zamykam gabinet - wyjaśniam na wszelki wypadek.

- Bierzesz urlop? - zdziwiła się.

- Po prostu likwiduję.

- Całkowicie? - Wyprostowała się. - Mówiłaś, że za kilka miesięcy.

- Mówiłam, ale to było w lutym. Teraz jest lipiec.

- Ależ przeleciało, trudno uwierzyć. Dobrze, w takim razie umówimy się na jutro, nie możesz zostawić moich zębów w takim stanie.

- Przyjdź z samego rana i przygotuj się na męki. Maryla odruchowo zakryła ręką usta, broniąc dostępu do swoich skarbów.

- Litości! - Spojrzała na mnie. - Będziesz się mściła?

- Może? - odpowiedziałam niezdecydowanie. - Przemyślę to do jutra.

- A swoją drogą, czy musisz tak się spieszyć z zamykaniem gabinetu?

Nie odpowiedziałam. Musiałam dać sobie czas na odpowiedź. Potrzebowałam chwili na to, by bez drżenia w głosie twardo wykrztusić:

- Przedłużanie tego nie ma sensu. Nie zarabiam nawet na czynsz i opłaty.

- Chyba przesadzasz - obruszyła się.

- Może trochę, ale niewiele. W ciągu ostatniego roku powstało w mieście kilka gabinetów stomatologicznych, a sama wiesz, co to za miasto, raczej duża wiocha.

Obsługują je fachowi, młodzi ludzie, którzy postawili na technikę i postęp.

- Mówisz, jakbyś nic nie rozumiała. - Maryla nie mogła pojąć, że tak łatwo rezygnuję.

- Masz dopiero pięćdziesiąt lat. To najlepszy czas, żeby zacząć. W tym wieku dysponuje się już pewnym doświadczeniem, zna się swoje możliwości, posiada gotówkę i ma odchowane dzieci. Akurat, żeby pomyśleć o karierze.

- Marylko, zrozum, mnie to nie bawi. Jestem zmęczona, chcę się wreszcie zacząć nudzić, lenić, gnuśnieć, barłóżyć, roztyć, rozmarzyć i wszystko na yć...

- Stuknij się w łeb! - krzyknęła oburzona. Stuknęłam się kilka razy. Maryla pokazała mi kółko na czole.

- Nic nie rozumiesz. - Wzruszyła ramionami. Nadęte złością policzki jeszcze przez chwilę łapały powietrze.

- Nie wściekaj się - prosiłam. - Jakoś sobie poradzę. Na pewno nie przerwę pracy zawodowej. Zatrudnię się w jakiejś poradni za parę groszy - mówiłam ciszej, bo nastrój euforii już mi trochę minął. - To mniej zobowiązujące. Gdyby nie reforma, która przewróciła wszystko do góry nogami, wytrwałabym jeszcze jakiś czas.

Przerasta mnie to, co się dzieje. Te kontrakty, ta cała biurokracja, ciągle zmiany, kontrole to dla mnie zbyt skomplikowane. Ledwo przywykłam do jednego, pojęłam zawilosci programu i wymagania kas chorych, a tu straszą kolejnymi zmianami. Teraz, gdy wszystko zaczęło funkcjonować, kiedy obie strony dotarły się i zrozumiały, gdy ja nabrałam wprawy, a pacjenci pojęli, o co w tym wszystkim chodzi, wszystko jest be, be! Trzeba wyrzucić do śmieci i zacząć od początku? - poniosły mnie nerwy. - Nic z tego. Ja mam dość. Niech się męczą młodszy.

- Nawet nie spróbujesz? - Maryla nie dawała za wygraną.

- Nie, już zdecydowałam. Szkoda mojego czasu i pieniędzy. Musiałabym zainwestować, a to nigdy się nie zwróci przy tak małej liczbie pacjentów, która przy mnie wytrwała. A i ci powoli znikają.

Widziałam, że w głowie Maryli nie mieściło się coś podobnego. Zawsze zabiegana, nigdy dość wypoczęta, dniem i nocą czuwała nad powodzeniem swojego przedsiębiorstwa. Wpadała na zmianę z anoreksji w bulimię, raz z radości, gdy coś się udało, to znów z rozpaczy, gdy nie wyszło. Nie wiedziała, jak można żyć inaczej. To moje zamykanie gabinetu wydawało się jej głupotą, jakąś niezrozumiałą manifestacją i absolutną niedojrzałością. Musiała to mocno podkreślić. Inaczej nie byłaby sobą. Na moim miejscu wybrałaby raczej walkę o przetrwanie, nawet za cenę nieopłacalnych inwestycji, byle mieć do końca przekonanie, że zrobiła wszystko, co można.

- A pomyślałaś, co będzie z tobą? Jak poradysz sobie finansowo?

- Przecież nie jestem samotna, a i zapasów co nieco się uzbierało. Karol wciąż zarabia. Agnieszka jest na swoim, jakoś to będzie. Może załatwię sobie pół etatu w pogotowiu stomatologicznym, żeby zachować ciągłość pracy? Jeszcze nie wiem.

- A co będziesz robiła w wolnym czasie? Co z nami?

- Myślisz, że jak przestanę być przydatna, to zapomnisz, gdzie mieszkam?

- E tam! - Machnęła ręką. - Ja mówię poważnie, a ty sobie robisz jaja.

- Poważnie, to jeszcze nie wiem. Myślałam, żeby wreszcie zamieszkać z Karolem.

Może kupimy większe mieszkanie i będę się mogła do niego wprowadzić?

- Ty i mieszkanie? - Maryla złapała się za głowę. - Już widzę, jak biegasz po nim boso, a w doniczkach hodujesz lipy i kasztany. Na środku salonu wykopiesz staw i wpuścisz ryby.

- Czy ty myślisz, że ja nie mam już dość nadmiaru przestrzeni? Myślisz, że do końca życia chcę kosić trawę i karmić kury?

- Właśnie tak myślę i nie wierzę, że mogłabyś żyć inaczej!

- Więc się mylisz, bo ja mam serdecznie dość tej wiochy - zakreśliłam rękami wielkie koło. - Tego zielonego, co wszędzie rośnie, i wiecznego czekania na Karola. Chcę być z nim codziennie. W zwykłe szare dni i w niedziele, i w nocy, i rano.

- Boże! Ty nie wiesz, co mówisz!

- Wiem, co mówię, i wiem, co chcę.

- W takim razie zwariowałaś.

- Być może.

- Pamiętaj, Małgośka, że to jest nieodwracalne. Jak się zdecydujesz, już nie będzie drogi powrotnej. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- Przynajmniej tak mi się wydaje - odpowiedziałam nieco ciszej.

- Odbierasz sobie możliwość odwrotu.

- Może ja chcę być wreszcie małą, słabą kobietką, zależną całkowicie od łaski męża? Może chcę trzepotać uroczym rzęsami, prosząc o grosik na nową sukienkę i dwa grosiki na życie?

- Niestety - Maryla złapała się za czoło - wygląda na to, że zwariowałaś. Być zależną od chłopca, to tak jakby dać się zakopać.

- Nie zniechęcisz mnie. Już postanowiłam. Mam swoje plany. Będę mogła więcej czasu poświęcić na edukację. Chcę zmienić swoją życiową filozofię z „mieć” na „być”.

- No nie! A rodzice? Zostawisz ich samych w tym rozlatującym się domu?

- Przeniosą się do bloku. Tu już dłużej nie da się żyć. Ten dom umiera.

Rozsypuje się, obraca w pył - powtórzyłam dokładnie słowa Karola.

- Poradzą sobie sami w tym mieszkaniu? Zawsze byłaś przy nich.

- Będą mieli opiekę. Mam tam kogoś, kto będzie ich doglądał.

Maryla pokiwała z niedowierzaniem głową.

- Nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego, nigdy! - Uderzyła się mocno w piersi i wzniosła oczy do nieba. - A co na to Marek? Zgodzi się na sprzedaż domu? Nie wniesie pretensji o to, że chcesz go wydziedziczyć?

- To już dawno uzgodniliśmy. Marek dostał swoją dolę. Gdy wyjechał do Australii, rodzice dali mu sporą sumę na początek, żeby się ustawił. Wtedy zostało postanowione, że dom należy do mnie.

- Żebyś się nie myliła. Gdy w grę wchodzi pieniądze, wszystko jest możliwe - przestrzegala.

- Mam nadzieję, że znam swojego brata na tyle, żeby przewidzieć, jak zareaguje.

- A to, że rodzice będą mieszkać sami, nie sprawi mu różnicy?

- Marek jest tak zapracowany i zaabsorbowany własną rodziną, że każdy układ, który uwolni go od troski o nich, będzie mu na rękę - wyjaśniałam.

- Ile lat minęło od jego wyjazdu? - Maryla specjalnie tak kierowała rozmową, żeby jak najdłużej obracała się wokół osoby Marka.

- Wyjechał w osiemdziesiątym roku - przypomniałam jej, choć było jasne, że pamięta lepiej ode mnie. Udawała, bała się podejrzeń, że losy Marka w jakiś szczególny sposób leżą jej na sercu. Rzadko o niego pytała, choć czułam, że gdzieś na dnie duszy tli się jeszcze ognisko dawnego uczucia. Marek i Maryla stanowili przed laty nierozłączną parę. Dopóki wszystko miało wymiar beztroskiej egzystencji na koszt rodziców, miłość kwitła. Później okazało się, że wspólna przyszłość nie jest możliwa. Rozdzieliła ich różnica charakterów i zupełnie inne podejście do życia. Mój brat był pewnego rodzaju życiowym niedorajdą, pechowcem i niepoprawnym marzycielem, dla którego miłość do muzyki znaczyła więcej niż cokolwiek innego. Niestety jego nadzieje nie szły w parze z możliwościami. Mimo wytrwałości i sumiennego przykładania się do ćwiczeń, nigdy nie został wielkim muzykiem. Brakowało mu tej iskry Bożej, tego daru, który oprócz techniki i wirtuozerii gry, potrafi porwać słuchaczy i oczarować. Przez kilka lat próbował przezwyciężyć nieśmiałość, wypracować jakiś styl gry, który wyróżni go spośród tłumu jemu podobnych. W końcu stracił złudzenia. Zrozumiał, że w tej dziedzinie wielkich rzeczy nie dokona, a rola podrzędnego grajka go nie satysfakcjonowała.

Trzeba było dokonać jakiegoś wyboru i zdecydować o własnym życiu. Postanowił wyjechać daleko od kraju, który kojarzył się z niepowodzeniami. Bez rodzinnych zobowiązań i obciążeń było mu łatwiej rozpocząć wszystko na nowo. Nowy kraj, inni ludzie i zwyczaje, nowe wyzwania i możliwości. Po dwóch latach włości po Europie dotarł wreszcie do ziemi obiecanej.

- To już dwadzieścia dwa lata - szybko policzyła. - Nie przyjeżdża zbyt często - stwierdziła jednoznacznie.

- Widziałam go w tym czasie dwa razy. Ostatnio był pięć lat temu.

- Nie lubi przyjeżdżać? - Poprawiła na sobie bluzkę, próbując zakryć kawałek różowego ciała, wypływającego ponad paskiem spódnicy.

- To daleka podróż. Samolotem dwadzieścia siedem godzin. Poza tym podróżowanie z taką dużą rodziną nie należy do przyjemności. Ale w tym roku chyba nas odwiedzą.

Adaś jest już wystarczająco dorosły.

- Przyjadą wszyscy? - Maryla obracała w palcach kosmyk włosów i uciekała wzrokiem gdzieś w bok.

- Tylko we czwórkę. Najstarsze dzieci zostaną w domu. Ktoś musi pilnować gospodarstwa. Mają ogromny dom, szkołę, która wymaga stałego nadzoru, zwierzęta.

- Jakie zwierzęta? - Maryla zrobiła dziwną minę. - Przecież on się bał nawet królików. Nie pamiętasz, jak brzydził się dotknąć kota czy psa? - Na jej twarzy malowała się złość.

- To już nie ten Marek, to zupełnie inny człowiek. Wyjazd z kraju bardzo go odmienił. Czasami okazuje się, że ludzie przez pół życia ukrywają się we własnym cieniu i dopiero nowe okoliczności są w stanie wyzwolić ich spod władzy strachu.

Tak pewnie było z Markiem. Znalazł się w nowym miejscu i stał się nowym człowiekiem.

- Mam jeszcze jego ostatni list z Austrii - próbowała panować nad emocjami. - Wydawało się, że nie zniesie długiej rozłąki.

- Pamiętam - potwierdziłam. - Mieszkał wtedy w obozie dla uchodźców. Był sam, zagubiony, upodlony sytuacją, w której się znalazł. Potem pojechał do Niemiec.

Tam było jeszcze gorzej.

- Więc dlaczego nie wrócił? Był tak blisko domu, dzieliła go jedna granica.

- Właśnie dlatego wyjechał do Australii. Chciał ostatecznie przeciąć pępowinę.

Potrzebował innej przestrzeni i tego, że nikt mu nie będzie sekundował, doradzał, odradzał, kierował jego wolą. Chciał być absolutnie wolny.

- Nie do końca - Maryla uśmiechnęła się tajemniczo.

- Co masz na myśli?

- Ożenił się prawie zaraz po przyjeździe do Sydney - powiedziała z odrobiną pretensji.

- Na całe szczęście, bo dobrze trafił. Basia też ma wykształcenie muzyczne, do tego jest przedsiębiorcza i pracowita. Być może to właśnie ona odkryła jego drugie oblicze, to lepsze albo to gorsze, zależy z której strony patrzeć. Teraz mają własną szkołę z zupełnie niezłą renomą. Basia zdążyła urodzić czwórkę dzieci i ciągle pracuje zawodowo - powiedziałam trochę złośliwie. Maryla nie miała dzieci. To było świństwo z mojej strony, lecz jakoś nie mogłam się powstrzymać.

To ją chyba zabolalo. Siedziałyśmy jakiś czas w milczeniu.

- Myślisz, że Marek jest szczęśliwy? - zapytała po chwili.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o tym.

- Dlaczego?

- Bałam się.

- Bałaś się? - Wyglądała na zdziwioną. - Czego się bałaś?

- Bałam się odpowiedzi.

O Marku myślałam od dawna jako o człowieku sukcesu. W listach, na zdjęciach, wydawał się człowiekiem spełnionym. Nawet mu zazdrościłam. Czułam niekiedy jakiś żal o to, że przy nim byłam właściwie nikim. On, młodszy, trochę gamoniowaty brat, tyle osiągnął. Czy był szczęśliwy? Pewnie tak. Chociaż gdyby tak dociekać sedna rzeczy, w końcu nie zrealizował swoich największych marzeń. Od wyjazdu z kraju już nigdy nie koncertował. Odłożył skrzypce do lamusa i robił pieniądze jako nauczyciel, który zamienił smyczek na długopis, a zeszyt nutowy na księgi podatkowe. Czy to oznacza, że nigdy nie miał być muzykiem, że przypadek rzucił go we właściwą stronę?

Czas uciekał. Słońce zachodziło już za sosnowy zagajnik. Pojawiły się komary.

Wiedziałam, że to wypłoszy Marylę z naszej przytulnej kryjówki. Dopiliśmy kawę, a talerzyk po serniku świecił czystością, znikły nawet okruszki.

- Będę uciekać - Maryla zdecydowała w jednej chwili. - Mam nadzieję, że przemyślisz swoją decyzję i szybko zmienisz zdanie. Nie wiem, jakie jest jeszcze wyjście w twojej sytuacji, lecz to, żeby zostać na łasce męża i po latach niezależności oddać się w jasyr, jest całkowicie nie do przyjęcia.

- A co z wzajemnym zaufaniem? - zapytałam.

- Jest coś takiego? - spojrzała na mnie z dziwnym błyskiem.

- Dziwię się, że właśnie ty masz wątpliwości. Przez wiele lat żyjesz obok człowieka, który cię rozumie i docenia. Pierwsza powinnaś zachęcić mnie do zmiany.

Nic nie powiedziała. Wzruszyła tylko ramionami i wystawiła twarz prosto w jasny promień światła przemykający pomiędzy gałązkami brzozy.

Szliśmy wolno w stronę bramy, pod którą zaparkowała samochód.

- Widzę - wskazała ręką na moją obcisłą sukienkę - że utylaś. Brzuszek wylewa ci się przez dziurki. I zrób coś z tym czołem, strasznie się świeci. Używasz chyba złego kremu. - To były jej ostatnie słowa. Pomachała mi na pożegnanie, wsiadła do samochodu i odjechała.

Melisa tego roku wyrosła wyjątkowo dorodna. Ząbkowane i lekko włochate liście przyjemnie drażniły opuszki palców. Zrywałam je, z uwagą odrzucając te, na których dostrzegłam plamki grzybicy. Mszyce nie lubią melisy. Ma intensywną, cytrynową woń, szczególnie wyczuwalną, gdy rozetrze się ją w palcach. Napar z niej jest smaczny, a do tego łagodnie wycisza skołataną serce. Szczególnie dobry na objawy klimakterium.

Obok rośnie mięta, za miętą tymianek, bazylija i olbrzymie parasole lubczyka. To moje królestwo. Lubię położyć się w trawie i wachać. Robię sobie aromatyczną saunę, naturalną inhalację, terapię odmładzającą, która oczyszcza umysł i dodaje sił. Pół godziny w zapachowym rajku to samooczyszczanie. Wdycham głęboko powietrze, aż kręci się w głowie.

Karol mówi, że jestem narkomanką, a właściwie ziołomanką. Chyba ma rację. Już po kilku minutach wciągania zaczynam odpływać w mgliste opary myśli, daleko od miejsca, w którym jestem. Słyszę szum natury - roślin, owadów. Nie czuję siebie, bicia serca, bulgotu krwi w żyłach. Rozpadam się na atomy i ginę w trawie jak opadająca o świcie mgła, lekko i bezdźwięcznie.

Muszę opatentować swoje odkrycie, może okaże się ziołowym przełomem.

W tym ziołowym rajku oprócz mnie nikt długo nie wytrzyma. Duna - wierna towarzyszka moich ogrodowych kontemplacji, leży obok tylko chwilę. Szybko zaczyna prychać, kichać, męczy ją nawet nadpływający znad grządki z tymiankiem zapach wędzonej kiełbasy. Rezygnuje i zostawia mnie samą. Woli biec pod płot i zażywać psich inhalacji przy obsikanych słupkach bramy.

Po ogrodzie chodzę w odpiętych sandałach. Zawsze, gdy mam na to ochotę, mogę je zdjąć. Rano trawa jest wilgotna. Aksamitne liście koniczyny, napęczniałe rosą, głaszczą skórę, a pędzelki kwiatów przyjemnie łaskoczą. Wiosną depczę po białoróżowych stokrotkach, żółtych mleczach i wstydzę się, że jestem już taka stara. Owady nie robią mi krzywdy. Widocznie nie mają na mnie ochoty, a może wydzielam przyjazne feromony. Jest we mnie ogromne powinowactwo z przyrodą. To podobno objaw kobiecości. Stąd na sukienkach tyle kwiatów i motyli.

To nieprawda, że będzie mi łatwo rozstać się z ogrodem. Znam tu każdy kawałek ziemi. Wiem, co, gdzie i o jakiej porze roku wzejdzie, co zakwitnie, co dojrzeje. To nieprawda, że mam dość wielkiej zieleni, na którą od kołyski patrzę moje oczy - Kocham ją jak nic na tym świecie. To nieprawda, że nie chce mi się pracować. To wszystko nieprawda. Cóż, kiedy oprócz tego, co bym chciała, jest jeszcze to, co muszę. Muszę odejść stąd do miasta. Muszę zająć się moim samotnym mężem, muszę sprzedać dom, bo tak nakazuje rozsądek. Nienawidzę rozsądku.

Karol zestarzał się w samotności, w wiecznych podróżach do mnie i do swojego miasta. Wybrał taki sposób życia, bo nie chciał stawiać na ostrzu noża rodzinnych interesów. Nikt z nas nie chciał niczego poświęcić, więc przez wiele lat ponosiliśmy tego konsekwencje. Czas najwyższy, żeby któreś coś w tym układzie zmieniło. Nie możemy dłużej żyć na odległość, widzieć się dwa dni w tygodniu. Lata mijają i coraz bardziej potrzebujemy swojego towarzystwa, chyba bardziej niż kiedyś.

Dom jest skazany na zagładę. To oczywiste. Wraz z nim odejdzie mój ogród.

Niestety nie da się oddzielić ich od siebie. To dwa organizmy, które zrosły się i żyją jednym sercem, jednymi płucami. Rozstanie będzie bolało.

Karol mówi, że nie można tak bardzo przywiązywać się do rzeczy. Twierdzi, że to typowo polski sentymentalizm. Przywiązanie do przedmiotów, do miejsc, do zapachów, to niepotrzebne stawianie barier. Ludzie w świecie zmieniają domy jak rękawiczki, przenoszą się do innych miast, opuszczają kraj, jeśli zajdzie potrzeba. A Polacy do znudzenia trują o czerwonych makach i złotych łanach pszenicy, biją głową w mur i umierają z tęsknoty.

Karol jest człowiekiem miasta i kocha miasto tak, jak ja Kocham wieś. Miłość tę nabył w genach od miejskich rodziców i dziadków. Odbiera na innych częstotliwościach i miłszy jest mu gwizd kół tramwaju i szum opon na asfalcie niż śpiew kosa i pomruk wiosennej burzy. Dzielą nas inne światy, a łączy małżeństwo, rodzina i miłość. Nadchodzi czas, kiedy będę musiała porzucić jedno dla drugiego. To jak wybór pomiędzy dwoma kochankami. Co zrobić, gdy równo kocha się obojwóch?

Takiej burzy nie pamiętam. Rozszalała się wczesnym popołudniem i trwała do rana.

Zatrzymała się nad naszym miasteczkiem i nie chciała odejść. Gęste chmury, czarne i złowrogie, nasuwały na myśl skojarzenia o końcu świata. Nie mogliśmy spać. Stałam przy oknie w jadalni i patrzyłam przed siebie. Myślałam o końcu wszystkiego. A jeżeli to właśnie dzisiaj? Tyle trudu, wyrzutów sumienia, pytań, wątpliwości, tyle świąństw, oszustw, malwersacji. I po co, gdy jedna porządna burza może aż tyle? A przecież nie pokazała do końca swojej siły. Co będzie, gdy kiedyś pokaże? Jedna noc i jak w potopie - zagłada i koniec, i nic nie pomoże.

Kanonada grzmotów nie milkła i nawet na moment nie dawała odpocząć uszom. Nad ranem przeszła w jednostajny pomruk, przypominający przelot eskadry odrzutowców.

Prawidłowość, że po błyskawicy zawsze przychodzi grzmot, przestała obowiązywać.

Niebo na stałe połączyło się z ziemią. Pomiędzy górą a dołem przeciągnęło rozżarzone kable i przekazywało energię do wnętrza. Czekałam, kiedy nastąpi eksplozja. Wydawało się, że ziemia nie wytrzyma, że się przepełni. Tumany piachu tryskały spod błyskawic wysoko, jak z wiertniczego szybu, i uderzały w okna. W powietrzu fruwały liście, nawet całe gałęzie unosiły się na wysokość pierwszego piętra. Prawdziwy kataklizm.

Rodzice zasnęli dopiero nad ranem. Ojciec po tabletkach nasennych, mama ze zmęczenia. Koło czwartej zaczęło padać. Ulewny deszcz popłynął strumieniami przez alejki w ogrodzie. Udobruchał burzę i stopniowo zaczął wycofywać się z okupowanych terenów. Miarowy szum, który nastąpił po kanonadach, uspił mnie w fotelu.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam słońce. Świeciło mi prosto w twarz, oślepiając.

Przypomniało mi się stare porzekadło, że po deszczu zawsze przychodzi słońce, a po smutku radość. A więc i tym razem się spełniło. Żyjemy, to znaczy, że jeszcze nie tym razem,

nie dzisiaj burza pokazała to, co naprawdę potrafi. Więc jednak odroczenie, kolejna szansa, podarunek od natury, bonus, który trzeba wykorzystać z pożytkiem.

Właśnie wyglądałam przez okno, gdy przed domem rozległ się krzyk. Poznałam, to krzyczał ojciec. Potykając się o krzesła, wybiegłam na dwór. Mama biegła przede mną. Krzyk ojca nie ustawał i przemienił się w przeciągły lament. Zastaliśmy go przy resztkach kasztana. Jego ukochane drzewo, powalone burzą, unicestwione niemal doszczętnie, leżało u jego stóp. W pobliżu biegła Duna, obwąchując zwęglone resztki pnia. Wielkie konary, rozpostarte na całą szerokość alei, tarasowały przejście. Staliśmy zaskoczeni ogromem zniszczenia i faktem, że ślepy los, jak entliczek, pentliczek, nie oszczędzi niczego. Wyliczył tym razem najgorzej. Uderzył tam, gdzie najbardziej bolało. Tyle było w ogrodzie drzew, a on wybrał najważniejsze i to w takiej chwili, że nawet nie zdążyło dać potomstwa. Ojciec zamilkł. Stał z opuszczonymi rękami. Ten krzyk i lament były mu chyba potrzebne.

Decyzja o sprzedaży domu zapadła niespodziewanie. Po pamiętnej burzy ojciec nie rozmawiał z nami przez tydzień. Zamknął się w swoim pokoju i wpuszczał tylko mamę. Tego dnia przyszedł sam. Na twarzy miał spokój. Oczy błyszczały mu dziwnym blaskiem, jakiego nigdy przedtem nie widziałam.

- Zdecydowaliśmy z mamą, że sprzedaż domu jest nieunikniona - powiedział bardzo zwyczajnie, jakby mówił, że sprzedaje niepotrzebny samochód.

- Jesteś pewien, że tego chcesz? - zapytałam zdziwiona. - Nie chcę cię do niczego zmuszać. Ten dom to twoja własność.

- Tak będzie rozsądniej - powiedział krótko.

- Rozsądniej czy lepiej? - zapytałam. - I rozsądniej... i lepiej - zawahał się.

- Nie chcemy robić wam krzywdy.

- Wiem. - Wyjął z kieszeni chusteczkę i głośno wytarł nos. Dałam mu czas na zebranie myśli. Kiwał się lekko w fotelu, przebierając palcami. Ciemne bruzdy wzdłuż zarośniętej twarzy wydawały się wyjątkowo głębokie. Kiedyś był przystojnym mężczyzną, zadbanym. Teraz, zmęczony i schorowany, poddał się upływowi czasu i zrezygnował ze starań. Często powtarzał, że drzewom podoba się nieogolony, więc chodził po ogrodzie z tygodniową brodą, w starych koszulach i podartych spodniach. Przebierał się i golił zazwyczaj w niedzielę. Mamę to złościło, ale upór ojca trudny był do przełamania.

- Uważamy, że potrzebna jest wam odmiana, a przede wszystkim wygodne życie - uderzyłam w wysokie tony. - Ja też już nie mam dwudziestu lat - wzruszyłam ramionami. - I do licha, chcę trochę pożyć.

- Tak, wiem, nie ma innego wyjścia. Tylko...

- Tylko strasznie ci żal? - wypuściłam ze świstem powietrze. Ojciec w milczeniu pokiwał głową. - Mnie też jest ciężko, zrozum. - Wzięłam go za rękę. - Przecież ten dom i ogród to twoje i moje dziecko. Tylko, że nawet najwspanialsze dzieci kiedyś odchodzą. Trudno się z tym pogodzić, ale tak jest.

- Wiem, już raz to przeżyłem. Ale wtedy nie miałem innego wyjścia, a teraz...

- Teraz też nie masz.

- A jednak myślałem, że będzie inaczej. Myślałem, że ktoś przejmie ode mnie ojcowiznę i da mi na stare lata jakiś kąs.

- Zabrakło więc prawdziwego dziedzica.

- Niestety.

- Może potrzebna ci jeszcze jedna ojczyzna. Tato - chyba już czas na odpoczynek?

- Wszystkim się wydaje, że ludzie tracą na starość wrażliwość - powiedział po chwili.

- To nieprawda. Ja dopiero teraz umiem się cieszyć drobiazgami. Teraz, gdy czuję, że je tracę. Więc myśl, że mam dobrowolnie oddać coś, co stanowi treść mojego życia... - głos mu się załamał. Dziwiłam się, że aż tyle powiedział.

- Więc może dajmy z tym spokój? W końcu jakoś to będzie. Najwyżej wokół wyrosnie las - zażartowałam. - Jeżeli to jest dla ciebie takie trudne, zostanemy.

- Nie, nie. Już postanowiłem. Nie chcę patrzeć, jak wszystko obraca się w pył, niszczy albo płonie, jak ten kasztan. Ogród potrzebuje prawdziwego gospodarza.

Chcę być z niego jeszcze dumny. Jeżeli wy go nie chcecie, trudno. Może trafi w inne dobre ręce. - Zacisnął usta i odwrócił wzrok.

Jest sobota. Siedzimy w milczeniu przy obiedzie. Każdy czuje swoje i myśli po swojemu. Zegar na ścianie bezlitośnie odmierza czas. Za godzinę przyjedzie ekspert, specjalny rzeczoznawca, żeby ocenić stan domu i podać ewentualną cenę, jaką będzie można za niego żądać. Mama już zapowiedziała, że po obiedzie pójdzie się położyć. Rzekomo boli ją głowa. Ojciec chce być obecny przy „sekcji”. Musi na własne uszy usłyszeć wyrok. Inaczej nie uwierzy. Zdecydował się na sprzedaż, widzę, jak walczy, jak zmaga się z emocjami.

Jedyna nadzieja, która trzyma mnie przy życiu, bierze się z przekonania, że tej rudery nikt nie zechce kupić albo będzie dawał za mało, jak na nasze oczekiwania. Jestem jak mój ojciec. Chcę i boję się. Liczę na cud, na zrządzenie, które otworzy przed nami lepsze rozwiązanie.

Niestety tym cudem mogłaby być jedynie wygrana w totolotka.

Przekrojone na pół jajko puszcza do mnie oko, leżąc na samej górze salaterki.

Salatka z pomidorów nie miała powodzenia. Grzebaliśmy apatycznie w talerzach, przyglądając się z niesmakiem Karolowi, jak pałaszuje kotlety. Kilka dni w uniwersyteckiej stołówce wyostrzyło mu apetyt. Od piątku po południu do niedzieli zjadał zazwyczaj wszystko, co stało na stole. Czasami musiałam chować ostatnie kawałki placka, żeby ratować mu życie. Dzisiaj miał pole do popisu.

Prawie nie ruszone góry żarcia czekały na smakosza. Nie przeszkadzał mu nasz smutek, wcale go nie dostrzegał. Po prostu jadł. Mnie nic nie smakowało. Byłam przygnębiona, a do tego zmęczona. Przez dwie godziny kosiłam trawnik. Jak zwykle w takich momentach pojawił się w ogrodzie bocian z sąsiedztwa, który ponad wszystko kocha moją kosiarkę. Jeżeli którejś zimy nie odleci do ciepłych krajów, to z pewnością zrobi to dla tej maszyny. Wystarczy, że włączę silnik. Włączona kosiarka to dla niego mejl z oddali, że szykuje się niezła wyżerka. Widok jest zazwyczaj upiorny. Gdy spod ostrza wylatują elementy posiekanych żab (ciekawe, co na to ekolodzy?), on z cierpliwością Kopciuszka wybiera je ze rzyska. Gdy upoluje jakąś bidułę w całości, bawi się nią, a potem połyka. Nieraz widzę, jak zjada ślimaka - uderza twardym dziobem w muszelkę i wyciąga ze środka zdziwionego winniczka. Lubi też dżdżownice i grube larwy chrabąszczy, nakłuwając dziobem ziemię, wyciąga i połyka jak maślaki w śmietanie. Nie mogę na to patrzeć, a co dopiero zasiąść później do obiadu.

Oczekiwanie na eksperta od nieruchomości bardzo się przeciągało, przedłużając cierpienie mamy zamkniętej w pokoju, no i ojca.

W końcu pojawił się i już nic nie mogło zatrzymać spirali wydarzeń. Pan ekspert zwiedził dokładnie dom, rozczulając się nad jego architekturą, odwiedził strych, zszedł do piwnicy, aż do najgłębszych zakamarków, gdzie była przechowalnia wina. Pukał i stukał, odskrobywał kawałki tynku, mierzył pęknięcia w stropach, grubość ścian i stan murów. Wszedł na górę, oglądał komin i cały czas kiwał głową w tę stronę, która mogła jedynie oznaczać, że nie jest dobrze.

Długo trzymał nas w niepewności i gdy straciliśmy cierpliwość, pojawił się przed nami z gotowym wyrokiem.

- Dom nie nadaje się do remontu. Powiem szczerze, to cud, że jeszcze stoi. Dach jest w fatalnym stanie. Przegniłe krokwie grożą zawaleniem. Podłogi na piętrze kruszeją. Grzyb w piwnicy i na parterze sięga połowy kondygnacji, okna wypadają z futryn. Cóż mogę więcej powiedzieć?

Zapadła grobowa cisza. Trzymałam się poręczy fotela, na którym siedział ojciec, zadowolona, że nie muszę patrzeć mu w oczy. Karol czekał, aż słowa eksperta dotrą do

naszych uszu i bezpiecznie się tam zdomowią. Patrzył pod nogi i w myślach liczył, ile dostanie za te ruiny. Ja miałam w głowie pustkę, kręciłam palcami młynka, udając bohatera. Ojciec wstał i bez słowa wyszedł. Usłyszeliśmy, jak trzaska drzwiami i z hałasem wchodzi na górę. W moich myślach otworzyły się ze zrzytem wszystkie sztylety świata i poszybowały jak pociski w stronę głowy eksperta.

A więc klamka zapadła, usłyszałam tę sumę, ale o tym nie myślę. Staram się być najbardziej bezmyślnym stworzeniem. Odłożyłam do lamusa ulubione zajęcie i pracuję. Żeby zakończyć temat domu, tłumaczę, że niemożliwe, aby znalazł się w okolicy frajer, który da za niego tak duże pieniądze. Kto, będąc przy zdrowych zmysłach, weźmie sobie na głowę kłopot? Nie dość, że ruina, że w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc, to jeszcze za taką kasę? Postanowiłam spokojnie spać. To lato jeszcze należy do mnie.

W gabinecie tłumi. Rozeszła się wiadomość, że niedługo go zamykam, więc wszyscy, którzy nie wyobrażają sobie swojego uzębienia bez moich zabiegów, na gwałt nadrabiają zaległości. Znosi się na to, że trzeba będzie przesunąć termin.

Dzisiaj zjawiała się Maryla. Siedziała pierwsza w poczekalni i wyglądała na skruszoną. Zazwyczaj to ona narzuca styl naszych spotkań. Tym razem siedziała jak trusia. Ciekawe, że ludzie, gdy stają się od kogoś zależni, pokorniej i tracą pewność siebie. Ta prawda stara jak świat i wypróbowany model - urzędnik i petent, znów dały o sobie znać.

Maryla uśmiechała się przymilnie i patrzyła z nadzieją, że nie wykorzystam przewagi. W świetle lampy obserwowałam jej twarz. Przyzwyczaiałam się do podobnych widoków, a jednak tym razem uderzył mnie wyjątkowo. Może z tego powodu, że zazwyczaj to ona analizowała moje mankamenty. Teraz, jak w powiększającym lusterku, widziałam każdy por jej skóry. Nie pomogły dobre kosmetyki. Spod nich wyzierały bezwstydnie wyżłobione zmarszczki, blizny po pryszczach, przekrwienia i skrzętnie ukrywane pod pudrem ciemne plamy piegów. W zmarszczce na powiece i pomiędzy rzęsami zebrały się drobiny cieni do powiek, w brwiach plamy źle rozprowadzonego podkładu. Pod lewym okiem z małej brodawki wyrastały ciemne włoski, nad górną wargą widać było ślady usuwanego zarostu. Na prawym przedramieniu zobaczyłam dwa spore siniaki i ślady po zadrapaniu.

Obserwowałam ją, a ona czuła moje spojrzenie. Skurczyła się pod nim i zapadła w fotel, jak przestraszone dziecko, a poddana torturom milczała, aż do chwili, gdy ostatni tampon nie trafił do spluwaczki. Chwilę po tym, wolna i niezależna od mojej woli, stała się na powrót tą samą Marylą, zadowoloną i pewną siebie.

Próbowała za wszelką cenę zatuszować chwilę słabości głośnym monologiem.

Wdzięczyła się do swojego odbicia w lustrze i bardzo skrupulatnie kontrolowała swoją pracę, ząb po zębie. Czowała, że ta godzina na fotelu była jak pozowanie nago. Próbowwała z mojego spojrzenia wyczytać tajemnicę, którą dane było mi posiadać, w obawie, że straciła coś ze swojej wielkości, i że przy mnie już nigdy więcej nie będzie się do końca czuła pewna. Na do widzenia upomniała mnie, bym spięła włosy, bo spadające kosmyki łaskotały ją w twarz.

Bardzo ceniłam sobie u ludzi ich powściągliwość i opanowanie. Sama pod tym względem odbiegałam daleko od ideału. Zwierzanie się przychodziło mi z łatwością, lecz nie lubiłam tego u siebie. Zawsze już po fakcie było mi wstyd, czasem czułam złość, że za bardzo staram się angażować w rozmowę. Gdy w towarzystwie nie kleiły się dialogi, przejmowałam pałeczkę, by nie było drętwo.

Robiłam to u siebie w domu, dbając o dobre samopoczucie gości, ale i nierzadko u kogoś, skrzepowana milczeniem, usiłowałam nadać rozmowie odrobinę życia.

Często zadawałam sobie pytanie, czy można żyć, myśląc wiecznie o swoim wizerunku? Czy to takie ważne, żeby wszyscy znali mnie tylko z najlepszej strony? Trudno uwolnić się od niepokoju, jeśli się sądzi, że ile razy ktoś na mnie patrzy, tyle razy mnie ocenia. Życie w wiecznej masce nie jest przecież takie przyjemne. Czasami lepsza jest odrobina spontaniczności.

Jednym zachowanie dystansu przychodzi z łatwością i ci nie opowiadają o sobie przy każdej okazji, inni robią to bezwiednie, z jakiejś nieokreślonej potrzeby, która pomaga zmniejszyć ten dystans. To wspinała cecha: umieć z dyskrecją odnosić się do własnych kłopotów, stworzyć wokół siebie aurę tajemniczości i powagi. Cenię te cechy pod warunkiem, że to nie dotyczy ludzi od lat ze sobą zaprzyjaźnionych i zżytych. Czuję się zawiedziona i zdradzona, jeśli ktoś, przed kim przez lata otwierałam swoje serce, robi ze mnie idiotkę. Tak właśnie zachowywali się w stosunku do nas Maryla i Tomasz. Dlatego dzisiaj, kradnąc z twarzy Maryli tajemnicę jej wyglądu, odczuwałam wredną, babską satysfakcję.

Gabinet zamknęłam po siódmej. Dzień był rześki i zapowiadał się pogodny wieczór.

Wybierałam się na kolację do Agnieszki. Karol już tam dojechał. Dla niego to tylko drugi koniec miasta.

Prowadziłam leniwie. Wąska asfaltowa droga, pomiędzy znanymi na pamięć polami, powoli przechodziła w główną trasę do miasta. Wlokłam się za białą ciężarówką z napisem „Heaven” na plandece. Miło było jechać za takim przewodnikiem. Miałam nadzieję, że gdy dojadę, nie okaże się, że jestem w niebie. Kiedyś przypisywałam sobie zdolność odbierania tajemniczych znaków i byłam przekonana, że właśnie one prowadzą mnie bezpiecznie przez życie. Mieć złudzenie, że jakaś siła stoi na straży szczęścia i bezpieczeństwa rodziny, zdawało

się sprawą praktyczną. Często o tym myślałam. Każdemu z nas wydaje się, że jest panem swojego losu. Lecz jeśli nie jest? Jeżeli każdy ruch jest częścią misternej układanki dawno zaprogramowanej?

Przypomniałam sobie zdarzenie sprzed lat. Gdy Agnieszka była jeszcze mała i spełniano wszystkie jej zachcianki, pojawiły się w naszym ogrodzie dwie rude kury. Nie wiadomo, skąd przyszły i do kogo należały. Po prostu zagdakały pewnego ranka w ogrodzie, oznajmiając zniesienie dwóch jajek. Zadomowiły się pomiędzy grządkami i spały wśród liści rabarbaru. Były wyjątkowo rude. Moja mama orzekła, że to zły znak, ja myślałam przeciwnie. Przez kilka dni trwały negocjacje.

Chodziło o Agnieszkę. Zaprzyjaźniła się z kurami, a one nie odstępowały jej na krok. Gdy odchodziła za daleko od domu, gdakały przeraźliwie.

Przesady mamy wzięły górę. Rodzice postanowili cichcem usunąć kury z ogrodu.

Zamknęli je w klatce i poszli szukać właściciela. Do kur nikt nie chciał się przyznać. Trzeba było wypuścić je na wolność.

Następnego dnia zobaczyłam je pod domem. Spały spokojnie na środku klombu.

Rodziców zdenerwowało to jeszcze bardziej. Ojciec wywiózł kury daleko, żeby nie mogły znaleźć drogi do naszego ogrodu. Rano, zanim otworzyłam oczy, usłyszałam znajome gdakanie. Dla mnie był to oczywisty znak i kury zostały.

Oswoiły się i bardzo przywiązały, w szczególności do Agnieszki. Znalazły dla siebie właściwe miejsce i zostały na kilka lat. Rano, na tarasie, grzały się w promieniach słońca, a gdy piliśmy herbatę, czekały cierpliwie na resztki ciasta.

Jak dwa pieski biegały pod nogami, wybierając spadające okruchy. Nie chciały spać w domku, który zrobił im Karol. Kochały wolność. Jajka składały gdzie popadło, w grządkach, na klombie, w doniczce z pelargonią, a czasem w koszu z ziemniakami. Spały pod drzewami, kąpały się w strumieniu, a gdy zobaczyły Agnieszkę, chciały fruwać z radości. Byłam przekonana, że to jej anioły.

Któregoś dnia jedna z kur zachorowała. Zaczęła gubić pióra, przestała jeść.

Wpadliśmy w popłoch. Miejscowy weterynarz spoglądał zdziwiony i radził czym prędzej kurę zjeść. Byliśmy zgorzeleni.

- Jak to, mamy zjeść naszą kurę?!

Śmierć kury oplakiwaliśmy szczerze. Została pochowana w ogrodzie pod płotem. Z tego wszystkiego nikt nie zauważył, że zniknęła z podwórka druga kura.

Poszukiwania nie dały rezultatu.

Czas leczy rany. Szybko zapomnieliśmy o kurze. Któregoś dnia opowiedział nam listonosz, że w okolicy, w trakcie polowania, jeden z myśliwych ustrzelił przez przypadek wałęsającą się po lesie rudą kurę.

Wspominając z sentymentem zdarzenie sprzed lat, nie zwróciłam uwagi, że nie ma już przede mną białej plandeki. Za to zaczynało się miasto, a z tyłu za mną ciągnął się sznur innych samochodów. Musiałam przyspieszyć.

Na miejsce dotarłam przed ósmą. Gdy parkowałam pod blokiem, z balkonu na trzecim piętrze usłyszałam wołanie Piotrusia. Był uroczym dzieckiem, pełnym życia i nad wiek rożgarniętym. Zdawałam sobie sprawę, że większość dziadków myśli podobnie o swoich wnukach, lecz nie przeszkadzało mi to mieć pewności, że mój i tak jest najmądrzejszy. Co kilka dni czułam potrzebę zobaczenia na własne oczy, jak rośnie i umacnia swoją pozycję w rodzinie. Jego obecność sprawiała, że życie nabierało całkiem innych znaczeń. On rozumiał świat na swój własny sposób. Był jakby nieskalany. Każde kolejne spotkanie uświadamiało mi, jak rozmowy z dorosłymi kształtują jego postawy, jak urabiają tę młodą glinę na własne podobieństwo.

Sama brałam w tym udział. Mówiłam mu, co dobre i co złe, i chociaż miałam dobre intencje, mimochodem zaszczepiałam w nim chore ziarna. A przecież był jeszcze taki malutki.

- Babciu - słyszałam, jak krzyczy. - Pospiesz się, bo dziadek wyjada ci wiśnie z deseru!

- Daj mu po łapach - odkrzyknęłam i lekka jak motyl poszybowałam w kierunku klatki schodowej. Czekał na mnie na schodach. Stał przy balustradzie i obejmował palcami metalowe pręty. Trzy piętra przebiegłam na jednym oddechu.

- Nie martw się tymi wiśniami - wołał z góry. - Zostawiłem ci moje. Zjadłem tylko galaretkę i śmietanę, wiśnie zostały - uspokajał.

Za chwilę poczułam na szyi jego mięciutkie rączki. Było mi cudownie. Przez chwilę nie mogłam mówić ze zmęczenia.

- A co mi dzisiaj przyniosłaś na zawsze? - zapytał starym zwyczajem, gdy stanęłam obok. Natychmiast się zreflektował, ale było za późno. Agnieszka wszystko słyszała.

- Piotrek - powiedziała zza drzwi. - Nieładnie wyłudzać od babci prezenty. Ile razy mam ci powtarzać, że tak się nie postępuje.

- Przecież nie wyłudzam - zaprotestował. - Ja ją tylko pytam. Powiedziałaś, że zanim coś wezmę, najpierw muszę zapytać. - Puścił moją rękę i pobiegł w głąb mieszkania. Agnieszka stała w przedpokoju.

- Więc dlaczego dopominasz się o prezent?
- To jest taka z...a...b..a...w...a - wycedził po jednej literze.
- Zabawa? Mów jaśniej.
- Krzyżówka - no nie wiesz?
- Raczej krzyżówka - Agnieszka poprawiła.
- Przecież mówię - zawołał zniecierpliwiony.
- Bądź grzeczny, bo pójdziesz do swojego pokoju.
- Ciesz się, że nie jest gapą - wtrąciłam rozbawiona.
- Tata powiedział wczoraj, że jestem genialny - powiedział, cały czas podskakując.
- Tak? - udawałam zdziwienie. - A co takiego zrobiłeś?
- Rozwiązałem za niego krzyżówkę - wyjaśnił i spojrzał na mnie z powagą.
- Niemożliwe - udawałam, że nie wierzę. - To prawda, nie bujasz?
- Wyobraź sobie - Agnieszka go ubiegła - Michał rozwiązywał wczoraj krzyżówkę.

Było w niej hasło: „Leczy żołądek”. Michał przejrzał całą domową apteczkę w poszukiwaniu pasującego leku, sprawdził w leksykonie, zadzwonił do znajomego lekarza. Nie mogli niczego wymyślić. Żadne lekarstwo nie pasowało. Chciał już zrezygnować, a wtedy odezwał się Piotrek i zaproponował: „a może lekarz?”.

No i okazało się, że „lekarz” pasuje.

- Proste pytanie, prosta odpowiedź - wyraziłam swój podziw. - Zasłużył na nagrodę. - Wyjęłam z torebki książkę. Kupiłam ją specjalnie dla niego, bo wiem, jak lubi, gdy mu się czyta. Piotr jednak zapomniał o mnie i radośnie podskakując, wołał na cały głos:

- Jestem genialny, jestem genialny!

- Piotrek, przestań hałasować - upominał go ojciec, witając się ze mną. - Nie możemy rozmawiać.

Siedzieli z Karolem przy piwie i rozprawiali. W powietrzu wisiały męskie tematy.

Nowe modele samochodów, ceny, nowości techniczne. Pochłonięci przez świat motoryzacyjnych pasji, szybowali wysoko nad ziemią, w nierealnych marzeniach o wielkiej forsie na wspaniałym wóz. Słuchałam ich jednym uchem, przyglądając się jednocześnie wnukowi, jak stroi do siebie dziwne miny i rozmawia z własnymi myślami. Dziecięce dyskusje z niewidzialnymi towarzyszami zabaw, wyglądające z pozoru nienaturalnie, były tą sferą życia, o której dzieci nie chciały mówić.

Ukrywały je przed dorosłymi, tak jakby wiedziały więcej, niż byśmy mogli przypuszczać. Na pytanie: - Z kim rozmawiasz? - odpowiadały zawsze: - Z nikim. Karol powiedział kiedyś, widząc, jak mała Agnieszka gestykuje w pustym pokoju i mówi coś

bardzo podniecona, że ona rozmawia z duchami. Żartował, a ja zapamiętałam to na zawsze. Gdy widzę mówiące do siebie dziecko, dostaję gęsiej skórki i staram się nie przeszkadzać.

Może rozmawia właśnie ze swoim aniołem stróżem i przyjmuje od niego kolejną lekcję życia, może zachowało jeszcze zdolność rozumienia rzeczy, którą my, dorośli, dawno utraciliśmy?

Siedziałam i spoglądałam dyskretnie na zachowanie Piotra, on, czując na sobie mój wzrok, znieruchomiał, przerwał monolog i odwrócił się w moją stronę.

- Babciu, co trzymasz w ręce? - zapytał, spoglądając ciekawie na książkę.

- To książka dla ciebie.

- Skąd ją masz?

- Kupiłam. - Podniosłam ją w górę, by wyraźniej zobaczyć okładkę.

- A czemu jest taka szara, niekolorowa? - wyraził swoje niezadowolenie.

- Bo to jest książka dla mądrych chłopców, którzy nie potrzebują kolorowych obrazków, żeby dowiedzieć się czegoś ciekawego.

Mały podskoczył kolejny raz. Nie mógł poradzić sobie z nadmiarem energii.

- Przeczytasz mi?

- Teraz nie mogę. Za chwilę będzie kolacja, ale później, gdy już położysz się do łóżeczka...

- Najpierw muszę się wykapać - przypomniał mi właściwą kolejność.

- No więc, gdy się wykąpiesz, położysz do łóżeczka, wtedy przyjdę do ciebie i będziemy czytali. Dobrze?

- Zgoda, tylko najpierw mi powiedz, o czym jest, bo jak nie będzie ciekawa, to wybierzemy inną. - Podszedł i spojrzał nieufnie na okładkę.

Otworzyłam książkę na pierwszej stronie.

- To nie jest żadna bajka ani wymyślona historia. To książka o prawdziwym człowieku.

- Takim jak ja, takim zwykłym? - wydawał się rozczarowany.

- Takim samym jak ty i ja, ale bardzo niezwykłym. Nazywał się Kopernik i zajmował się badaniem gwiazd.

Mały odruchowo popatrzył w sufit.

- Poleciał w kosmos?

- Kopernik żył w czasach, gdy nie było jeszcze rakiet kosmicznych. Nie było nawet samochodów - próbowałam pokrótce wyjaśnić.

- To chyba był czarownikiem. Bez rakiety nie można dolecieć do gwiazd - wydawało mu się oczywiste.

- Wystarczyły mu do tego lunety. Oglądał przez nie niebo i dzięki temu zrozumiał, jak wygląda Ziemia, planeta, na której żyjemy, jaki ma kształt i jak się porusza. - Słowo Ziemia wywołało w nim skojarzenia.

- Ja wiem - przerwał i zakrył mi ręką usta. Zawsze tak robił, gdy miał coś ważnego do powiedzenia. - Mama mówiła, że Ziemia kręci się pomalutku, żebyśmy nie dostali kręcka, a Artur z podwórka powiedział, że całą Ziemię niedługo zaleje woda. Wszędzie będzie morze. Babciu, my chyba musimy wybudować sobie dużą łódź. Powiedz tacie, że samochodu już nie warto kupować.

- Piotrusiu, zanim tak się stanie, minie jeszcze wiele czasu. Może ludzie coś na to zaradzą i nie będziemy musieli budować łodzi.

- Szkoda - poczuł się zawiedziony. - Ja bardzo lubię pływać. Jak byliśmy niedawno nad jeziorem, tata włożył mi taki nadmuchany sweter i cały dzień pływałem z nim na łódce. Potem złowiliśmy takiego szczuplaka! - zawołał podniecony, rozkładając szeroko ręce. - A potem dwa małe lesze.

- Nie mówi się szczuplaka, tylko szczupaka, i nie lesze, tylko leszcze.

- Ale te lesze wrzuciliśmy z powrotem do wody, bo to były dzieci - kontynuował podniecony. Wchodził na tapczan, zeskakiwał, kucał, kładł się na dywanie i mówił. - Tata powiedział, że rybich dzieci się nie je. Babciu! - zamyślił się. -

A czy ludziewe dzieci się je?

- Nie, Piotrusiu - zapewniłam go solennie. - Ludziowych dzieci na pewno się nie je.

- Muszą urosnąć?

- Nawet jak urosną, to też się ich nie je.

- A Baba Jaga z bajki o Jasiu i Małgosi chciała je zjeść, jak urosną i będą grube.

- Baba Jaga była stuknięta - zdenerwowałam się na głupią bajkę.

- Tata mówi, że jego szef też jest stuknięty, bo myśli, że za takie grosze można pracować, ale on nie zjada dzieci, bo już jest za gruby i musi trzymać dietę.

Tata mówi, że jego szef ciągle się odchudza, a jest jeszcze grubszy.

- Nie mówi się o kimś, że jest gruby - próbowałam poprawić.

- A jak, korpulentny? - zapytał. - Babciu, a czyja też kiedyś będę korpulentny?

Chciało mi się śmiać, ale udawałam śmiertelnie poważną.

- Jak nie będziesz jadł za dużo cukierków, tylko jarzynki i serek, to będziesz szczupły.

- A kobiety, gdy muszą urodzić dzidziusia, też są grube. Czyja też będę musiał kiedyś urodzić dziecko? - patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Tylko kobiety rodzą dzieci, mężczyźni w tym czasie zarabiają pieniądze.

- A jak jakiś mężczyzna zarabia tak mało jak tatuś, to będzie za to musiał urodzić?

- Tatuś nie zarabia mało - próbowałam protestować.

- To dlaczego, jak chcę, żeby kupił mi klocki, to mówi, że ma mało pieniędzy?

- Jak sobie zasłużysz na nagrodę, to dostaniesz wymarzone klocki.

Nie doczekał do końca. Coś mu się przypomniało i poszybował jak strzała do kuchni.

- Mamo, mamó, daj szybciej kolację, bo babcia musi mi potem przeczytać książeczkę o wielkim człowieku, co zmienił cały świat.

Tego wieczora energia mojego wnuka dawała o sobie znać przez całą kolację.

Przeszkadzał nam i z pełną buzią wtrącał swoje trzy grosze. Po wypiciu herbaty nagle ucichł. Zużył cały zapas sił i bezszelestnie osuwał się w zagłębienie fotela. W końcu, nim kolacja dobiegła końca, zasnął. Michał przeniósł go do pokoju, a Agnieszka położyła spać. Biedak, nie doczekał się swojej bajki o niezwykłym człowieku. Będzie miał do mnie jutro pretensje.

Posprzątaaliśmy ze stołu brudne naczynia. Przyszła kolej na kawę i ciasto.

Polskiego rytuału, żeby każde jedzenia zakończyć kawą, przestrzegało się nawet wtedy, gdy w żołądku nie było już na nią miejsca. Siedzieliśmy rozleniwieni, myśląc: jeść czy nie jeść? Owocowy placek mojej mamy niebezpiecznie działał na wyobraźnię, obiecując niezapomniane wrażenia. Pierwszy pokusie uległ Michał.

Agnieszka, choć nie musiała martwić się o figurę, słuchała rozkazów swojego wewnętrznego policjanta i zjedzenie ciasta odłożyła na później. Karol, któremu obce były wyrzuty sumienia, włożył na talerz od razu dwa kawałki. Tylko ja, jak zawsze niezdecydowana, wróżyłam sobie z płatków róży: zjeść, nie zjeść, zjeść, nie zjeść. Wyszło - zjeść.

- Nie potrafię z tym walczyć - użalałam się przed wszystkimi. - Rano obiecuję sobie ścisłą dietę, a potem szybko zmieniam zdanie.

- Przecież nie musisz tak się ograniczać. Od kiedy się znamy, masz zawsze taką samą figurę - pocieszał Karol.

- Mówisz mi to kilka razy do roku, a od dnia, gdy powiedziałeś to po raz pierwszy, przybyło mi dziesięć kilo.

- Należy ci się odrobina pobłażliwości za wspólnie przeżyte lata. Ale teraz, gdy będę blisko ciebie, dokładniej się przyjrzę twoim biodrom.

Agnieszka z Michałem słuchali nas w milczeniu. Czuli, że to tylko wstęp do głównego tematu.

- Zdecydowaliśmy wspólnie, że sprzedajemy dom na Lipowej. - Karol zdradził tajemnicę poliszynele. - Mamy już dokładną wycenę i czekamy na propozycje od agenta.

Milczeliśmy, nikt z nas nie miał ochoty na podejmowanie tematu. Był zbyt bolesny. Słowa Karola wisiały w powietrzu. Spuściliśmy głowy w oczekiwaniu, co będzie dalej. Karol nie mógł w żaden sposób pojąć rodzinnych sentymentów.

Wypowiedział kilka następnych słów i jakby rzucił je w pustkę.

- Co wy na to? - spróbował jeszcze raz. Za wszelką cenę chciał nakłonić nas do zajęcia stanowiska w dyskusji.

- Tato, nie mówmy dzisiaj o tym - prosiła córka. - Jest tak przyjemnie. Nie psuj nastroju. Proszę.

Zrobiło się grobowo. Dłubałam palcem w małej dziurze, która wydarła się w narożniku obrusa i bałam się głośno odetchnąć. Było mi żal męża, a jednocześnie złościło, że tak bezlitośnie katuje nas znieprawionym tematem. Miałam wrażenie, jakby to była jego cicha zemsta za lata dojazdów i poświęceń, których się podjął, godząc się na niewygodny układ. Nigdy nie narzekał, choć czułam, że nie tak wyobrażał sobie swoje życie. Wieczne towarzystwo teściów, ich wtykanie nosa w nasze sprawy, i ja, nie do końca jego, zawieszona między dwoma światami, dwiema miłościami i górą obowiązków wobec siebie, niego i rodziców, nie mówiąc o Agnieszce. Wiem, że pragnął mieć normalny dom, więcej niż jedno dziecko i sprawy, które dotyczyłyby tylko nas. Dostał w zamian samotność, wieczną tymczasowość i przynależność do jakiejś dziwnej komuny. Otrzymywał drobiny intymności, nędzne okruchy ojcostwa i wiecznie nieprzytomną żonę, biegającą jak dzika klacz po przepastnych ogrodach z gołymi nogami i zadartą spódnicą, kobietę, dla której kwiaty i rabaty więcej były warte niż jego doktorat, publikacje czy odczyty. Nic o nim nie wiedziałam, oprócz tego, że jest moim mężem, że musi o nas dbać i cieszyć się tym, co dał mu los. Teraz jednym pociągnięciem chciał odbić sobie swoje krzywdy.

Traktował sprzedaż domu jak zastaw za stracone marzenia.

- Unikanie tematu nie zetrze go z powierzchni ziemi. - Karol nie dawał za wygraną. - Jest problem do rozwiązania, a wy próbujecie udawać, że to nie wasza bajka.

- Po prostu nie chcemy wałkować tego w nieskończoność. Zostało postanowione i nie ma o czym mówić. - Agnieszka zaczynała kręcić się nerwowo na tapczanie. -

Zgodziliśmy się wszyscy na tę sprzedaż i jakoś się z tym pogodzimy. Nie wiem, o co ci chodzi.

- Mówisz, że godzicie się na sprzedaż domu? Tylko dlaczego, gdy idę spać, słyszę, jak ze wszystkich zakamarków dochodzą ciche modlitwy, by to się nigdy nie stało? Jeżeli dom zostanie sprzedany, nie chcę, byście do końca życia wypominali mi ten występki. A tylko ja potrafię spojrzeć na to racjonalnie, bo cała reszta rodziny czeka, aż zjawi się dobra wróżka, dotknie domu zaklętą pałeczką i cyk, domek jak z bajki.

- Ojciec ma rację - Michał próbował stanąć po stronie teścia.

- Mieliliśmy nie rozmawiać dzisiaj o tym - zwróciła się do niego Agnieszka.

- Ale dlaczego? Nie rozumiem, co da odkładanie tego na później?

- Zawsze jest coś, nad czym należy popracować - próbowała być dowcipna.

- A ja uważam, że trzeba raz na zawsze zakończyć tę sprawę i zrzucić ciężar z serca.

Nim minie rok, wszyscy zapomną o domu i wszystkich związanych z nim kłopotach.

- Jak wy nic nie rozumiecie. - Agnieszka spojrzała na mnie. - Mamo, powiedz coś.

- Nie wiem, jak przeżyję rozstanie z domem. Jestem pewna, że ciężko - wydusiłam wreszcie. - Ale wiem również, że dłużej nie da się w nim mieszkać. Za kilka dni zamykam gabinet i likwiduję prywatną praktykę. Nic mnie już nie trzyma w naszym miasteczku. Mogłabym wreszcie zamieszkać z ojcem. Należy się to nam po tylu latach. Problemem są rodzice. Czeka nas wielka próba i nic tego nie zmieni - zabrzmiało patetycznie, ale już tylko na patos było mnie stać.

- To brzmi rozsądnie - pochwalił Karol. - Wypijmy więc za te słowa i bądźmy dobrej myśli. Jak wszystko dobrze się ułoży, będziemy być może sąsiadami.

- Jak to? - zdziwiła mnie pewność w jego głosie.

- A tak. Tuż obok oddają do użytku nowe bloki. Widziałem plany mieszkań. Będą ci się podobały.

- Dużo masz dla mnie tych nowin? - zapytałam ponuro.

- Na razie tylko tę.

- No i wystarczy - zakończyłam, bo w gardle czułam ucisk i kręciło mnie w nosie.

To był znak, że zaraz będę płakać. - W takim razie kobiety idą do kuchni posprzątać po kolacji, a mężczyźni niech wypiją za nowe gniazdko.

Karol pokiwał żałośnie głową, wyczuwając w moich słowach złośliwe akcenty, ale nie protestował. Wyszłam na korytarz, próbując pozbierać siły.

- Mamo! - usłyszałam za sobą głos córki. - Nie martw się. Jakoś to będzie.

Czasami trzeba coś zmienić w życiu. Może się okaże, że to korzystna zmiana?

- Tak, wiem. - Poklepałam ją po ramieniu, bo nie miałam siły nic mówić.

- Ja też kocham ten dom, a jednak tutaj znalazłam swoje miejsce i jestem szczęśliwa. Będiesz blisko ojca, odpoczniesz od pracy w ogrodzie, będziesz miała więcej czasu na czytanie książek. Przecież zawsze było ci tego brak.

Pamiętasz, jak żaliłaś się na brak czasu?

Kiwałam głową, a słowa pocieszenia zamiast uspokajać, jedynie rozczulały. Czułam się jak małe dziecko, któremu w miejsce ukochanej zabawki dali tornister z książkami. Udawałam bohatera, a pragnęłam być teraz w ogrodzie, leżeć na trawie i słuchać, jak grają świerszcze.

- Muszę pogodzić się z tym, czego nie mogę zmienić, i żyć, akceptując to, na co nie mam wpływu. Każdy człowiek pisze swoją własną książkę. Widocznie w mojej przyszedł czas na nagły zwrot akcji - uśmiechnęłam się blado. - Dość już sentymentów.

Lepiej opowiedz, co u was.

Zaczęłyśmy jak zwykle omawiać babskie sprawy, przerzucając się z tematu na temat. To był najlepszy sposób, żeby zapomnieć o smutku. Dotykanie wszystkiego po trochu było jak lizanie placka. Łaskotało podniebienie, ale nie syciło.

Ostatnio miałyśmy coraz mniej czasu dla siebie. To naturalne, że kiedy córka zakłada rodzinę, czuje i myśli zupełnie inaczej. Środek ciężkości przenosi się w inne miejsce, a cała reszta odchodzi na margines życia. Wiedziałam, że nie ma sensu zanudzać ją naszymi problemami. Miała wystarczająco dużo własnych. Kręciła się wokół nich i wypełniała nimi całą przestrzeń. Pod tym względem była podobna do Karola. Nie byłam gotowa na szczere zwierzenia. Zbyt zaangażowałam się w swoje kłopoty, by doradzać komuś innemu (nawet jeśli ten ktoś był moją córką). A ona, jak każda kobieta, miała swoje zgryzoty, które nie pozwalały jej spokojnie zasnąć. Musiała o nich z kimś porozmawiać. Czułam, że nie uda mi się wykręcić od tej rozmowy. Sprawy dotyczyły jej i Michała, tego, co działo się z nimi i wokół nich. Chciała się ode mnie dowiedzieć, jak dalece w małżeństwie można sobie pozwolić na kompromis. Czy jest jakaś granica, której nie powinno się przekraczać? Co zrobić, gdy mąż zaczyna rozczarowywać, choć jeszcze niedawno wydawał się doskonały? Mieli już za sobą pięć lat małżeństwa, największe porywy i namiętności. Nadszedł czas dojrzałego współżycia i słodkiej stabilizacji, a jednocześnie wybieranie właściwej drogi. To zawsze nastroczało wątpliwości.

- Myślałam, że będzie bardziej obrotny - mówiła o Michale. - Tak zależało mu na tej pracy. Miał awansować, dostać lepszą pensję i samochód do dyspozycji. Teraz się waha. Mówi, że to odejście od zawodu, że pieniądze to nie wszystko, że liczy się prawdziwa

satysfakcja. Mamo - dotknęła mojego ramienia - powiedz, co mam z tym zrobić. Jeżeli się uprę, będę go namawiała, zgodzi się, ale dlatego, że to mnie zależało, a nie jemu.

Dobry Boże, od ilu pokoleń dręczysz ludzi tymi samymi wątpliwościami?

Uśmiechnęłam się tylko tajemniczo i nie powiedziałam niczego odkrywczego:

- Zaufaj Michałowi i daj mu wolną rękę. Zasłużył sobie na to. Dał ci już nie raz dowód, że można w niego zainwestować - dodałam. - Już raz zainwestowałeś, gdy za niego wychodziłaś. Zrób to jeszcze raz. Na pewno się nie zawiedziesz. Tylko nie popędzaj.

- A jeżeli popełni błąd? Jeżeli przegapi w ten sposób swoją prawdziwą szansę? -

Rozłożyła ręce. - Jak można odrzucać taką okazję? Teraz tak ciężko pracuje. To już jego trzeci market. Buduje je od trzech lat. Ciągłe w błocie, na deszczu, zimą i latem na powietrzu, bez względu na pogodę. Wciąż gdzieś dojeżdża, nie dosypia, użera się z podwykonawcami i całym asortymentem budowlańców, a tu piękne biuro, dobra płaca, stanowisko, samochód. Wszystko czeka na jedno jego słowo - „tak”. A mój Michałek mówi „nie”. - Wstała i zamknęła drzwi od kuchni. -

Może Michał potrzebuje małego kuksańca? Czasami jest taki niezdecydowany. Jeżeli dam mu wolną rękę, na pewno odmówi.

- Ja mam swoje sposoby na takie wątpliwości - ściszyłam głos. - Możesz z nich skorzystać - zaproponowałam. - Gdy będziesz chciała być sprawiedliwa w stosunku do męża, pomyśl o Piotrusiu. Zapytaj przedtem siebie, czy gdyby to chodziło o niego, twoja rada brzmiałaby tak samo?

Po dziesiątej zbieraliśmy się do domu. Agnieszka włożyła do pudełka po lodach nasze ulubione śledzie w śmietanie i zawinęła w papier resztki ciasta.

- Będziecie mieli coś na śniadanie.

- Dziękujemy ci, córeczko. - Karol pocałował ją w policzek. - Śledzie z plackiem na śniadanie to prawdziwy rarytas. - Był mocno wstawiony.

- Jak ciebie znam - pokiwała litościwie głową - to ty śniadania jutro chyba nie będziesz jadł.

Karol gramolił się niezgrabnie na siedzenie samochodu i mamrotał pod nosem.

Miasto o tej porze tętniło życiem. Jechaliśmy przez rozświetlone ulice, wdychając wielkemiejski zaduch. Wszędzie spacerowali ludzie. Było ich tylu, co w środku dnia, tylko już się tak nie spieszyli. Obrazy przesuwały się wolniej i nawet ja zdjęłam nogę z gazu. Pół oczarowana zwolnionym tempem życia, pół zdziwiona, oglądałam się za siebie, powtarzając w duchu, że to nie jest film. To tylko miasto nocą i jego mieszkańcy. Spokojni, odprężeni, szukający jakiejś odmiany, poddający się urokowi czarnego nieba i jaskrawych świateł. To

nocne ćmy, nietoperze, insekty i szczury. Mieszkańcy metropolii, robaki ciemnych korytarzy, wind, piwnic i strychów.

Długie, szare chodniki z metalowymi balustradami i łańcuchami, betonowa ściana budynków, asfaltowe ulice, dużo światła, lecz ani śladu roślin, jeżeli nie liczyć tych za szybami wystaw. Życie bez drzew, trawników, ptaków. Poranki bez zapachu wilgotnej ziemi, za to witane gwarem ulicy. Oto, co mnie czeka.

Spojrzałam przez ramię na drzemiącego Karola. - Ale on jest szczęśliwy. Może więc nie będzie tak źle? Gdy się chce, gdy ma się odrobinę dobrej woli, w każdej sytuacji można dostrzec coś pozytywnego. Dlaczego życie w mieście ma być gorsze od przebywania na wsi? Nie mogę być taka zaślepiona i zacofana. Dziś postęp oznacza bycie w centrum zdarzeń, między ludźmi. Trzeba wtopić się w tę masę, plastyczną substancję wchłaniającą ludzkie ciała i twory umysłu. Dla przyrody to niedobre czasy. Jej miejsce zajęły kiczowate gaje z tworzywa sztucznego, z masy naśladowującej naturę, z żywic naturo podobnych, i mechaniczne potwory. To one wypełniają ekskluzywne wnętrza. Im więcej srebrzystych ekranów, syntetycznego szkła, podłóg ze szlachetnej masy, polimerowych betonów, odświeżaczy powietrza, klimatyzacji zasilanych freonem, tym mniej prawdziwego chlorofilu i cudownego zapachu kwiatów. Zamiast szukać plusów, kopałam pod sobą dołki. Przecież już klamka zapadła, więc po co to wszystko? Otrząsnęłam się z mrocznych wizji i pomyślałam - jestem głupia. Gdyby było rzeczywiście tak źle, wieś wypełniłaby się ludźmi. A tam przecież ciągle jest dużo miejsca. Miasto to przecież nie jest kraina wiecznych mroków. W nim też świeci słońce i śpiewają ptaki.

Przejazd przez miasto trwał kilkanaście minut. Zatrzymałam samochód w małej osiedlowej uliczce. Stamtąd było tylko kilka kroków do naszego mieszkania. Z trudem udało się namówić Karola do wyjścia z samochodu. Wsparty na moim ramieniu, szedł, marudząc pod nosem. Osiedle było słabo oświetlone. Tuż obok wejścia, pomiędzy wysokimi krzakami bzu, zobaczyłam kilku chłopców, a właściwie mężczyzn. Palili papierosy. Na ziemi obok stał rząd butelek. Pomyślałam o kolejnych urokach miejskiego życia.

Karol nic nie zauważył. Dopisywał mu humor, więc trochę się zgrywał, nie był aż taki pijany. Irytowały mnie jego chłopięce wygłupy. Niestety na nic oryginalniejszego nie mogłam liczyć. Gdy chodziło o tego typu zaloty, nie był olśniewającym uwodzicielem ani szarmanckim księciem z bajki. Szeptał mi do ucha jakieś sprośności i groził tym, co się stanie, gdy przekroczymy próg mieszkania.

Nie chciałam sprawiać mu przykrości. Udawałam, że mnie to bawi. Cierpliwie znosiłam jego podszczypywania i głupie docinki. Już na schodach próbował ściągnąć ze mnie

sukienkę, niezdarnie szarpiąc za ramiączka. Chichotałam radośnie, udając zadowoloną. To było nieuczciwe, lecz chciałam szybko wejść na górę i nie robić sensacji na klatce schodowej. Opieranie się pogorszyłoby sprawę.

Zawsze zadziwiał mnie odmianą, jakiej ulegał. Gdy przybywało mu odwagi po wypiciu czegoś mocniejszego, brakowało dla odmiany fantazji i oryginalności.

Jakby zaczarowany przez czarodzieja kpiarza, odsłaniał swoją niedojrzałość i zmieniał się w opóźnionego w rozwoju chłopca. Zaczynał seplenić, podszczypywać, podnosić mi sukienkę albo łaścić się i gryźć w szyję. Gadał niestworzone głupoty i z każdym wypitym kieliszkiem cofał się w rozwoju. Wtedy wydawałam się sobie strasznie stara i śmiertelnie poważna, a mój mąż zamiast czarować, śmieszył mnie i wkurzał.

- Pupię masz jeszcze niczego sobie - Karol podziwiał mój przydużawy zadek. -

Tak nią kręcisz, że chyba ci dzisiaj nie podaruję. - Klepnął mnie kolejny raz. Z nadzieją mijałam trzecie piętro. Jeszcze kilka stopni i będziemy w mieszkaniu. -

Wyobrażam sobie, co mnie dzisiaj czeka - kontynuował.

Uśmiechałam się pobłaźliwie, kryjąc zniecierpliwienie.

- Ha! - krzyknął zbyt głośno. - Więc mnie znasz, ale nie do końca. Zobaczysz, jeszcze cię dzisiaj zaskoczę, a ti, ti - zarechotał rozpustnie i złapał moje udo. Zatoczyłam się.

- Karol, przestań, przewrócisz mnie. - W ostatniej chwili złapałam się balustrady.

- Przy mnie nic ci nie grozi. Choć do swojego prosiaczka.

Okropnie jest być trzeźwym i zmęczonym. Szarpiąc się z nachalnym mężem, weszłam do mieszkania. Ostatnio rzadko tu bywałam. Na co dzień było domem Karola. Z niego wychodził do pracy i wracał na noc. Od święta służyło nam jako garsoniera, miejsce grzechu i rozpasania w czasach świetności. Pamiętam też noc, gdy czuwaliśmy przy telefonie, kiedy Agnieszka leżała w szpitalu przed porodem.

Oboje nie mogliśmy spać z niepokoju o nią i dziecko. Czasem spędzaliśmy tu wolne dni, chodziliśmy do kina, do znajomych. Urządaliśmy niezłe libacje, sylwestry.

Uciekaliśmy z domu, w którym brakowało intymności, od rodziców wtrącających się we wszystko. Tak, to mieszkanie było naszym azylem, miejscem, gdzie można było się ukryć i odpocząć. Nic dziwnego, że Karol tak mocno obstawał, by je zachować.

Nie chciał dojeżdżać do pracy, bo czuł, że jeśli odda swój ostatni azyl, nie zostanie mu już nic neutralnego, nic swojego, bo przecież na mnie nie mógł liczyć. Ja tak naprawdę nigdy nie byłam jego. Żyliśmy w światach równoległych.

Gdy zamknęłam za sobą drzwi i zapaliłam światło, poczułam lęk. Biały sufit, bliski jak na wyciągnięcie ręki, zdawał się spadać na moją głowę, wąskie przejście między

drzwiami do pokoju i wszędzie książki. W powietrzu unosił się kurz, chciało mi się płakać. Wszystkie meble tonęły pod zwałami czasopism i teczek z papierami. Nie było ścian, tylko wąskie kolumny książek ustawione w przestrzeniach między meblami. Pod oknem rozlatujący się tapczan i lampa, której rok produkcji musiał przypadać na wczesne lata sześćdziesiąte. Na podłodze dywan wytarty w miejscu, gdzie Karol zawsze siadał, z dziurą, przez którą widać było podłogę. Z kuchni bił zapach przegniłej kanalizacji. Nigdy przedtem nie zwróciłam na to uwagi. Dziś widok mieszkania, w którym mój mąż spędzał połowę swojego życia, wstrząsnął mną do głębi. Jak mogłam pozwolić, by tak żył, jak żebrak, jak bezdomny w przytułku.

Karol niestety myślał o jednym. Był bardzo rochochocony i nie dawał za wygraną.

Próbował zaciągnąć mnie za wszelką cenę do łóżka. Broniałam się, bo nie miałam ochoty na swawolne igraszki w stylu biesiadnym. Wiedziałam, że czeka mnie najpierw zabawa w a kuku, potem giglanie pod pierzyną, a jeszcze później bezskuteczne próby wskrzeszenia tego, czego już nie da się wskrzesić.

Małżeńska groteska, powtarzająca się zawsze w stanie lekkiego rauszu, napawała mnie wstrętem. Nie pomagały rozmowy na trzeźwo, delikatne aluzje ani kategoryczne żądania. Było pewne, że za chwilę zatańczę z nim miłosnego kujawiaka.

Zbierałam z podłogi porozrzucaną garderobę męża i potulnie szykowałam się do spania, licząc, że po moim powrocie z łazienki będzie już słodko chrapał. Gdy z ręcznikiem w ręce wychodziłam z pokoju, groził mi palcem, zerkając filuternie spod brwi. Mogłam się spodziewać najgorszego. Celowo myłam się długo i dokładnie. Skulona w ciasnej łazience, gdzie brakowało miejsca na położenie ręcznika, czułam się jak ostatnia szuja. Kurek przy umywalce zarósł kamieniem, rozmoczone mydło wypadało z rąk. Kabina prysznicowa pokryta rudym nalotem, uszczelki przeżarte pleśnią, zapach źle wysuszonego ręcznika.

Przygnębienie ogarniało każdą komórkę mojego ciała. Czułam się winna. Jakbym coś w życiu przeoczyła, coś, czego już nie da się naprawić. Próbowałam zrozumieć, po czyjej stronie jest wina, czy mam prawo wyrzucać sobie zaniedbania? Czy warunki, w których żył mój mąż, miały związek z moim czy jego niechlujstwem? Wstydzić się czy potępić? Jeżeli ktoś nie zna się na gotowaniu, nie należy pędzić go do garów albo do sprzątania, jeśli to nie należy do jego umiejętności. Ale przecież wszystkiego można się nauczyć. Tylko czy wymagania estetyczne są sprawą nabytą, czy wrodzoną? A może powinnam teraz zapłakać nad biednym Karolem, a nie uciekać od niego i odmawiać mu swego ciała, gdy wszystko inne już zostało zaprzepaszczone? Walczyłam z poczuciem obowiązku i niechęcią, która się we mnie wzmagala. Żądałam, żeby wszystko toczyło się zgodnie z wyobrażeniami o szczęściu. To przecież bardzo pretensjonalne.

Wtedy zadzwonił telefon. Dźwięk mojej komórki wydał się nagle ostatnią deską ratunku. Teraz mógł dzwonić do mnie sam diabeł, bylebym tylko mogła wydostać się z pułapki. Na wyświetlaczu pojawił się numer rodziców.

To nie był seks wszech czasów. Wymykałam się z drapieźnych ramion Karola jak dzika kotka, pozostawiając mu we włosach swój zapach, a pod poduszką majtki i stanik. Unosząc w pośpiechu swoje ciało, skąpo odziane, usłyszałam, jak jakiś przedmiot uderza z całej siły w drzwi. To Karol rzucił za mną swoim butem. Czułam, że odwaliłam pańszczyznę, a teraz uciekam do mamusi. Znowu zraniłam jego męską dumę. Powiedziałam, że ojciec źle się czuje i mama już chce wzywać pogotowie.

Karol nie był na tyle pijany, żeby nie zrozumieć. Wolałam ucieczkę, choć wiedziałam, że pomiędzy nami znów wyrośnie niepotrzebny mur. Lecz teraz nie chciałam o tym rozmyślać, tylko uciec jak najdalej i nie podsycać w sobie rozczarowania.

Biegłam pustym osiedlem, uderzając obcasami w chodnikowe płytki. Byłam spięta, podenerwowana i przerażona panującą ciszą. Gęste zarośla pod blokami kryły w sobie szepczące cienie i złowrogie zjawy. Droga do samochodu wydawała się trzy razy dłuższa. Miałam wrażenie, że ktoś za mną idzie, potem biegnie. W zakamarkach ciemności czaił się strach. Biegłam, bo wydawało się mi, że gdy zwolnię, poczuję na plecach czyjeś ręce, że ktoś będzie chciał mnie złapać, zatrzymać, przewrócić. Przerażona dopadłam samochodu. Kluczyki plątały się między palcami. Nie mogłam znaleźć właściwego. Wreszcie trzaśnięcie drzwi i byłam w środku. Bałam się patrzeć w czarną otchłań w obawie, że wyskoczy z niej coś przerażającego.

Napięcie powoli spadało, mój oddech nabierał miarowości. Otrzeźwił mnie chłód kierownicy i poczułam, że miękkość w kolanach mija. Przekręciłam w stacyjce kluczyk. Samochód zarzęził rozpaczliwie i zgasł.

- To z nerwów - pomyślałam. - Nigdy nie gaśnie przy zapalaniu. - Ponowiłam próbę, tym razem ze skutkiem. Zjechałam na prawą stronę drogi i wtedy tuż za szybą mignął czyjś cień. Biała para wydobywająca się z rury wydechowej, przepchnięta podmuchem powietrza, pojawiła się w bocznym lusterku. W oparach zobaczyłam jakąś postać. Wpatrywała się w światła mojego samochodu. Nie panując nad emocjami, nacisnęłam gaz i samochód z piskiem ruszył do przodu. Spocone ręce ślizgały się po zimnej kierownicy. Lusterko zachuchane spazmatycznym oddechem powoli odzyskiwało klarowność. - Weź się w garść, babo - strofowałam siebie.

Gdy Marco Polo odkrył Chiny, nikt nie chciał wierzyć w jego nieprawdopodobne informacje o istnieniu świata, takiego odległego, a jednocześnie niemal bliźniaczo

podobnego, w którym żyje się podobnie i myśli podobnie. Teraz wciąż jesteśmy niedowiarkami i nie dopuszczamy do siebie myśli, że gdzieś we wszechświecie mogą istnieć podobne cywilizacje jak nasza.

Moje granatowe niebo należy do mnie. Wciąż to powtarzam, żeby gdy zapadnie zmrok, rozmawiać z nim bez skrępowania. Myśli, które ulatują do góry, jak liny ratunkowe pomagają mi wyjść z psychicznego dołka. O ile trudniej byłoby żyć, myśląc, że ta ciemność nad głową to tylko czysta materia.

Nie mogłam zasnąć. Przesiedzieliśmy z Karolem połowę nocy pod rozgwieżdżonym niebem, rozmawiając o naszych problemach. Potem, gdy on smacznie chrapał, ja bezskutecznie kręciłam się w łóżku, spoglądając przez szparę w zasłonie, jak wstaje nowy dzień. Takie narodziny dnia to zjawisko jedyne w swoim rodzaju.

Zastanawiam się, czy jeszcze gdzieś we wszechświecie są miejsca, w których można zobaczyć takie same cuda. Niedawno czytałam książkę o planecie, którą oświetlały za dnia cztery słońca, która miała cztery zachody i cztery świty, każdy w innym kolorze. Nie jestem pewna, czy dobrze jest mieszkać w takim miejscu. Gdybym miała czterech mężów, czy potrafiłabym kochać ich tak samo? Przecież nawet dzieci, gdy ma się ich więcej, kocha się trochę inaczej. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Jedno słońce, jeden świt i jeden zachód można kochać jedną wielką miłością i nie trzeba tej miłości dzielić na różne inne. Zawsze myślę, że Bóg specjalnie dał mi tylko jedno dziecko, bym mogła je kochać bezkonkurencyjną miłością. Tak sobie myślę, bo to mi pomaga uciszyć tęsknotę do tego drugiego maleństwa, które odeszło z tego świata zbyt szybko. Teraz osiągam stan wiecznego spokoju, stan świętości, niezakłóconego niczym bezruchu. To miejsce, w którym mieszkam, ogród i to niebo dają mi szansę wyzbycia się wszelkich niepokojów, bezsensownych poszukiwań i błędzeń.

Podobno najnowsze odkrycia astronomów dowodzą, że początkiem wszystkiego, czym obecnie jesteśmy, jest pyłowy welon kosmicznych cząsteczek, materia, z której prawdopodobnie powstają wciąż nowe planety. Są to skamieniałe cząstki istot nieistniejących już od dawna na powierzchni Ziemi, będących przed milionami lat zaczątkami życia. Takie zarodki żywej materii rozsiane w kosmosie, które gdy znajdą dla siebie żyzny grunt, zapuszczają korzenie. Zastanawiałam się, czym mogłabym być dawno temu, w swoim kosmicznym życiu. Czy na przykład atom żelaza tkwiący w moim mózgu nie był kiedyś, kilka tysięcy lat wcześniej, w ogniu myszy albo w uchu konia? Może to działa jak drożdżowy zaczyn rosnący przez miliardy lat? Może każdy z nas nosi w sobie taką cząsteczkę zaczynu, małego kosmicznego ciastka, wehikułu z praczasów, wynoszącego nasze myśli w

przestworza, a marzenia w niedostępne krainy? Może jesteśmy cząstkami istnień, które żyły w dalekich układach, na innych planetach, i przyniesione tu w kosmicznym pyłe odrodziły się na nowo? Może nasza duchowość pochodzi z gwiazd, z otwartych przestrzeni wszechświata, dlatego jest taka ulotna i chwiejna, my zaś, rozdarci przez wielokrotność przekształceń, wciąż szukamy, gonimy, sprawdzamy? A miłość, bez której nie można żyć? Czym jest dla wiecznej przestrzeni i wszechświata? Czy tylko sposobem na pomnażanie osobników, czy jak u nas, na Ziemi, niewyczerpanym źródłem natchnienia, studnią ludzkich przypadków i jedną z sił napędzających postęp? Zaczynając od biblijnego duetu Adama i Ewy, wygnanych z rajskich ogrodów za nieposłuszeństwo, poprzez tragiczne pary kochanków, dla których miłość była silniejsza niż śmierć, kończąc na zwykłych ludziach - czym była dla nich? Naukowcy nie znaleźli śladów miłości ani w tkankach nerwowych mózgu, ani w sercu. Więc gdzie rodzi się ta cudowna fascynacja?

Dzisiaj, gdy siedziałam z Karolem na tarasie, gdy tak milczeliśmy zmęczeni rozmową, doszłam do wniosku, że łatwiej być człowiekiem prostym i nieskomplikowanym, takim, dla którego nie liczą się wielkie intelektualne wysiłki i duchowe perwersje. Człowiek taki ma za wątpliwe i śmieszne w obliczu rzeczy podstawowych, jak zdrowie i choroba, głód i sytość, miłość czy nienawiść - rewelacyjnie uniwersalne dylematy, na które można zawsze odpowiadać prosto - tak albo nie. Zagłębienie na dno duszy jest bardzo niebezpieczne i dopiero wtedy, gdy dusza i instynkt osiągną stan pełnej homeostazy, można czuć się bezpiecznie. Poszukiwanie odpowiedzi na pytania „co by było gdyby?” - to balansowanie na linii wiszącej nad przepaścią. Dlatego myślenie o tym, co byłoby, gdyby żyło na świecie jeszcze jedno nasze dziecko, może prowadzić na ślepy tor. Doszukiwanie się symboli w każdym przedmiocie czy zjawisku niczego nie zmieni, bo symbole to abstrakcja, zwiady, wymysły, kombinacje niedające żadnej pewności, jedynie przypuszczenia. Karol mnie ciągle przed tym przestrzega:

- Za dużo mówisz, za mało śpisz, masz nierealne oczekiwania.

Słońce już wstało. Nad ziemią unosi się delikatna mgiełka. Zasłania wszystko, co jest pod nią, kwiaty, trawę, niskie murki i ścieżki, te proste, wypielęgnowane i te zarośnięte. Ponad tą mgłą wystają drzewa, krzaki, jakby ucięte w połowie, pozbawione tej części ciała, którą pochłonęła. Właśnie tam jest miejsce, w którym tak lubię przebywać zawsze wtedy, gdy nie muszę być dorosła i rozsądna.

Dopóki tkwię zanurzona w jego magii, drażniąca powłoka rzeczywistości wydaje się bardziej urokliwa, a ludzie mniej szpetni. Myślenie to moje ulubione zajęcie, choć zabiera mi zbyt dużo czasu i niekiedy wyprowadza z równowagi. Tyle jest we mnie

nieuporządkowanych spraw. Próbuję się z nimi uporać, przeobrazić to, co jak drzazga rani naskórek - w krainę wyszukanych kształtów, zapachów, barw, w wielką muzykę, symfonię, bez jednej fałszywej nutki, w pełną harmonię.

Pamięć! Zżera jak rak. Powoli, kawałek po kawałku, obgryza duszę. Wciąż z nią walczę. Ale walczę w samotności. Nigdy nie skarżę się na pamięć, choć jest moją śmiertelną przeciwniczką. Niekiedy mam wrażenie, że żyje wciąż obok i tylko czasami opuszcza moje ciało, dając odetchnąć. Więc czy kiedyś zapomnę o utraconym?

Gdy wiosenną porą przyglądam się wodzie w naszym stawie, widzę przy brzegach kłęby skrzeku. Składają go tam rzekotki i ropuchy zielone. Kiedy się patrzy na wodę, mrugają stamtąd tysiące żabich oczu. Ciemna źrenica tego oka to załazek przyszłej żaby, ukryty w kulce z galarety. Czasami do takiego skrzeku podpłynie traszka z brzuchem w pomarańczowe cętki i z niebieskimi pręgami na ogonie i... cap! Chwyta całą paszczą pierwsze z brzegu jajo. Ale elastyczna, galaretowata osłonka nie daje się rozerwać. Co traszka szarpnie jajo ku sobie - galareta jak guma pociąga jaja w przeciwną stronę. Przyszłym żabom można się tylko przyglądać jak przez szybę. Żabie mamy mogą się spokojnie kochać z żabimi tatusiami, pewnie, że ich dzieciom nic złego nie grozi.

W majowe południe fale rozgrzanego powietrza deformują kształty, rozmywają kolory, unoszą się w górę i drżą w ostrym słońcu. Nad tym wszystkim kwitną drzewa: czarny bez, jarzębiny, dęby i spóźnione sosny, stara lipa wabi swoich kochanków, rozłożysta kalina rozsypuje konfetti, raj! To miejsce na ziemi, w którym przyszło mi żyć, jest moim zielonym niebem. Dzięki Ci, Boże, za ten skrawek ziemi, za okruch zawieszony w kosmosie, tak mały i bezbronny, a jednocześnie wielki i wszechmocny, uporządkowany, ujęty w naturalne prawa, trudny do zastąpienia najdoskonalszymi technologiami. Kiedyś stanę się jego częścią, elementem, składnikiem na równych prawach z atomem.

W poniedziałek zamknęłam gabinet, a następnego dnia już weszli malarze.

Rozstanie z miejscem pracy, które było moim drugim domem, przeżyłam jakoś bezboleśnie. Przypuszczam, że zamieszanie powstałe wokół remontu i plany, jak przerobić gabinet stomatologiczny na wygodne i funkcjonalne mieszkanie, zajęły mnie do tego stopnia, że zapomniałam o przykrych okolicznościach, w których to się działo. Chciałam stworzyć rodzicom przytulne gniazdko i zapewnić choć odrobinę komfortu.

Wszystko szło jak w zegarku, dopóki nie dotknęliśmy tematu mebli. Rodzice uparli się zabrać ze sobą swoje stare graty. Usiłowałam im wytłumaczyć, że są za duże i nie zmieszczą się w małym mieszkaniu. Nawet nie da się ich wnieść po schodach, nie mówiąc o

tym, co się stanie, gdy ruszymy je z miejsca. Nikt nie przestawiał ich od wielu lat. Niektóre miały w sobie więcej powietrza niż drewna.

- Korniki wyjadły z nich całe ciało. Zostawiły lakier i farbę - komentował Karol.

Milczałam, ale taka była prawda. Te stworzenia nie próżnowały. Zjadały bez skrupułów, milimetr po milimetrze gustowne, przedwojenne meble. Pomiędzy jednym a drugim odkurzaniem tworzyły się na ziemi maleńkie kopczyki drewnianego pyłu.

Dowód, że w środku jeszcze coś zostało i korniki nie umarły z głodu. Aż strach było dotknąć takiej szafy. W dzieciństwie bałam się zasnąć, mając świadomość, że obok mnie istnieje świat skomplikowanych korytarzy, zamieszkałych przez zjadaczy drewna. Wyobrażałam sobie gmatwaninę kanalików, którymi się poruszają, wymyślałam im dom, przypominający do złudzenia domek dla lalek. Kiedyś śniło mi się, że roje dziwnych stworzeń wylazły ze wszystkich mebli i przyszły ogrzać się do mojego łóżka. Połowę nocy darłam się jak opętana, a rodzice nie mogli mnie uspokoić. Potem zapomniałam. Drewniane kopczyki traktowałam jak naturalną kolej rzeczy, ot, po prostu meble rozsypywały się ze starości.

- Oni upierają się dla zasady. - Karol podejrzewał rodziców o spisek, gdy negocjacje na temat mebli nie przynosiły spodziewanego skutku. - To manifestacja przeciw przeprowadzce - tłumaczył rozdrażniony. - Byle nie opuścić tej rudery.

- Według ciebie wszystko jest takie proste. Wyrzucić i koniec.

- Oczywiście - zapewniał gorliwie. - Mnie chodzi tylko o logikę. Po prostu próbuję ułatwić im życie, zapewnić wygody.

- Mógłbyś to robić z większym wyczuciem.

- Muszę być stanowczy, bo inaczej nigdy się nie zdecydują.

- Unieszczęśliwiasz ich, więc nie oczekuj wdzięczności.

- Przecież się zgodzili - przypomniiał. - Po co teraz ten upór? - nie dawał za wygraną. - A wdzięczni będą mi za jakiś czas, gdy odczują na własnej skórze.

- Co odczują? - Wkurzał mnie.

- A choćby to, że zimą nie trzeba palić w piecach i myć się w zimnej wodzie, że ubikacja nie wybija po każdym większym deszczu, a jesienią do domu nie wchodzi wszystkie możliwe stwory i nie buszują po garnkach w spiżarni. Przypomnij sobie te utopione w rosole myszy i szczury w piwnicy. To chyba jest logiczne? A ten wielki ogród - przecież to było ponad ich siły. Matka już dawno przestała w nim cokolwiek dostrzegać, a ojciec ubolewał, że wszystko marnieje.

- Karol - patrzyłam mu w oczy bezsilna i rozgoryczona - muszę ci coś powiedzieć.

- Co? - czuł, że trafił we właściwe argumenty, że wreszcie pojęłam.

- Ty nic nie rozumiesz - wydusiłam z siebie. Zastygł w bezruchu zdziwiony, a potem tylko machnął ręką i wyszedł z pokoju. On uważa mnie za wariatkę. To jest prawie pewne.

»»

Właśnie kończyliśmy kolację. Rodzice poszli do swojego pokoju oglądać ulubione seriale, a my, jak zawsze w piątkowy wieczór, szykowaliśmy wódeczkę z lodem i malinowym sokiem, by zaraz potem zaszyć się w kącie pod starym bluszczem.

Wieczorami było tam bardzo romantycznie.

W dzieciństwie miałam w nim prawdziwą kryjówkę. Wtedy nie był jeszcze taki gęsty, miał za to mocne rusztowanie zastępujące drabinę. Mogłam z wysokości patrzeć na okolicę. Teraz zdrewniałe konary wrosły głęboko w szczeliny domu, pokrywając każdy centymetr muru. Gęstwina splecionych gałęzi wisiała nad ławką wielką czapą i dawała doskonale schronienie. Gdy noce były ciepłe, nic nie było w stanie zapędzić nas do łóżek. Czasami zabieraliśmy ze sobą małą Agnieszkę.

Rodzice wściekali się, nazywając to beztroską i brakiem odpowiedzialności. A my, gdy potrzebna nam była chwila wytchnienia, zawijaliśmy małą w pierzynę i spała smacznie na świeżym powietrzu. Nie musieliśmy biegać do domu i sprawdzać, czy wszystko w porządku. Agnieszka pokochała to miejsce jak my. Przesiedziała w nim wiele godzin swojego życia. Na ławce pod bluszczem powstawały najlepsze wypracowania, a wiedza sama wchodziła do głowy. Dziś, gdy pod nim siadam, pojawia się w głowie całe mnóstwo wspomnień. Są czyste jak łza, bez niepotrzebnych ubarwień i przekładów. Powracają żywą falą, dobre, a czasem i złe.

Ten piątkowy wieczór zapowiadał się niezmiernie. Niebo skrzyło się od gwiazd.

Coraz rzadziej zdarzały się ciepłe noce. Najczęściej tuż po zmierzchu nadciągał z pola lekki chłodek. Choć w tym roku lato zanosilo się na dłuższe i cieplejsze, sierpień to sierpień, i już. Pobiegłam po swetry i pełna niepokoju czekałam.

Karol obiecał, że ma dla mnie szokującą wiadomość.

Zanim usiadł, chodził niespokojnie po tarasie i zacierał ręce.

- Możesz mówić - popędzałam.

- Dzisiaj rano odwiedził mnie Tomek. - Tak...?

- Odwiedził mnie koło jedenastej.

- Nie byłeś w pracy? - zapytałam.

- Przyszedł na uczelnię, miałem przerwę. Gdy zobaczyłem go w drzwiach, czułem, że coś się święci. Był roztrzęsiony i blady.

- A co się stało? - rozsadzała mnie ciekawość.

- Nie uwierzysz - zawiesił głos. Wytrzymałam jakoś napięcie, więc zaraz dokończył. - Odeszła od niego Maryla - wykrztusił.

- Maryla odeszła od Tomka? - powtórzyłam z niedowierzaniem. - Żartujesz?

- Tomek mi powiedział. Przecież sobie nie wymyślił.

- Ale dlaczego? Pokłócili się? - szukałam wyjaśnienia.

- Nie znam szczegółów. Przyszedł solidnie wstawiony.

- O jedenastej?

- Podobno pił całą noc.

Przypomniały mi się słowa przyjaciółki, które padły z jej ust podczas wizyty w Grabówku. Nie wspomniałam o tym Karolowi, to mało ważne, jednak myśl o przewrotności losu znów mnie zaskoczyła.

- Ale coś mówił? - drążyłam wytrwale.

- Twierdził, że Maryla kogoś ma. Ukrywała to przed nim, aż w końcu wpadła, a może sama się przyznała, nie wiem dokładnie - zawahał się. - Podobno spakowała walizki i wyjechała.

- Powiedziała dokąd?

- Nie wiadomo. Powiedziała tylko, że zadzwoni.

- To jakaś paranoja. - Nie mogłam uwierzyć. - Była u mnie jakiś czas temu, ale o tym ani słowa - próbowałam wywołać w pamięci obraz spotkania w ogrodzie. -

Wprawdzie mówiła coś o niewdzięczności facetów, ale znasz Marylę - spojrzałam znacząco.

- Może coś powiedziała, ale Tomek milczy jak grób.

- Musisz się do niego wybrać, nie powinien być sam.

- Zaprosiłem go na kolację.

- Na dzisiaj? - zapytałam zdziwiona, bo było już dość późno.

- Nie, na jutro.

- Jutro umówiłam się z Agnieszką. Chciała koniecznie ze mną porozmawiać.

- Zadzwoni i przelóż to na niedzielę. Nie można zostawić Tomka w takim stanie.

Coś głupiego może mu strzelić do głowy.

- Trzeba z nim spokojnie porozmawiać - zdecydowałam. - Ta sprawa jakoś nie pasuje mi do Maryli. Coś bym zauważyła, coś bym wyczuła. Znamy się przecież tak długo.

- Byłem u Tomka w sprawie swojego studenta. Jakies cztery dni temu - Karol liczył na palcach. - Trzy, albo cztery, bodajże w poniedziałek. Chciałem, żeby załatwił mu pracę. Chłopak cholernie zdolny, tylko mało obrotny, a Tomek kiedyś prosił, że gdybym miał kogoś

godnego zaufania, chętnie go zatrudni. Spotkaliśmy się w południe, u niego w firmie. Był wesoły i gościnnie, zresztą znasz Tomka. Na swoim podwórku zachowuje się jak dżentelmen. Nawet nie wspomniał o Maryli.

Wrócił z podróży, opowiadał o swoich sukcesach za granicą. Chwalił się nowym kontraktem, pokazywał projekt nowego zakładu i miejsce, gdzie powstanie. O Maryli ani słowa. - Zastanowił się. - Chociaż zaraz, kiedy od niego wychodziłem, zadzwonił telefon. Czekałem, aż skończy. Nie lubię wychodzić bez pożegnania. Na schodach spytałem, kiedy nas odwiedzą, a on machnął ręką zrezygnowany i powiedział, że teraz nie, bo Maryla ostatnio zrobiła się nieznośna. Denerwuje się każdym drobiazgiem, wszystko wyprowadza ją z równowagi, biega do lekarza, zaniedbuje pracę.

- Słuchaj? - coś mi się właśnie przypomniało. - Czy to możliwe, żeby Tomek bił Marylę? - zapytałam, zdając sobie sprawę, że opowiadam głupstwa.

- Chyba żartujesz! - Karol skrzywił się niesmacznie. - Tomek nie skrzywdziłby nawet muchy, a co dopiero Marylkę. Zresztą - to kobieta jak dąb, nie miałby odwagi.

- Nie żartuj, ja pytam poważnie. Kiedy była u mnie w gabinecie, miała posiniaczoną rękę.

- Za Tomka ręczę głową - zapewniał solennie. - Jeżeli już ktoś komuś miał przyłożyć, to raczej odwrotnie - uśmiechnął się rozbawiony.

- Jak myślisz, czy on da sobie radę, czy potrafi znieść jej odejście?

- Bo ja wiem? - Karol wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia. Na razie jest w szoku. Gdy się trochę uspokoi i otrząśnie, przyjdzie czas na refleksję. Trzeba z nim porozmawiać, doradzić albo po prostu pocieszyć.

Dałam się namówić na zakupy. Karol szastał forszą jak nigdy, kupił mi kwiaty, zabrał na obiad.

- Tak będziemy teraz spędzać czas - obiecał, gdy przymierzałam w kabinie nowy seterek. Wyjątkowo dopisywał mu humor. Upychałam w samochodzie torby z zakupami, a on ciągle obiecywał. - Zobaczysz, nareszcie poznamy uroki małżeństwa. Zawsze razem, w dzień i w nocy. - Potem zapytał, czy chcę zobaczyć nowe mieszkanie.

Wyjął z kieszeni klucze.

- Skąd masz klucze? - byłam zaskoczona.

- Załatwiłem, tylko na dzisiaj. Rano muszę oddać. Pojechaliśmy od razu. W domu byliśmy przed dziewiętnastą, pełni wrażeń, szczęśliwi.

- Zadowolona? - zapytał Karol.

- No jasne - radośnie westchnęłam. - Jest wspaniałe. Wprowadzamy się w listopadzie, postanowione.

Włączyłam ekspres i zawołałam wszystkich na kawę. Chciałam opowiedzieć o tym mamie. Prosiłam kilka razy, pytałam, drzemali, nie chcieli zejść. Było mi przykro. Myślałam o tym, malując oczy nowymi cieniami. Dlaczego dręczą mnie bez końca?

Kawę piliśmy sami w cieniu lipy, patrząc na obwieszone jabłonie. Szpalery niskich drzew tonęły w czerwieni. Ciężkie owoce wisiały nad ziemią, ocierając się brzuchami o trawę.

- Nie pamiętam takiego urodzaju. - Karol obracał w rękę dorodny owoc. - A jakie ogromne! - Czułam w jego głosie żal.

- Może uda się je zebrać - zaproponowałam. - Połowa i tak już spadła. Pod drzewami nie da się przejść.

- Nie da rady.

- Dlaczego?

- Co zrobimy z taką ilością jabłek bez naszej piwniczki? - zapytał zmartwiony.

Karol jak nikt inny lubił jabłka. Zresztą większość drzew posadził sam.

Jabłoniowy sad był jego dziełem. Po naszym ślubie, gdy postanowiliśmy pozostać z rodzicami, wykarczował stare drzewa i posadził nowe. Rosły razem z naszym małżeństwem i szczerze odplacały za opiekę. Tego roku obrodziły wyjątkowo, jakby chciały wynagrodzić nam rozstanie albo odwrotnie - nas zatrzymać.

Byłam zdziwiona, jak spokojnie godzę się z myślą o opuszczeniu domu. A przecież chcieliśmy tu mieszkać do późnej starości - byłoby wspaniale - rozmarzyłam się na nowo. Lecz chwilę po tym przyszła refleksja. Wystarczy przez jeden rok nie kosić trawy, zostawić przyrodzie pole do popisu i byłby busz. Tu potrzeba tuzina ogrodników, a nie pary staruszków, którzy w nocy szukają drogi do toalety, a rano mylą swoje protezy. Ile jeszcze lat miałabym siłę pracować fizycznie? Karol ze swoim wstrętem do ziemi i miłością do miasta odszedłby w siną dal. Więc co mi zostało? A tam czeka nowiutkie mieszkanie. Takie słoneczne i czyściutkie. Stoi na Zielonej Skarpie - tak nazywa się to osiedle. Wokół jeszcze surowo, droga rozryta, nieco błotnista, ale jakie widoki! Blok stoi na lekkim wzniesieniu, otoczony łąkami, polami, a w dalszej perspektywie las. Widok z kuchni wspaniały.

Okazało się, że jestem jak dziecko. Tak łatwo otrzeć mi łzy nową zabawką. Dała o sobie znać ciekawość i jak słodki syrop złagodziła objawy choroby. Natura małej dziewczynki ustawiała w myślach meble, jak w domku dla lalek. Trzy pokoje i duży balkon, to całkiem niezłe - ogłupiona białymi ścianami, czystością obszernej łazienki i cudownie

łatwo otwierającymi się oknami, zapomniałam, gdzie mieszkam teraz i co tracę. A stracę - trzy razy większy dom, czterohektarowy ogród, sad, staw i moją ukochaną kapliczkę. Ta kapliczka przesądziła. Nagle poczułam, że nie zniosę rozstania. Zapomniałam, że muszę dokonać wyboru, powiedzieć „tak” dwa razy: raz kupując, drugi raz sprzedając. Ile razy będę musiała powtarzać, że jestem szczęśliwa, żeby wreszcie uwierzyć? Cóż za ból, gdy pomyślę o rozstaniu z ogrodem! Konsekwencją mojej radości będzie porzucenie czegoś, co kochałam najbardziej na świecie. Cieszyłam się nowym mieszkaniem, łudząc się, że zdołam oszukać los i zatrzymać dla siebie i jedno, i drugie. A przecież to niemożliwe.

Liczyłam na cud, na jakieś czary-mary, hokus-pokus. Gorzej niż mały Piotruś.

- Który dzisiaj? - Karol podskoczył na krześle.

- Piętnasty - przypomniałam, a on szybko spojrzął na zegar. - Dlaczego pytasz?

- Na śmierć o czymś zapomniałem. - Poderwał się i wbiegł do pokoju. Wrócił po chwili ze zmartwioną miną. - Umówiłem się dzisiaj z kimś na oglądanie domu.

- Jak to? - nie dowierzałam.

- W ubiegłym tygodniu zadzwonił do mnie pośrednik. Obiecałem, że będę, ale wyleciało mi to z głowy - kajał się.

- Mieli wpaść przed dziewiątą.

- Mieli?

- To jakieś małżeństwo - powiedział wymijająco.

- Karol, ja się bardzo boję - oświadczyłam przerażona.

- Odmówmy to mieszkanie. Odłóż sprzedaż domu na przyszły rok. Podaruj mi to lato i jeszcze jedną wiosnę - błagałam bliska płaczu. Odwrócił głowę w kierunku bramy. Ktoś dzwonił.

- Przykro mi - powiedział cicho i poszedł w kierunku furtki.

Poderwałam się zdumiona i wściekła.

- Ty podły gadzie! - wrzeszczałam na całe gardło. - Jak mogłeś mnie tak podpuścić! Nigdy ci tego nie wybaczę. - Wybiegłam wzburzona z pokoju i z furią trzasnęłam drzwiami. Pod nogi posypały się drobne odłamki tynku. Lampa pod sufitem rozkołysała się niebezpiecznie.

Zobaczyłam ich na tarasie. Ona młoda, wysoka, blondynka. Ubrana w obcisłe spodnie i bardzo wysokie buty. On, dużo starszy, dobrze zbudowany, w jasnym garniturze. Rozmawiali z Karolem. Nic nie słyszałam. Ona rozglądała się dyskretnie, próbując ocenić wielkość ogrodu. Z tego miejsca było widać jedynie ułamek całości. On uśmiechał się do

Karola, przytakując. Chyba był zaskoczony. Nie spodziewał się, że wchodzi do raju. Powinnam być przy tym.

Zobaczyć, jaką zrobi minę. Przechyliłam się przez parapet. Gałęzie jaśminu były na wyciągnięcie ręki.

- Może obejrzymy dom. - Usłyszałam w jego głosie wahanie. Zapomniał, że w domu są przecież rodzice. - Proponuję najpierw pójść do ogrodu - szybko zmienił zdanie. - Nie uprzedziłem teściów o państwa wizycie, mogą się czuć zakłopotani.

- Nam chodzi głównie o ogród - powiedział kategorycznie mężczyzna. - Domu nie będziemy oglądać. - Uniósł wysoko brwi, a potem ruszył przed siebie. Karol, speszony, stracił nagle poczucie kierunku. Drepcząc bezradnie w miejscu, rozglądał się, jakby czekał na odsiecz.

Dołączyłam do nich dopiero po chwili. Niech się trochę pomęczą sam. Łowiąc najmniejszy gest, każde słowo, podsycalam w sobie nienawiść. Obcy dotykali drzew, to była profanacja.

- Moja żona - Karol przedstawił mnie, zerkając podejrzliwie. Kobieta przywitała się bez słowa, a mężczyzna mruknął niezrozumiale swoje nazwisko. - Państwo chcą obejrzeć ogród - wyjaśnił szybko, bojąc się tego, co odpowiem.

- Ach tak? - udawałam zdziwienie. Przez chwilę trwała cisza. W powietrzu można było zawiesić siekiere.

- Piękna posiadłość - mężczyzna wydukał półgłosem.

- Piękna - odpowiedziałam krótko.

- Jest co oglądać - nadszkwiał Karol, posyłając mi zabójcze spojrzenie. - Może zaczniemy stamtąd - wskazał kierunek.

- W tych strojach? - zapytałam oburzona. - Teren jest grząski, potopimy się.

- Grząski? - zapytał Karol i uniósł brwi ze zdziwienia.

- Trochę jest - szybko wyjaśniłam. - Szczególnie koło strumienia i nad stawem.

- To tutaj płynie strumień? - zapytała damulka.

- To za dużo powiedziane - wyjaśnił pospiesznie. - Tylko, gdy lato jest deszczowe.

- To cudowne - dodała. - A czy wiosną nie zalewa ogrodu?

- Ależ skąd - zapewniał - to tylko wąski strumyczek.

- Dwa lata temu zalało nam piwnicę - poprawiłam.

- Wyjątkowo - Karol uśmiechnął się słodko. Damulka wyglądała na zdziwioną.

Szukała wsparcia. Jej towarzysz w skupieniu oglądał drzewa.

- Najlepiej, gdy wszystko spokojnie obejrzymy - zaproponował. A więc połknął haczyk. Ujrzałam to w jego oczach. Zawsze tak było. Gdy ktoś po raz pierwszy oglądał nasz ogród, tracił dla niego głowę. Zachwyt i zazdrość, to zobaczyłam w jego spojrzeniu. Będzie chciał kupić. Byłam pewna.

Natura tak skonstruowała człowieka, że nic mu się bardziej nie podoba niż to, co traci. Niczego bardziej nie pragnie od tego, co mu się odbiera. Nie odbiegałam od normy. Potrzeby ciała w porównaniu z duszą mam bardzo skromne. Potrzeby duszy to niezgłębiony ocean wiecznych niedosytów, choćby nie wiadomo jak była uczona, i tak najbardziej ceni to, co ma się ku końcowi, co umyka z rąk jak pochwycona w wodzie ryba, jak delikatny jedwab porwany nagłym porywem wiatru. „Słodczyce są najsmaczniejsze, gdy się kończą, miłość, gdy odchodzi, a beztroskie dzieciństwo, gdy przemija”. A co może czuć człowiek, któremu cały świat usunął się spod nóg?

Jak można określić stan ducha w momencie, gdy gubi się sens życia?

Z każdym krokiem gniew coraz bardziej ze mnie opadał. Właśnie tak to na mnie działało. Musiałam być kiedyś ptakiem albo motylem. Tylko to tłumaczy metamorfozę, której ulegałam za każdym razem, gdy ten zielony świat wchłaniał mnie, przenikał i czarował.

Cudnej magii ogrodu uległam ja, stojący mocno na ziemi i zupełnie nieromantyczny Karol i nieproszeni goście. Nikt nic nie mówił. Duszny podmuch wypełniał płuca. Szum liści, lekkie klepnięcia gałązek o policzki budziły z odrętwienia. Długie cienie drzew, padając pod nogi, zabierały oczom światło. Spłoszone ptaki gubiły w pośpiechu pióra. Duna oceniała sytuację z oddalenia. Przemykała się cicho za nami, obserwując intruzów.

Zostawiliśmy za sobą ociążały sad, gęste krzewy leszczyny. Przekroczyliśmy granicę wąskiego strumienia i ziołowy ogród kulinarnych zapachów, małą łączkę porośniętą mchem, leżącą pomiędzy srebrnymi świerkami, których wierzchołki schodziły się wysoko nad głową, tworząc cienisty las, i brzozowy zagajnik, i bukowy krąg równo przystrzyżony, z betonową ławką pośrodku. Pomiedzy pniami przebłykiwał błękit nieba. Trzeba było pochylić głowy, by wydostać się na wolność z zielonej pułapki. Twarze oplatały nam pajęczyny, pozostając na dłużej pomiędzy rzęsami, sznurowały oczy kleistym sokiem. Wszyscy przecierali twarze, próbując się od nich uwolnić. To opóźniło moment, na który czekałam. A po chwili słysząc było jęk i ktoś (nawet nie wiem kto) powiedział bardzo głośno:

- O Boże!

Staliśmy zanurzeni w morzu kwiatów. Sięgały nam do ramion, niektóre wyżej. Nie było widać końca. Mali, jak owady w środku dorodnego trawnika, unosiliśmy ramiona wysoko, by zobaczyć jego kraniec. Karol dotykał wielkich kielichów gladioli, których ciężkie

płatki łaskotały w policzki. Całe łany zielonych mieczy o kwiatach klasycznych, prostych jak krochmalona kokarda, podwójnych, potrójnych, z płatkami jak ciało meduzy lub jak postrzępiony jedwab, i kolory, czyste albo mieszane, w kropki, plamki, ciapki, i te kształty z narkotycznych wizji... Wiele lat pracowałam nad wyhodowaniem tych okazów.

Szliśmy dalej. Rosnące w głębi krzewy georginii rozmiarami i wysokością przewyższały wszystko. Ich kwiaty jak owoce dorodnej dyni, jak aksamitne piłki, uderzały po twarzach. Spadały nam na ramiona tysiące czarnych robaczek, mieszkających w długich kwiatowych płatkach.

Pachnącym szpalerom nie było końca. Jeden rodzaj kwiatów przechodził w drugi.

Karol, który już dawno nie był w tej części ogrodu, szedł przed siebie z głupią miną i raz po raz spoglądał do tyłu. Damulka z otwartymi ustami, nie bacząc na zapadające się w ziemi buciki, rozgarniała żółte rurki. Szła poprzez grube łodygi słoneczników, opędzając się od pszczoł i bąków, prowadzona zapachem róż, które zwisały kaskadami z drewnianych podpór. Jej towarzysz, całkiem zagubiony, jak małe dziecko, co chwilę zmieniał kierunek. Zabłądził w plątaninie ścieżek.

Weszliśmy pomiędzy róże. Część rosła dziko. Poplątane gałęzie tarasowały drogę.

Gęste ściany różowego kwiecia nie pozwalały przejść na drugą stronę. Duszący zapach wypełniał płuca. Odmiany klasyczne, stare gatunki rosły tu od wielu lat - zbite pęki róży burbońskiej, w kolorach od bladego różu do purpury, obficie kwitnąca, bursztynowożółta róża angielska, i słodka Mousseline o jasnoróżowych omszonych płatkach.

Część plantacji, przycięta równo jak winogronowy sad, otwierała niekończące się labirynty pachnącego raj. Zwieszały się nad nami girlandy kwiatów, mieszając się ze sobą w artystycznym nieładzie - wszystkie kolory tęczy od zwyczajnych po zupełnie nietypowe. Obok róże niskie, niemal płożące, wymieszane z fiołkową lawendą, żeniszkiem, szałwią. Zapachy miodowo-cynamonowe, hipnotyczne opary, obezwładniały. Czułam się u siebie, lecz oni, zagubieni w tej powodzi barw, spoglądali niepewnie w moją stronę, jakby się bali, że nie wyprowadzę ich z tej magicznej krainy. Widzieli moje bose nogi podrapane do krwi o różane kolce, rozczochrane włosy, podartą chustkę, którą trzymałam w dłoni. W ich oczach ujrzałam strach, i o to mi chodziło. Gdy zrozumiałam, że mają dość, pokazałam wyjście.

- Pójdziemy tędy. - Jak wyrocznia wyznaczyłam kierunek.

- Tam nie - usłyszałam krzyk Karola. Błagał wzrokiem, żebym przestała. - Tam nie - powtórzył ciszej.

Udawałam zdziwioną.

- Dlaczego? Tam jest bardzo ładnie. Proszę, proszę. - Poprowadziłam gości w sam środek różanego ogrodu.

Staliśmy na małym placyku wysypanym żwirem. Przystrzyżony żywopłot z bukszpanu ukrywał tajemnicę. W środku bielona kapliczka, z błękitną figurką Matki Boskiej w półkolistym zagłębieniu, a obok krzyż i nieoszlifowana kamienna płyta.

- Cóż to jest? - czekałam na to pytanie.

- Nic takiego - odpowiedziałam z uśmiechem. - To tylko kapliczka, a to - dotknęłam ręką kamienia - grób naszego syna. - Moje oczy drążyły w głowie Karola dziurę wielkości krateru po bombie. W jego twarzy widać było ból. Znowu byłam dla niego okrutna.

Myślałam naiwnie, że moja manifestacja może coś zmienić. Karol dąsał się cały wieczór, a przed pójściem do łóżka przeprowadził ze mną kolejną rozmowę.

Broniłam się, licząc na cud.

- Ja wiem, że nie ma innego wyjścia - przytakiwałam zrezygnowana. - Tylko próbuję to odsunąć w czasie.

- Małgosiu - trzymał mnie za rękę i spoglądał w oczy. - Ta sprzedaż musi dojść do skutku. Nie możesz bez końca odstraszać klientów. To nam tylko przysporzy kłopotów. Sprawy zaszły za daleko, żeby się wycofać. Musisz to wreszcie zrozumieć. Jeżeli chcesz teraz występować przeciwko mnie, to znaczy, że nic już nie ma sensu.

Argumenty Karola były rozsądne. Ja kierowałam się sentymentami. Życie nie znosi sentymentów. Rozprawia się z nimi bez litości. Przez wiele lat rozmowy o sprzedaży domu i ogrodu traktowałam z przymrużeniem oka i z tej perspektywy zgadzałam się na wszystko. Nie przypuszczałam, że przyjdzie czas na realizację planów. Gdy sprawa stała się tak bardzo realna, wpadłam w panikę. Byłam człowiekiem z dziwnego świata, a może nawet spoza świata. Karol chciał mnie przesadzić na własną planetę, obezwładnić swoim towarzystwem, i tego najbardziej się bałam.

Bałam się również ciężaru odpowiedzialności za cierpienia, które zadaję rodzicom. Skoro ja boję się zmian, to co dopiero oni?

- Nie pozwól, by jakiś głupi ogród zniszczył ci życie - Karol nie ustępował. -

Zatracasz się w tej ziemi, odbiera ci zdrowie i rozum. Błądzisz po swoich dziwnych światach i coraz dłużej do mnie wracasz. I jeszcze ten numer z kapliczką. Myślałem, że źle słyszę - powiedział z irytacją.

- Dobrze wiesz, że nie byłam daleka od prawdy.

- Nie mieszaj poważnych spraw do interesów. Jak mogłaś z tego żartować?! - podniósł na mnie głos. - Wykorzystujesz osobistą tragedię do takich celów! - prawie krzyczał.

- Warta jest tej ofiary - warknęłam.

Tego było za wiele. Karol stracił cierpliwość. Chwytał obiema rękami za głowę i wybiegł z pokoju.

Nie przyjechał w tym tygodniu do domu. Zanosilo się na ciche dni. Przesadziłam trochę.

Myślałam nieraz, że gdybym była malarzem albo rzeźbiarzem, byłoby mi trudno rozstać się z dziełami swoich rąk. A przecież oni tworzą głównie po to, by to, co zrobili, poszło do ludzi. Im więcej prac oddają, tym są szczęśliwsi, w tym jest ich potęga. Czerpią moc z rozstań. Rozstanie jest miarą ich sławy i sukcesu. Za tym idą pieniądze i to one wynagradzają stratę, ale czy są naprawdę szczęśliwi, gdy coś, w co włożyli serce i duszę, znika na zawsze z ich życia?

Ja wiem, że jestem chciwa. Chciałabym mieć wszystko. Karola, mieszkanie, dom, ogród i gabinet. Stare powiedzenie mówi, że dla chciwych mało całego świata. Ale czy to jest chciwość, gdy tak bardzo się coś kocha?

Ponura pogoda, wiatr i siekający ostro kapuśniaczek potęgowały nastrój przygnębienia. W domu panowała absolutna cisza, tylko w szparach podłogi i pomiędzy luźnymi okiennicami pogwizdywał wiatr. Kończył się wrzesień. Dni były coraz krótsze, powietrze miało zapach gnijącej próchnicy, a w sadzie zielona trawa zmieniła się w perski dywan utkany z opadłych owoców.

Byłam straszliwie zmęczona. Całe popołudnie zbieraliśmy z ojcem włoskie orzechy.

Były jeszcze zielone. Zebrało się tego kilka wiader. Próby nawiązania konwersacji nie powiodły się. Ojciec był smutny i tego nie dało się zmienić.

Zagadywałam o to i owo, czekając na odzew z jego strony. Posapywał nerwowo, dając do zrozumienia, żebym przestała gadać. Potrzebował spokoju. Czułam, że myśli o rozstaniu z domem i o tym, co jeszcze poświęci dla sprawy, a co ocali.

Szeptał pod nosem, coś liczył, powtarzał. Spoglądałam ukradkiem. Gdy krzywił się do swoich myśli, gdy się uśmiechał, był czymś przejęty i zaaferowany, przypominał małego Piotrusia. Mruczał pod nosem niezrozumiałe słowa i jak on uzgadniał coś z Najwyższym lub z aniołami. Ciekawe, o czym im mówił, co próbował wyzebrać, o co prosił? Łypał raz po raz w moją stronę, lecz tak dyskretnie, żebym nie mogła rozszyfrować intencji tych spojrzeń, a ja przecież tak dobrze go znałam i wiedziałam, że nic go nie obchodzą losy świata i pokoju na Ziemi. Nie myślał o spadku dochodu narodowego ani wzroście bezrobocia w kraju, w nosie miał efekt cieplarniany, Nagrody Nobla, Oscary, Wiktory, techniczny postęp i kraje Trzeciego Świata. On tylko martwił się o siebie i swoje życie, że już się kończy, że bezpowrotnie

przemija i tak niewiele znaczy. Myślał o swoim domu, o żalu za tym, co odchodzi, i o lichym dorobku, zamkniętym w kilku pudełkach z tektury.

Już było wiadomo, że za kilka tygodni ich mieszkanie w mieście będzie gotowe.

Gdy zrobi się zimno i nie da się tutaj mieszkać, będą musieli odejść, to nieodwołalne. Ojciec każdy wieczór poświęcał na sortowanie swoich pamiątek, przedmiotów, które przedstawiały dla niego największą wartość. Pięćdziesiąt lat w jednym miejscu to pół wieku zbierania dowodów na istnienie, kilka pojemników wypełnionych zdjęciami, dokumentami, świadectwami. Czy zabrać je ze sobą, czy spalić? - pytał mamę każdego wieczora. Co ważniejsze - pamiątki z dzieciństwa zachowanego w wyblakłych mapach, pamiątniki z czasów młodości, wojny, ucieczki zza wschodniej granicy, pozostawione gospodarstwo i dopiero spłacona ziemia, czy dokumenty z czasów, kiedy zawitał w te strony? Cała jego młodość i dzieciństwo zamknięta w szarym kartonie - esencja młodości, życie w postaci instant. Zajmowało tak mało miejsca w zderzeniu z bagażem przeżyć i wspomnień. Gdyby mógł, zabrałby je ze sobą do grobu. Zamknąłby bezcenne skarby przed zgubnym wpływem czynników zewnętrznych, żeby już nikt, taki jak Karol i ja, nie mógł mu ich odebrać i sprzedać.

Meble, o które szły największe boje, wreszcie zostały posortowane. Do sypialni kupiliśmy nowe. Stare łóżka nadawały się tylko na opał. Pozostałe graty, wszystkie, których nie zjadły korniki, rozdaliśmy pomiędzy chętnych lub potrzebujących. Zgłoszą się po nie w dniu przeprowadzki. W domu panowała żałoba.

Ojciec snuł się jak cień, żegnał z każdym kawałkiem ściany. Każdy na swój sposób robił rachunek sumienia, odprawiał modły i cierpiał. Ratuje nas praca.

Posortowane jabłka stoją na swoich miejscach w piwniczce. Warzywa zadołowane, bulwy kwiatów i cebule schną w koszach na górnej półce. Ziola się suszą.

Wszystko jak zwykle, przygotowane do zimy. Tylko dla kogo? Trudno przypuszczać, żeby osoba, która kupi nasz dom, zawracała sobie głowę drobiazgami. Węgla nie będziemy kupować. To, co zostało z poprzedniej zimy, musi wystarczyć. A my? Bez względu na to, czy uda się znaleźć kupca, będziemy musieli zająć się nowym mieszkaniem. Na początku października dostajemy klucze. Karol jest w siódmym niebie, rozpiera go energia. Zanedbuje nawet pracę zawodową, co jest do niego niepodobne. Załatwił sobie tydzień wolnego i biega po urzędach. Gdy do mnie dzwoni z jakąś rewelacją, zamiera mi serce i boję się, że powie: Małgosiu, mam kupca na dom!!!

Czasami odwiedza nas Tomek. Jest załamany. Czeka na znak od Maryli. Odchodząc, zostawiła list, żeby jej nie szukać. Tomek zamartwia się. Prawie niczego nie wzięła. Szafy

pełne koronkowych spódnic, bluzek, szali, półki z bielizną. W łazience szczotka z jej włosami, otwarty krem, do połowy zużyta pomadka. W korytarzu mały balonik z ostatniej zabawy, wypełniony jej oddechem.

- Nie wyłączyła nawet komputera - sensacyjna wiadomość obiegła kołem całe środowisko. Przywiozła ją ze sobą Joanna. Siedziałyśmy zgnębione w kuchni, popijając ziółka.

- Trochę mi jej brakuje - brodziła w przeszłości, jak w czystym strumieniu. -

Wydawała się przecież taka otwarta i bezpośrednia, a zobacz, nic o niej nie wiedziałyśmy.

- Zasłaniała się tą otwartością - rozważałam. - Ukrywała się za zasłoną obojętności, żebyśmy za dużo nie wiedziały, i atakowała. Odwracała uwagę od własnych problemów. Dopiero teraz zaczynam to czuć. Szkoda, że nie można jej pomóc, porozmawiać, doradzić.

- Kto by przypuszczał? - Joanna miała moralnego kaca. - Mam nadzieję, że opamięta się i wróci.

- Słyszy się czasem, że ktoś zostawia rodzinę, dom, dokumenty i znika. Znika jak kamień w wodę, a potem gdzieś zaczyna nowe życie, pod innym nazwiskiem.

- Maryla nie ma dzieci. Jak się nie ma dzieci, to łatwiej odejść...Tylko że Tomek...

- Widocznie nie był taki ważny. Zresztą, on twierdzi, że zdradziła go.

-I odeszła do innego faceta?

- Być może - powiedziałam, wątpiąc we własne słowa.

- Wierzysz w to? - spojrzała wymownie.

- Nie bardzo.

- Ja też. Romans nie pasuje do Maryli.

- Może zadzwonić do telewizji? Do programu „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie...”

- Zabiłaby nas - stwierdziła Joanna. - Przecież wiesz co to za charakterek.

Wiedziałam. Maryla to był specjalny rodzaj człowieka, człowiek tyran, nauczyciel, kobieta - Pigmalion. Przy każdej okazji, z niewidzialnej materii, z kilku złośliwych słów, znaczących spojrzeń, próbowała każdą z nas ulepić w kształt własnej Galatei. Uważała, że tylko jej zmysły i wiedza stworzone są po to, by wyznaczać właściwy kierunek. Chciała nas lepić i kształtować, a my w zamian za to miałyśmy ją kochać.

- A mnie się wydaje - Joanna odkurzała przeszłość - że Maryla nie może zapomnieć Marka.

Spojrzałam zdziwiona. Marek i Maryla to stare dzieje.

- Chyba żartujesz - zaprotestowałam. - Nie wierzę. Ich znajomość trwała zbyt krótko.

- Czas nie ma tu nic do rzeczy.

- Ale oni do siebie nie pasowali. Ciągłe się kłócili. Ona traktowała go jak nieudacznika.

- Skąd wiesz? Mówiła ci?

- To było oczywiste.

- Ty wiesz swoje, ja swoje - powiedziała, cedząc słowa. - Znam inną wersję. -

Patrzyła na mnie, obracając w palcach słoneczne okulary. Chciała wzbudzić ciekawość. - To było jakieś cztery lata temu. Pamiętasz, jak Maryla upiła się na szkolnym zjeździe? Miała nadzieję, że zobaczy Marka. Ale on nie przyjechał, bo oczekiwał kolejnego potomka. Strasznie wtedy płakała.

- Nie żartuj, może płakała z innego powodu? - Nie dawałam za wygraną.

- A widzisz, nie znasz jej.

- Okazuje się, że obie jej nie znamy - stwierdziłam jednoznacznie.

- Mało o sobie mówiła, to fakt. Najczęściej krytykowała, głównie mnie.

- No tak - przyznałam. - W tym była najlepsza. Tylko bez niej trochę głupio.

- Jakoś nie mogę wyobrazić sobie skrzywdzonej Maryli. Ale masz chyba rację, nie wypada źle o niej mówić. Swoją drogą to świństwo, że wciąż milczy. Przecież nam mogłaby dać jakiś znak. - Podniosła się z fotela. - Zasiadziałam się, a tu jeszcze tyle roboty. Paweł mi nie daruje, jak nie przywiozę jego ulubionych jabłek.

- Narwij trochę winogron. Pięknie w tym roku obrodziły, a jakie są słodkie - zapewniałam.

- Będzie nam brakowało waszego ogrodu. - Popatrzyła ze smutkiem na żółcący się krajobraz.

- Mnie też - powiedziałam krótko.

Zmieszała się. Zobaczyła w moich oczach smutek, który dla niej zawsze znaczył to samo.

- Myślisz o Czarku? - zapytała ostrożnie.

- Bez końca. Każdego dnia.

- To bez sensu tak się zadreć. - Wiem, ale to silniejsze.

- Tylko nie płacz - powiedziała szybko. - Niepotrzebnie o tym wspomniałam.

- Nie szkodzi - uśmiechnęłam się. - Potrafię z tym żyć. Tylko boję się rozstawać z tym miejscem, również ze względu na pamięć o nim. Jakbym go zabiła kolejny raz.

- No, teraz już przesadzasz - zaprotestowała. - Wiesz, czasami mam wrażenie, że jesteś nienormalna - spojrzała z wyrzutem. - Powinnaś zapomnieć o wszystkim. To było tak dawno.

- Mnie to wystarczy - westchnęłam.

- Musisz się od niego wyzwolić.

- Próbuję.

Wyszliśmy na dwór. Chciałam jak najszybciej zapomnieć o tej rozmowie.

Wspominanie najboleśniejszego okresu w moim życiu zawsze pozbawiało mnie sił.

Obeszliśmy w milczeniu rosarium, a ja modliłam się, żeby Joanna nie wracała już do tej sprawy.

- Co zrobicie z psem? - zapytała, patrząc na Dunę. - Wilczur do bloku to chyba przesada.

- Nie mamy innego wyjścia. Przecież nie wcisnę jej rodzicom.

- A może zostanie sama?

- Sama?

- Ma tu swoją budę, wystarczy poprosić kogoś, żeby przynosił jedzenie, zapłacić parę groszy i niech sobie żyje w ogrodzie i na swobodzie.

- Nie zostawię jej samej. Jest u nas od tylu lat. Zostawiłabyś kogoś bliskiego bez opieki?

- To tylko pies - Joanna się skrzywiła.

- Ale jaki - podkreśliłam wzburzona.

- Będzie nieszczęśliwa.

- Ale musi spróbować. Ja też będę nieszczęśliwa - zauważyłam. - Będzie nas dwie.

W towarzystwie różnie.

Prowadziłam Joannę do południowej części ogrodu, gdzie pięły się na podporach Majestik i Kalifornia, moje najśłodsze odmiany winogron.

- Wina w tym roku nie robisz? - Joanna spojrzała na szpalery krzewów obwieszone granatowym owocem. Z ciemnych winogron Ferrero robiłam co roku wytrawne wino.

- I co z tym winem? Gdzie się z nim podzieję? W piwnicy leży kilkadziesiąt butelek z poprzednich lat.

- Boże - westchnęła. - Tyle owoców się zmarnuje.

- Przywieź Pawła i zerwijcie. Dam wam mój sprzęt i możecie rozpocząć produkcję.

W domu masz dość miejsca, żeby ustawić kosze z butlami.

Joannę zachwylił pomysł.

- Tylko czy potrafię? - zmartwiła się.
- Nauczę cię - zapewniałam.
- Kiedy zaczynamy? - zapytała ochoczo.
- Choćby jutro.

Zrywałyśmy wielkie kiście. Opychałam się jak zwykle. Soczyste owoce pękały w ustach. Ociekałyśmy sokiem. Kosze szybko się napełniły, a na krzakach nic nie ubyło.

- To pewnie jakieś czary - robiłam tajemniczą minę.
- Albo Kana Galilejska? - Joanna roześmiała się perliście i spojrzała w niebo. -
Dzikie kaczkę - krzyknęła. - Zobacz, jaki długi sznur!

Rzeczywiście. Dzikie kaczkę odlatywały na południe. Gdybym była sama, to bym im pomachała. To przecież ostatni raz. Więcej się nie zobaczymy w tym miejscu.

Tego dnia nigdy nie zapomnę. Ranek był ciepły i bardzo słoneczny. Grzaliśmy się na tarasie w promieniach październikowego dnia, gdy nagle zadzwonił telefon. Nie przeczuwałam niczego. Usłyszałam w słuchawce podniecony głos Karola.

- Małgosiu, mam kupca na dom! - krzyczał. - Halo, jesteś tam???!!!
- Jestem - odpowiedziałam, a cała krew odpłynęła mi z twarzy. Poczulałam gorąco.
- Płaci całość od ręki. Nie chce oglądać domu, zna plan ogrodu, spieszy się.

Jeżeli wyprowadzimy się w ciągu tygodnia, dołoży dwa tysiące. Mamy szczęście.

Takiego klienta było nam trzeba. Porozmawiaj z rodzicami i zacznijcie się pakować.

Świat zawirował mi przed oczami. Poczulałam miękkość w kolanach.

Siedziałam na kartonach. Puste mieszkanie dudniło krokami Karola. Biegał z miarą i sprawdzał, pod którą ścianą ustawić małżeńskie łóżko, nasze pierwsze małżeńskie łóżko, wspólne aż do bólu. Rozsadzał go entuzjazm i nie zauważył, że jakoś nie cieszyłam się z nim. Minęło kilka dni, odkąd opuściliśmy dom, a mnie ciągle bolało serce. Zrobiłam EKG, byłam u kardiologa i nic. Karol najpierw się wystraszył. Może myślał, że dostanę zawału. Myślał dobrze, moje serce krwawiło.

Traktował mnie jak kapryśną dziewczycę, która nadmiernie manifestuje wyimaginowaną depresję. A ja po prostu tęskniłam. Potrzebowałam czasu, żeby przywyknąć do nowego miejsca, zbyt białego i zbyt czystego, jak na oczy przyzwyczajone do koloru ziemi i trawy. Pomagałam, na ile starczyło mi chęci i sił, a potem leżałam na tapczanie i myślałam. Myślenie to moje ulubione zajęcie. Teraz będę miała na to dużo czasu. Karol zapracowany, rozcierał obolałe nadgarstki po tym, jak razem z Michałem wieszali kuchenne szafki. Byłam dla niego okropnie nieczuła. Zadawałam ciosy, żeby zagłuszyć ból. Mściłam się. Chciałam w jakiś sposób pokazać, jak bardzo mam mu za złe to, co się stało. Agnieszka też była w złym

humorze. Przychodziła codziennie sprawdzić, jak idzie robota i kiedy skończymy się urządzać. Czasami brała ze sobą Piotrusia, a wtedy wracał mi dobry nastrój i chęci do pracy. To dziecko było moją pociechą.

Na szczęście popsuła się pogoda. Deszcz padał każdego dnia i szalały jesienne wichury. Przyroda robiła to specjalnie dla mnie. W ten sposób nie czułam, że coś tracę, choć i tak myślami byłam ciągle w ogrodzie. Widziałam, jak wiatr targa drzewami, jak gałęzie wierzby rosnącej pod domem uderzają w okna od strony tarasu, jak kłęby liści wirują pomiędzy konarami, a wiatr gwizdże starą piosenkę w przekrzywionym kominie.

Rodzice podnieceni zmianami nie protestowali, jakby to, co dotychczas ich przerażało, okazało się wybawieniem. Chyba robili to dla mnie. Skoro opór nie pomógł, nie chcieli szkodzić. A mimo wszystko czekałam na kryzys, na darcie szat, pretensje. Przyjmowałam nieufnie ich zapewnienia, że czują się dobrze, że mieszkanie jest wygodne, że niczego im nie brakuje.

W nowym miejscu zostali sympatycznie przyjęci przez mieszkańców i to utwierdziło ich w przekonaniu, że są tu naprawdę potrzebni. Na tej samej klatce mieszkała samotna wdowa, która za niewielką opłatą zobowiązała się strzec ich jak oka w głowie. Nie wiedzieliśmy jeszcze, czy dobrze zda egzamin. Gdyby się okazała naprawdę pomocna, byłoby łatwiej. Teraz musiałam zająć się sobą. Potrzebna mi była specjalna terapia, żeby odzyskać równowagę.

Czułam się jak trylobit, którego ktoś przeniósł siłą z ordowiku na drugie piętro bloku przy ulicy Różanej. Deptałam nieporadnie po lśniącej podłodze, nie odnajdując najmniejszego śladu sprzyjającego środowiska. Duna, wciśnięta w kąt na korytarzu, bała się zejść z chodnika, bo ostre pazury ślizgały się po parkiecie. Leżała przestraszona i mruczała. Obie czułyśmy się podle. Może potrzebna mi psychoterapia? Karol mówi, że powinnam zmienić podejście do życia, bo dotychczas byłam zbyt zachowawcza, nawet uwsteczniona, że nie rozkwitam, jak powinna rozkwitać kobieta w moim wieku, mam przecież wolne ręce, a świat niesie wiele możliwości. To dla mnie bardzo trudne. Noce pełne mrocznych wizji, zagubienie, poczucie oderwania. Jak bardzo można przestać być sobą, żeby nie oszaleć? A jeśli skończę jak doktor Jekyll i pan Hyde?

Karol też walczy z przyzwyczajeniami. Nie jest mu łatwo. Nagle ktoś pojawił się obok niego. Zawładnął świętym spokojem i do tego gdera. Każde z nas przeżywa własne rozterki, dociera się do nowej rzeczywistości. Staramy się na nowo obudzić nasze małżeństwo, powołać do życia to, co za wcześnie umarło.

Zapach placka wciskał się w każdą szparę mieszkania. Dno ciasta nie chciało oddzielić się od blachy, więc wycinałam je starannie dużym nożem. Coraz częściej moim przemyśleniom towarzyszą wizje spod wałka i garnka. Ostatnio zmieniłam się w szkaradną kuchnię. Jak nigdy do tej pory bawią mnie odkrycia kulinarne. Wertuję kolorowe czasopisma i wybieram najciekawsze przepisy. Duna spogląda na mnie spode łba i czeka, aż kolejne nieudane menu trafi do jej miski.

W domu wiało nudą, dlatego gotowanie wypełniało mi godziny czekania. Dzisiaj natrudziłam się nad nowym przepisem i gdyby nie przykry zapach spalonego tłuszczu, może okazałby się prawdziwym dziełem. Otworzyłam okno, żeby wywietrzyć mieszkanie. Wpadło trochę świeżego powietrza. Czarna otchłań po drugiej stronie nie posiadała twarzy, żadnych kształtów ani wymiarów. Brakowało jej połysku, którym powleczone są przedmioty i istoty żywe. Patrząc w dal, czułam się jak ślepiec. Gdybym mogła wyjść przez okno, prosto w tę ciemność, nie spotkałabym niczego, poza nienamacalną, ulotną materią, oczyszczoną z niedoskonałości, brzydoty i przeciekającą pomiędzy palcami drogą bez końca. A ten obiecany ocean gwiazd byłby jedynie nieosiągalną iluzją.

Teraz mój ciepły oddech zamieniał się w obłoczek białej pary i odpływał w nieznane. Przetarłam twarz. Muszę przerwać to bujanie. Gdy na chwilę tylko spojrzę wstecz, natychmiast odpływam. Boże, kiedy to się skończy? Powinam zejść wreszcie na ziemię i pamiętać, że czas fantazji i marzeń na jawie minął bezpowrotnie. Z ciemności, jak światła pociągu, wyłoniły się dwa realne punkty.

To Karol wracał do domu.

- Małgosiu! - usłyszałam jego głos i trzaśnięcie drzwiami. Przeciąg poderwał do góry firankę i zburzył moją nową fryzurę. - Mam dla ciebie niespodziankę.

Zaprosiłem na jutro gości! - Wyraz triumfu na jego twarzy zderzył się wlocie z grymasem, który bezwolnie pokrył moje oblicze.

- Zaprosiłem swojego szefa - ślina oderwała się z kącika ust i trafiła w lustro po drugiej stronie. - Musisz go poznać. To ciekawy facet - zapewniał. -

Przyjdzie z żoną, ona jest stomatologiem. Pomyślałem, że to się dobrze składa, może załatwi ci pracę. Wpadną jeszcze koledzy z dziewczynami - dodał po chwili.

Miałam chyba niewyraźną minę, bo zmarkotniał.

- Jak to z dziewczynami? - zaprotestowałam. - A żon nie mają? - Pytanie wydawało mi się oczywiste. Karol popatrzył niewzruszony.

- Mają - dodał nieco ciszej. Rozebrał się z płaszczem i zdjął zabłocone buty.

- Zwariowałaś! Chcesz zrobić u nas dom schadzek?

- Mam w nosie, z kim chodzą na imprezy moi koledzy z pracy.

- Ale jakieś zasady chyba obowiązują?

- To są dorośli ludzie. Nie każ mi bawić się w przyzwoitkę.

Wyszłam z pokoju. Perspektywa wieczoru w towarzystwie kobiet o wątpliwym statusie nie podnosiła mnie na duchu. Wróciłam do kuchni podgrzać przypalone wcześniej kotlety i zsiniałe ziemniaki.

- Są sympatyczni, przekonasz się sama - Karol próbował załagodzić sytuację. -

Jeden niedawno wrócił z Londynu. Prawdziwy z niego Casanovą. Niespożyty kochanek - zaczął wdawać się w szczegóły. - Uszczęśliwił kilka kobiet. Niestety na krótko - dodał z przekąsem. - Lubi o sobie opowiadać. Drugi jest bardzo młody, dopiero zaczyna, lecz coś mi się wydaje, że długo miejsca nie zagrzeje, roznosi go energia. - Trzasnął drzwiami od łazienki i na chwilę zamilkł.

- Casanovą uszczęśliwił w swoim życiu sto dwadzieścia kobiet, a nie kilka - mruczałam pod nosem, podnosząc pokrywkę od garnka. - Casanovą był prawdziwym smakoszem. Każde zbliżenie rozpoczynał wytworną kolacją, cenił sobie rozkosze podniebienia. - Spoglądałam na żałośnie rozpląszczony kotlet, który umieściłam obok rozmokniętej surówki i ziemniaków. Spróbowałam mięsa - cholera, twarde jak podeszwa. Polałam je gęstym sosem, licząc na to, że nasiąknie.

- Będziesz miała pole do popisu - usłyszałam na koniec. - Tylko nie wiem, jak sobie poradzisz bez mamy - dodał. Pomyślałam, że nie ma nic lepszego niż słowa uznania w ustach kochanego męża.

Wyszłam z domu, żeby uspokoić nerwy, i właśnie wtedy uciekła mi Duna. Karol uprzedzał mnie, że tak się stanie. Przyzwyczajona do swobody, do chłodu, cierpiała, ziejąc godzinami z jęzorem przyklejonym do balkonowej szyby. Spacer, które mogłam jej zaoferować, nie wystarczały, a puścić jej samej nie mogłam, bo okazała się wredna dla sąsiadów. Czasami szczełała na kogoś z nich albo łapała za spodnie. Dlatego dzisiaj, kiedy poszłam z nią daleko na pola i uwolniłam ze smyczy, nawet nie oglądając się, dała drapak. Karol uspokaja, że wróci, jak zgłodnieje. Na szczęście miałam dużo zajęć, bo zapłakałabym się na śmierć.

Koło czternastej przywieźli meble. Za resztę oszczędzonych pieniędzy kupiłam komplet do gościnnego pokoju. Karol narzeka, bo ze skóry. Twierdzi, że to takie nowobogackie. Mnie się podoba. Jest w kolorze majowej trawy, a oparcia ma trochę ciemniejsze. Nie będą się brudzić. Dywan i stół kupiliśmy wcześniej, razem tworzą niezły

zestaw. Już dawno nic mi się tak nie podobało. Byłam w szampańskim humorze. Jak to dobrze, że właśnie dziś je przywieźli. Tak mi zależało, żeby zabłysnąć przed żoną szefa.

Wykorzystam nareszcie starą porcelanę mojej mamy. Była wyjątkowo piękna. Kilka wyszczerbionych spodków w tym przypadku nie miało znaczenia. Potem kwiaty, świece i tak dalej, a na końcu szkło. Efekt byłby wspaniały, gdyby tylko nie ta goła żarówka pod sufitem i moje obolałe nogi.

Długo wybierałam odpowiednią sukienkę. Chciałam zaprezentować się godnie. Kilka rzeczy miało jeszcze swój styl, lecz nie bardzo pasowało do okazji. W końcu to tylko kolacja w bloku, a nie bankiet w Bristolu. Odpadały pretensjonalne kostiumy i wykładane białe kołnierzyki, źle mi było w obcisłym golfie i spódnicy do kostek. W jednym wyglądałam jak zwiędła kalia, w drugim jak dorodny rabarbar.

Potrzebowałam czegoś pośrodku, najlepiej zbliżonego do irysa. Fioletowa sukienka z miękkiej tkaniny, różowy szal, lekki i powiewny - dlaczego nie?

Kolacja wyszła mi trochę staroświecka i może zbyt jarska. Dania mało oryginalne, ale syte i treściwe. Do tego zawsze praktyczne sery, niewymagające specjalnej oprawy, i wina, białe i czerwone.

Goście spóźnili się pół godziny. Przyjechali całą grupą, dużym samochodem, młodzi i doskonali. Ośmioosobowy chrysler zalsnił nienagannym blaskiem i zaparkował obok mojego staruszka forda. Spoglądałam na rozgadane towarzystwo, wysypujące się na chodnik przed blokiem - nic mnie nie obchodzili. Podniecenie, które dojrzewało we mnie godzinami, nagle jak słupek rtęci spadło do zera.

Czułam chłód w sobie i w oczach gości przekraczających próg mojego domu.

Zwiędłam przy nich w jednej chwili, niczym kwiatek paproci. Speszona i zagubiona kręciłam się, objijając o ściany. Oni wszyscy tak dobrze się znali. Ściskając mi rękę, całując, jedynie muskali wzrokiem. Łapałam ich spojrzenia tylko po to, żeby rozpoznać, z kim mam do czynienia. Rafał i Maciej, pierwszy - niski brunet z trzydniowym zarostem, drugi blondyn, trochę starszy, dobrze zbudowany.

Opanowanie tremy dużo kosztowało. Godzina w pozie na baczność oswoiła mnie z atmosferą. Nie zostałam zdeptana ani zjedzona, więc później poszło jak z płatka. Żonglowałam półmiskami, próbując zasłużyć na pochwały. Mój różowy szal szybował, wpadając raz po raz w wazę z rosółem. Rozpalona do czerwoności, podniecona, zachęcałam do picia wina. To dało mi lekką przewagę. Czerwone na zmianę z białym, białe na zmianę z czerwonym...

- Słyszałam, że szuka pani pracy? - zagadnęła mnie Brodzka, żona szefa, apetyczna blondyna po czterdziestce, w obcisłej bluzce w tygrysie ciapki.

Czekałam na to pytanie. Wiedziałam, że padnie. Karol wspomniął jej o moich planach.

- Przymierzam się na razie - powiedziałam krótko.

- To przykre, ale nastały dla nas ciężkie czasy, nie będzie łatwo coś znaleźć.

Wielu stomatologów jest teraz bez pracy. Tym bardziej bez własnego sprzętu i gabinetu.

- Myślałam raczej o skromnym etacie. Dwa, trzy dni w tygodniu, świadczenia i ciągłość pracy, na tym mi zależy - szczerze wyznałam. - Miałam już własny gabinet, ale zamknęłam. Myślałam, żeby trochę odpocząć, coś w swoim życiu zmienić.

- Likwidacja gabinetu to niezbyt rozważna decyzja - skrytykowała. - Dzisiaj najważniejszy jest własny sprzęt, a pacjent zawsze się znajdzie.

- Myślałam, że ktoś taki jak ja, niezbyt obciążony rodziną, z długim stażem, to dla pracodawcy atut.

- Niestety, teraz stawia się na młodych. Powstaje nawet coś na wzór lobby młodego pokolenia. Chcą dla siebie wszystkiego - miejsc pracy i niezłych pieniędzy, a my, no cóż, na boczny tor.

- Jednym słowem pomysł z eutanazją jest jak najbardziej na czasie?

- Koszmarne, ale możliwe. - Moja rozmówczyni spojrzała dyskretnie na siedzące po drugiej stronie stołu dwie seksowne brunetki, wyzywająco, wręcz niesmacznie szczupłe, w sukienkach jak kombinezon nurka i makijażem w kolorze zgniłej śliwki.

- To one zadecydują? - spytałam przerażona.

- Być może - żona szefa uśmiechnęła się zadowolona, że zrozumiałam sugestię.

- Więc póki można, musimy się bronić.

- Dlatego postaram się jakoś pani pomóc. Sama mam już komplet pracowników, ale popytam znajomych. Może u nich coś się znajdzie. - Zapisała sobie moje dane i numer telefonu, kończąc tym samym zawodowy temat. Tymczasem w mieszkaniu zrobiło się gorąco, być może od parujących głów, bo kaloryfery zostały już dawno przykręcone. Muzyka, która sączyła się w tle, utonęła w narastającym hałasie.

Pani Ewa Brodzka - miła, choć nieco napuszona żona szefa, bez zahamowań brała udział w rozmowie. Nie przeszkadzała jej myśl, że po drugiej stronie stołu patrzą na nas oczy katów.

Wkrótce i mnie zaszumiło w głowie. Zapomniałam o swoich urazach. Zrozumiałam, że to krzywdzące oceniać ludzi po pozorach. Że są młodzi - to ich atut, ale nie znaczy, że zaraz źli. Dwóch przystojnych chłopaków z wystrzałowymi dziewczynami przy boku to tylko szpan. Rozmawiali o sprawach zawodowych i znali się na tym.

Nie mój interes, dlaczego przyszli bez żon.

Karol oczywiście nie miał żadnych oporów. Bawił się dobrze i nie zwracał na mnie uwagi. Trochę nadskakiwał szefowi i prowokował młodych do rozmowy. Panowie przez większość wieczoru usiłowali stworzyć cudowny program odnowy świata, wytyczyć nowy etap w dziedzinie cywilizacji, ustalić dla kraju właściwy system władzy, likwidujący kryzys i bezrobocie. My również, zamiast o szminkach i szmatkach, dyskutowaliśmy z nimi o karierach i finansach.

Po północy byliśmy na „ty”. Brodzki zaproponował toast za miłe spotkanie, a młodzi, bez wstydu i personalnych zahamowań, przystali na tę przystępną formę zażyłości.

- To takie trendy, łamać bariery wiekowe - zaszcebiotała brunetka z przeciwka.

- Żyjemy w ciekawych czasach. Wreszcie nikt nie śmie nam niczego narzucać - odpowiedział jej Maciej, blondyn w ciemnej marynarce i koszuli w skośne paski. -

Kupowałem ostatnio buty w sklepie Bianco Footwear. Obok mnie taki sam model przymierzał jakiś pan, na oko osiemdziesiątka.

Potem zobaczyłem go na parkingu, jak odpala najnowszego land cruisera.

- Ty ze swojej doktoranckiej pensji będziesz czekał na taki wóz o wiele dłużej - dodał Rafał.

- Pomyśleć, że kiedyś zrzucało się staruszków ze skały - dodałam nieśmiało, nieco speszona tematem rozmowy.

- Teraz, żeby rozpoznać wiek kobiety, trzeba najpierw sprawdzić jej numer pesel. - Maciej uśmiechnął się do mnie szeroko, a potem, przejmując rolę gospodarza, nalał do kieliszków wina. Przechylając się przez stół, dotknął włosami mojego ramienia. Zapach męskich perfum i młodego ciała poraził moje zmysły.

Siedziałam rozluźniona, przysłuchując się rozmowie. Wątpliwości zniknęły bez śladu, bariera, którą próbowałam postawić, okazała się fatamorganą, a anorektyczki w kombinezonach - sympatycznymi dziewczynami. Ewa Brodzka falowała rozkosznie swoim biustem, hipnotyzując Karola guziczkami wydatnych sutek, a jej mąż, pewnie z grzeczności, puszczał do mnie oko. Młodzi zajęli się sobą, rozmawiając o modzie offowej w literaturze i sztuce, a potem miły blondyn poprosił mnie do tańca. Czułam się zażenowana, gdy bez

skrępowania sugerował, że jestem warta grzechu, że Karol miał szczęście i inne jeszcze banialuki.

Tłumaczyłam mu, że trochę przesadza, takie rzeczy już mi nie w głowie, lecz on, spoglądając zalotnie, oświadczył: Miłość nie jest kwiatem jednej nocy, może zakwitnąć wiele razy.

- Prosimy o kawę - Karol przerwał nam taniec, przypominając mi o obowiązkach gospodyni. Podrygując w takt muzyki, poszybowałam do kuchni. Świat nie jest taki zły - pomyślałam, kołyszając biodrami. Niosłam przed sobą czekoladowy tort.

Oklaski dodały mi śmiałości. W rytm tych oklasków tańczyłam, podnosząc ciężki półmisek. - Dlaczego nie, przecież każdemu wolno. - Różowy szal z miękkiego jedwabiu okręcał się wokół moich bioder, dokoła głowy, a ja z tym tortem tańczyłam i tańczyłam.

- Brawo, brawo - słyszałam i byłam uszczęśliwiona.

Kiedy kawałki pulchnego tortu trafiły na talerzyki, wybiegłam do kuchni przygotować kawę. Po drodze w przedpokoju poprawiłam rozwichrzoną fryzurę i rozmazane oko. Zatrzymałam się przy drzwiach łazienki. Ze środka dobiegły mnie głosy moich nowych przyjaciółek - Kariny i Anity.

- Stara jest dobra - powiedziała jedna z nich.

- Ale już robi bokami. Tylko rzuć hasło, a gotowa się rozebrać i zatańczyć na stole. Kogoś w tej sukience mi przypomina - zawahała się. - I ten różowy szal...

- Kojarzy się z rybą, z welonką. Miałam kiedyś taką w akwarium. Albo z czerwonym bojownikiem.

Nie poczułam żadnego bólu. Przeciwnie, chciało mi się śmiać. To miło, gdy ktoś zauważy twoje istnienie. Obojętność, z jaką przyjął krytykę, zawdzięczałam mojej przyjaciółce Maryli. To dzięki niej od lat z uśmiechem godziłam się na krytykę mojej osoby. Wieczne prztyczki, których nikomu nie szczędziła, znieczuliły mnie i oswoiły z myślą, że nie każdemu musi się podobać to, jaka jestem i co robię. Dlatego teraz, choć opadła ze mnie euforia i radość, byłam spokojna i pogodzona. Tylko lekki uśmieszek zawstydenia wypłynął mi na usta i poczułam, że szyja robi się czerwona. Zakładając w ekspresie papierowy filtr, odliczałam skrupulatnie łyżeczki kawy.

Filizanki już nie drżały mi w rękach, kiedy ustawiałam je na stole. Kamila i Anita rżały ze śmiechu z obleśnego kawału, który wygłosił przed chwilą Brodzki.

Karol spoglądał w moją stronę, zdziwiony nagłą zmianą. On jedyny dostrzegł, że coś się stało. Wymieniliśmy spojrzenia ponad głowami gości i zobaczyłam, że się uśmiecha.

Rozumiał, od początku wiedział, że nie jestem taka jak oni, choć przez chwilę tak mi się wydawało.

Tym razem jakoś dobrze znosiłam tradycyjne zaloty mojego macho. Właściwie nie wiem, czemu tak mnie to zwykle drażniło. Spoglądając na to z innej strony - nie liczy się metoda, liczą się intencje, a one były zdrowe i spontaniczne. Może bardziej szczerze niż te inne, o których marzyłam od lat, które widziałam na filmach, o których czytam. Po prostu byłam zbyt wymagająca. Brakowało mi luzu i powinnam się zmienić. Nie mogę przeoczyć tego, co odradzało się między nami. Miałam obok siebie wiernego faceta, który kochał mnie bezkrytycznie, choć nie zawsze na to zasługiwałam.

Muszę to docenić, skoro zabrakło starego domu i ogrodu, powinnam dać z siebie więcej. Teraz leżał tuż obok, wierny jak pies, i usiłował skonsumować moje ciało. To było naprawdę miłe.

- Miałeś rację z tym mieszkaniem - powiedziałam, wtulając się w jego ramię.
- Co masz na myśli? - pytał, zajęty analizowaniem moich dłoni.
- Rzeczywiście było nam potrzebne - przyznałam.
- Też tak uważam - uśmiechnął się zadowolony. - Aż żal tych wszystkich straconych lat. Gdybyśmy zdecydowali się wcześniej, wiele rzeczy mogłoby się potoczyć inaczej.
- Może tak miało być. Ja niczego nie żałuję.
- Mnie to się nie podobało.
- Wiele małżeństw tak żyje. Czasy są takie, że nieraz trzeba do siebie jeździć.
- Ja jestem człowiekiem starej daty. Przepadam za małżeństwem stacjonarnym - mamrotał, całując raz przy razie moje ramiona.
- Teraz tak mówisz.
- Zawsze tak mówiłem, tylko nie słuchałaś. - Przemierzał ustami moje plecy wzdłuż kręgosłupa.

- Przyznaj się, przecież lubiłeś swoją samotność. Spojrzał spod ciemnych rzęs, nie przerywając wędrówki.

- Przestań gadać. Mam teraz co innego w głowie.
- No widzisz. Wykręcasz się od odpowiedzi.
- Małgośka - zawarczał.
- Nawet się irytujesz - pogroziłam palcem.

Cmokał mnie tu i tam. Mokre ślady jego ust znaczyły drogę pocałunków. Zrobiło mi się zimno. Schodził coraz niżej. Przebierał palcami jak flecista. Nie mogłam się skupić. Postękiwałam, ale myślami krążyłam zupełnie gdzie indziej.

- Więc uważasz, że nasze małżeństwo było nieudane? Przerwał na moment, prostując plecy.

- Czyja coś takiego powiedziałem?

- W podtekście - próbowałam dociekać.

- Każdy związek ma swoje lepsze i gorsze lata - dał w końcu za wygraną.

- Więcej było tych gorszych czy tych lepszych? Westchnął zniecierpliwiony i poprawił zwichrzony włosy.

- Różnie bywało - przyznał. - Ale teraz jest cudownie. Skoncentruj się.

- Mam ochotę porozmawiać.

- A ja mam ochotę na ciebie w wersji dla niesłyszących.

- Ty zawsze wolisz coś innego niż ja. - Jestem wzrokowcem.

- Więc mam się nie odzywać? - zapytałam.

Karol patrzył pobłaźliwie. Czułam, że przeciągam strunę.

- Możesz stękać, mruzczyć, nawet warczeć, bylebyś przestała wypytywać - mówił, drażniąc palcem brodawki moich piersi. - Jest tak przyjemnie - zrobił maślane oczy.

- No dobra - zgodziłam się. - Ale jutro omówimy sobie te sprawy.

- Zgoda - przytaknął, zasłaniając ręką moje usta i gasząc na łóżkiem światło.

Leżałam chłodna i odliczałam z cierpliwością czas. Na stoliku przy łóżku tykał zegar. Moje zmysły spały, a myśli krążyły wokół trudnych spraw. Karol tym razem jakiś cichy, wtulał się w moje ciało. Z trudnością powstrzymywałam senność.

Czułam jego dłonie na plecach i gorący oddech na szyi. Kołysał się lekko, miałam wrażenie, że leżymy w łodzi. Jego palce wolno przesuwały się w dół, muskając od niechcenia moją skórę. Gdzieś z pokoju napłynął zapach męskich perfum. Zamknęłam oczy. Wspomnienie zapachu podziałało niczym afrodyzjak. Czułam, jak otulają mnie inne ramiona, a gęste włosy koloru blond przesuwiają się miękko po mojej twarzy. Rosło we mnie podniecenie.

Zwinne dłonie niecierpliwie szukały do mnie najkrótszej drogi. Wspiwały się i opadały, wchodziły głęboko, żeby dotknąć najwrażliwszych miejsc, sprawiały ból.

Cała drżałam. Chciałam krzyczeć, krzyczałam, że kocham, że chcę!!! Jeszcze, jeszcze! Dudniło w mojej głowie, w uszach. Łóżko płynęło, cała skóra pokryła się wodą. Czułam, jak z brzucha spływa mi pot. Nie mogłam pojąć, co się dzieje.

Byłam bezgranicznie szczęśliwa. Wszystko się we mnie otworzyło, coś wpełzło do środka, śliskie i zwinne, chyba wąż. Tak, miałam w sobie węża. Przesuwał się miarowo, kurczył, rozciągał, wyskakiwał z pluskiem i znów zwinnie wchodził do środka. Każde

dotknięte miejsce paliło, pulsowało. Napierałam, żeby spotęgować rozkosz, wpychałam go do środka, jak najgłębiej, żeby został, nie odszedł, nie zniknął, żeby nie zabrał ze sobą zapachu, który bez reszty wypełniał mi głowę.

Następnego dnia obudziło mnie słońce. Zapomniałam przed spaniem zaciągnąć zasłony.

„Nic z tego, nie wstaję, boli mnie głowa. Jaki tu bałagan!” Rzeczy Karola wszędzie, skarpety na ziemi, koszula na telewizorze, majtki na stojącej obok łóżka lampie, a on spał smacznie, pochrapując. Całe łóżko jego, mnie zostawił malutki skrawek. W powietrzu unosił się zapach wczorajszej libacji, pomieszany z bardzo ulotnym, a jednak ciągle obecnym zapachem perfum. Spojrzałam przez otwarte drzwi w kierunku dużego pokoju. Czekwały na mnie sterty naczyń. To przesądziło. Walcząc z nudnościami, wzięłam się do roboty.

Karol wstał nieco później. Kiedy wyszedł z łazienki, wokół panował porządek.

- Robisz śniadanie? - zapytał, ziewając.

- A będziesz jadł? - wyraziłam zdziwienie.

- Bywało gorzej. - Rozsiadł się w kuchni za stołem w rozciągniętej piżamie i poprawił potargane włosy.

- Zrobić ci coś lekkiego czy odgrzać wczorajszą kolację?

- Poproszę najpierw o szklankę wody, a później zobaczymy - zdecydował po chwili.

- Jednak kac? - zapytałam z uśmiechem.

- Trudno to nazwać kacem. Raczej zmęczenie materiału. Do tego szalony seks i wystarczy. - Poglądził mnie po dłoni.

- Mili ci twoi koledzy - zmieniałam temat. - Na początku trochę mnie peszyli.

- Ja też miałem tremę, mimo że się znamy. Ale mam wrażenie, że wypadło nieźle.

Brodzki był zadowolony. Ewa cię chwaliła, a dziewczyny też dobrze się bawiły.

- To jest chyba ich główne zajęcie.

- Nie mam zamiaru pod tym względem oceniać innych - wyznał.

- Stałeś się tolerancyjny.

- Owszem - potwierdził i odstawił szklankę. - Sama słyszałaś - wzruszył ramionami. -

W modzie jest przełamywanie tabu, więc przełamuję. Zresztą - wyduł wargi - to tylko pozory, taka gra, takie public relations. Trzeba robić wszystko, żeby dobrze się czuć w swojej skórze, bez względu na to, do kogo ci bliżej, do Sylwestra Stallone, czy do świętego Franciszka.

- To nie dla mnie. Nie dam się porwać tej fali. Jestem za stara - oświadczyłam.

- Więc zostań na brzegu i oplakuj młodość.

- A niedawno mówiłeś, że jestem staroświecka, że nie korzystam z możliwości, że się cofam.

- Nie rozum tego tak dosłownie. Każdy wiek ma swoje granice.

- Już nie zostanę apostołką nowoczesnej kobiecości. To już za mną, jakieś tam pseudowyzwolenie. Może gdybym miała dwadzieścia pięć lat - zamyśliłam się. - E tam, szkoda czasu na marzenia. - Karol siedział zamyślony. Już mnie nie słuchał.

Odpłynął gdzieś daleko.

- Pójdę do łóżka - powiedział, podnosząc się z miejsca. - Chce mi się spać.

Obudź mnie za dwie godziny.

Wypiłam w samotności kawę, przeglądając uważnie wczorajszą gazetę z ofertami pracy. Czas zabrać się do jakiejś roboty i uruchomić proces adaptacji - pomyślałam. - Dłużej takiej beczynności nie wytrzymam. Zbliżała się trzynasta.

Karol spał. Z pokoju dochodził do mnie jakiś nowy dźwięk, którego nigdy przedtem nie słyszałam - dziwny chrobot przypominający wcinanie żołądki przez rozjuszonego dzika.

Agnieszka miała niewyraźną minę. Czekala tylko na okazję, żeby się zwierzyć z kłopotów. Karol oglądał w telewizji mecz. Poprosił o kawę. Tym razem musiał wypić ją sam, ewentualnie w towarzystwie piłkarzy. Kubek z różowym prosiaczkiem powędrował do pokoju, a my mogłyśmy ze spokojem omówić szczegóły. Najpierw krążyłyśmy dookoła bezpiecznych tematów, dotyczących Piotrusia i jego „naukowych” postępów. Potem Agnieszka poruszyła sprawę popsutego komputera, a właściwie monitora, który okresowo zmienia kolor ekranu z białego na fioletowy.

Nie potrafiłam jej powiedzieć, co to oznacza, a ona wcale nie chciała tego wiedzieć. Zapuszczała jedynie elektrody w moje ciało i szukała sposobu, żeby przejść do sedna sprawy. Potem scharakteryzowała jakiś kostium kupiony w sklepie pod rondem, a następnie spytała o dziadków, jak się czują i kiedy przyjadą do niej w odwiedziny. Coraz szersze kręgi tematów ani rusz nie przybliżały jej do meritum. Kiedy omówiona została jej ostatnia wizyta u fryzjera, nie wytrzymałam.

- A w domu wszystko w porządku? - zapytałam prawie pewna, że chodzi o małżeńską sprzeczkę.

- Mamo, czy pożyczylabyś mi na kilka tygodni swój samochód?

Zaskoczyła mnie. No cóż, od tego są dzieci. Tym razem wymierzyła prosto w moją niezależność. Lecz czy w obecnej sytuacji była mi ona do czegoś potrzebna? Samochód stał ciągle pod domem, ponieważ nie miałam nim gdzie pojechać. Zakupy robiłam na osiedlu,

poczta i bank były zaraz za rogiem, pracy nie miałam, do męża nie musiałam dojeżdżać, no i był przecież samochód Karola.

- To by się dało zrobić - powiedziałam z udawaną swobodą, chociaż czułam w sercu ukłucie. Próbowałam wyczarować miły uśmiech, bo przecież samochód to tylko samochód, a jeżeli dziecko jest w potrzebie, nie ma sprawy. Serce matki da się rozciągać w nieskończoność. - Wybierasz się gdzieś sama? - zapytałam, bo wiedziałam, że Agnieszka niechętnie prowadzi.

- Będę odwoziła Piotra do przedszkola. Już go zapisałam. Byłam zobaczyć, jak tam jest. Całkiem nieźle, chociaż trochę drogo.

- Jak to - byłam zdumiona. - Masz zamiar zmienić pracę? Znalazłaś sobie coś innego? Myślałam, że lubisz pracować w domu.

Agnieszka nie mogła się przełamać.

- Po prostu chcę mieć dla siebie więcej czasu. Kolejny rok jestem uwiązana w domu. Mam dość. Nie chcę zmieniać pracy, ale potrzebuję jakiejś odmiany, odrobinę swobody.

- Więc poproś Michała.

- To nie jest możliwe. On zaczyna pracę bardzo wcześnie. Nie miałabym serca budzić dziecka o tej porze. Do tego pokłóciłam się z Michałem. Jest na mnie zły za ten pomysł. Twierdzi, że wiele hałasu o nic. Według niego Piotr nie jest kłopotliwym dzieckiem i nie absorbuje sobą, i w ogóle nie wie, o co mi chodzi.

- A ty na pewno wiesz? - zapytałam, bo zrobiło mi się żal Piotrusia. Też wolałabym, żeby został w domu z mamą. Ale ja nie miałam tu nic do powiedzenia, chociaż tok moich myśli świadczył wyraźnie, że zapomniał wół jak cielęciami był.

To jasne, ona miała dość niańczenia. Chciała czasami wypuścić się i po babsku zaszaleć. Nie powinnam jej oceniać, a jednak miałam żal, że moja córka wybiera wolność. Chociaż, czyja wiem? Może ma rację. Trochę samodzielności Piotrowi też się przyda. Rośnie na małego sobka. Całymi dniami słucha rozmów dorosłych, wszyscy mu ustępują. Czas, żeby spojrzął prawdzie w oczy. Wszak życie nie zawsze głaskać go będzie po głowie. Usłyszałam, jak Agnieszka pociąga nosem. Zakryła twarz rękami i rozplakała się na całego. Jej wążutkie dłonie nie były ani trochę podobne do moich, szerokich i zniszczonych, z poszarpanymi paznokciami, popękana skórą. Białe paluszki mojej córki, niezbrukane pracą w ogrodzie, przyjemne w dotyku i takie młode. Pomyślałam, że dobrze mieć córkę. Gdy na nią patrzę, mam uczucie, jakbym patrzyła na siebie. Nie ze względu na podobieństwo, bo jest niewielkie, a raczej z powodu przeświadczenia, że jest moją repliką, że jest mną, że ja to ona, że jesteśmy jedno, żyjemy w sobie nawzajem. Że gdy kiedyś umrę, to tak naprawdę pozostanę w niej i

będę żyła, oglądała świat jej oczami i myślała jej myślami. Wtedy śmierć nic nie znaczy. Czy moja matka czuje to samo?

- Szkoda łez, dziecko - uspokajałam, głaszcząc ją po głowie. - Porozmawiaj jeszcze raz z Michałem, wytłumacz spokojnie, może zrozumie. A Piotruś na pewno poradzi sobie w nowym miejscu. Pozna innych kolegów, nauczy się żyć wśród rówieśników. Towarzystwo mamy nie wystarczy, by poznać blaski i cienie bycia wśród ludzi. Samochód ci oczywiście pożyczę. Nie wiem, czy będzie mi z tym dobrze, bo przyzwyczaiałam się do niezależności, ale jeżeli oddasz go w przyzwoitym czasie, to może wytrzymam.

- Chciałabym spróbować - otarła mokre policzki. - Jeżeli Piotr się przyzwyczai, pomyślę o swoim samochodzie - powiedziała, głośno smarkając w chusteczkę. -

Oddam ci go w sobotę rano, a pożyczę znów od poniedziałku.

Patrzyłam, jak odjeżdża spod bloku, i było mi czegoś żal. Lubiłam swój samochód.

Dobrze, że choć na sobotę go odzyskam. Jeżeli będzie lepsza pogoda, wybiorę się do starego domu. Zostało w nim jeszcze trochę naszych rzeczy, głównie kompoty, wina i owoce. Nowy właściciel zostawił mi klucze. Tak mu się spieszyło z kupnem, a teraz wszystko stanęło w miejscu. Podobno zacnie na wiosnę. To dobre miejsce dla chcących znaleźć ukojenie od gwaru dużego miasta. Zazdroszczę wszystkim tym, którzy tam zamieszkają. Zazdroszczę nawet tym, co będą tam pracować. Zazdroszczę każdemu, kto będzie miał prawo przebywania w moim ogrodzie.

Ale teraz wybierałam się do rodziców. Muszę zabrać kompoty i kilka słoików z ogórkami. Ojciec bardzo je lubi. Mamie zabiorę malinowe konfitury. Niestety w ich piwnicy niewiele można zmieścić. Dlatego większość zapasów przechowuję u siebie. Było już późno. Karola trudno będzie oderwać od meczu. Nieraz daje popis swoimi humorami. Zachowuje się wtedy jak stary kawaler. Ma mnóstwo przyzwyczajęń, z których dotychczas nie zdawałam sobie sprawy.

Gdy weszłam do pokoju, nawet nie oderwał wzroku od obrazu. Na stole leżały jego nogi, a obok stał kubek po kawie. Na dywanie rozrucił gazety, koszulę i kaptcie.

Okazując niezadowolenie, przemaszerowałam ostentacyjnie przed jego nosem, zasłaniając ekran.

- Ale śmieszne - usłyszałam.

- Długo jeszcze będzie ten mecz? - miałam głos podobny do gdakania kury.

- Aż się nie skończy - wyjaśnił.

- Mógłbyś sprecyzować - nalegałam. Popatrzył z ukosa.

- Jeszcze dziesięć minut.

- Jak będziesz gotowy, wyjeżdżamy. Wszystko już spakowałam.
- Zabierz jeszcze młotek i kilka gwoździ - powiedział, patrząc w telewizor. -
Obiecałem rodzicom, że dzisiaj powieszę obrazy.

- Miałeś kupić nową baterię do prysznicza.

Wzruszył ramionami i nie przerywając oglądania meczu, odpowiedział:

- Nie kupiłem.

- Zapomniałeś?

- Nie zapomniałem, ale ojciec nie dał mi pieniędzy. Wiesz, jak to jest. -

Podrapał się w szyję, pokrytą lekkim zarostem.

- Dostanie baterię i zapomni.

- O czym?

- Żeby oddać!

- No wiesz! - zaskoczył mnie. - Nie rób problemu z paru groszy. Ile może kosztować zwykła bateria?

- Nieważne. Teraz nasze domy to dwa odrębne przedsiębiorstwa. Każde musi być samowystarczalne. Jeżeli będziemy wszystko finansować, nigdy nie poznają swoich możliwości - wyrecytował jak starszy buchalter.

- Oni nie muszą na sobie oszczędzać. Dali nam dość dużo, żeby teraz nie martwić się o drobiazgi.

- Przecież nie możemy ich utrzymywać.

- Ty chyba nie wiesz, co mówisz - obruszyłam się. Powoli żarty zaczęły zmieniać się w małżeńską kłótnię. - Kto kogo utrzymywał przez lata? To my korzystaliśmy z ich gościnności.

- Jakie korzyści masz na myśli? Chyba nie finansowe?

- Odbiło ci? - nie wytrzymałam. Podniósł gazetę i rzucił na stół.

- Proszę, nie przeszkadzaj, chcę oglądać mecz, nic więcej. Wkurzyłam się. Pojadę sama, bez łaski.

- Gdzie są moje kluczyki od samochodu? - warknęłam do siebie. No tak, przecież ja nie mam samochodu. Ten fakt dopełnił kielicha gorzkości. Już chciałam sobie popłakać, gdy usłyszałam za plecami głośne szuranie. To Karol wychodził z pokoju. Był ubrany w bluzę, na nogach miał półbuty.

- Zbieraj się. - Stał w drzwiach, a gdy przechodził obok, klepnął mnie mocno w pośladki. Nienawidzę klepania w pośladki. Mruknęłam coś niemilego pod nosem i wtedy zadzwonił telefon. Zanim dobiegłam do aparatu, Karol pierwszy podniósł słuchawkę.

Rozmawiał o czymś z Brodzkim, najpierw tylko przytakiwał, a potem się bronił. Usiadłam zrezygnowana. Od razu czułam, co się święci.

- Nic takiego, po prostu chciałem teraz wyjechać - odpowiedział z lekką irytacją. - Ale jeśli trzeba, zaraz będę. Nie, nie jestem zdenerwowany. Tylko już kolejny raz dostaję to zastępstwo. Do tego bez uprzedzenia. Mam na piątek już inne plany. Wiem, wiem - powtarzał. - Tylko potrzebuję czasu, żeby wszystko zakończyć. Ale trudno, pojedę, jeśli to konieczne, możesz na mnie polegać, oczywiście. - Czułam jak w Karolu narasta rozdrażnienie. - Tak, żona jest w domu. Zaraz poproszę ją do telefonu. - Odwrócił się w moją stronę ze słuchawką uniesioną wysoko w powietrzu.

- Słucham - powiedziałam trochę wystraszona.

- Mówi Ewa Brodzka. Dzwonię, jak obiecałam. W sprawie pracy.

Będę dyżurowała w pogotowiu stomatologicznym. To dobre rozwiązanie. Można funkcjonować w dzień, a noce w moim wieku są i tak spisane na straty. Sypiam teraz słabo. Wciąż mi duszno. Mam wrażenie, że sufit zaraz spadnie mi na głowę.

Gdy stoję, jest na wyciągnięcie ręki. Mam metr siedemdziesiąt wzrostu, do sufitu brakuje dziewięćdziesiąt centymetrów. Za jakiś czas się przyzwyczaję. Teraz walczę z klaustrofobią. Karol chrapie, nie pomaga gwizdanie ani szturchanie w bok. Brakuje mi ruchu. Dnie spędzam na niczym, nocami rozmyślam. Dlatego nocne dyżury bardzo mnie cieszą. Karol narzeka, że znów przed nim uciekam, lecz robi to raczej z poczucia obowiązku. Czuję, że brakuje mu spokoju. Gdy mnie nie ma, robi co chce. Dyżury w pogotowiu dadzą mu namiastkę tego, co utracił. Na szczęście ma swój własny pokój. Może się w nim zamknąć i używać ile wlezie. Gdy kończy pisać, muszę wjeżdżać tam odkurzaczem i robić gruntowne sprzątnięcie.

Potrafi zmienić pokój w chlew. Ostatnio dużo pracuje w domu. Mało o tym rozmawiamy. Zazwyczaj nie mówi o tym, co pisze, ale teraz jakby się ukrywał. Coś tam drukuje, wciąż siedzi w Internecie albo wisi na telefonie. Ostatnio zaprosił do siebie kolegę. Pracowali do rana. Nie poszli spać, tylko pisali. Strach było po nich wejść do pokoju. W nowym roku zaczyna seminaria w Krakowie. Przygotowuje cały cykl na temat metod tworzenia nazwisk i źródeł ich powstawania. To praca zespołowa. Część o rdzeniu nazwiska i jego frekwencji w danych rejonach kraju to działka Karola.

Podczytuję, gdy nie ma go w domu.

Przez tę pracę prawie mnie nie dostrzega i ledwo znosi moją obecność. Chodzę na palcach. Często uciekam z domu. Jeżdżę do rodziców jego samochodem. W sobotę wybiorę

się do starego domu. Tęsknię okropnie, udaję, że nie, ale robię wszystko, żeby nie płakać. Jest ciepło, nie pada. Jeżeli do soboty tak zostanie, pojedę na Lipową. Już się nie mogę doczekać.

Wczoraj kilka razy zadzwonił telefon. Nikt się nie odezwał. Ciekawe, może to Maryla. Mam przeczucie, że to ona. Tylko skąd znalazby numer naszego telefonu?

Aha, przypomniałam sobie. Przecież przenieśliśmy stary numer z kawalerki.

Dzisiaj przyniosłam plik zdjęć zrobionych w ostatni dzień pobytu w starym domu.

Wypstrykałam cztery klisze. Chciałam utrwalić jak najwięcej miejsc. Pamięć jest zawodna. Będę zasilala moje serce wzrokowymi bateriami. Zdjęcia schowałam do szafy, na samo dno, może podzielę się z rodzicami. Karolowi nie pokażę, bo by to odpowiednio skomentował. Może później, gdy też zatęskni.

Kończą się moje pieniądze. Miałam swoje oszczędności, ale szybko się rozeszły.

Nie potrafię oszczędzać. Nigdy nie musiałam. Czas iść do pracy, nie przywykłam prosić męża o pieniądze, tym bardziej że mój mąż, jak twierdzi, nie zarabia wiele. To raczej ja latałam rodzinny budżet. Karol odkładał na samochód albo na wakacje. Zakupami zajmowałam się sama, zachciankami również. Jego to nie interesowało, był ponad. Nowe mieszkanie kosztowało fortunę. To, co zostało, ma być rezerwą do emerytury.

Jestem podniecona i niespokojna. Noc dłużyła się niemiłosiernie, poranek nie chciał przyjść. Dzisiaj wybieram się na Lipową, ale wybieram się jak sójka za morze. Wciąż wymyślam nowy pretekst, żeby nie wyjść z domu. Coś mnie gna, a jednocześnie płoszy. Może nie powinnam? Dręczą mnie wątpliwości. Jadę tam w tajemnicy. Nie chcę komentarzy i wymówek. Zresztą i tak nikogo nie ma w domu.

Agnieszka z Michałem i Piotrem pojechali do teściów, a Karol jest w Krakowie.

Wyjechał już wczoraj wieczorem.

Domy i domy, wciąż to samo. Wreszcie wyjechałam poza miasto. Przez uchylone okno wpada zapach mokrej ziemi. Tutaj jest już przyjemniej. Pocą mi się ręce, robię się niespokojna. Miałam nadzieję, że zanim dojadę, przygotuję się na znajomy widok, uspokoję. Nie zdążyłam. Dom wyrósł przede mną jak widmo. Odetchnęłam głęboko, jak cudownie, nareszcie u siebie. Poczulałam się, jakbym nigdy stąd nie wyjeżdżała, tylko wróciła z pracy albo z zakupów. Ciężkie ramię bramy odsuwało się powoli, wydając znajome dźwięki. Pochylony słupek, niedawno naprawiany, jeszcze bardziej się przekrzywił. Chciałam całować ten słupek, kamienie i ziemię. Gdyby nie szczekanie psa, pomyślałabym, że śnię. Zza domu wybiegła Duna.

Boże, jest! Macha radośnie ogonem, jak zawsze gdy wracałam do domu. Też nie mogła żyć bez ogrodu i wróciła - dzielny pies, dzielny i mądry. Przebiegła sama taki kawał i znalazła drogę do domu. Nieprawdopodobne! Stałam skamieniała.

Pragnęłam, żeby ktoś wymazał z mojego życia ostatnie tygodnie, oddał mi przehandlowaną tożsamość i pozwolił wrócić tu, jak psu.

Samochód wtoczył się na podjazd przed domem. Słysząc było szelest suchych liści i trzask pękających gałęzi. Wiatr natargał ich sporo pod nieobecność gospodarza. Nikt ich nie sprzątnął, więc zalegały trawniki i alejki. Stałam przed domem obezwładniona panującą martwością. Nikt tu nie mieszkał i to było widać. Schody, taras, cały budynek tonął w morzu liści. Nie pamiętam takiego widoku, choć żyłam w nim pięćdziesiąt lat. Czarne oczodoły okien, bez firanek, zaschnięte pelargonie na parapetach, oskubane z liści, fruwały na wietrze, siejąc grozę. Rozbite doniczki, ziemia rozsypana na schodach. Garnek Duny, samotny mieszkaniec, witał na progach domostwa, i ta straszna pustka.

Minęłam dom, żeby nie karmić duszy przygnębiającym obrazem, i ruszyłam w głąb ogrodu. Niestety, był jeszcze smutniejszy. Umilkły ptaki, umarły kwiaty, drzewa szykowały się do zimowej drzemki, warzywniak zarósł zielskiem. Czegóż oczekiwać od przyrody. Przecież tak było zawsze o tej porze. A jednak czułam, że nie jest tak samo. Coś było inaczej. Ogród milczał, choć zawsze za mną rozmawiał.

Potraktował mnie jak Judasza. To prawda, zdradziłam go. Rozpieściłam, rozkochałam, zawładnęłam duszą i sprzedalam. Teraz ginie, a ja patrzę na jego koniec i już niczego nie mogę zmienić, w żaden sposób zmyć swojej winy.

Zmrok zaskoczył mnie niespodziewanie. Tak wcześnie robi się ciemno. Nie weszłam do domu. Chciałam coś z niego zabrać, ale nie miałam odwagi. To byłoby zbyt bolesne. Poczuję znajomy zapach i rozkleję się do końca. Szukałam wykrętów. Może przyjadę za kilka dni. Czasu jest dość. Przez całą zimę nic tu się nie będzie działo. Może w którąś niedzielę wszyscy przyjedziemy pospacerować. Duna dreptała obok, już mniej radosna, raczej zmęczona. Wodziła wzrokiem po ciemniejących koronach drzew, popiskiwała. Nie mogłam jej tak zostawić. Zginie tu z głodu.

Było mi przykro, że muszę ją zabrać, że niepotrzebny jej trud, bo nie będzie doceniony. Miałam nadzieję, że da się wsadzić do samochodu. Wracałam w stronę bramy kasztanową aleją. Wzięłam ze sobą kilka dorodnych kasztanów, które zalegały jeszcze na ziemi. Za miesiąc znikną w dziuplach wiewiórek. Tak trudno rozstać się tym miejscem. Samochód wyjechał na drogę, usłyszałam uderzenie bramy - wiatr targał ją z całej siły,

próbując zniszczyć. Duna leżała na tylnym siedzeniu. Dała się zabrać bez oporów. Wracałyśmy jak na wygnanie.

- Małgosiu! - Otworzyłam oczy. To Karol. Było jeszcze ciemno, gdy zobaczyłam w półmroku jego twarz. Zaspana i zaskoczona próbowałam ustalić, czy nie śnię.

- Wróciłeś? - Zdumiona przecierałam oczy.

- Nocnym pociągiem - oświadczył krótko i zaczął zdejmować płaszcz.

Spojrzałam na zegarek. Był poniedziałek, szósta rano.

- Wracasz czy wychodzisz? - Wszystko mi się poplątało.

- Teraz wchodzę, ale za chwilę wyjdę.

- Myślałam, że masz dzisiaj wolne?

- Niestety, muszę iść na uczelnię. Wezmę prysznic, zjem coś i jadę do pracy.

Zrób mi kilka kanapek. Od wczoraj nic nie jadłem.

- Nie było Warsu?

- Wiesz, ile w Warsie kosztuje bułka?

- Nie wiem - powiedziałam szczerze, a potem dodałam: - Chyba stać cię na bułkę?

Nie usłyszałam odpowiedzi, ale czułam, że się zdenerwował.

- Mam wstać? - zapytałam z nadzieją, że jakoś sobie poradzi.

Spojrzał z wyrzutem.

- Wyśpisz się później. Będziesz miała dosyć czasu. Zrób mi herbatę i chleba z dżemem.

Wyczołgałam się zaspana spod kołdry. W mieszkaniu było chłodno, lubiłam chłód.

Przyzwyczaiałam się do rześkiego powietrza. Jak tylko zostałam sama, pozakręcałam wszystkie kaloryfery. W końcu to nie była jeszcze zima.

- Strasznie zimno - usłyszałam zza drzwi. Karol nie znosił zimna.

- Zakręciłam kaloryfery - odpowiedziałam, ziewając.

- Chcesz, żebym się rozchorował?

- Przecież nie było cię w domu.

- Nie rób tego więcej. Nie znoszę, gdy w domu jest zimno.

- Ale ja się pocę, dla mnie jest za ciepło - próbowałam bronić swoich racji, odkręcając grzejniki. Karol brał prysznic i głośno śpiewał. Hałas zagłuszył moje słowa. Gorąca para wydostawała się otworami przez drzwi łazienki, woda dudniła niczym wodospad. Stałam boso przy lodówce i próbowałam zebrać myśli. Zza drzwi dochodziły parskania, prychnania. Miałam wrażenie, że łazienka za chwilę wyleci w powietrze.

- Wiesz, że nie pijam o tej godzinie kawy - oświadczył, gdy siadaliśmy do stołu.

- Myślałam, że jesteś śpiący. Odsunął szklankę.

- Poproszę herbatę - oświadczył stanowczo. - W moim kubku z prosiaczkiem - wyraźnie podkreślił.

- A co z kawą? - byłam zirytowana. - Wypij - odpowiedział jednym słowem.

- Przyjedziesz na obiad czy zjesz coś w pracy? - nie dałam się sprowokować. Coś go ugryzło. Czułam, że wystarczy iskierka, a eksploduje. Nie chciałam być tym zapłonem.

- Na obiad będę w domu. Przyjdę po czwartej, możesz coś przygotować.

- Potrzebuję trochę pieniędzy - oświadczyłam. - Moje już się skończyły.

- Jak to? - nagle zmienił ton. - Tak szybko?

- Niestety. - I co teraz?

- Jak to co? - wykrztusiłam zaskoczona. - Wyciągniemy z oszczędności.

- Myślałem, że pozostawimy dawny układ - powiedział zgaszony. - Ty utrzymujesz dom, ja oszczędzam na wakacje i ekstra wydatki.

- Czemu nie! - roześmiałam się zirytowana. - Tylko, że ja jeszcze nie pracuję.

- No dobrze - wzruszył ramionami. - To ile potrzebujesz? - pytał, grzebiąc w kieszeni.

Zanim odpowiedziałam, położył na stole piętnaście złotych.

Czekałam bez słowa. Karol również.

- Wystarczy? - zapytał po chwili.

- Chyba żartujesz? - zmarszczyłam brwi.

- Nie rozumiem?

- To wszystko?

- Będę ci dawał codziennie - oznajmił z dumą.

- Codziennie piętnaście złotych? - nie wierzyłam własnym oczom.

- Oczywiście, że codziennie - zapewniał żarliwie, chowając do kieszeni portfel, i miał ochotę zakończyć rozmowę.

- Karol, czyś ty się urwał ze sznurka? - złapałam go za rękaw.

- Mów jaśniej - nie pojmował, co mnie tak dziwi.

- Masz pojęcie, ile kosztuje życie?

- Przecież gospodarzę sam przez wiele lat - zapewniał.

- Co ja mam z tym zrobić? To mi na nic nie wystarczy. - myślałam, że śnię.

Karol spoglądał raz na mnie, raz na pieniądze. Wyglądało na to, że nie rozumie.

- Bardzo przepraszam, może tobie nie wystarczy - podniósł trochę ton głosu. -

Ja, gdy byłem sam, wydawałem na dzień najwyżej dziesięć złotych. Sześć złotych kosztował mnie obiad w stołówce. Cztery wydawałem na chleb i jakiś dżem.

- Tak, to się zgadza - poczułam wściekłość. - A resztę przywoziłeś z domu.

Pakowałam ci wałówkę na kilka dni. W ten sposób można żyć za dziesięć złotych.

- Dlatego daję ci piętnaście.

- Kpisz sobie? - wciąż miałam nadzieję, że żartuje.

- To nie są kpiny - powiedział stanowczo. - Musimy po prostu żyć oszczędniej.

Zaczynamy wszystko od nowa, jak nowożeńcy. Potrzebne są pieniądze. Mamy wydatki.

Piętnaście złotych musi wystarczyć. Dopóki nie będziesz pracowała, będziemy kupowali tylko najpotrzebniejsze rzeczy - oświadczył z powagą.

- Karol, to jakieś nieporozumienie. To zdecydowanie za mało - czułam ogarniającą mnie bezsilność. - Nie wyobrażaj sobie, że pójde na to, i zrozum, ja nie mam zamiaru na nic oszczędzać ani zbierać! - krzyknęłam. - Chcesz do końca życia na coś zbierać? Po co? Ile jeszcze nam życia zostało? Teraz trzeba korzystać, a nie oszczędzać - mówiłam do niego jak do dziecka, powtarzając bez końca to samo, i nie mieściło mi się w głowie, że mówię do własnego męża. Tarłam ręką czoło w nadziei, że to zaraz się skończy, że Karol potrzyma mnie jeszcze chwilę w niepewności, a potem uśmiechnie się, klepnie w kolano i zarechocze starym zwyczajem: „Ale dałaś się nabrać.

Myślałaś, że mówię serio?!”

Niestety, nic takiego się nie stało, a Karol bez słowa dokończył herbatę i zbierał się do wyjścia. Siedziałam sparaliżowana i ogłupiała. Wpatrywałam się w pieniądze, które mi zostawił, i nie wiedziałam co dalej. Przecież nie mogłam tego tak zostawić. Ja nie potrafię żyć za piętnaście złotych. Co można za to kupić? Może niektóre kobiety potrafią oszczędnie gospodarzyć, może dla nich taka forsa to fortuna. Ja przywykłam do innych sum. Nawet nie umiałam określić jakich. Kupowałam zawsze to, co było potrzebne, i nawet nie pomyślałam ile co kosztuje. Jak mu wytłumaczyć, że nie zna się na prowadzeniu domu? Robił to po swojemu przez wiele lat i uważa, że da się tak dalej. Miałam tylko nadzieję, że nie każe mi z tej sumy oszczędzać na miesięczne opłaty.

To, co się stało dzisiaj rano, uświadomiło mi wyraźnie, że jeszcze wszystko przede mną. Kto wie, jakie rewelacje mój mąż trzyma w zanadrzu. A jednak postanowiłam nie robić z tego afery. Czas wszystko zrewiduje. Karolowi potrzebna jest praktyka. Żył dwadzieścia osiem lat w przeświadczeniu, że jest oszczędny, a moja w tym głowa, żeby uświadomić mu, jak było w rzeczywistości.

Dostanie przez kilka dni placki ziemniaczane na obiad i chleb ze smalcem na kolację, to zrozumie. Cieszyłam się z góry na jego przebudzenie. Przyjemnie będzie patrzeć, jak dojrzewa. Za parę dni wszystko się okaże. Byłam tego pewna.

Jedno wiedziałam. Muszę jak najprędzej zacząć pracować. Ewa Brodzka, która załatwiała mi etat w pogotowiu, oddzwoniła, że sprawa trochę się przeciąga. Czy dostanę tę pracę, nie miałam gwarancji. Dotychczas nie było gwałtu, teraz jest konieczność. Odechciało mi się spać. Ubierałam się, myśląc tylko o jednym: Muszę pracować. Nie dam się terroryzować. Albo będą wieczne awantury o pieniądze, albo odzyskam niezależność.

Wróciłam do domu zdruzgotana. Okazało się, że znaleźć pracę w dużym mieście, to nie jest wcale łatwa sprawa. Byłam naiwna. Tak odeszłam daleko od rzeczywistości, jak Karol od finansów. Okazało się, że oboje potrzebujemy czasu, żeby zrozumieć pewne zjawiska. Dzisiaj znajomości niewiele pomogą. Skończyły się czasy, kiedy robota leżała na ulicy. Przecież wiedziałam o tym. Rozmawialiśmy wiele razy na ten temat. Wiedziałam, że mamy w kraju bezrobocie, a dziś, gdy mnie to osobiście dotknęło, pojęłam wagę problemu. Dopiero teraz zrozumiałam, jak jest. Miałam tylu znajomych prowadzących własne gabinety, poradnie. Byłam pewna, że z ich pomocą załatwię pracę. Nie marzyłam o jakimś rewelacyjnym etacie. Nie obiecywałam sobie wiele. Czasy, gdy harowałam zgięta w pół nad cudzą szczęką, mam już za sobą i nie chcę do tego wracać. Skrzywiony kręgosłup, zmarnowane oczy i złotaczka typu B, wystarczy. Teraz miałam zamiar dorobić i utrzymać ciągłość pracy. Tylko to. Po dzisiejszym dniu okazało się, że to marzenie ściętej głowy. Wprawdzie pocieszono mnie, że jeżeli tylko coś się znajdzie, to będą pamiętać, lecz cóż znaczą takie obietnice? Miałam w kieszeni piętnaście złotych i pustą lodówkę. To nie były żarty. Wyszło na to, że tego dnia na obiad rzeczywiście będziemy jedli placki ziemniaczane.

Posadziłam w doniczce pierwszego kasztana. Złamałam tajne przyrzeczenie, że w domu żadnych kwiatów. Nasiona znalazłam w kieszeni, razem z wyschniętym liściem.

Doniczka kosztuje sześć złotych, więc posadziłam go w pudełku po jogurcie.

Zastanawiam się nad przysłowiem, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Jeżeli tak jest, to nie mam ich wśród moich znajomych. Od kiedy zaczęłam szukać pracy, nigdy nie ma ich w domu. Dzwonię do domu, są w pracy, w pracy ktoś informuje, że pojechali do domu. Wiem, jestem rozgoryczona i niesłusznie się czepiam. Oni są po prostu zapracowani, a ja nie, i mam wrażenie, że stałam się dla nich petentem, trochę zbyt nachalnym i kłopotliwym. Agnieszka tłumaczy, że to ja podkreślam różnice, bo czuję się gorsza.

- Mamo, przecież nie musisz pracować. Znajdź sobie ciekawsze zajęcie.

- Oczywiście, że nie muszę, pod warunkiem, że ty będziesz opłacała moje ubezpieczenie - zadrwiłam. - Jeszcze do końca roku mogę je finansować, ale później kłapa. Pozostaje przejście na rentę, ale kto da rentę kwitnącej kobiecie? Nie ma dla mnie ciekawszych zajęć, umiem tylko naprawiać zęby i pielęgnować rośliny.

Mogę jeszcze za darmo opiekować się Piotrusiem, odciążyc ciebie. I nie będzie trzeba płacić za przedszkole, a przy okazji odzyskam samochód - zażartowałam.

Agnieszka zrobiła dziwną minę. Widać nie w smak jej była moja propozycja.

- No wiesz... - zacięła się. - Piotr lubi chodzić do tego przedszkola.

- Wiem - odpowiedziałam. - Ale mówiłaś, że jest bardzo drogie?

- Tylko, że on zaprzyjaźnił się już z dziećmi i ciągle pyta o kolegów. Nauczył się nowych rzeczy... - tłumaczyła się zakłopotana. - Przecież sama mówiłaś, że to dla niego dobre.

- Tak, tak - szybko potwierdziłam. Czułam, że robię się czerwona. - Dla niego to rzeczywiście jest bardzo dobre. Więc nie ma o czym mówić. A samochód? - postanowiłam do końca wyjaśnić sprawę.

- Michał rozgląda się. Chcemy kupić coś używanego.

- Nie poruszałabym tego, ale w obecnej sytuacji bardzo by mi się przydał.

Łatwiej będzie mi poszukać pracy - powiedziałam to bez przekonania, bo nagle zdałam sobie sprawę, że teraz nie stać mnie na paliwo. - Na ojca samochód nie mogę liczyć. Całymi dniami nie wraca do domu, a jak już wróci, to wieczorem. Za późno na załatwianie czegokolwiek.

- A teraz, gdzie się podziewa? - Wyjęła z torebki jakieś dokumenty.

- Od dwóch dni jest w Krakowie. Wraca jutro z samego rana. Masz do niego sprawę?

- Przywiozłam tłumaczenia, o które prosił. - W rękach trzymała kilka zapisanych stron.

- Mam mu oddać? - Próbowałam przeczytać. Tekst był po niemiecku.

- To tłumaczyła znajoma. Zatrudniam ją czasem. Jest dość dobra i szybka. Staram się być wszechstronna, żeby pozyskać klientów.

- No proszę, jaka solidna firma! - wyraziłam swoje uznanie.

- Takie czasy - uśmiechnęła się, zadowolona z pochwały. - Oddaj to ojcu, a ja jutro przyjdę jeszcze raz. Przecież to tylko kilka uliczek. Jakby coś było źle, pogadamy, ale myślę, że będzie zadowolony. Zresztą - cofnęła rękę - zaniosę mu na biurko. - Wyszła z kuchni zamasztył krokiem i zniknęła za drzwiami gabinetu.

- Mamo - usłyszałam po chwili. - Czy tutaj coś się stało?
- zapytała.
- Gdzie? - udawałam, że nie wiem, o co chodzi.
- Czy przez pokój ojca przeszedł jakiś tajfun?
- Nie, kochanie - odpowiedziałam naturalnym głosem.
- Tam jest tak zawsze.
- A nie można tego posprzątać?
- Ojciec zabrania. Mówi, że mimo pozorów każda rzecz ma swoje stałe miejsce. Jeśli coś zmienię, on w niczym się nie połapie.
- Poproś go, może jednak posłucha - zaproponowałam. - Tu wygląda okropnie.
- Już prosiłam. - I co?
- Jak widzisz.
- Nie przypuszczałam, że ojciec...
- Ja też - odpowiedziałam ze smutkiem.

Karol miał być rano, teraz zbliżał się wieczór. Nie wiedziałam, gdzie przepadł i co się z nim dzieje ani dokąd dzwonić, ani kogo zapytać. Komórkę zostawił w domu. Wydeptałam wąską ścieżkę pomiędzy kuchnią a dużym oknem w pokoju, płozy bujanego fotela prawie przepiłowały podłogę. Zabrakło kawy, skończyła się herbata, lodówka świeciła pustkami, bo piętnaście złotych jeszcze nie wróciło do domu. Wyjadałam nerwowo wiśnie ze słoików, zagryzając jabłkiem. Koło dwudziestej drugiej usłyszałam hałas na korytarzu. To wracał mój mąż, a właściwie przywieźli go. Był kompletnie pijany.

W pierwszej chwili myślałam, że coś mu się stało. Dopiero zapach i widok maślanych oczu objawił mi całą prawdę. Nigdy nie widziałam Karola takiego pijanego. Miał słabą głowę, więc zawsze trzymał umiar lub robił uniki. Z tego znali go wszyscy. Na wielkie pijaństwo nigdy sobie nie pozwalał.

Stałam nad jego cielskiem zrzuconym na małżeńskie łóżko i byłam w kropce. Co zrobić z takim denatem? Rozebrać czy zostawić, obudzić czy uspić, krzyknąć czy pożałować? Mój staż małżeński nie dostarczył mi takich informacji. Musiałam działać instynktownie. Najpierw buty. Jak śmierzdzą jego nogi, dowiedziałam się dopiero teraz. Przepocone skarpetki kleiły się do stóp. Kurtka, szal, marynarka, spodnie, jakoś poszło. Reszta musi zostać, tak postanowiłam, spoglądając nieufnie na niezbyt świeżą bieliznę. - Nie odważę się tego ruszyć, za żadne skarby. Licho wie, co mnie czeka. Jeżeli stracił nad wszystkim panowanie, może być nieciekawie. Usłyszałam, jak bełkoce pod nosem.

Trudno było zrozumieć, o co chodzi. Robił takie dziwne miny i trzymał się za gardło. Gdy wreszcie pojęłam, było już za późno. Nowa pościel w białe stokrotki została pokryta treścią żołądkową. Sama ledwo nie zwymiotowałam. Wymieszały się wszystkie smrody, byłam zdruzgotana. Dreptałam obok bezradna i przerażona. Czym to się zbiera? Jak sprząta, co zrobić, żeby się po pachy nie umazać?

Poświęciłam najlepsze ręczniki. Wszystko, razem z zawartością i stokrotkami powędrowało do wiadra. Nie odważę się tego wyprać. Resztkami woli wyczyściłam dywan, a potem obmyłam meble. Okropny zapach wciąż dawał się we znaki. Trudno - spojrzałam na Karola - będzie się wietrzył. Otworzyłam okno. Obok głowy ustawiłam mu miskę i poszłam doprowadzić siebie do porządku.

Gdy wychodziłam z wanny, za drzwiami dał się słyszeć dziwny ruch. Spojrzałam przez szparę. Karol orzeźwiony listopadowym przymrozkiem próbował podnieść się z łóżka. Szło mu kiepsko. Czułam, że może być potrzebna łazienka. Zdążyłam tylko odskoczyć od drzwi, gdy on, prawie wyrywając klamkę, rzucił się w objęcia klozetu. Chybił. Wszystko przyjął na siebie biały dywanik w żółtą kratkę.

Świeża i pachnąca, stałam nad upokorzonym ciałem swojego małżonka i modliłam się o ratunek.

Wszystko wyjaśniło się następnego dnia. Ta noc odcisnęła się w mojej pamięci na wieki, lecz postanowiłam nie podsycać złości. W końcu każdemu może zdarzyć się wpadka. Nie nakłaniałam go do zeznań i nie warczałam, widząc, jak próbuje doprowadzić własne ciało do stanu używalności. Kac musiał być potężny, to poznałam po przekrwionych oczach i mdłym spojrzeniu. Na śniadanie zrobił sobie garnek kisielu i opychał się nim w celach leczniczych. Pomiedzy kolejnymi łykami snuł swoją historię. Było mi wszystko jedno, co powie. Przecież mógł powiedzieć cokolwiek. Kto to sprawdzi? Uświadomiłam sobie, że mnie to nie obchodzi. Gdyby niezniszczona pościel i szkody moralne, które poniosłam tej nocy, wyszłabym do drugiego pokoju. Opowiadał o doktoracie kolegi. Powtarzał kilkakrotnie, że był bez obiadu, że nawet nie zauważył, ile wypił itd., itd. Nic ciekawego. Jest przecież dużym chłopcem i sam musi wiedzieć, na co może sobie pozwolić.

Zjadłam podwójną porcję zupki mlecznej z płatków kukurydzianych. Wzięłam od męża piętnaście złotych i poszłam na zakupy. Przy samym wejściu do supermarketu oczarował mnie zapach świeżo parzonej kawy. Zamarzyła mi się kawa po irlandzku albo espresso. Nic z tego, za drogo. Spojrzałam z rozmarzeniem na półki z gazetami, tego sobie nie odmówię, nie dam się pozbawić wszystkich przyjemności.

Zostało mi jeszcze dziewięć złotych. Starczyło na chleb, dziesięć deko wątrobianki i paczkę kiepskiej kawy. Wiatr wyszarpywał z moich myśli złe nastroje. Zmarzłam okropnie. Przewiało mnie do szpiku kości. Jak dobrze mieć dom, ciepły i bezpieczny - mimo wszystko.

Karola zastałam w tym samym miejscu, przy stole. Siedział zgarbiony i miałam wrażenie, że wciąż się tłumaczy niewidzialnej żonie. Wyglądał żałośnie.

- Zrobię kawy - zaproponowałam, otwierając świeżą torebkę. Kubek z prosiaczkiem czekał na suszarce.

- Tak, to mi dobrze zrobi. - Przyglądał włosy i wyszedł do pokoju.

Leżał na tapczanie, z głową schowaną w ramionach. Usiadłam obok i pogłaskałam go po plecach.

- Usiądź i wypij - zachęcałam, siorbiąc cichutko swój czarny płyn.

Karol podniósł się ciężko i westchnął.

- Po co mi to było? Czuję się podle.

- Kara musi być - powtórzyłam jego powiedzenie.

- Ano musi - potwierdził, upijając trochę z kubka. Przełknął i zaraz się skrzywił. - Co to za kawa? - spojrzał ze zgorzeniem na swojego prosiaczka.

Rozpierała mnie radość. Z kamienną twarzą popatrzyłam mu w oczy.

- Taka, na jaką nas stać. A może zjesz chleba z wątrobianką?

Tego dnia posadziłam drugiego kasztana.

Pomiędzy nim a mną stanęła niewidzialna ściana. Postanowiłam zachować spokój.

Miałam nadzieję, że ta nieznaczna zmiana na gorsze nie odegra większej roli w małżeńskich stosunkach. Już nieraz czuliśmy do siebie niewytłumaczalną niechęć.

Potem wszystko mijało bez śladu. Traktowałam podobne objawy jak chwilowy kaprys.

Może i tym razem wszystko rozejdzie się po kościach. Nie wracałam do tamtej nocy, rozpamiętywanie wszystkiego na nowo nie miało najmniejszego sensu. A jednak coś nie dawało mi spokoju, nie mogłam uwierzyć, że Karol potrafił aż tak się zapomnieć.

Dzisiaj spadł pierwszy śnieg. Cudowna biel za oknem zawsze wprawia mnie w zachwyty. Biedni są ludzie, którym niedane jest zobaczyć coś równie pięknego.

Myślę, że widok tak wszechobecnej bieli, jest czymś nieporównywalnym z niczym innym. Świeży śnieg pokrył wszystko równą powłoką i nic poza bielą nie istniało.

Szkoda, że ten czar pryśnie jak bańka mydlana i zmieni się w brudną szarość.

Chciałam się napatrzeć, dopóki odwilż nie spłucze wszystkiego do rowów. W starym domu zima dłużej była biała. Myślami podróżowałam tam każdego dnia, każdej godziny,

zawsze, odpowiadając w swojej duszy wieczne misterium tęsknoty i nadziei. Wszystko, co miało znaczenie, dotyczyło tamtego miejsca. Zakotwiczona w nim na wieki, uwiązana, szukałam na siłę alternatywy w nowym otoczeniu. Teraz krążyłam pomiędzy przestronnym mieszkaniem mojej córki, mieszczącym się w podobnym bloku, kilka ulic dalej, mieszkankiem rodziców na peryferiach małego miasteczka, i naszym, mało przytulnym, wciąż nieurządzonym. Plany zamiany surowych murów w przytulny kącik dla dwojga nie powiodły się. Porywy towarzyszące naszej przeprowadzce, okazały się tylko chwilowe. Opanowało mnie zniechęcenie i nuda, a do tego brak było odpowiednich funduszy. Kupowałam jedynie kwiaty. Zrozumiałam, że to bezsens ubierać ściany w martwe przedmioty. Wygląd mebli, ich atrakcyjność nie miała już dla mnie znaczenia. Tutaj liczyła się przydatność sprzętów, liczba szuflad, pakowność szaf, nigdy moda. Dobraliśmy się pod tym względem. Karol nie przywiązywał wagi do szczegółów. Może uwydatniał to zbyt jaskrawo, bo nieład, który powstawał wokół niego, przerastał granice zdrowego rozsądku. Lecz teraz, gdy moje pomysły, ograniczone po części brakiem gotówki, rozproszyły się w niebycie, jego minimalizm estetyczny był mi nawet na rękę.

Słodki obraz życia w starym domu rodził się i rozrastał z każdą godziną oddalenia. Chciałam go smakować długo, bez pośpiechu, żeby moje serce mogło pozostać w nim na zawsze, bez względu na to, gdzie nogi mnie poniosą. Teraz bałam się o rodziców. Wyglądali na przygnębionych. Ich euforia minęła.

Ekscytacja problemami sąsiadów powszechniała, zaczynała irytować. Ta konieczność życia w stadle dla ludzi przyzwyczajonych do milczenia była trudna do zniesienia, sprawiała, że zaczynali chować się za drzwi. Najgorzej było z ojcem. Mama, jak to kobieta, zawsze miała coś do zrobienia. Ojciec ucichł i zmarkotniał.

- Źle się czujesz? - pytałam w kółko. - Może chcesz pójść do lekarza?

- Nic mi nie jest - uspokajał.

- Ale jesteś smutny. - Głaskałam go po rękę. - Tak mi jest jakoś. Sam nie wiem.

- Tęsknisz?

- Chyba tak - odpowiedział, odwracając wzrok. - Może zawiozłabyś nas do starego domu? Moglibyśmy z matką pospacerować. Pooddychać znajomym powietrzem.

- Oczywiście, kiedy tylko chcesz.

- Dzisiaj jest już za późno. - Spojrzał przez okno. - Robi się ciemno.

- Też się tam wybieram. Chciałam przywieźć kilka gałęzi z tych starych jodeł spod płotu. Pamiętasz jeszcze ich zapach?

Ojciec pokiwał głową i głośno przełknął ślinę.

- Tutaj jest nam bardzo dobrze - tłumaczył. - Ciepło i sucho. Wygodna łazienka, wszędzie blisko, telewizja jak marzenie, dobrze odbiera, nie śnieży. Tylko brakuje tej wolności. Ona była najważniejsza. Wystarczyło wyjść na próg i spojrzeć przed siebie, a miałeś ją na wyciągnięcie ręki - rozgadał się. - To był raj. - Jego oczy zwilgotniały.

- Dłużej nie dalibyśmy rady - powiedziałam.

- Kiedyś dawaliśmy.

- Byłeś wtedy młody i silny, i był z nami Marek. Zanim wyjechał, pomagał ci.

- Marek? - Ojciec uśmiechnął się. - On do ziemi miał dwie lewe ręce. To był artysta, a nie ogrodnik.

- Pamiętam, bał się o swoje dłonie.

- Ty byłaś prawdziwym ogrodnikiem. Zawsze pomagałaś. Pamiętałam dobrze, jak było. Wcześniej praca w ogrodzie nie sprawiała mi przyjemności. Gdy wyjechał Marek, ojciec się załamał. Nie chodziło o to, że sobie nie radził. On wtedy stracił złudzenia. Rozpadł się świat, który budował. Ojcu marzyło się stado wnuków biegających po ogrodzie. To dla nich hodował te drzewa owocowe i zakładał stawy. Pragnął stworzyć namiastkę rajy i siedlisko rodzinne, do którego zawsze będzie się wracać, którego urodę będzie się smakować długo, bez pośpiechu. Oczami wyobraźni widział, jak jego praca nabiera sensu, a dobra, które tworzył, dostarczają wszystkim niebywałych rozkoszy. Hodował dla nas najwyszukańsze gatunki owoców, by wabić i rozpieszczać bez umiaru. Tymczasem Marek wyjechał na koniec świata, a ja skąpo obrodziłam w dzieci. Agnieszka to było za mało, jak na gościnne serce mojego ojca. Wcześniej wyfrunęła z gniazda. Nie ciągnęło jej potem do domu. Wybrała miasto. Padło więc na mnie. Poświęciłam się dla jego idei i ogród pochłonął mnie bez reszty, a potem... go sprzedałam.

Robiłam wszystko, żeby było miło. Mama dokarmiała nas plackiem i ojciec w końcu się rozpogodził. Zagraliśmy starym zwyczajem w remika. Dałam mu wygrać.

Zrobiłabym wszystko, żeby był szczęśliwy.

Zanim wyszłam, wisiałam długo na jego szyi, prawiąc komplementy. Wyrzuty sumienia zwały mnie z nóg. Dlaczego byłam taka słaba? Łzy przyczajone pod powiekami gryzły jak kwas. Nie potrafię myśleć o nim bez strachu. Przeraza mnie jego przemijanie.

Stałam wpatrzona w swoich smutnych rodziców i nie wiedziałam, jak zacząć.

Oddzielała mnie od nich tylko wąska szpara w drzwiach. Jeszcze zdążyłam powiedzieć, jakby od niechcienia:

- Aha, prawie bym zapomniała! Czy moglibyście pożyczyć mi sto złotych na kilka dni?

Popatrzyli na mnie zdziwieni.

Czy można przewidzieć, jak potoczą się w przyszłości losy klimatu na Ziemi, wiszącej nad nami dziury ozonowej i związanego z tym efektu cieplarnianego?

Natura, silniejsza od człowieka, może położyć kres ludzkim myślom. Czy AIDS, choroba wściekłych krów, rak, stwardnienie rozsiane, schizofrenia, choroba Alzheimera, nerwice, depresje i inne widma śmierci, z którymi nie możemy sobie poradzić, pozwolą przetrwać ludzkiemu gatunkowi? Klonowanie - kolejny cud myśli człowieka, następny problem - to zabawa z genami, w której jeszcze nic nie wiadomo.

Byłam przerażona prognozami na przyszłość. Czy mało mam swoich kłopotów, żeby denerwować się jeszcze przyszłością planety? Ile mi zostało do końca? Zanim runie cywilizacja, mnie już nie będzie na świecie. Wyłączyłam telewizor, żeby nie zwariować do końca, i wtedy zadzwonił telefon. W słuchawce panowała cisza.

Znowu ktoś stroił sobie żarty. Usłyszałam czyjś oddech, jakby znajomy, trochę przyspieszony. W mojej głowie odezwał się alarm, coś szepnęło mi do ucha, że to Maryla. Już nie potrafię wyjaśnić, jak na to wpadłam. Nie myśląc wiele, krzyknęłam zaaferowana:

- Maryla, to ty? - wyrzuciłam z siebie jednym tchem. - Wiem, że ty, odezwij się, poznaję twój oddech. Przestań się wygłupiać, wracaj. Musimy się zobaczyć.

Potrzebuję pomocy. Jestem bez pracy, przymieram głodem - koloryzowałam. - Karol położył łapę na forsie. Tylko ty potrafisz mnie zrozumieć - syczałam dalej, prawie pewna, że doczekam się odpowiedzi. Niestety mój rozmówca milczał. - Jeżeli to jesteś ty - wpadło mi nagle do głowy - przyjedź w niedzielę do domu na Lipowej. Będę czekała o jedenastej i nie bój się, przyjadę sama.

Początkowo wahałam się, czy powiedzieć wszystko Karolowi. A jeżeli zdradzi i w poczuciu męskiej solidarności doniesie Tomkowi? Jak ja będę wyglądała? Zamiast babskiej schadzki zrobi się z tego rodzinny zjazd. Postanowiłam milczeć. Jeżeli mój niemy rozmówca był rzeczywiście Marylą, a przeczucie mówiło mi, że tak, powinnam zobaczyć się z nią sama. Przynajmniej na początku, dopóki nie dowiem się, o co chodzi.

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że w niedzielę obiecałam ojcu wizytę w starym domu na Lipowej. Pech. Mieliśmy tam jechać o dziesiątej, głupia sprawa.

Mogłabym odwiedzić rodziców do domu i wrócić, ale istniało niebezpieczeństwo, że Maryla nas zauważy i stchórzy. A przecież spotkania z nią nie da się przełożyć.

- Już nastawiłem się na wyjazd - powiedział markotnie ojciec, kiedy zadzwoniłam. - Pogoda taka ładna, spadł świeży śnieg.

- Tato, sobota jest za dwa dni. Nie wiadomo, jaka będzie pogoda. Zima dopiero się zaczęła - tłumaczyłam skruszona. - Pojedziemy za tydzień. Obiecuję. Teraz nie mam czasu, ale wlecę do was później, to porozmawiamy.

Zgodził się, oczywiście, cóż miał począć. Tymczasem ja obmyślałam plan wyjazdu.

Dziś miałam spotkanie w sprawie pracy i dyżur przy Piotrusiu. Agnieszka z Michałem wybierali się do kina.

Chciałam po drodze odwiedzić Joannę, bo podobno była chora. Dzwoniła, że czeka na mnie od wczoraj zniecierpliwiona. Spojrzałam na zegarek. - Już pora wychodzić - pomyślałam i zaniósłam mężowi obiecaną kawę.

- Nie czekaj na mnie z kolacją - powiedziałam, wychodząc z pokoju. - Będę u Agnieszki pilnowała Piotra.

- Może wpadnę do was wieczorem - obiecał, nie spoglądając nawet w moją stronę.

- Jak chcesz, możesz wpaść - ale przed wyjściem wyprowadź Dunę. Nie będzie mnie cały dzień.

- Dobrze - odpowiedział obojętnym tonem, patrząc w ekran komputera.

Adres z ogłoszenia znalazłam bez większego problemu. Duża tablica: Gabinety Stomatologiczne „Centrum” wskazywała dokładnie miejsce, do którego zdążałam.

Wisiała nad drzwiami odnowionej kamienicy na Starym Rynku. Szerokie schody z metalową balustradą prowadziły łukiem ku górze. Na pierwszym piętrze były tylko mieszkania prywatne, ale już na drugim zaroilo się od tabliczek. Skierowałam się do tej z napisem „Poczekalnia”. Wahadłowe drzwi uderzyły mnie lekko w plecy, gdy wchodziłam do środka. Rząd krzeseł pod ścianą był zajęty, fotele przy długiej ławie tak samo. Pod sufitem, w jednej linii, świeciły białym światłem jarzeniówki.

Moje wejście zburzyło chwilowy spokój w korytarzu. Wszystkie głowy odwróciły się w jedną stronę. Z wrażenia upuściłam teczkę z papierami. Na szczęście była dobrze związana i tylko zaświadczenie o płaceniu ZUS-u wysunęło się na podłogę.

- Pani też w sprawie pracy? - zapytał bardzo grzecznie młody mężczyzna, który pierwszy schylił się po moją zgubę. Kiwnęłam tylko głową. - Ta pani w różowym sweterku po oknem jest ostatnia - poinformował, zwalniając dla mnie swoje krzesło.

Patrzyłam przerażona, na ludzi siedzących pod drzwiami, gdzie odbywały się rozmowy. Na tabliczce przeczytałam: „Personal Consulting - Dark & White Advices”. Co kilka minut ktoś wychodził zmieszany. W powietrzu szumiało pytanie:

-1 co, dostała pani, pan pracę?

Idąc ulicą, spoglądałam kątem oka na wystawy. Nie wyglądałam przecież na kogoś, kto do niczego się już nie nadaje. Młody doradca personalny firmy Dark 6c White zrobił w mojej teczce nieziemski bałagan, szukając w pośpiechu świadectwa urodzenia. Do końca życia zapamiętam tego śmiesznego kogucika z włosów na czubku głowy. Jak Dyl Sowizdrzał kiwał łebkiem w różne strony, tłumacząc mi z kamienną twarzą, dlaczego nie mam szans na znalezienie pracy - brak kreatywnych zachowań, złe nawyki z poprzedniego systemu, niedostateczna sprawność w obsłudze komputera, brak umiejętności wdrażania nowych procedur dotyczących zarządzania przez jakość, brak nieokreślonego bliżej programu samodoskonalenia, luka w szkoleniu na temat najnowszych struktur w stomatologii związanych z Unią Europejską, a na końcu wiek, który sugeruje, że jak tylko się da, ucieknę na zwolnienie lekarskie, ograbię firmę z wolnego etatu, zablokuję, wykorzystam, po to, żeby zapewnić sobie obiecane przez ustawę świadczenia przedemerytalne. Może gdybym się inaczej uczesała? Gdybym zamiast związanych skromnie włosów, postrzępiła je w zalotne strąki i potargała, byłabym bardziej kreatywna? Gdybym zamiast szarej sukienki włożyła wytarte džinsy Agnieszki albo kufajkę Michała z modnym, wyliniałym kożuszkiem, nie pasowałabym do starego systemu? Okazuje się, że do tej rozmowy nie byłam fachowo przygotowana.

Weszłam do najbliższej kawiarni, żeby zalać robaka kolumbijską kawą. Pachniała tak, że nie mogłam sobie odmówić. W portfelu miałam jeszcze pięćdziesiąt złotych ze stówy pożyczonej od rodziców, więc zaszalałam. Zrezygnowałam z wizyty u Joanny. Tylko mnie zdenerwuje. Jak tu się przed nią przyznać do tej dziwnej sytuacji finansowej? Przecież tego nie zrozumie. Nigdy nie musiała się martwić o swoje dochody, choć nigdy ich nie miała. Wydawała pieniądze zarabiane przez Pawła i nie myślała o tym, że kiedyś ich zabraknie.

- Baliśmy się, że nie przyjdiesz - otworzył mi Michał ubrany w puchową kurtkę z kapturem.

- Przecież obiecałam.

- Ale nie było cię w domu, kiedy odstawiałem samochód. W tym tygodniu nie będzie Agnieszce potrzebny.

- Byłam w mieście, w sprawie pracy.

- I co? - zapytał przez grzeczność, szukając kluczyków do samochodu.

- Brak profesjonalizmu, podejrzany wygląd i wiek - podkreśliłam. - Wiek był mimo wszystko najważniejszy.

- Co ma wiek do dłubania w zębach? - zapytał niezbyt delikatnie.

- Widocznie ma - nie miałam ochoty rozwijać tematu.

- Poza tym mama wygląda na dwudziestkę - próbował się zrehabilitować.
- Co z tego, kiedy brak mi talentów do wdrażania nowoczesnych procedur.
- No tak - uśmiechnął się ze współczuciem. - To mnie przekonało.

Z sypialni Piotrusia wyszła Agnieszka.

- Już idziemy - powiedziała, całując mnie w policzek. - W kuchni jest dla was kolacja, Piotr może obejrzeć dwie bajki na wideo. Obiecałam mu, że nie musi iść spać przed dziesiątą. Ale znam go, zaśnie wcześniej.

Nasłuchiwałam pod drzwiami, dopóki ich kroki nie ucichły na schodach. Potem pod oknami słychać było, jak Michał zapala samochód. W oddali na osiedlowych delikatesach rozwieszono świąteczne światełka. Czemu ludziom tak się spieszy? Do świąt jeszcze miesiąc. Ta myśl zapaliła się nagle i już nie zgasła. Uświadomiła mi upływ czasu. Święta - pomyślałam. -

Święta za pasem. Pierwsze święta, których nie spędzę w swoim rodzinnym domu. Ale nie będę o tym dziś myśleć. Muszę się jakoś trzymać.

- Babciu! - usłyszałam wołanie wnuka. - Dlaczego do mnie nie przychodzisz? - słychać było zza przymkniętych drzwi. - Robisz mi pyszną kolacyjkę?

Otworzyłam pokój i stanęłam w progu.

- Już jesteś głodny? Dopiero piąta godzina. Do kolacji jeszcze dużo czasu.

- Zrób mi coś takiego, czego nie umie robić mama.

- Na przykład co? Masz jakieś specjalnie życzenie? Piotruś patrzył na rozrzucone klocki i myślał. Potem odwrócił się w moją stronę i uradowany powiedział:

- Poproszę pierogi z uszami.

- Pierogi z uszami - roześmiałam się. - A cóż to takiego?

- Przecież wiesz - spojrzał obrażony.

Zamiast pierogów z uszami zrobiłam mu naleśniki i posmarowałam serkiem malinowym.

- Zjedz grzecznie - powiedziałam, stawiając przed nim talerz - ja sobie zadzwonię do przyjaciółki. - Nie usłyszał, naleśniki były teraz najważniejsze.

Joanna udawała obrażoną.

- Miałaś do mnie wpaść koło trzeciej. Czekałam.

- Przepraszam, ale byłam zajęta. Nie mogę znaleźć pracy.

- Kobieto! - Joanna aż krzyknęła. - Daj sobie spokój z tą pracą. Już dość się w życiu naharowałaś - oświadczyła kategorycznie. - Gabinet na okrągło i ten wielki ogród. Przecież chciałaś odpocząć, już odpoczęłaś?

- Nudno mi w domu. Karola nigdy nie ma, brakuje mi pieniędzy.
- No wiesz - powiedziała zgorszona. - Podobno stomatolodzy mają forsy jak lodu.
- Podobno - podkreśliłam.
- Czyżbyś była wyjątkiem?
- Raczej nie jestem jedyna.
- Wpadnij, pogadamy. Może Paweł coś dla ciebie znajdzie, mam na myśli pracę - zaznaczyła.
- Nie mogę, pilnuję Piotrusia. Agnieszka i Michał poszli do kina.
- A leniwa się babcia siedzi i pilnuje. Widzisz, co sobie narobiłaś?
- Na to akurat nie narzekam. Co do Pawła, to marne nadzieje, chyba że przyjąłby mnie na tkaczkę. Będę mu tkala dywany, żeby nie musiał latać po nie tak daleko.
- Widzę, że humor ci jeszcze dopisuje, a ja czuję się strasznie - westchnęła. -
To co, wpadniesz? - nalegała.
- Dzisiaj już nie, ale chciałam cię o coś prosić.
- Proś, o co chcesz.
- W sobotę chciałabym pojechać do domu na Lipowej, sama - podkreśliłam. - Karol
pewnie zechce jechać razem ze mną. Już od kilku dni wybiera się do moich rodziców, więc
wykorzysta okazję.
- Chcesz skłamać, że jesteś u mnie, bo musisz odwiedzić schorowaną przyjaciółkę?
- Jesteś bardzo domyślna - zauważyłam.
- Karol stęsknił się za teściami?
- Píše pracę na temat nazwisk osób przesiedlanych w czasie wojny ze wschodnich
terenów Polski. Spisywał wspomnienia ojca i część z nich wykorzystywał w pracy.
Zdaje się, że to dla niego ważne.
- A nie chcesz wziąć go ze sobą?
- Muszę załatwić coś, w czym Karol nie może uczestniczyć - powiedziałam, łamiąc się
przez chwilę, czy nie zdradzić Joannie tajemnicy. Jednak się rozmyśliłam.
Muszę pojechać sama i spokojnie porozmawiać z Marylą.
- Coś, o czym nie wiem i nie powinnam wiedzieć?
- Coś, co na razie pozostanie tajemnicą - powiedziałam skruszona. - Nie gniewaj się,
ale jeszcze nie mogę mówić.
- Nie ma sprawy, jakoś to przeżyję - powiedziała szczerze.
- Muszę kończyć - skłamałam. - Ktoś puka do drzwi, to pewnie Karol.

Jak przewidziała Agnieszka, Piotruś zaraz po dziewiątej położył się w pokoju na tapczanie i tradycyjnie poprosił, żeby mu poczytać bajeczkę. Wybrał jedną z jego ulubionych i jak to zwykle bywa z takimi książeczkami, sam ją wyrecytował z pamięci. Słuchałam z podziwem, jak ładnie wymawia słowa. Miarowy rytm wiersza ukołysał mojego wnuka do snu.

Chwilę po tym pojawił się Karol. Siedzieliśmy w kuchni, cicho rozmawiając.

Opowiedziałam mu o spotkaniu z agentem w sprawie pracy, o tym jak zdyskwalifikował mnie w pięć minut, określając moje miejsce w społeczeństwie na podstawie daty urodzenia, i o chorobie Joanny, nie pomijając faktu, że w sobotę rano jadę ją odwiedzić. Karol mówił coś o samochodzie, że kierownica ściąga w lewą stronę, że musi zmienić olej i filtr powietrza. Potem zahaczył o pogodę, twierdząc, że zapowiada się w tym roku śnieżna zima.

- Agnieszka zostawiła dla nas wino w lodówce - przypomniałam sobie. - Może wypijemy po kieliszku? - zaproponowałam.

- Nie wiem, czy mi to wyjdzie na dobre - odpowiedział. - Cały dzień przesiedziałem przy komputerze. Bardzo bolą mnie oczy.

- Nie bądź taki delikatny - próbowałam żartować. - Nie każę ci pić oczami.

- Dziwne wnioski - naburmuszył się.

- Coś ci jest, przecież widzę. Spadek formy albo kłopoty.

- Ani jedno, ani drugie. Po prostu nie mam humoru.

- Miało być nam razem tak przyjemnie. Wspólne gniazdko, winko przy świecach, rozmowy aż do rana, wspólne czytanie książek itd.

- A tak nie jest?

- Może najpierw siebie o to zapytaj - spokojnie zaproponowałam.

- Ja nie narzekam. To ty zawsze masz problemy z samopoczuciem.

- Więc uważasz, że nie ma problemów? - zapytałam.

- Nie dostrzegam ich w każdym razie.

- No to nie ma sprawy. - Schowałam butelkę do lodówki i włączyłam wodę na herbatę.

Do oczu napłynęły mi łzy. Otarłam je wierzchem dłoni i pomachałam rzęsami.

- Przed wyjściem z domu odebrałem do ciebie telefon.

- Kto dzwonił? - udawałam, że nic się nie stało.

- Brodzka. Dzwoniła w sprawie pracy - wyjaśnił.

- Coś konkretnego czy kolejny casting?

- Podać adres i godzinę, o której masz się zgłosić. Potrzebny jest stomatolog, do samodzielnego gabinetu. Zdaje się, że niedaleko nas, na osiedlu.

- Super - ożywiłam się. - Powiedziała ci coś bliższego, czy tylko podała adres?

- Rano masz do niej zadzwonić.

- Kolejna szansa dla babuni. - Postawiłam herbatę na stole. - Miałabym szczęście. Blisko domu, no, no. Powiedziałeś, że oddzwonię?

- Oczywiście - zapewnił gorliwie i spojrzał po raz pierwszy w moją stronę. - Coś jeszcze się stało - wyznał dopiero teraz.

- Co się stało? - stanęłam przestraszona.

- Uciekła mi Duna.

- Znowu!

- Na spacerze odpiąłem jej obrożę. Jak tylko poczuła swobodę, zostawiła mnie samego i w nogi.

Po telefonie do Brodzkiej ubrałam się w trochę lepsze ciuchy i trochę staranniej się uczesałam. Zamiast szarej sukienki włożyłam obcisły kostiumik w czerwono czarną kratkę, wybrany przez Agnieszkę. Rzadko go nosiłam, bo nie był w moim guście, ale nie chciałam kolejny raz źle wypaść.

Gabinet stomatologiczny doktora Klinera mieścił się rzeczywiście tylko kilka uliczek od naszego domu. Jak to się stało, że wcześniej go nie zauważyłam? Może dlatego, że znajdował się pomiędzy zakładem fryzjerskim a zielarnią. Wchodziło się do nich tymi samymi drzwiami. Do fryzjera na lewo, do zielarni na prawo, a do stomatologa na wprost.

Mój ewentualny szef okazał się kobietą. Była duża, piersiata i bardzo opalona.

Gdy weszłam, nawet nie podniosła głowy znad gazety. Dojście do biurka, przy którym siedziała, tarasował fotel dentystyczny i olbrzymia spluwaczka. Dopiero po chwili zwróciłam uwagę na wielkość aparatu. Na takich maszynach nikt już nie pracuje! Widok nie był budujący - mówiąc krótko, brud, smród i ubóstwo. W pomieszczeniu zionęło stęchlizną i kurzem. Pod ścianami podrapane meble w stylu Kowalski, na podłodze dziurawe linoleum, w oknach szare, pozrywane firanki, jakiś okropny zlew z rdzawym zaciekiem. Tak mnie zatkało, że zapomniałam języka w gębie.

- Klinier - przedstawiła się, podając mi rękę. Miałam wrażenie, że się do tej ręki na zawsze przylepię. - Pani w sprawie pracy?

- Z polecenia Ewy Brodzkiej.

- Zgadza się - przytaknęła.

Postanowiłam pierwsza ruszyć do ataku i na początek zadać kilka pytań. Chciałam się dowiedzieć, w jakim charakterze będę u niej pracowała, w jakich godzinach i oczywiście za ile. Rozglądałam się bardzo wymownie, żeby dać do zrozumienia, że nie jestem zachwycona stanem gabinetu i wyposażeniem.

- Oczywiście trzeba tu najpierw posprzątać. Od dwóch lat nie był używany.

Jeżeli przyjmie pani tę pracę, już jutro dostarczę środków czystości i można działać.

- Mam pracować na sprzęcie, który tutaj stoi, czy wstawi pani coś nowego? Tych aparatów już dziś się nie używa. Wiem, że kilka lat temu zostały wycofane. -

Rozejrzałam się dokładnie. - Potrzebne będzie jeszcze pomieszczenie na autoklaw, to podstawa, WC dla pacjentów i dla personelu, no i oczywiście sterylizator.

- Sterylizator jest - wskazała na zardzewiały kłamoto wsunięty pod biurko.

Zrobiło mi się niedobrze.

- No tak, jest rzeczywiście, ale z pewnością nie działa.

- Myli się pani - duża brunetka nabrała powietrza. - Mój mąż jeszcze niedawno na nim pracował. Używał wszystkiego, co tutaj stoi. Niestety, mąż już nie żyje.

Zmarł dwa lata temu, długo chorował. Teraz ja zarządzam jego gabinetami i nie mam ochoty pozbywać się czegoś, co może na siebie zarobić. Wszyscy by tylko wyrzucali - wielkie piersi zadrżały. - Proszę powiedzieć wprost, że nie potrafi pani obsłużyć tego aparatu i tyle. Po co to udawanie.

- Myślę, że gdyby żył mąż, nie zaryzykowałby pracy na nim. Poza tym to pomieszczenie - spojrzałam wymownie.

- Usytuowanie, warunki pracy, wspólne wejście, i jeszcze kilka innych mankamentów - budzi wątpliwości. Trochę się na tym znam i mam pewność, że nie dostanie pani pozwolenia.

- Jakiego pozwolenia - niemal krzyknęła. - Jestem właścicielką, nie potrzebuję pozwolenia.

- Bez aktualnej opinii i specjalnego zezwolenia nie będzie można działać.

- To już moje zmartwienie - uśmiechnęła się kwaśno.

- Pani przygotuje gabinet do pracy, sporządzi listę potrzebnych materiałów, bo narzędzia mam w domu, to się dowiezie i będziemy zaczynać. Ja postaram się o resztę.

Stałam oniemiała z przerażenia i nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie boję się ciężkiej pracy, ale nie mogę szkodzić ludziom, a na to w tym gabinecie się zanosilo. Walczyłam z wątpliwościami.

- Chciałabym się zastanowić - powiedziałam. - Nie ukrywam, że idąc tutaj, spodziewałam się czegoś innego. Miałam kiedyś gabinet, ale wyglądał dużo lepiej - stwierdziłam nieskromnie.

- To świetnie - usłyszałam w odpowiedzi. - Doskonale się składa, więc ma pani o tym jakieś pojęcie.

Pochwaliła mnie, a więc lody przełamane - uśmiechnęłam się blado. Czułam wielkie rozczarowanie. Widać los ciągle mi nie sprzyjał. Ze też zdarzają się jeszcze tacy kombinatory. Byłam ciekawa, czy pani Klinier, której nazwisko przewrotnie nie pasowało do pomieszczenia, znajdzie do pracy jakiegoś frajera.

- Jak rozumiem, pani też jest stomatologiem? - zapytałam, wychodząc.

- Ależ skąd - powiedziała z pogardą, a po chwili dodała. - Prowadzę z synem warsztat samochodowy.

Po powrocie wzięłam samochód i pojechałam do miasta. Nie mogłam usiedzieć w domu. Przebijałam się wąskimi uliczkami w poszukiwaniu wolnego miejsca na parking. Pospaceruję, spokojnie pomyślę, zanim zdecyduję. Chciałam dać sobie jeszcze jedną szansę na przemyślenie niefortunnej propozycji. Spacer dobrze mi robi. Pal licha pogodę. Poważne decyzje trzeba podejmować po przeanalizowaniu wszystkich za i przeciw. Kręciłam się w kółko bez skutku. W końcu wylądowałam w podziemnym garażu. Poznawałam mimo woli sposób funkcjonowania miasta. Ja, człowiek zielonych przestrzeni, parkowałam w betonowej szufladzie i musiałam się z tym pogodzić. Potem ruchomymi schodami wypłynęłam na powierzchnię, w sam środek olbrzymiego domu towarowego i supermarketu. Labirynt oświetlonych korytarzy prowadził mnie w nieznanym kierunku. Dałam się porwać.

Poruszałam się razem z wszystkimi, niesiona falą tłumu. Pomyślałam, że zjawisko supermarketów będzie kiedyś symbolem obecnych czasów. Czy chcemy, czy nie, artystyczne wizje Andy Warhola przełożone na rzeczywistość staną się znakiem rozpoznawczym końca dwudziestego wieku. Wielki Andy uważał, że jeżeli dostatecznie często będzie ludziom pokazywał swój produkt, ci uznają go za szczególnie wart zachwyty, wyjątkowo godny pożądania. To się sprawdziło w stu procentach.

Wystawy atakowały mnie bogactwem towarów. W tej masie trudno było zatrzymać na czymś oko. To już nie dla mnie. Chyba nigdy nie będę umiała robić zakupów w takich sklepach. Co innego Karol. On czuł się w nich jak ryba w wodzie. Choć nie za często biegał po sklepach, to jednak wołał handlowe smoki od małych osiedlowych sklepików. Myślałam o tym, co nas łączy, co dzieli i jak odczytywać wzajemne intencje. Czy to jego wina, że jest człowiekiem z miasta, że z okna kamienicy, w której dorastał, widać było tylko dachy

domów, przybudówek, szopek, okna do piwnic i brukowane podwórka, gdzie jedynie rachityczna roślina uczepiona rozpaczliwie wyrwy w murze reprezentowała naturę? W trakcie pierwszej wizyty w jego rodzinnym mieszkaniu, na kilka tygodni przed ślubem, uderzył mnie zupełny brak kwiatów. Duże pokoje, bardzo ciemne, z oknami od podwórka, i chłód dający się we znaki nawet w upalne lato. Do tego mnóstwo ciężkich mebli, poduszek, pluszowych zasłon, całe sterty książek. Nikt tam nie sprzątał tygodniami. W masie przedmiotów, rozmaitych drobiazgów, których wartości nikt nie dociekał, można się było pogubić. Gdy spytałam swoją przyszłą teściową, dlaczego w domu nie ma kwiatów, odpowiedziała krótko:

- Mieszkanie jest zbyt ciemne. Trudno coś wyhodować.

- Są przecież kwiaty, które lubią cień - zaproponowałam nieśmiało. Ona tylko uśmiechnęła się pobłaźliwie.

Jedni ludzie noszą w sobie szum lasów, przestrzeni, pól, góry i doliny, krajobrazy zapisane w pamięci, wspomnienia z dzieciństwa. Inni słyszą uderzenia zegara na ratuszowej wieży. Krajobrazem dzieciństwa mojego męża było miasto, podwórka śródmiejskich kamienic, a wraz z nimi hałas, dym i spaliny. Jako dziecko przemykał pod wilgotnymi ścianami domów, snując marzenia o życiu w centrum zdarzeń. Taka jest jego wrażliwość. Teraz kamienne zaułki i betonowe podwórka zamieniają na szkło i pleksi, marmur i poliuretany w labiryncie schodów, wejść, prowadzących w niewiadomym kierunku. Miejsce dawnego miasta przejmuje jego imitacja. Lecz czy to źle? Może to ja jestem zacofana? Przyjechałam z zacofanego grajdołka otoczonego żywopłotem, gdzie pory roku wyznaczają rytm dnia, a po ścieżkach spacerują ptaki.

Karol mówi, że architektura obecnie naśladuje przyrodę i wzbogaca ją wzorami myśli człowieka, opartymi na prawach natury - piękna, stabilności i trwałości.

Czasami coś nowego zostanie zbudowane na ruinach starego, a jednak nikt nie chce przez to wymazać przeszłości. Na miejscu wyciętego drzewa sadi się nowe. Nic z tego nie pojmuję.

Spacer po mieście nie pomógł mi znaleźć odpowiedzi. Z każdym krokiem oddalałam się od głównego problemu. Czas do namysłu był na wyczerpaniu. Trzeba było wracać.

- Niestety nie mogę przyjąć tej pracy - tłumaczyłam Brodzkiej, siedząc przy biurku w jej gabinecie. - To jakaś podejrzana sprawa. - Podniosłam głos na wspomnienie tego, co widziałam. - Miałam wrażenie, że jestem w piekle.

- To bardzo ciekawe - zauważyła. - Znam lekarza, który w nim kiedyś pracował.

Był bardzo dobrym stomatologiem. Zgłosiła się do mnie jego żona. Prosiła o pomoc w znalezieniu kogoś, kto poprowadziłby jego praktykę. Przykro mi, że się nie udało.

- Mnie jeszcze bardziej, bo miejsce jest doskonałe. Miałabym blisko do pracy, spokój, bo to praca dla jednej osoby. Niestety nie przyjmę jej. To byłoby nieuczciwe w stosunku do pacjentów. Zresztą nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek przyjął pracę w takich warunkach i na takim sprzęcie.

- A więc nic z tego. Trochę szkoda. - Wyglądała na zmartwioną. - Pani rozumie, że chciałam pomóc.

- Rozumiem i dziękuję.

- Mam tu jeszcze jeden kontakt, ale nie wiem dokładnie, o jaką pracę chodzi.

Znajomy zostawił mi wiadomość na sekretarce, bardzo enigmatyczną. Dzwoniłam, ale nie odbiera telefonu. Proszę spróbować - napisała mi na kartce adres. - Może się pani powołać na mnie.

Długo szukałam tej przychodni. Adres się zgadzał, tylko wygląd budynku nie kojarzył się wcale ze służbą zdrowia. Krążyłam, biorąc to, co miałam przed oczami, za pięciogwiazdkowy hotel. Aż mnie zatkało.

Parkując od frontu, spojrzałam na wejście. Szerokie schody prowadziły wprost do szklanych drzwi, otwierających się szeroko przed każdym wchodzącym. W głębi dostrzegłam szeroki pulpit, a za nim recepcjonistkę. Opanowała mnie trema.

Trzęsły mi się kolana i drżała broda. Z samego dna profesji na szczyty, ot, gdzie zawiodły mnie meandry stomatologii.

Od schodów dzieliło mnie jakieś dwadzieścia metrów. Mijałam akurat tablicę ogłoszeń. Niespodziewanie wyłoniła się zza niej Maryla. Nie spojrzała w moją stronę. Była jakaś dziwna. Ubrana w swój czarny płaszcz i szeroki szal wokół głowy, wydawała się mocno przejęta. Ściągnięte brwi, gotowe do płaczu, i wąskie usta, wykrzywione w grymasie bólu. Stałam w miejscu zaskoczona. Czy wzrok mnie myli? Ale przecież to była ona, Maryla, z krwi i kości, nie żaden duch.

Pomyślałam, że chowa twarz w zwojach czarnej wełny (szal, o dziwo, nie był koronkowy), pewnie się ukrywa. A więc żyje, to już coś. Co prawda wychodzi od lekarza, więc istnieje prawdopodobieństwo, że jest chora albo w nim zakochana, ale najważniejsze, że nie uciekła zbyt daleko. Schowałam się. Po co ją płoszyć, pomyślałam. Spotkamy się jutro i wszystko mi opowie.

Podalam recepcjonistce nazwisko, które przekazała mi Brodzka. Wytłumaczyłam, że w sprawie pracy. Uprzejma dziewczyna o oczach jak łąkowe chabry wskazała drogę.

Kolorowe strzałki pod sufitem wyznaczały kierunek. Do gabinetów linia czerwona, do protetyków zielona, do chirurga żółta, a mnie prowadziła czarna droga do samego dyrektora. Miałam nadzieję, że to nie będzie zły omen. Byłabym niepocieszona. W takim miejscu jak to każdy chciałby pracować, nawet gdyby to miała być najgorsza praca. Wszechobecne szkło, doskonale wykładziny otulające podłogę i ściany, bez najmniejszych załamań i szczelin. Schody z jasnego kamienia, lśniące balustrady, iluminacja światła.

Czarna linia na suficie odpływała w bok. Za szczelnymi drzwiami widać było inny świat. Meble w kolorach jasnego buku, fotele, kwiaty. W przeciwną stronę prowadziły szczelne śluzy, w których pacjenci zakładali fizelinowe pokrowce na buty i zostawiali w szatniach okrycia.

Przed gabinetem dyrektora stanęłam na baczność. W takim miejscu wszystko może się zdarzyć. Zapukałam delikatnie, żeby nikogo nie przestraszyć, bo wokół panowała niezmacona cisza. Usłyszałam grzeczne „proszę” i weszłam. Szczupły cerber w spódnicy podniósł się zza biurka.

- Dzień dobry - wydusiłam przejęta. - Przyszłam z poręczenia pani Brodzkiej w sprawie pracy. - Pani za biurkiem usiadła i otworzyła grubą teczkę, która jako jedyna leżała przed nią na stole.

- Dyrektora nie ma - oświadczyła, przekładając kartki. - Ale znam sprawę - oświadczyła. - Proszę usiąść - wskazała krzesło.

- Gdzie pani wcześniej pracowała? - zapytała w pierwszej kolejności.

- W prywatnym gabinecie.

- Jak długo?

- Dwadzieścia pięć lat - powiedziałam krótko. Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Dlaczego pani odeszła?

- Gabinet został zlikwidowany, a poza tym wyprowadziłam się z tamtego miasta.

- A teraz, gdzie pani mieszka?

Podaliśmy adres i czekałam. Zanim podjęła decyzję, wyszła do drugiego pokoju i wykonała dwa telefony. Konsultowała z kimś inne oferty. Dokładnie nie słyszałam.

Sprawę przesądził mój długi staż pracy i poręczenie Brodzkiej.

- Praca jest aktualna od czwartku, jeżeli się pani zdecyduje. Tego dnia otwieramy przychodnię stomatologiczną z wejściem po drugiej stronie budynku. To komplet dokumentów, które będą potrzebne. To jest skierowanie do lekarza na wstępne badania. Proszę się zgłosić w środę do godziny czternastej, spiszemy umowę. Praca w pełnym wymiarze godzin, z możliwymi nadgodzinami. Jest pani rencistką? - zapytała.

- Nie, jeszcze nie jestem.

- Trudno. Ale nie szkodzi. Gwarantujemy wszystkie świadczenia. - Podała mi foliową koszulkę z zapisanymi kartkami w środku i dodała: - Uprzedzam, że firma jest wymagająca. Przydzielimy panią do dwóch, może trzech gabinetów, w których oprócz asystowania przy lekarzu, będzie pani sprzątała. Rano, zanim otworzą gabinety i po ostatnim pacjencie. Zresztą dowie się pani w środę. Zostało kilka dni na załatwienie formalności - powiedziała, kończąc, i wstała.

Nie wierzyłam własnym uszom. Czyżbym się przesłyszała? Zajrzałam do środka koszulki i oniemiałam. Na skierowaniu do badań profilaktycznych widniało jak byk: stanowisko - pomoc stomatologiczna.

Kupiłam sobie stephanotikusa. To cudowny kwiat. Kwitnie na biało, a jego kwiaty mają zapach podobny do kwiatu jaśminu. To jedyny sposób, żeby ucieszyć duszę.

Rozpłakałam się dopiero w domu. Karola na szczęście nie było. Na stole leżała kartka: „Pojechałem do rodziców. Wracam za dwie godziny, kup kawę, tylko błagam nie tę, którą mnie ostatnio połaś”. Obok leżało pięćdziesiąt złotych.

Nawet to mnie nie pocieszyło. Upokorzenia, nękające mnie od pewnego czasu, osiągnęły apogeum. Poczucie humoru, które w takich przypadkach pozwalało mi odzyskać równowagę ducha, nie znalazło bezbolesnego określenia. Kończył się tydzień, a ja ciągle stałam w miejscu. Do pierwszego stycznia muszę znaleźć jakąś pracę. Jutro wizyta na Lipowej i spotkanie z Marylą. To też nie dawało mi spokoju. Leżałam i beczałam. Krzywa wzlotów i upadków leciała w dół. Wtedy zadzwoniła Joanna. Opowiedziałam jej wszystko. Wyżaliłam się na okrutne czasy, na Karola, na kolegów, że się nie odzywają, i na samą siebie, że już nie jestem nikomu do szczęścia potrzebna. Nie wspomniałam tylko, że widziałam Maryłę.

- Babo, weź się w garść i nie pękaj - powiedziała podniecona. - Załatw sobie jakąś rentę i odpocznij.

- Mam iść na rentę? Mówisz jak moja Agnieszka.

- To poszukaj czegoś innego. Musisz koniecznie być stomatologiem? Mnie by się to już dawno znudziło. Kup w poniedziałek gazetę z dodatkiem „Praca” i szukaj.

Tak poradziła mi Joanna i ta myśl poderwała mnie na nogi. Katalog firm, dział medycyna. Spisałam wszystkie adresy i telefony. Spojrzałam na zegarek, za późno.

O tej godzinie już nic nie załatwię. Trzeba poczekać do poniedziałku.

Jadę do starego domu na spotkanie z Marylą. Mam przecucie, że w ogrodzie odnajdę psa. Nie spodobało mu się życie w mieście, więc dał drapak. Może powinnam wziąć z niego

przykład? W moim małżeństwie obiecanej sielanki raczej nie będzie. To dziwne, ale Karol wydaje mi się całkiem inny. W tych ciasnych wnętrzach z niskimi stropami trochę się zmniejszył. Jakby ta mała przestrzeń ograniczała go i tłamsiła. Wśród zieleni, pomiędzy pniami drzew, nawet zimą wyglądał inaczej. Głębiej oddychał, szerzej otwierał oczy, patrzył na świat z rozmachem. Czasami wydawał się rozproszony i rozmyty, lecz przez to ciekawszy, bardziej tajemniczy. W miejskim domu stał się nieco płaski, przyziemny, nijaki.

Przemykał pochylony pomiędzy biurkiem z papierami a kuchennym stołem, przy którym jedliśmy posiłki. Nasze rozmowy stały się jałowe. Pozbawieni tematu wiecznych sporów, wygaszeni emocjonalnie, dotykaliśmy spraw nieistotnych, codziennych. Gdy zabrakło między nami ognia, życie okazało się nudne.

Wiedziona tęsknotą gnałam przed siebie. Na miejscu byłam przed czasem. Do jedenastej zostało jeszcze pół godziny. Na posesję nie mogłam wjechać. Bramę wieńczyła kłódka. Nic dziwnego, nie jestem przecież u siebie. Zaparkowałam po drugiej stronie ulicy i zostałam w samochodzie. Cicha muzyka sącząca się z radia jak dym z wygasającego ogniska sprawiła, że odpłynęłam w daleką przeszłość.

Były sprawy, o których wolałam nie myśleć. Schowałam je specjalnie głęboko, by nie bolały. Lecz czasem nie dało się przed nimi uciec. Wystarczył jakiś impuls, aluzja, skojarzenie i depresja gotowa. Nastrojowa muzyka wciągała jak bagno i stare sprawy dopadały mnie bezlitośnie.

Jeżeli Maryla zaraz się nie zjawi, zamarznę. Wpatrywałam się w białą przestrzeń przed sobą. Z miejsca pod bramą widziałam tylko narożnik domu i wysokie świerki pokryte kozuchami śniegu. Znałam ten widok tak dokładnie, że wystarczyło jedynie zamknąć oczy... Więc zamknęłam. Ale to nie był dobry pomysł. Fala żalu dopadła mnie znowu i zobaczyłam wszystko, co się wtedy zdarzyło.

To ogród wyleczył moją ranę. Dzięki niemu jeszcze żyję i myślę. To ta wściekła zieloność zarosła ból jak chwast zarasta ugór. Uciskałam palcami oczy, żeby bolało. Ból fizyczny sprawił mi przyjemność. Był dużo lżejszy. Nastawiłam głośniejsze radio i cichutko nuciłam. To pomagało. Czas mijał, a Maryli wciąż nie było. Zaczęłam marznąć. Jest źle, długo już nie wytrzymam. Był mi potrzebny ruch. Za szybko zostawiłam kartkę: Jestem w ogrodzie”.

Nie weszłam przez furtkę. Nie miałam odwagi. Przecisnęłam się dziurą w parkanie.

Musiałam lekko przykucnąć i na czworakach przejść przez szczelinę w żywopłocie.

Poruszanie się w tej krainie było samą przyjemnością. Brnęłam po kolana w śniegu. Miałam ochotę położyć się na ziemi i przytulić do każdej cząstki tego świata. Dotykałam

ukochanych drzew, zaglądałam pod gałęzie, by rozpoznać pod nimi znajome zakamarki, lodygi, pochowane przed mrozem, w oczekiwaniu na odpowiedni moment, by wystrzelić w górę do światła. Śnieg był nieskazitelny.

Moje stopy wyciskały na ścieżkach ślady, jak dawniej, gdy spacerowałam nimi regularnie, wtedy, gdy te ścieżki były jeszcze moje. Śladów psa nigdzie nie było.

Pokonałam normalną trasę i dobrnęłam do miejsca, gdzie rosły róże. Teraz z ziemi wystawały tylko kikuty gałęzi, gołe i brzydkie. Róże zachowują urodę bardzo krótko. Zanim nadejdzie jesień, tracą swój prawdziwy czar. Zima jest dla nich wyjątkowo okrutna, odsłania jedynie kolce. Co stanie się z moim rosarium? Czy komukolwiek starczy cierpliwości, by dalej je pielęgnować? Mała kapliczka z białego kamienia, rozebrana przed przeprowadzką, pozostawiła na ziemi swój ślad.

Nie była prawdziwą mogiłą, a jedynie formą manifestacji, przypomnieniem, że w życiu człowiekowi nie wszystko idzie tak gładko. Mam nadzieję, że kiedyś odzyskam spokój, choć minęło już dwadzieścia lat.

Sama nie wiem, czy to, co zapamiętałam, jest wierną kopią tamtych zdarzeń, czy poprzez upływ czasu urosło do mitu. Karol na zawsze usunął ten temat z naszych rozmów, rodzina nigdy do niego nie wraca. Bardzo się starają, żeby nawet słowem nie dotknąć bolesnych spraw. A ja, mimo starań, noszę w sobie zatruty owoc, który kiedyś mnie zabije.

Dwadzieścia lat temu urodziłam syna. Gdy patrzę na zasypane śniegiem drzewa, zawsze przypomina mi się tamten styczeń. Pierwszy dzień Nowego Roku i my z Karolem, tacy szczęśliwi. Byłam w siódmym miesiącu ciąży. Sylwestra spędziliśmy z rodzicami w domu. Całą noc padał śnieg, a rano wszędzie było białe. Poszliśmy na spacer. Świeży puch podrywał się lekko jak pianka, nieskazitelny i czysty. Z obciążonych gałęzi spadały na nas kaskady śniegu. Agnieszka biegała między drzewami i co chwilę wpadała w śniegową zaspę. Potem ulepiliśmy bałwana.

Wracaliśmy do domu z wypiekami na twarzy. Ale chyba przesadziłam, bo po południu poczułam ból. Karol odwiózł mnie taksówką do szpitala i już tam zostałam.

Przeleżałam całe dwa miesiące i w lutym urodziłam chłopca.

Nasz syn urodził się z otwartymi oczami. Któryś lekarz zażartował, że jest elfem, bo tylko elfy rodzą się z otwartymi oczami. Ktoś przyniósł do szpitala książkę o elfach. Przeczytałam i uwierzyłam. Mój syn był rzeczywiście wyjątkowy.

Okazało się, że jest albinosem, że skórę będzie miał bez pigmentu, zawsze białą i prawie bezbarwne oczy. Poczęliśmy go z Karolem w ogrodzie, pod krzakiem jaśminu. Zapach jaśminowych kwiatów odurzył nas. Obudziliśmy się o wschodzie słońca, zasypani białymi

płatkami. Już wtedy poczułam, że coś się stało. Przez kilka dni bolała mnie głowa. Karol mówił, że to przeziębienie.

- Musiałaś zmarznąć - przekonywał.

W nocy było ciepło. To była upalna noc, noc świętojańska. Po jakimś czasie okazało się, że właśnie wtedy zaszłam w ciążę, choć wydawało się to niemożliwe.

We wcześniej miałam dwutygodniowy kurs w Warszawie, a zaraz potem Karol wyjechał na miesiąc do Berlina. Kochaliśmy się tylko ten jedyny raz, pod jaśminem. Okazało się, że nie ma mądrych na siły natury. Widać taki był jej plan. Nam to odpowiadało, bo był już najwyzszy czas, żeby zdecydować się na drugie dziecko.

Daliśmy mu na imię Cezary. Miał być wielkim człowiekiem. Choć wychowywał się jak normalne niemowlę, dopatrywałam się w nim czegoś nadprzyrodzonego. Wmówiłam sobie, że jest darem od Niebios, więc czułam się wyjątkowa i wyróżniona. Nie miałam cienia wątpliwości, bo czyż to normalne urodzić anioła?

Mój syn żył tylko kilka miesięcy Tego dnia, gdy umarł, była piękna pogoda - październikowe popołudnie, wyjątkowo słoneczne i ciepłe. Wieczorem spodziewałam się gości. Karol obronił doktorat, miała być uroczysta kolacja i świętowanie w gronie przyjaciół. Miałam niewiele czasu, a tu trzeba było jeszcze pojechać z dzieckiem do szczepienia. Od kilku dni był jakiś niewyraźny i dość kapryśny. Nie miał apetytu, płakał całą noc, zasnął dopiero nad ranem. A więc goście będą świętować bez gospodyni.

Zależało mi, żeby wszystko wypadło jak najlepiej, a tu masz babo placek, akurat właśnie dzisiaj to szczepienie. Na szczęście była mama. Ona dyrygowała całym domem. Z nią mogłam być spokojna, że wszystko będzie gotowe na czas. A jednak ogarnęła mnie dziwna nerwowość. Najpierw nie miałam gdzie zaparkować, trzeba było poszukać miejsca na sąsiedniej ulicy, potem wózek zaklinował się w bagażniku, a potem jeszcze ta kolejka. Musiałam z pokorą wytrzymać napięcie i walcząc ze skrzeczącym dzieckiem, zająć swoje miejsce w korytarzu.

Lekarz zbadał Czarka, zanim pozwolił podać zastrzyk. Mały krzyczał wniebogłosy.

- Będzie z niego silny chłop - chwalił go za krzepę, gdy pielęgniarka usiłowała utrzymać nieruchomo rękę dziecka.

- Ma na imię Cezary - tłumaczyłam. - Będzie wielki jak Cezar.

- Nawet fryzurę ma podobną - śmiał się lekarz, patrząc z podziwem na jego białe poskręcane włosy.

Wyjeżdżałam z przychodni spocona. Ledwo stałam na nogach. Mały dał mi do wiwatu.

Wierzgał jak kozioł i darł się wniebogłosy. Też chciało mi się płakać. Pchałam przed sobą wózek, manewrując pomiędzy przechodniami. Jeszcze tylko przejście przez ulicę, żeby dojść do parkingu. Weszłam na pasy i nie wiem, kiedy nadjechał samochód. Potem szarpnięcie wózka i krzyk.

Jak to się stało, nie wiem. Nie trwało nawet sekundę. Poczułam siłę wyrwijącą mi wózek z rąk. Ujrzałam, że poszybował jakoś śmiesznie w górę, obracając się kilka razy wokół osi, przed oczami migotały srebrne kółka. Potem zaczął spadać. W powietrzu szybowała poduszka, fruwały jakieś przedmioty, których nie potrafiłam rozpoznać, płachta prześcieradła sływała bezdźwięcznie na dachy samochodów, moja torebka stuknęła o trawnik, ktoś krzyknął. Pisk opon wciąż dźwięczy mi w uszach. Stałam w miejscu zdumiona, jakby wydarta z rzeczywistości wprost w świat fikcji, fantazji, mrocznych przeczuć i najgorszych wizji.

Uśmiechałam się zdziwiona, przepraszając za zamieszanie, które powstało z mojej winy, jeszcze niczego nieświadoma, z głupkowatym wyrazem twarzy. Patrzyłam na przerażonych ludzi, na sznur aut, na puste ręce, niczego nie pojmując. Serce przestało mi bić, poczułam, że umieram.

Ocknęłam się w karetce. O nic nie pytałam. Nie chciałam słyszeć odpowiedzi.

Liczyłam na to, że sen trwa jeszcze. Tylko chwila i na pewno się obudzę. Obok mnie siedział Karol. Wpatrywałam się w jego twarz zawieszoną nade mną i szukałam pocieszenia, ale ona mówiła okrutną prawdę. Wrywał się z mojego dotyku, jak ktoś, kogo się bardzo zraniło. Miał zaciśnięte szczęki i cichy skowyt wydobywał mu się z ust, jego dłonie błędziły nerwowo, szukając oparcia, cały podrygiwał, oczami szukał ratunku. Był jak zraniony szczeniak, który boi się wszystkiego, nawet wyciągniętych do niego ramion. Miał w oczach strach i bezradność. Nie istniałam dla niego.

Potrafiłam jedynie jęczeć. Cała byłam raną. Ogrom nieszczęścia był tak wielki, że wybawieniem z tego bólu mogła być jedynie śmierć. Chciałam umrzeć, żeby nie czuć. Zabiłam własne dziecko. Czyż może być coś gorszego? Świadomość, że już go nie ma, że nigdy nie zobaczę jego przepięknych oczu, nie usłyszę rozkosznego śmiechu, którym zanosił się w chwilach radości, ta świadomość, że jest martwy, była nie do zniesienia. Dostałam środek uspokajający, to on wymazał z mojej pamięci kilka następnych godzin. Ale najgorsze zaczęło się później, jakby mało było nieszczęścia. Zginęło ciało Cezarego. Wprost trudno uwierzyć, ale tak było naprawdę. Z miejsca wypadku zabrała je inna karetka i zawiozła do kostnicy. Zawinięty we własny koczek powędrował w ciemny kąt i już nigdy nikt go nie znalazł. Nie było świadków, brakowało winnych, jedynie domysły. Prawdopodobnie jego

drobne ciało trafiło do szpitalnego krematorium. Potraktowano je jak brudną bieliznę. Nikt nie domyślił się, że wśród skrawków pościeli jest jeszcze coś ludzkiego. Ta nieprawdopodobna sytuacja wydarzyła się naprawdę. Dziś trudno w to uwierzyć, ale wtedy było jeszcze trudniej. Nie znaleziono winnych, dziecko zniknęło bez śladu. Jak w filmie.

Wracałam do tego setki razy. Próbowałam znaleźć dla siebie usprawiedliwienie.

Szukałam śladu przeznaczenia, znaku, który przyniósłby mi ulgę i zaświadczył przed całym światem, że choćbym nie wiadomo jak się starała, on i tak dłużej nie miał żyć. Straciłam go, choć kochałam najbardziej na świecie. Ta miłość jednak go nie ocaliła. Wystarczył moment nieuwagi. Jak mogłam być taka nieostrożna?

Gdybym się nie spieszyła, gdybym odpuściła sobie gości, doktorat Karola i wszystko, co czekało mnie tego dnia, i pamiętała o nim. Gdybym, gdybym, gdybym... Powtarzałam bez końca, aż do omdlenia. Wtedy tak szarpałam wózkami, jakbym mogła tym cokolwiek zmienić, wydłużyć dzień albo rozciągnąć czas.

Wściekałam się, że dziecko płacze, że jest niewyrozumiałe, że nie docenia moich starań. Myślałam już o torcie, o rybach w galarecie, o fatalnej fryzurze i ogarniała mnie wściekłość, że nie zdążę.

Gdy o tym myślę, zawsze zaciskam dłonie, aż do bólu. Nawet najpotworniejszy sen był niczym wobec koszmaru, który przyszło mi przeżyć na jawie. Może odczułabym ulgę, gdyby ktoś stwierdził u mnie obłęd. W końcu wariat ma prawo popełniać głupstwa, wariat może wszystko, i tak w końcu otrzyma rozgrzeszenie. Czy mój mąż mi wybaczył, do dziś nie wiem. Był troskliwy i okazywał wiele cierpliwości, gdy ja okresowo traciłam zdrowy rozsądek. Może nawet mój stan odrywał go od myśli o synu? Rozmawialiśmy o wszystkim półgłosem, powierzchownie, zachowując bezpieczny dystans, bojąc się, żeby któreś nie zapragnęło od drugiego rozgrzeszenia.

Zdruzgotana jak stara łajba, usiłowałam ratować własną duszę. Harowałam w ogrodzie, pozostawiając Karola samemu sobie. Praca, dom, ogród, zaniedbana Agnieszka i mój ojciec zawsze obok, z moim dzieckiem za rękę. Pokazywał jej świat, kiedy ja byłam nieobecna.

Potem zbudowałam tę kapliczkę. Modliłam się przy niej, wmawiając wszystkim, że tu leży mój syn.

Złe myśli opuszczały mnie z każdym kolejnym krokiem, który oddalał mnie od rosarium. Wracałam do rzeczywistości. Stare kozaki nabrały wody, mróz wymalował mi rumieńce, aż parzyło. Zbliżałam się do swojego domu. Zerwał się wiatr.

Strącał z gałęzi śnieżne czapy i rzucał pod nogi. Z tyłu za bramą stał mój samochód. Widziałam go wyraźnie. Nikogo przy nim nie było. A więc Maryla nie przyjechała. Ulica świeciła pustkami. Ciekawe, widocznie nie miała ochoty na spotkanie albo głuchy telefon nie był od niej. Mój spacer po przeszłości trwał prawie godzinę. Weszłam na schody i zajrzałam przez okno. Pośrodku pokoju stał zniszczony tapczan, duży telewizor i fotel. To nie były nasze meble. Widocznie ktoś tutaj był. Może na noc przychodzi jakiś stróż. Przeraziłam się.

Nie wiem, przed kim tak szybko uciekałam. Biegłam przez ogród, pozostawiając za sobą tumany śniegu. W ogrodzie nikogo nie było, patrzyły na mnie tylko drzewa.

Czułam się jak dziecko przyłapano na gorącym uczynku, jak złodziej umykający z łupem, jak złoczyńca. Przechodząc pod żywopłotem, zgubiłam rękawiczkę, a wystający drut przeciął mi skórę koło ucha. Uciekałam z własnego ogrodu, czując, że tracę resztki tożsamości.

Moja kartka za szybą tkwiła nietknięta. Nieskazitelnie czysty śnieg, ani jednego śladu, oprócz śladu moich butów. Oparłam się o zagłówek fotela. Nie przyjechała.

Czyżbym się myliła? Co robić dalej z tym fantem, jak się z nią skontaktować, gdzie szukać? To nie był dobry pomysł wyciągać ją tak daleko. A wczoraj, gdybym wczoraj podeszła? Zmarnowałam szansę. Następna okazja może się nie powtórzyć. Czas wracać, niczego tu nie odzyskam, ani domu, ani lat, które pochłonął czas, ani Maryli.

W poniedziałek od rana rozpoczęłam swoją wędrówkę po firmach. Byłam w dziesięciu, a dzwoniłam do czternastu. W żadnej z nich nie potrzebowali stomatologa ani żadnego innego pracownika o zbliżonej profesji. Nikomu i niczemu nie byłam potrzebna. Również moim najbliższym. Karola jak zwykle nie było w domu. Dopiero jutro wróci z Krakowa. Agnieszka została z Piotrusiem na kilka dni u teściów i jedyną pociechą było to, że oddała mi wóz.

W kiepskim humorze siadłam znów za kierownicą. W uszach brzmiały mi jeszcze przykre rozmowy. Do Brodzkiej nie chciałam dzwonić. Ile można męczyć uczynną kobietę? Jechałam za miasto do psiego schroniska. Postanowiłam odnaleźć Dunę.

Nie było jej w domu od piątku. Adres schroniska znalazłam w gazecie i szukając go, błądziłam po obrzeżach miasta. W końcu dotarłam do celu. Było już ciemno, gdy wjeżdżałam przez wysoką bramę do środka. Brodząc po kostki w błocie, w towarzystwie pracownika przeglądałam kojce ze zwierzętami. Duny wśród nich nie było. Na wszelki wypadek podałam dane psa i telefon do domu.

Zgnębiona niepowodzeniami wstąpiłam na zakupy do supermarketu mieszczącego się niedaleko domu. Odchodziłam właśnie od kasy, gdy ktoś złapał mnie za rękaw.

- Małgośka, to ty!?! - Spojrzałam zaskoczona. - Pamiętasz mnie, to ja, Marysia Wysocka.

- Rzeczywiście, Marysia! - zawołałam uradowana.

- Mieszkasz w pobliżu? - zapytała.

- Niedaleko.

- Ja naprzeciwko sklepu, w bloku ze szklaną ścianą. Wiesz gdzie?

- Jasne. Każdy wie, gdzie jest blok ze szklaną ścianą.

- Wpadniesz na moment? To niedaleko. Wypijemy kawę, pogadamy. Od kiedy tu mieszkasz? Wcześniej cię nie widziałam.

- Dopiero kilka miesięcy. Sprzedaliśmy dom w miasteczku.

- To świetnie. - Ciągnęła mnie za rękaw ze sklepu.

- A co z moim samochodem? - Spojrzałam w kierunku parkingu.

- Pójdziemy piechotą. Przed naszym domem nie da się zaparkować.

Poprowadziła mnie skrótami i po chwili byliśmy na miejscu. Rzeczywiście na parkingu panował tłok. Srebrna winda wiozła nas na ostatnie piętro.

- Tutaj zawsze tak wygląda. Ja mam garaż pod domem. Mieszkam sama - wyjaśniła, otwierając drzwi. - Rozwiodłam się trzy lata temu.

- Nie wiedziałam - udawałam strapioną.

- No jasne - zaśmiała się szczerze. - Skąd miałaś wiedzieć. Przecież nawet nie wiedziałaś, że wyszłam za męża. Ostatni raz widziałyśmy się na rozdaniu dyplomów.

- No tak - przyznałam, wchodząc do przestronnych pomieszczeń, które znajdowały się niemal na dachu. - Pięknie tu - westchnęłam onieśmielona.

- Prawda? - cieszyła się z wrażenia, jakie na mnie wywarła. - Chwalę się tym mieszkaniem. Jest naprawdę cudowne. A latem! Uhm, mówię ci, bosko. Potem ci pokażę mój taras z drzewami i z hamakiem. Będziesz zachwycona.

- Z pewnością - odpowiedziałam.

- Rozbierz się i siadaj - wskazała biały fotel.

- Na wszelki wypadek zdejmę buty - zaproponowałam. Marysia nie protestowała.

Sama biegała po mieszkaniu boso.

- Nie noszę papci. Mam ogrzewanie w podłodze.

Zapomniałam o czasie. Mimo nieustających przechwałek, które zapuszczała w moją zranioną dumę, czułam się nieźle.

- A ty, co u ciebie, nic nie mówisz? - dopuściła mnie wreszcie do głosu. -

Wiem, że masz męża. A dzieci? Spotkałam kiedyś Marylę - wyjaśniła.

- Wolę słuchać, niż opowiadać. Moje życie nie było takie barwne jak twoje.

- Mówisz tak, jakbyś je skończyła.

- Tak się niestety czuję.

- No więc opowiadaj.

Jakimś cudem otworzyłam przed nią serce i wyplułam cały żal. Słuchała, nie przerywając. Uśmiechała się lekko i kiwała głową, jak ktoś, kto wszystko rozumie. Prawie jej nie znałam. Na studiach była w mojej grupie, ale należała do tak zwanych bażantów. Ustawiony tatuś, mamusia z wyższych sfer, dziadkowie - profesorstwo. Takich się wtedy nie lubiło. Mieli w stosunku do nas lepszy start i przygotowane podwaliny pod zawodową karierę. Zostawali na uczelni, robili doktoraty, wyjeżdżali w świat, do miejsc, które się innym nawet nie śniły. Jak to możliwe, że oto ja siedzę w domu jednego z takich bażantów i spowiadam się szczerze aż do bólu?

- Napijemy się szampana, za spotkanie - zaproponowała. Nie odmówiłam. Chociaż gdzieś tam, na sklepowym parkingu zostawiłam samochód, nie myślałam o powrocie do domu.

- Wypijmy za życie, bez względu na to, czym nas uszczęśliwiło. - Nalała pełne kieliszki. - Twoje nie jest łatwe, a mojemu też dużo do szczęśliwego brakuje. To - wskazała na mieszkanie - to tylko surogat, materiał zastępczy, oliwa. A w środku gruzy - uderzyła się w piersi - pustka. A co do pracy, nie martw się.

Mogę cię poratować. Niestety jeszcze nie teraz. Musisz poczekać. Dopiero w czerwcu, ale zapewniam, propozycja jest tego warta. Za kilka dni wyjeżdżam do Kanady. Mam tam córkę z poprzedniego małżeństwa. Firmę zostawiam eks-mężowi. Zna się na wszystkim, dobrze jej przypilnuje.

Solidnie szumiało mi w głowie. Miałyśmy za sobą dwa szampany i butelkę wytrawnego wina. Żegnałyśmy się z żalem, kilka godzin wcześniej niemal obce, teraz splecione w uścisku ocierałyśmy sobie nawzajem łzy.

- Wytrzymaj do czerwca. - Podała mi rękę. - Jak wrócę, natychmiast zadzwonię.

Wracałam z przebojami. Zaplątałam się w gąszczu osiedlowych uliczek i ledwo znalazłam drogę do domu. Chwiejnym krokiem wchodziłam na piętro, starając się nie robić hałasu. Już z dołu usłyszałam żalosne skomlenie. Na wycieracze leżała Duna i na mój widok zamerdala ogonem.

W nocy podjęłam decyzję. Byłam mocno wstawiona i tylko dlatego odważyłam się na taki krok. Postanowiłam, dopóki Marysia Wysocka nie wróci z Kanady, przyjąć pracę pomocy stomatologicznej. W końcu żadna praca nie hańbi. Ojciec wmawiał mi to przez całe życie. Teraz mogłam sprawdzić, czy to prawda. Rano, popijając mineralną, zastanawiałam się, czego potrzebuję.

Wywołałam niezłe poruszenie, gdy lekarz na moją prośbę nie umieścił w ankiecie mojego wykształcenia.

- Ta praca jest mi potrzebna - wyjaśniłam. - Nikomu nie stanie się krzywda.

Przez dwadzieścia pięć lat byłam dla siebie pomocą dentystyczną, znam się na fachu jak nikt inny, proszę mi wierzyć.

- Ale to nie uchodzi - jękał się z wrażenia.

- Widocznie nie był pan nigdy bez pracy.

- Rzeczywiście, jeszcze nie byłem.

Dostałam więc niezbędne dokumenty. Zaczynam od środy.

Trzęsły mi się kolana, gdy jakaś pani doktor wprowadzała mnie do gabinetu.

Musiałam się skupić, by nie wypaść źle, gdy tłumaczyła, w jaki sposób będę jej pomagała. Powtarzała głośno i cierpliwie nazwy wypełnień i opatrunków (znane mi doskonale z wyglądu, nazwy, a nawet z zapachu) i zaznaczała wyraźnie, czego z czym nie mogę pomylić.

Potem objaśniła sposób, w jaki u nich oczyszcza się i sterylizuje sprzęt, narzędzia, zapoznała z typem autoklawu i spluwaczki, a na końcu objaśniła, jak mam szukać kartotek pacjentów i kogo słuchać w pierwszej kolejności. Obok mieścił się gabinet protetyka, w nim również przewidziano dla mnie zajęcie.

Prawdę mówiąc, nie wyglądało to zbyt różowo. Z liczby pacjentów pod drzwiami mogłam wnioskować, że praca nie będzie lekka i przyjemna. Wiedziałam jedno: będzie mnie stać na benzynę i bez żebrania opłacę składkę ubezpieczeniową. Karol wciąż wyliczał pieniądze, przeznaczając swoje zarobki na życie, i nie dopuszczał do naruszenia oszczędności. Jasne było, że jedna pensja nie wystarczy na wszystko. Byłam gotowa znieść wiele, byle tylko móc uniezależnić się od jego hojności. Cóż znaczy kilka miesięcy takiej pracy wobec faktu, że zmuszona byłam pożyczać pieniądze od rodziców? Czy Karol zrozumie mój krok? Jak mu oznajmić nowinę, że żona profesora uniwersyteckiego dostała pracę pomocy stomatologicznej w jednej z prywatnych klinik?

Pracuję jak wół. Po trzech dniach mam odciski na dłoniach. Jeszcze nigdy tak się nie nabiegałam. Wprawdzie w dawnych czasach bywało, że palce drętwiały mi od trzymania

wiertarki, a plecy mdlały w jednej pozycji, lecz to, czego ode mnie wymagano tym razem, graniczyło z prestidigitatorstwem. Biegałam przez dziesięć godzin pomiędzy trzema gabinetami, połączonymi ze sobą w amfiladzie, spełniając bez szemrania życzenia lekarzy.

Tysiąc złotych, które mi płacono, początkowo wydawało się zawrotną sumą. W obliczu ilości zajęć okazało się jedynie nędzną jałmużną. Znosiłam dzielnie uwagi przełożonych, próbując utrzymać odpowiedni dystans. Nie jest łatwo jednego dnia pogodzić się z utratą praw do wydawania dyspozycji. Poznawanie nowych obszarów w starych granicach zawodowych było jak przycinanie rogów własnemu egoizmowi. Gdybym nie miała pojęcia o fachu, byłoby mi łatwiej podziwiać to, co robią inni. Znając dokładnie arkana zawodu, sztuczki i sposoby fuszerowania, musiałam się powstrzymywać, by nie wyrazić zbyt nachalnie swojego zdania. Bywały momenty, w których chciałam zareagować albo sama zając się pacjentem. Niestety, moja rola była dość ściśle określona. Zakres obowiązków przewidywał częściej machanie miotłą niż odzywanie się do kogokolwiek. Miałam jedynie wykonywać polecenia, a komentarze ograniczyć do minimum.

Najgorsze zaczynało się pod koniec dnia. Czyszczenie narzędzi, moczenie, sortowanie, pakowanie autoklawów. Potem podłogi, meble, fartuchy, odpady, śmieci... Gdy wracałam do domu, nie czułam nóg. A tam czekał na mnie niewybiegany pies i głodny pan. Lata praktyki w ogrodzie zahartowały moje ciało do ciężkiej pracy, ale czy wytrzymam psychiczną presję?

Chyba jednak jakoś to zniosę. Przecież z łopatą i grabiami też nie wyglądałam na profesorową.

Jak tylko odzyskałam samochód, ojciec zaatakował. Był bardzo zawiedziony, że nie dotrzymuję słowa. Nie wiedział przecież, jaka była prawdziwa przyczyna moich uników. Chciałam go oszczędzić, wziąć na przeczekanie. Może zapomni, ustąpi, może inna sprawa zaprzątnie jego myśli, skupi uwagę. Widok zamkniętej bramy będzie na pewno ciosem. Jak mam go tam wprowadzić? Przez szparę w płocie?

Gdy odwiedziłam ich któregoś dnia, znowu narzekał. W jego oczach widziałam znajomy blask, gdy mówił o ogrodzie. Czułam, że błądzi w myślach dawnymi śladami, spaceruje po wykoszonych alejkach, sprawdza ule, zrywa jabłka w sadzie, i lepiej, żeby tak zostało. Wizyta na Lipowej za mocno nim wstrząśnie.

Wykręcałam się sianem, a on wciąż powracał do tematu, zarzucając mi bezduszność.

- Przecież wiem, że często tam jeździsz. Karol powiedział, że Duna nocowała w ogrodzie i musiałś ją przywozić do domu samochodem. Dlaczego my z matką nie możemy

też tam pojechać? - wysuwał słuszne argumenty, a ja nie miałam nic na swoje usprawiedliwienie.

- Powiedziałam, że pojedziemy, i dotrzymam słowa. Tylko niech się trochę ociepli - zaczęłam ostro. - Jeszcze się przeziębisz i będzie kłopot.

- Czyja się często przeziębiam? Przez wiele lat chodziłem po ogrodzie w starej kufajce. Jestem zahartowany jak nikt.

- Byłeś zahartowany - poprawiałam. - Od kilku miesięcy siedzisz w ciepłym mieszkaniu i wcale nie wychodzisz. Trzeba cię siłą wyciągać na spacer.

- To są zwykłe wykręty. Przecież mogę się ciepło ubrać.

- Wczoraj miałeś podwyższoną temperaturę - mama pospieszyła z odsieczą, jakby wyczuła moje intencje.

- Nie wczoraj, tylko dwa dni temu - poprawił ją zdenerwowany. - Jeszcze ty mija buntuj - protestował.

- Więc nie ma mowy - natychmiast podchwyciłam. - Musisz być zdrowy. Zbliżają się święta. Przyjedzie Marek z Basią i dziećmi. Poczekajmy kilka dni, aż się sytuacja wyjaśni. Jeżeli gorączka nie powróci, obiecuję, że pojedziesz ze mną, gdzie tylko zechcesz. - Przytuliłam go, bo już w oczach zaszklily się staruszkowi łzy.

- Już rozmawiałem z Karolem. Obiecał, że jeżeli ty się nie zgodzisz, pojedzie ze mną.

Spojrzałam na Karola z wyrzutem. Co on knuje za moimi plecami, dobrze wie, jak wygląda sytuacja. Najpierw muszę porozmawiać z właścicielem, żeby nas wpuścił.

Karol patrzył w swój notatnik i pisał.

- A więc dobrze - poddałam się. - Jeżeli nie dotrzymam słowa, Karol zrobi to za mnie. Tylko daj mi kilka dni.

- Ile? - pytał konkretnie.

- Tydzień - rzuciłam bezmyślnie.

- Zgadza się - ojciec promieniał. - Daję ci tydzień, a potem robię po swojemu.

Rozłożyłam bezradnie ręce.

- Umowa stoi.

Wyszłam do kuchni powiesić w oknie świeże firanki. Każdy pretekst był dobry, żeby zakończyć dyskusję. Karol zabrał ojca do drugiego pokoju na rozmowę o przodkach. Ojca cieszyło, że ktoś słucha z uwagą jego rodzinnych historii.

Bardzo roztkliwiał się przy tych wspomnieniach. Dawne dzieje, jakaś ukraińska przeszłość, wojna, dzieciństwo i młode lata. Mnie oszczędzono tych szczegółów, za to mama znała wszystkie fakty z jego życia, bo pochodzili z tej samej miejscowości.

Przepełniony autobus przechylał się niebezpiecznie na zakrętach. Było piekielnie ślisko. Łód każdego ranka skuwał podtopione wieczorem ulice, tworząc z brudnego śniegu wymyślne budowle. Koła podskakiwały w wyłobionych koleinach, chrupały lodowe bryły. Uczepiona jedną ręką metalowego drążka, próbowałam dosięgnąć kasownika. Zbity tłum pasażerów przymusowo tulił się do siebie, broniąc swojego terytorium łokciami i biodrami. W powietrzu unosił się zapach cudzych pierzyn, chleba z kielbasą, pasty do zębów i przegniłych dezodorantów. Wokół stali głównie młodzi ludzie. Wśród nich czułam się niemal staruszką. Kiwając się na boki, odbierałam raz po raz przypadkowe kuksańce. Wyglądałam chyba dość młodo, bo nikt nie wyraził ochoty, żeby ustąpić mi miejsca. Natomiast molestowanie w anonimowym tłumie byłoby możliwe, tylko że do tego byłam już za stara. Więc żadna z tych przyjemności mnie nie dotyczyła. Pierwsza jeszcze nie, na drugą było za późno. Tak wyglądała moja codzienna droga do pracy. Jeździłam każdego dnia autobusem o siódmej trzydzieści, zanurzona w pachy współtowarzyszy niedoli.

Codziennie, gdy wchodziłam do budynku, przypominała mi się Maryla. Już dawno postanowiłam zabawić się w detektywa i popytać wśród pielęgniarek, czy nie wiedzą, co tutaj robiła. Wstępne rozpoznanie nie przyniosło żadnych efektów. To było do przewidzenia, że Maryla nie zarejestruje się pod swoim nazwiskiem.

Przejrzałam niemal wszystkie wpisy w rejestrze pacjentów i nie znalazłam.

Rejestratorki nie mogły się nadziwić, że zwykła pomoc dentystyczna z taką swobodą korzysta z komputera. Nabujałam coś o kuzynce, która zgubiła skierowanie do lekarza i zapomniała, gdzie się ma zgłosić.

Pacjenci już czekali. Ci najgorliwsi, którzy wolą siedzieć dwie godziny przed przyjściem lekarza, byle tylko wejść w pierwszej kolejności, pochrapywali przykryci płaszczami, nowi siadali obok z gazetami w ręku. Senna atmosfera poranka, podkreślana głośnym ziewaniem kobiety spod okna, nie zachęcała do pracy. Już drugi tydzień dzielnie spełniałam swoje obowiązki, coś pomiędzy sprzątaczką a salową, wykorzystywaną ponad ludzkie możliwości. Było ciężko, ale znosiłam to z honorem. Postanowiłam wytrzymać ciśnienie nowego zawodu, biorąc byka za rogi.

Lekarze patrzyli na mnie z nieufnością. Wprawdzie udawałam lekkiego przygłupa, wtedy gdy było mi to na rękę, lecz generalnie robiłam furorę. Nie domyślali się, że o ich pracy wiedziałam prawie wszystko. Dlatego tak trudno było mi trzymać język za zębami i czasami wtrącałam coś zaskakującego. Podczas krótkich przerw, około piętnastej, gdy pustoszały poczekalnie, wszyscy zbierali się na krótki odpoczynek i filiżankę kawy lub herbaty. To była pora zwierzeń, opowieści, żarcików, najczęściej zawodowych. Byłam

dobrym tematem do kpin. Jeden z lekarzy, młodszy o kilka lat, wyjątkowy partacz, miał dla mnie ciekawą propozycję.

- Jak nam się pani Małgosia lepiej podszkoli - nie mógł mi wybaczyć ciągłego wymądrzania - będzie można wcześniej pójść do domu. Zostawimy jej ekstrakcje i usuwanie kamienia nazębnego, a trudniejsze przypadki załatwimy sami. - Po tym następowały gromkie śmiechy i było bardzo wesoło. Spuszczałam oczy ku ziemi, udając zachwyconą, a w myślach ciskałam gromy, załamując ręce nad jego zawodową indolencją.

Wtedy swoje trzy grosze dodawała jego koleżanka:

- Wydamy ją za pana Mietka z działu technicznego i będziemy mieli pełen serwis. -

Ha, ha, ha...

Cierpiała moja ambicja, gdy wracałam wieczorem do domu. Przyzwyczajona do doktorskich splendorów, przełykałam z bólem głupie żarty. A przecież dla wszystkich innych, którzy jak ja biegali po korytarzach z miotłami, to była dobra praca. Jaka przewrotna logika tkwi w obyczajach, że komplementy dla jednych mogą być obelgami dla drugich. Swoją drogą Mietek z technicznego był nawet niczego sobie. Myślałam: rzucę to, nie wytrzymam. Ale zbliżał się koniec miesiąca i myśl o pieniążkach osłodziła żale.

Moja szefowa oświadczyła, że podpiszą ze mną umowę do kwietnia. To mnie urząda - pomyślałam. Byle do wiosny.

Rodzice nie znają całej prawdy. Praca to praca, o co więcej pytać? Odeszli zbyt daleko od problemów własnych dzieci. Niby z grubsza orientują się we wszystkim, a tak naprawdę nic nie chcą wiedzieć. Ich świadomość zatrzymała się na czasach, kiedy etat należał się każdemu, tak samo jak zwrot kosztów podróży. Wciąż dziwią się i biadolą, że po nich już tylko potop. Oglądają seriale i myślą, że jak w filmie, wszystko jakoś się ułoży. Choć mają za sobą gehennę biedy, niemożności i niewoli, zawsze ich czas będzie dla nich nadrzędny wobec czasu ich dzieci i wnuków. Wyznaczają sobie granicę zrozumienia i tolerancji. Potępiają Marylę, że odeszła od męża. Krytykują Agnieszkę, że oddała Piotra do przedszkola. Nie potrafią zrozumieć Karola, że woli mieszkać w mieście, a mnie, że wybrałam jego, a nie ich. Ale kocham ich bardzo i choćby nie wiem jak zdziwaczeli, wybaczę wszystko.

Teraz mam ręce pełne roboty i myślenie jakoś mi nie wychodzi. Jeżeli się pospieszę, zostanie jeszcze kilkanaście minut na odpoczynek. Zanim lekarze przyjdą do pracy (notabene ciągle się spóźniają), będę mogła przysiąść na chwilę i wypić herbatę. Myślałam, że znam siebie na wskroś, a jednak jakie zaskoczenie.

Nie przypuszczałam, że tak dobrze potrafię machać szmatą. Pacjenci patrzyli obojętnie na moją krzątaninę, czując się niezręcznie, gdy ich zabłocone nogi wydeptywały na dopiero wymytej podłodze ciemne ślady. To była naprawdę robota dla głupiego.

Ruch na korytarzach narastał. Lekarze zwykle zaczynali przyjmować pacjentów koło dziewiątej trzydzieści. Moja szefowa wyraźnie się spóźniała. W jej gabinecie wciąż dzwonił telefon, którego nie miał kto odebrać.

- Pani Małgosiu - usłyszałam głos rejestratorki. - Niech pani posiedzi trochę w gabinecie szefowej i odbiera telefony. Bez przerwy dzwonią, nie da się wytrzymać. Proszę zapisywać pacjentów na popołudnie w dwóch turach, do siedemnastej i godzina przerwy, a potem do dwudziestej, jedna osoba na pół godziny, nie więcej.

To mi się podobało. Szykowałam się niezła laba. Wzięłam ze sobą herbatę i usiadłam za biurkiem w wygodnym fotelu. Tu poczułam się jak u siebie. Gabinet zza biurka wyglądał całkiem inaczej niż z pozycji pochylej. Rozciągała się przede mną panorama władzy, której kiedyś znałam. Siedziałam wyprostowana, całkiem inna, taka, jaką być powinnam. Twarz Małgosi, pomocy dentystycznej, wygładziła się, rysy wyszlachetniały, w oczach pojawiła się hardość. To były czasy - pomyślałam, po raz pierwszy doceniając, że życie było dla mnie kiedyś takie szczodre.

Zadzwoiła mama. Płakała tak głośno, że nie mogłam nic zrozumieć. W końcu wydusiła:

- Przyjedź natychmiast!

Próbowałam czegoś się dowiedzieć, lecz z jej słów nic nie wynikało.

- Mamo, czy ojciec jest z tobą?

- Nie ma! - krzyczała coraz głośniejsze.

A więc jednak. Coś stało się ojcu. Usiadłam zdruzgotana na tapczanie. Słyszałam głos w słuchawce, a strach paraliżował mi krtań.

- Uspokój się - zdołałam tylko wykrztusić. - Zaraz do ciebie przyjadę.

Na szczęście samochód stał pod blokiem. Jechałam przez całe miasto, próbując pozbierać myśli. Robiło się ciemno. O tej porze roku zmrok zaczynał się już o szesnastej. Na ulicach tłok, trudno było przecisnąć się przez skrzyżowania.

Przedświąteczny ruch dawał się bardzo we znaki. Święta tak blisko, a mnie zawalił się świat.

Zaczęło padać. Najpierw śnieg, a potem deszcz ze śniegiem. Zrobiło się ślisko.

Musiałam zwolnić, bo za miastem drogi nie były przetarte, a mój ford nie miał zimowych opon. Trzymałam kurczowo kierownicę.

Światła skąpo oświetlały pobocze. Deszcz rozmazywał na szybie płatki śniegu, a wycieraczki odgarniały je na zewnątrz. Przed sobą miałam sznur samochodów, a pod kołami miękką papkę. Jechałam niepewna, co zastanę. Popelniłam błąd, nie pytając dokładnie, co się stało. Może to tylko jakiś drobiazg - łudziłam się. - A ja pędzę na złamanie karku w taką pogodę.

Niestety. Pod blokiem rodziców stała karetka. W kabinie kierowca zapalał papierosa. Zajrzałam, nikogo więcej. Na drugim piętrze małe zbiegowisko.

Mieszkańcy zebrali się pod naszym mieszkaniem.

- Pani doktor! - wołał sąsiad z przeciwka. - Ojca zabrało pogotowie!

- Przewrócił się na schodach i stracił przytomność - wołał ktoś inny. - Podobno paraliż - usłyszałam.

- Jaki tam paraliż - ktoś ją poprawił. - Niech pani nie straszy kobiety. Zemdlał i tyle.

Czułam pulsowanie. Tylko nie to - błagam. - Tylko nie to. Bez słowa minęłam zbiegowisko i weszłam do mieszkania. Mama leżała na tapczanie z zamkniętymi oczami. Obok siedział lekarz i trzymał jej nadgarstek. Zamarłam przerażona. Jest aż tak źle? - pytałam siebie i czekałam w korytarzu, patrząc, jak mierzy jej ciśnienie. Nie chciałam przeszkadzać. Szelest kartek zakłócił panującą ciszę.

Błede dłonie pokrywały papier drobnymi literkami. Jedna z recept upadła na dywan. Poruszyłam się, a on wyczuł moją obecność. Wyszłam z ukrycia. Mama na mój widok poderwała się z tapczanu.

- Ma pani wysokie ciśnienie i przyspieszone tętno - powstrzymał ją ruchem ręki.

- Proszę jeszcze nie wstawać. Zanim lekarstwo nie zadziała, trzeba odpoczywać.

- Jestem córką - wyjaśniłam. Lekarz podniósł zmęczone oczy.

- Proszę jej dzisiaj nie zostawiać samej - powiedział. - Jest w złej kondycji.

- Nerwy? - zapytałam ze ściśniętym gardłem.

- Chyba tak - odpowiedział. - Nerwy i wieńcówka. - Rozłożył przede mną EKG.

Ciemna linia wykresu wznosiła się i opadała w tajemniczym cyklu, który dla niego był wieńcówka, dla mnie górskim krajobrazem. - Zdenerwowała się ojcem - próbował tłumaczyć powstałe zamieszanie.

- A co z nim? - zapytałam tak, jakby mnie to prawie nie obchodziło. Myślałam, że na postawione w ten sposób pytanie otrzymam tak samo bagatelny odpowiedź, w rodzaju: „Nic takiego, zwykle zesłabnięcie albo chwilowa niedyspozycja”. Ale on milczał. Rzucił porozumiewawcze spojrzenia na matkę. Czułam, że się wykręca. To musiało być coś poważnego.

- Trudno powiedzieć - mówił wymijająco. - Został zabrany do szpitala.
- Ten stary dureń wybrał się tam piechotą - odezwała się niespodziewanie mama.
- Tam, to znaczy gdzie? - próbowałam ustalić.

- Wiadomo gdzie, do swojego ogrodu - powiedziała oburzona. - Ubrał się i powiedział, że wychodzi na spacer, i wyszedł, tylko że szedł w okropnej pogodzie piechotą pięć kilometrów. W końcu zrobiło mu się słabo i jakiś obcy człowiek odwiózł go do domu. Na drugie piętro już nie doszedł - zakryła ręką usta. - Upadł na półpiętrze i zemdlał - zaczęła płakać.

Lekarz pakował swoją torbę i zbierał się do wyjścia. Kamienny wyraz jego twarzy sprawiał, że wstrzymywałam ze strachu oddech.

- Tutaj są recepty. Dzisiaj proszę już niczego nie zażywać - odwrócił się w kierunku mamy - a jutro w południe weźmie pani wszystkie lekarstwa. Tutaj wypisałem dawkowanie leków - pokazał na plik niebieskich kartek. - A o męża może się pani dowiadywać z samego rana. Wystarczy zadzwonić.

- Odprowadzę pana.

Przy drzwiach zatrzymałam się i nie patrząc mu w oczy, jeszcze raz zapytałam o ojca.

- Niestety miał chwilowe zatrzymanie akcji serca. - Spojrzał, jakby badał moją reakcję. - Na szczęście jakoś się ocknął i odzyskał świadomość. Był trochę splątany, myliły mu się lata i mówił do mnie Marek, ale tylko kilka minut. Gdy przyjechała karetka reanimacyjna, czuł się całkiem dobrze. Co dalej, nie wiem.

Zostałem przy matce. Ojciec pojechał z innym zespołem. Matka potrzebuje teraz spokoju, ale jak zaśnie, proszę do mnie zadzwonić. Mam dyżur do rana.

Zamknęłam drzwi, ignorując zaaferowanych sąsiadów, czekających pod drzwiami. Nie miałam ochoty na komentarze. Szczegóły zostawiłam mamie. Będzie miała dość czasu, żeby wszystko opowiedzieć. Teraz chodziło mi o nią. Gdy wróciłam do pokoju, już spała. Przyniosłam koc. Prawdopodobnie zadziałały środki uspokajające. Teraz powinnam jak najszybciej skontaktować się z Karolem. Będzie niespokojny, gdy nie zastanie mnie w domu. Postanowiłam zadzwonić. Niestety komórka była wyłączona. Widocznie miał jeszcze wykłady. Więc najpierw sprawdzę, co z ojcem. Gdy mama się obudzi, na pewno o niego zapyta. Z pieczętki na recepcie odczytałam numer telefonu do szpitala i nazwisko lekarza. Chyba dojechał już na miejsce? A jeżeli nie? Odczekałam jeszcze pół godziny. Telefon wyslizgiwał mi się ze spoczonej dłoni. Oddychałam głęboko, żeby nie zemdleć.

Na oddziale ojca nie było. Pielęgniarka przejrzała listę pacjentów i nie znalazła osoby o takim nazwisku. Myślałam o najgorszym - po prostu nie dowieźli go na czas. Nie chciałam

wyjsć na histeryczkę, ale przecież chodziło o mojego ojca. To trwało kilka minut. Słyszałam przez telefon, że po drugiej stronie powstało zamieszanie. Nie chciałam wywoływać paniki, ale przecież musiał się znaleźć. Dopiero lekarz, który przyjechał z pogotowiem, wszystko wyjaśnił. Ktoś przekreślił nazwisko. Ojciec leżał na oddziale intensywnej terapii.

- W tej chwili nic się nie dzieje - uspokajał lekarz. - Śpi.

- A czy już wiadomo, co to było?

- Prawdopodobnie mały zator, który spowodował chwilową utratę przytomności, a potem pamięci. Dostał już odpowiednie lekarstwa, a jutro zrobimy pozostałe badania.

- Czy w tej chwili coś mu grozi?

- Trudno przewidzieć. Czynność serca jest prawidłowa, lekarstwa podane. Jeżeli skończy się tylko na tym incydencie, powinien za kilka dni wrócić do domu.

- Chciałabym być jakoś pomocna - zaznaczyłam. - Jestem wprawdzie stomatologiem, ale jeżeli moja obecność przy ojcu mogłaby ulżyć w pracy oddziału, chętnie pomogę.

- W tej chwili musi pani przypilnować matki. Jej będzie też potrzebna pomoc.

Ojcu niczego nie trzeba. Proszę przyjść jutro na oddział koło dwunastej. Będę miał pierwsze wyniki.

- A tak szczerze, czy mogę mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze? - drażylałam.

- Pani doktor... - wziął głęboki oddech. - Pani dobrze wie, jak to jest. Mogę opowiadać pani bzdury i wmawiać co się da, ale po co? Osiemdziesiąt lat to wiek, w którym może zdarzyć się wszystko.

- Rozumiem - czułam się głupio. - Ale byłoby mi raźniej, gdyby...

- A więc dobrze - przerwał zniecierpliwiony. - Jeżeli to pomoże pani odzyskać równowagę ducha, myślę, że wszystko będzie dobrze i pani ojciec jutro obudzi się rześki i zdrowy. Wskoczy z łóżka, zje śniadanie i na kawę przybiegnie do domu - wyrecytował jednym tchem.

- Dziękuję, panie doktorze - odpowiedziałam i szybko odłożyłam słuchawkę.

Co by się ze mną stało, gdyby ojciec teraz umarł? Gdyby zostawił mnie ze wszystkimi niespełnionymi wobec niego obietnicami, z krzywdą, której jeszcze nie zdążyłam mu wynagrodzić, z tym okrutnym wydziedziczeniem z ukochanego domu i ogrodu? Dlaczego pozostawiłam te sprawy nierozwiązane? Przez ostatnie tygodnie wciąż myślałam o tym, czy miałam prawo zarządzić ich życiem. Czy starość rodziców daje dzieciom przyzwolenie na to, żeby uszczęśliwiać ich według własnego widzimisię? Oczami wyobraźni widziałam ojca, jak leży całkiem sam, wśród obcych i zastanawia się, czy jeszcze nas zobaczy. Na pewno się boi, jest przerażony, zrozpaczony i martwi się, że my się martwimy.

Ile razy patrzyłam na siwą głowę mojej matki, na pochylone plecy ojca, w ich oczy coraz częściej załzawione. Boję się pustki, która po nich zostanie. Nie jestem na to gotowa. Nie jestem gotowa na odrąbanie połowy ciała. Ból będzie straszny. A przecież kiedyś nadejdzie. Teraz ich świat zwęził się do jednego okna, z którego widać drogę do mojego serca. Kiedyś byli młodzi, butni, zapatrzeni w siebie, chciwi życia. Teraz całą uwagę skupiają na mnie. We mnie szukają siebie, łudzą się, że ich życie powtórzy się, przetrwa w dwóch przekazanych komórkach. Kruchość ich życia przeraża, każdy niepewny symptom paraliżuje - oddech zbyt ciężki albo zbyt lekki, za długi sen, za krótki, niespodziewany telefon późną nocą, głos sąsiada w słuchawce - wtedy zamiera we mnie dusza. A natura egzekwuje swoje prawa bez pozwolenia, układa wszystko w ciąg wydarzeń, koło się zamyka, nie ma ucieczki.

Spłakałam się okrutnie. Mogłam płakać do woli, bo mama i tak nie słyszała.

Komórka Karola jak zwykle była wyłączona. Dlaczego on mi to robi? Zawsze, gdy jest potrzebny, nie mogę go znaleźć, jakby specjalnie ukrywał się przed całym światem.

Obudził mnie sygnał telefonu. Wreszcie się odezwał. Teraz to on był zaniepokojony. A więc byliśmy kwita. Awanturę odłożyłam na później.

- Nie mogę jej tu zostawić, a stąd do szpitala jest za daleko.

- Co z twoją pracą? - Karol przypomniał, że jutro jest piątek.

- Zadzwoń, mam chyba prawo do wolnego dnia?

- Nie będą zachwyceni.

- Mam to gdzieś - oświadczyłam. - Teraz liczą się tylko oni.

- Czy zawiadomić Marka, może chciałby wiedzieć?

- Nie ma sensu robić paniki - zdecydowałam. - Mam nadzieję, że nie będzie aż tak źle. Ja go znam. Zanim skończysz z nim rozmawiać, on będzie już zamawiał bilet na samolot.

- Masz rację - przyznał Karol. - Poczekamy kilka dni. Marek i tak nic tu nie pomoże.

A ty? - zawiesił głos. - Jak się czujesz?

- Obita i przerażona.

- Musisz się przygotować na najgorsze. Wiesz, oni są już starzy.

- Wiem - głos mi się załamał. - Ale to nie jest łatwe.

- Ja już przez to przechodziłem. Rozumiem, co czujesz.

- Pamiętam - zamyśliłam się. - Nie pomogłam ci wtedy.

- Krótko się znaliście.

- No tak, ale to byli twoi rodzice.

- Małgosiu - powiedział delikatnie. - Znowu zaczynasz. Życie to nie jest kłębek włóczki, żeby go ciągle odwijać i zawijać. Pewne rozdziały trzeba za sobą zamknąć.

- Kiedy wszystko, co kocham, to moja pamięć. Myślenie jest przyjemne wtedy, gdy się wspomina.

- A ja wolę snuć ciekawe plany i patrzeć przed siebie.

- No tak - przypomniałam sobie jego słowa sprzed kilku miesięcy. - Jesteś wzrokowcem.

Roześmiał się. Rozmowa z nim przyniosła mi ulgę. Dobrze, że nie zaczęłam się awanturować. Załatwię to innym razem, żeby między nami wszystko było jasne.

Poszłam się umyć, a potem pościeliłam tapczan. Mamę przykryłam drugim kocem i dałam jeszcze jedną poduszkę. Pewnie będzie spała do rana. Kto wie, co jej ten doktor zaaplikował?

Gdy otworzyłam oczy, ona już nie spała. Z łazienki dochodził hałas, a w kuchni grało radio. Jak zawsze była twarda. Przecież wiedziałam, co dzieje się w jej sercu. Udawała hardość, żeby nie okazać zwątpienia albo żeby nie prowokować łez.

Taka już była. Nosila w sobie świat swoich wrażeń i nigdy o nich nie mówiła. To, że zobojętniała na wiele rzeczy, mogło być jej specjalną bronią, nie chciała ulec. Pragnęła przeżyć ostatnie lata bez strachu, że wszystko wokół przerasta ją i przygnębia. Lepiej czasami nie słyszeć, nie widzieć i nie rozumieć, to mniej kosztuje. Dlatego czułam, że będziemy jedna przed drugą udawać, zamiast objąć się i popłakać. Zrobimy sobie kawę i powiemy coś na pocieszenie, obojętne i harde.

- Wypijesz kawę? - zawołałam, stojąc pod drzwiami łazienki.

- Wypiję - powiedziała.

- Dobrze! A gdzie jest normalna kawa? - Trzymałam w ręce paczkę bezkofeinowej neski.

- W czarnej puszcze, na dolnej półce! A w piekarniku są herbatniki. Zabierzemy je ze sobą. Może ojciec będzie miał na nie ochotę.

Pod blok zajechałyśmy o dziewiątej. Karol przywitał nas w drzwiach. Był ubrany i ogolony.

- Wychodzisz, czy zostajesz w domu? - zapytałam dla pewności.

- Odwołałem zajęcia.

- Niepotrzebnie, jakoś bym sobie poradziła.

- Może będzie wam potrzebny kierowca.

- Przecież mam swój samochód - oświadczyłam.

- Chyba nie masz - powiedział zagadkowo.

- Jak to, przecież stoi pod domem.

- Dzwoniła przed chwilą Agnieszka. Zaraz po niego przyjdzie. Znow pokłóciła się z Michałem. Prosiła, żebym cię uprzedził. Zabrała zapasowe kluczyki.

- No tak - rozłożyłam ręce. - Znowu to samo. Szkoda, że akurat dzisiaj.

- Nie miałem odwagi odmówić.

- A powiedziałaś o ojcu?

- Powiedziałem. - I co?

- No wiesz, jest zaabsorbowana swoimi kłopotami. Zmartwiła się, ale traktuje to w innych kategoriach - powiedział półgłosem, żeby mama w kuchni nie słyszała naszej rozmowy.

- No widzisz, jak to jest. Niby taka była z nim zżyta, a jednak jakaś obojętna.

- Myślę, że to normalne. - Karol ustawiał buty w szafce na korytarzu. Spojrzałam zdziwiona.

- Normalne?

- A ty? - zapytał. - Pamiętasz okoliczności śmierci swojego dziadka? Że chorował, że był w szpitalu?

- Niewiele. Kiedy umarł, byłam na obozie studenckim.

- Wróciłaś do domu z tego powodu?

- Nie - przyznałam. - Nawet na pogrzeb nie zdążyłam.

- Widzisz. Tak to już jest.

Do szpitala pojechaliśmy razem. Mama została w domu. Starła się zachować spokój. Przy śniadaniu posłusznie połknęła swoje lekarstwa i czekała, aż wyjdziemy. W samotności da upust wszystkim obawom.

Na oddział poszłam sama. Karol został w samochodzie. Zabrałam kilka drobiazgów, świeżą bieliznę i herbatniki, w kiosku kupiłam gazetę.

Leżał na wprost drzwi, z twarzą odwróconą do wejścia. Bałam się przestąpić próg.

Strach ścisnął mnie za gardło.

Wyglądał strasznie. W kilku miejscach na klatce piersiowej miał przyklejone elektrody. Podłączyli go do aparatury przezroczystymi kablami. Na ekranie migotało zielone światło, symbol otwartej drogi do nieba. Czy wybierał się w daleką podróż? Leżał w bezruchu, z zamkniętymi oczami, zupełnie do siebie niepodobny, inny niż ten, którego znałam. Patrząc tak, miałam wrażenie, że odległość do jego łóżka rośnie, jakby ode mnie odchodził. Bałam się, że szpitalne wnętrza wysysie z niego resztę życia i wchłonie. To metalowe łóżko, szara pościel, szum aparatów i jego drobne ciało podłączone do żarłocznej maszyny. Gdy po chwili otworzył oczy, poczułam ulgę.

- Jesteś - powiedział jakoś tak, jakby to było odkrycie wszech czasów.

- Ano jestem - uśmiechnęłam się.

- Siadaj - pokazał krzesło stojące w kącie pokoju. Usiadłam. Przez chwilę milczeliśmy. Musiałam dać mu czas, żeby zrozumiał, że to nie sen. Znow zamknął oczy, ale twarz miał pogodniejszą.

- Jak mama? - zapytał.

- Dobrze, jakoś się trzyma.

- Bałem się, że przyjedzie tu dzisiaj. Wiesz, jak ona boi się szpitali. Gdyby mnie takim zobaczyła...

- Nawet nie prosiła. Została w domu.

- Nic jej nie mów o tych kablach - pokazał na ustawioną wszędzie aparaturę, błyskające światełka i ekran komputera. Pierwszy raz się uśmiechnął.

- Nie bój się, nie powiem. A jak się czujesz? W jego oczach ujrzałam błysk.

- Dobrze, bardzo dobrze - zapewniał. - Właściwie nic mi nie jest. Wczoraj urwał mi się film, ale dziś wszystko gra.

- Robili ci już badania?

- Z samego rana, tylko nie wiem, co im wyszło. Będziesz musiała zapytać lekarza. Takiego z łysinką z przodu.

- Wiem którego. Rozmawiałam z nim wczoraj. Był przy mamie, kiedy się u was zjawiłam.

- Dlaczego?

- No wiesz - zaczęłam się płatać. - Nie chciał, żeby została sama. Skoczyło jej ciśnienie, bała się o ciebie.

- No tak - przyznał mi rację. - To musiało strasznie wyglądać. Była zdenerwowana, że nie wracałem ze spaceru.

- No właśnie. Co ci strzeliło do głowy, żeby wybrać się tak daleko na piechotę?

- Kiedyś chodziłem piechotą do miasta, zimą i latem, nie raz.

- Kiedyś, ale kiedy to było? - Jakieś... - zastanowił się.

- Lepiej nie licz - poradziłam.

- Miałaś mnie zawieźć.

- Miałam, ale jakoś nie wyszło.

- Ciągle ci nie wychodzi, a ja czekam.

- Co chciałaś tam zobaczyć? Jest teraz zima, śnieg, mróz. Pojedziemy wiosną. Na wiosnę będzie co oglądać.

- Łatwo ci mówić. Jeździsz sobie, kiedy chcesz, a ja nie byłem ani razu.

- Chcesz, żebym się czuła odpowiedzialna za to, co się stało?

Popatrzył na mnie rozbijająco.

- Nie chcę.

- Więc nie wracajmy do tego. Jesteś w szpitalu, masz odpoczywać i nabierać sił.

Musisz zrobić wszystko, żeby jak najszybciej wrócić do domu, więc nie kombinuj, bądź grzeczny i słuchaj doktorów. Ja teraz pójdę z nimi porozmawiać i dowiem się wszystkiego.

- Traktujesz mnie jak małe dziecko - powiedział obrażony.

- Mnie chodzi tylko o twoje dobro. Nie chcę, żebyś się denerwował.

- To nie jest sprawa nerwów - oświadczył szczerze.

- A więc czego? - nie rozumiałam. Otarł dłonią dwie łzy spływające po twarzy. -

Nie przypuszczałem, że będzie tak ciężko - mówił, choć łamał mu się głos i drżały ręce. - Czuję się teraz obco, jakbym żył w cudzym świecie i tylko na chwilę. Wierzę w cud, że za kilka dni przyjedziesz do nas i powiesz, że koniec wygnania, że nareszcie wracamy do domu.

- Odwrócił głowę w stronę okna i zamilkł.

Czułam się podle. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. A więc na mnie spoczywa cała odpowiedzialność. Karol był usprawiedliwiony, bo nie do niego należało ostatnie słowo. To ja powiedziałam: Tak, sprzedajemy!

Bałam się spojrzeć ojcu w oczy. Nagle dotarło do mnie, że nic się już nie da zrobić, szlus, kropka, koniec. Jednym słowem zniszczyłam życie rodziców, a teraz niszczę swoje, bo na odzyskanie wewnętrznego spokoju nie mogłam na razie liczyć.

- Wrócisz jeszcze? - ojciec przerwał kłopotliwą ciszę. Czuł, że okrutna była dla mnie jego prawda. - Nie chciałem ci tego powiedzieć - tłumaczył skruszony. -

Jakoś samo wyszło. Rozkleiłem się, przepraszam. - Poklepał mnie po dłoni.

- Nie jest aż tak źle - powiedział z uśmiechem. - Trochę przesadziłem.

Próbował podnieść mnie na duchu i dodać otuchy, ale nic już nie mogło cofnąć wydarzeń sprzed kilku miesięcy. W pierwszym odruchu wyrzucił z siebie cały żal.

Teraz próbował mnie uspokoić, lecz nie na wiele to się zdało. Słowa prawdy były jak garb, który przyprawił mi już na całe życie.

- Wrócę na pewno - odpowiedziałam nieśmiało i żeby się odwzajemnić, pogłaskałam ojca po siwej głowie. Czekał na to jak małe dziecko.

Wieczorem atmosfera w domu trochę się poprawiła. Mama oglądała w telewizji jakiś program na żywo. Czułam, jak po relacjach ze szpitala rozkwitła. Była swobodniejsza, a nawet nieco pobudzona. Dostała porcję radosnych wieści i odzyskała wiarę, że jeszcze nie wszystko stracone. Mnie było niezbyt wesoło.

Wciąż miałam w uszach słowa ojca i widziałam te łzy. Nigdy przy mnie nie płakał.

To był pierwszy raz. Nawet wtedy, gdy umarł Cezary, nie uronił łzy, ani kiedy Marek wyjechał z kraju. Nawet wtedy nie płakał. Dopiero dzisiaj. Żal po utracie ogrodu okazał się silniejszy. Trudno było zrozumieć. A przecież ja też cierpiałam. Moja tęsknota wcale nie była mniejsza.

Do Agnieszki zadzwoniłam po powrocie ze szpitala. Zbyła mnie jednym zdaniem, obiecując, że się skontaktuje. Gdyby nie samochód, pewnie bym się nie doczekała.

- Samochód zatrzymam na kilka dni, jeżeli mogę? - bardziej oznajmiła, niż zapytała.

- Ja i tak do pracy jeżdżę autobusem - wyjaśniłam.

- Dziękuję ci, to umożliwi mi pewną swobodę.

- A Michał, co z nim? - próbowałam się czegoś dowiedzieć.

- Mamy ciche dni. Od wczoraj z nim nie rozmawiam.

- Naraził się - żartowałam. Przez chwilę milczała.

- Pamiętasz naszą rozmowę sprzed kilku miesięcy? Dostał wtedy propozycję pracy i nie chciał jej przyjąć.

- Pamiętam, pytałaś mnie, co masz zrobić.

- No właśnie.

- Z tego, co wiem, nie zdecydował się.

- Nie. Nawet nie oddzwonił. A teraz... - zaczęła płakać. Odczekałam chwilę, aż przestanie.

- Co teraz?

- Teraz zwolnili go z firmy.

- Co? - nie wierzyłam własnym uszom.

- Pokłócił się z szefem o pieniądze, a ten wylał go na zbity pysk.

- Jeżeli tak mało mu płacił, to może dobrze? - chciałam pomóc.

- Nie chodziło o zarobki.

- No więc?

- Nie płacił podwykonawcom. Michał musiał się ciągle za niego tłumaczyć. W końcu nie wytrzymał, trzasnął drzwiami i wyszedł.

- Dobrze zrobił - pochwaliłam zięcia.

- Dobrze? - Agnieszka była oburzona. - Nawet nie odebrał zaległej pensji, nie mówiąc o wypowiedzeniu.

- Jak więc miał postąpić? - byłam zdziwiona jej zachowaniem.

- Mądrze, nie jak sztubak. Uniósł się honorem i zostawił nas bez środków do życia.

Gdzie on teraz znajdzie pracę?

- Przecież ty pracujesz. Zarabiasz całkiem nieźle. Jakoś przetrzymacie najgorsze.

- Pracowałam.

- Nie rozumiem.

- Już od kilku tygodni mam kłopoty. Ktoś mnie wykasował z interesu.

- Mów jaśniej - dalej nic nie rozumiałam.

- Ktoś wysłał do firm, z którymi współpracuję, ostrzeżenie, że przekazuję wszystkie dane konkurencyjnym firmom, że jestem niby takim gospodarczym szpiegiem. Dostarczam informacji do urzędu skarbowego i na policję.

- To jakiś nonsens.

- Jasne, że nonsens. Ale jak to sprostować? Od miesiąca nie mam ani jednego zlecenia. Wszyscy mnie unikają. Teraz jeszcze Michał stracił pracę. Nie wiem, co my zrobimy.

Byłam zaskoczona. Słowa przekleństw cisnęły się na usta, ale nie one mogły teraz pomóc mojej córce.

- Na pewno nie powinniście się kłócić. Kłótnia niczego nie zmieni. Trzeba się trzymać razem. Razem zawsze jest łatwiej. Weź Piotrusia i przyjdź do nas na kolację. Porozmawiamy spokojnie. Może coś się wymyśli.

Czułam, że się waha. Znałam ją, wiedziałam, że dopóki nie upora się ze sobą, nie przyjdzie.

- Dziękuję, ale wolę zostać w domu. Muszę wszystko przemyśleć, poukładać. Wy macie własne kłopoty. No właśnie, a jak dziadek, dobrze się czuje?

- Lepiej. Mam nadzieję, że długo nie będą go trzymali. Wyniki nie są najgorsze, może w tygodniu wypiszą go do domu.

- Jak go zobaczysz, to pozdrów od nas. Nie zapomnij.

- Nie zapomnę. A Piotr - przypomniałam sobie o wnuku - jest jeszcze przeziębiony?

- Z Piotrem wszystko w porządku.

- Bądź dobrej myśli i dogadaj się z Michałem.

- Spróbuję i przepraszam za samochód. Wiem, że bez niego jest ci trudno.

- Jakoś sobie radzę, nie martw się o mnie.

Z głową pełną niedomówień zostawiła mnie tego dnia, a właściwie wieczora.

Podlewałam kwiaty, kiedy znowu zadzwonił telefon. Była dwudziesta druga. Na chwilę zastygłam w bezruchu - żeby tylko nie szpital. Odebrał Karol. Był lekko zakłopotany, ale niezmartwiony. Poczułam ulgę.

To była Joanna. Pytała, czy może nas odwiedzić. Pora nie była najlepsza. Karol stroił miny, pokazywał coś, czego nie rozumiałam, a potem podał mi słuchawkę.

Przecież nie mogłam odmówić przyjaciółce. Udawałam zachwyconą.

Pojawiła się po kilku minutach. Stała w drzwiach przemarznięta i mokra. Budziła litość. Mówiąc szczerze, miałam tego dnia dość własnych zmartwień, kolejne nieszczęście mogło mnie tylko dobić.

- Jak ty wyglądasz?! - załamalam ręce.

- Strasznie zmokłam, a do tego przemoczyłam buty. - Rozcierała zaczerwienione dłonie i przytupywała.

- Wyglądasz, jakbyś przyszła piechotą.

- Zgadza się. Paweł zabrał samochód. - Zdejmowała przemoczony płaszcz i kozaki.

W rajstopach na lewej pięcie świeciła olbrzymia dziura. - Przeszłam przez całe miasto i tak wyszło, że trafiłam do was.

- To chyba nie jest odpowiednia pora na spacer? - Karol nie omieszkiał zauważyć.

Spojrzała na niego przeciągle.

- Nie kpij, mnie wcale nie jest do śmiechu.

- Wejdz - pominęłam pytanie Karola i wciągnęłam ją do środka. - Jesteś głodna, na pewno coś wypijesz, może herbatę?

- Wolałabym coś mocniejszego. Muszę się rozgrzać.

- Szczękała zębami, a z nosa kapła jej woda.

- Przyniosę ręcznik, a najlepiej skorzystaj z łazienki. Suszarka do włosów jest w szafce pod zlewem.

- Chętnie - poczłapała i już za chwilę słyhać było, jak odkręca wodę.

Karol przyniósł herbatę i kieliszek wódki. Czekaliśmy w ciszy. Za drzwiami rozgrywał się duchowy dramat, a osoba dramatu głośno smarkała w chusteczkę. Po wielu latach naszej znajomości wyraźnie wyczuwałam, że Joanna przygnała do nas, żeby poczuć się bezpiecznie, a do tego chciała opowiedzieć o zmartwieniu, które w sobie nosi. Siedziała dość długo, trzymając nas w niepewności. Otwierała szafki z kosmetykami, przestawiała kremy, a potem słyhać było, jak znowu wyciera nos.

- Chyba się przeziębiłam - oświadczyła, wychodząc z łazienki. - Skorzystałam z twoich kosmetyków - tłumaczyła, przyglądając włosy. - A teraz poproszę o aspirynę. Boli mnie głowa i gardło. Może nawet mam temperaturę - narzekała.

- Co ci strzeliło do głowy, żeby spacerować w taką pogodę po mieście?

Rozłożyła ręce w geście rezygnacji i spojrzała na nas oczami bezradnej sarenki.

Jej rude włosy opadły nisko na twarz. Wyglądała jak obrażone dziecko. Ten wzruszający grymas zawsze wzbudzał we mnie macierzyńskie uczucia. Potrafiła każdego nim rozbroić. Zanim powiedziała następne zdanie, szybkim ruchem wlała w siebie całą zawartość kieliszka. Potem podniosła do ust szklankę.

- Śledziłam Pawła - oświadczyła, siorbiąc herbatę. - Jak to śledziłaś, na piechotę? - coś mi nie pasowało.

- Biegłaś za samochodem? - Karol kiął.

- Najpierw jechałam taksówką, a potem szłam piechotą. Dopóki się dało.

- Od której godziny już tak chodzisz? Joanna spojrzała na zegarek.

- Strasznie późno - przestraszyła się. Karola interesowało co innego.

- Dlaczego śledziłaś Pawła? - zapytał.

- Bo mi podpadł.

- Nie rozumiem.

- Już wcześniej mi podpadł, a teraz próbowałam znaleźć dowody.

- Czy wyście całkiem powariowały? - Karol złapał się za głowę. - Jedna ucieka z domu, druga podejrzewa chłopą o nie wiadomo co. To jakaś paranoja.

- Paweł mnie ostatnio okłamuje. Wychodzi niby tam a tam, ale spotykam go w innym miejscu. W końcu miałam dość. Postanowiłam dowiedzieć się prawdy, więc pojechałam za nim. Akurat napatoczyła się taksówka.

- Przynajmniej było warto?

- Oczywiście - tryumfowała. - W końcu wszystko się wyjaśniło.

- To znaczy, że ma kogoś? - zrobiłam zdziwioną minę. Bez słowa pokiwała głową i zakryła ręką usta.

- Kogo? - paliła mnie ciekawość.

- Nie zgadniesz - wymamrotała przez zęby.

- Więc powiedz wreszcie - ponaglałam.

- Nakryłam go w Finezji na Wronieckiej, z Marylą...

- Z Marylą? - Karol aż podniósł głos z wrażenia.

- Ano z Marylą - potwierdziła. - Siedzieli jak zakochana para przy jednym stoliku i gruchali. Paweł głaskał ją po rękach i pocieszał, a ona mówiła.

Myślałam, że mi nos przymarznie do szyby. Stałam tam przeszło godzinę.

- Nie lepiej było wejść do środka? - zapytałam.

- Miałam się przyznać, że go śledzę? - była oburzona.

- Mogłaś improwizować - stwierdził Karol. - A chociaż wiesz, o czym rozmawiali?

- Niestety, ale to chyba jasne, że mają romans i dlatego Marylą się nie odzywa.

Jest jej głupio, że zrobiła świństwo własnej przyjaciółce.

Zacietrzewienie w oczach Joanny świadczyło o tym, że była pewna swego. Niestety, ja miałam inne zdanie.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić twojego męża w ramionach Maryli - podałam wszystko w wątpliwość. - Źle zrobiłaś, że nie wyjaśniłaś tego do końca. To, o czym mówisz, to jedynie domysły. Powinnaś porozmawiać z Pawłem - oświadczyłam kategorycznie. - Porozmawiać szczerze i wyjaśnić wszystkie wątpliwości.

- Ciekawe, co ty zrobiłabyś na moim miejscu - spojrzała obrażona. - Miałam pustkę w głowie i zanim zdołałam cokolwiek postanowić, oni odjechali. Nie wiem dokąd. A ja ze złości doszłam aż tutaj.

- Zwariowałaś, nie stać cię było na taksówkę? - Karol nie wytrzymał.

- Wiesz, jak to jest. Straciłam głowę. Nawet mi się dobrze szło. Ale zaczęło padać i dlatego tak wyglądam. - Dotknęła twarzy.

- I co będzie dalej? - zapytałam. - Wrócisz do domu i będziesz milczała?

- Bo ja wiem? - wzruszyła ramionami.

- A może zostaniesz na noc? - Karola interesowało już tylko pójście do łóżka.

Miał dość babskich rozterek.

- Uważam całe zdarzenie za nieporozumienie - zaznaczyłam kolejny raz.

- A ja nie - Joanna kategorycznie zaprzeczyła.

- Więc rozumiem, że zostajesz? - Karol zapytał ponownie.

- Chyba żartujesz? Oczywiście, że wracam - oświadczyła. - Chciałam tylko porozmawiać z wami, dowiedzieć się, co o tym sądzicie.

- No wiesz... - próbowałam wszystko jakoś załagodzić.

- Powinnaś na to spojrzeć z innej strony. To wspaniale, że Marylą żyje, że nic się jej nie stało, że jest zdrowa i że jakoś się ma - próbowałam kombinować.

- Przestań. Mam się cieszyć, że uciekła z domu z powodu mojego męża? Jestem po prostu wściekła. Pawła byłam zawsze pewna, bardziej niż siebie - przyznała szczerze. - Przecież my nigdy się nie kłócimy i z nami wszystko jest w porządku.

No, wiecie, o czym mówię? - brakowało jej słów. - To niemożliwe, żeby on... żeby oni... No nie, to jakaś bzdura - roześmiała się. - O czym ja mówię? Nawet teraz, gdy zobaczyłam ich razem, chce mi się śmiać. Gdyby między nimi coś było, chyba zauważyłabym? Przynajmniej tak mi się wydaje - wyglądała na wystraszoną. - Jak uważacie? - czekała, aż potwierdzimy jej wersję.

Karol zdecydowanie trzymał stronę kolegi.

- Jestem pewny, że da się to jakoś wytłumaczyć. Po prostu porozmawiaj z nim.

Czasami pozory mylą.

- Też tak uważam - poparłam. Zakryła twarz.

- Serce mi wali - dotknęła ręką swoich piersi i głośno oddychała. - A jak potwierdzi wszystko?

- No to klops - Karol palnął bez zastanowienia. Zmroziła go wzrokiem.

- Co wtedy zrobię?

- Wyrzucisz go z chaty - zaproponowałam.

- Pawła? - rozplakała się. - A gdzie on biedak pójdzie?

- To nie jest mały kotek - Karol nie wytrzymał. - Poradzi sobie. Pewnie pójdzie do Maryli.

- Jesteś okropny - spojrzała z wyrzutem.

- Wiem.

- Tak się boję. - Podciągnęła brodę pod kolana. Siedziała skulona i biedna.

- Odwiesz mnie? - zapytała Karola.

- Ja cię odwiozę - zaproponowałam pierwsza. - Ale najpierw wypij herbatę.

W samochodzie siedziała milcząca. Kąciki ust opadły jej żałośnie w dół, zdrapywała stary lakier z obgryzionych paznokci i nerwowo poruszała kolanem. Ani razu nie spojrzała w okno.

Wracałam powoli przez miasto. W szybach odbijały się światła świątecznych neonów. Mijałam rozświetlone śródmieście, stare, znajome kąty, jakże teraz odmienione. Tędy chodziło się na randki, tam na herbatę z żurawinami, tutaj w dawnych czasach był barek kawowy z wysokimi stołkami. Nazywał się tak samo jak hotel, w którym się mieścił - Bazar. To właśnie w tym barku wypiałam pierwszą kawę z ekspresu ciśnieniowego. Ależ ona smakowała. Podawali też ciasto. Najlepsze w całym mieście, z najprawdziwszą śmietaną.

Barek był mały. Stało w nim zaledwie kilka stolików. Na ścianie nad głowami wisiała panorama miasta. Dziś ten bar już nie istnieje.

Teraz zmiany zachodzą z miesiąca na miesiąc, czasami z dnia na dzień. Ciągłe odkrywam nową wystawę, odnowiony budynek, hotel, sklep, kolejny bank i wszędzie tyle świateł. Miasto żyje nawet nocą.

Mimo późnej pory i mrozu, ulica była pełna ludzi. Kafejki rozbrzmiewały muzyką.

W czasach mojej młodości lokale zamykano o ósmej. - Gdzie myśmy się wtedy podziwiali?

Uciekłam na chwilę w przeszłość, by uświadomić sobie, że każdy czas ma swoje prawa. Teraz jest inaczej, a mimo to ludzkie kłopoty niewiele się zmieniły.

Tylko wystawy można lepiej oświetlić, przybrać w kolorowe fatałaszkę i odmłodzić. Koniec dnia był jednak dosyć oryginalny. Wizyta w szpitalu, Agnieszka i historia z Joanną. Jakby na zamówienie. Sprawy dotyczące mnie osobiście, rodziny i znajomych, sprawy najbliższe sercu i moja całkowita niemoc. Mogłam być tylko widzem, bo nic ode mnie nie zależało. Zdrowie ojca to problem jego lekarzy, Agnieszka nie potrzebuje mnie wcale, chce swoje kłopoty załatwić w swoim domu, Joannie zawalił się świat, i jedyne, co mogłam dla niej zrobić, to odwiedzić ją do domu. Człowiek jest strasznie bezradną istotą.

Po powrocie podzieliłam się wątpliwościami z Karolem, lecz on widział to całkiem inaczej.

- Tylko pozornie nie mamy wpływu. Pomyśl, co stanie się dalej?

Ojciec wróci ze szpitala i będziesz musiała się nim zająć. Matce go nie zostawisz. Będziesz znowu stała nocą przy łóżku, szła z nim do łazienki, gotowała, prała. Agnieszka, jak skończą się pieniądze, przyjdzie do ciebie po radę, a w efekcie po pożyczkę na wieczne nieoddanie. Joanna, jeżeli z Pawłem to rzeczywiście prawda, będzie się bez końca wyplakiwać w twój rękaw i nie da ci ani na moment spokoju. Tak więc nie licz na to, że kłopot przejdzie obok albo tylko się otrze.

Ojciec wrócił ze szpitala w niezłej kondycji. Nie wspominał na razie starego domu. Oboje z mamą wrócili do własnego mieszkania, ale na Wigilię przyjadą do nas. Mama chciała pomieszkać u siebie, coś przygotować, upiec. W mojej kuchni czuła się zagubiona. Powtarzała ciągle, że nie ma jak u siebie. Nie trzeba o nic pytać i niczego szukać. Propozycja była mi na rękę.

W moim życiu teraz niewiele się działo. Szczęśliwe dni chyba już nie wrócą. To, co było za nami, kładło się cieniem na każdy kolejny miesiąc. Dawna bliskość odeszła w zapomnienie. Ocieramy się o siebie bez zwykłych emocji, już niczego nie czujemy oprócz

zawodu. Karol snuje się zamyślony i rzadko odzywa. Nie wiem dlaczego i co tak naprawdę chodzi mu po głowie. Nie mam pretensji. Sama ukrywam uczucia. Gdy czasami myślę o sensie codziennych zmagania, nie mogę uwierzyć, że w obliczu wieczności znaczą tak niewiele.

Śpimy osobno. Karol kładzie się w swoim pokoju. Nie chcę pytać dlaczego, bo znam go i wiem, że to minie. Na uczelni nie ma już zajęć, jest świąteczna przerwa, a mimo to on codziennie wychodzi z domu. Mówi, że pracuje. Wraca wieczorem i wykręca się sianem. Nie mam odwagi zapytać.

Jedyną pociechą dla domu jest radosny szczebiot wnuka. Piotruś rozwija się cudownie i stawia coraz trudniejsze pytania. Gdy do nas przychodzi, pękają wszystkie tamy. Zaczynamy się śmiać, zapominamy urazy. Agnieszka przyprowadza go często, bo oboje z Michałem szukają pracy. Przed świętami i tak niczego nie znajdują, lecz trudno im wysiedzieć bezczynnie, więc próbują. Ich finanse są w opłakanym stanie, a tu mieszkanie niespłacone, nie mówiąc o zwykłych opłatach.

Dzielimy się tym, co jest, nawet Karol poszedł na całość i podwoił dzienną stawkę. No a do tego moja pensja, będzie można poszaleć.

Za kilka dni są święta. Mimo problemów cieszę się nimi jak nigdy. Zjadą się wszyscy. Tak dawno nie widziałam Marka, a Adaś jeszcze nie był w Polsce.

To rodzinne spotkanie będzie namiastką świąt w starym domu. Wciąż myślę o tym, a wspomnienia grzeją mnie jak dobre wino. Wtulam się w to ciepło i marzę. Odpływam daleko, poza horyzont codziennych spraw, próbuję zrozumieć swoją sytuację i wzajemny stosunek mój i Karola. Dokąd to wszystko zmierza, czy jest w tym ręka opatrności, czy tylko przypadek? Gdzie kończy się rola ślepego losu, a zaczyna precyzyjny plan? Jeżeli we wszechświecie istnieje porządek, pewien szablon, układ, powtarzalność form, to może wszystko podlega tym prawom. Tkanina ma wątek i prostopadłą do niego osnowę. Promienie światła mają określony kierunek i kąt padania. Elektrony krążą po ustalonych torach, planety wokół orbit. Obowiązują prawa matematyczne i zasady fizyczne, zawsze życie i śmierć w tej samej kolejności. Tylko ludzkie historie, choć zwykle gdzieś się zaczynają i gdzieś kończą, mają swoje linie rozrzucone w różne strony. Krzyżują się i rozchodzą, przenikają, tworzą pewne układy, a potem je zrywają. Tak, jakby w tej jednej sprawie porządek nie obowiązywał. A tak chciałoby się nad tym zapanować.

Pomyślałam o moim małżeństwie. Gdy kończy się miłość i rozpada związek, który tyle kiedyś obiecywał, wszystko przestaje mieć sens. Wspólnie budowany dom staje się pułapką, w sztuczny sposób wiąże to, co może już istnieć tylko oddzielnie.

Ale gdzie może odejść człowiek związany połową życia z drugim człowiekiem, gdy wszystko, co budował, zamyka ich w jednej przestrzeni? Jak przepiłować na pół dobytek, wspólne wspomnienia, momenty bliskości i czym załatać dziurę? Tylko nieliczni potrafią ryzykować, żyjąc w oderwaniu od całości.

Duna warknęła i natychmiast dopadła drzwi. Zajęta filetowaniem karpi zastygłam w oczekiwaniu. To pewnie Karol. Już dawno powinien wrócić. Tylko skąd w tym psie taka agresja. Rzadko ją okazywał, nawet nieznanym. Piotruś grzebał w misce z rybimi wnętrznościami i cały umazał się krwią. Próbowалаm opanować sytuację, jedną ręką łapiąc za ścierkę i Piotra, drugą zamykając psa w łazience. Rozległ się natarczywy dzwonek. Na progu stał rostry typ w lekko przyciemnianych okularach i obcisłej kurtce ze skóry. Spojrzałam na jego duże stopy zajmujące całą szerokość wycieraczki. Wędrując w górę, dotarłam niemal do sufitu, bo tu kończyła się jego głowa.

- Pan do kogo? - zapytałam bardzo uprzejmie. Obok mnie okrwawiony Piotrek wrzeszczał wniebogłosy, bo odebrałam mu przed chwilą rybi pęcherz. Z łazienki dochodziło szczekanie pasa.

Mężczyzna w pierwszej chwili zaniemówił. Upiorny widok wyprowadził go z równowagi. Zawahał się.

- Pan do nas? - zapytałam na wszelki wypadek.

- Do pana Karola - odpowiedział. - Jestem umówiony.

- Męża nie ma w domu - wyjaśniłam.

- A kiedy będzie? - jego głos dudnił nisko i rozpływał się w rozległej klatce schodowej.

Mężczyzna był dziwny, nie budził zaufania. Wprawdzie wyglądał porządnie i zachowywał nienagannie, ale wystraszyłam się.

- Mąż wróci wieczorem - wydusiłam.

- O której?

- Dokładnie nie wiem - mówiłam szczerze.

- Jest w pracy? - nie zniechęcał się ani przez chwilę.

- Dokładnie nie wiem - powtórzyłam już zupełnie wyprowadzona z równowagi.

- A co pani wie?

Tego było za wiele.

- A pan czego chce? - przeszłam przez próg i stanęłam obok nastroszona jak kwoka. Moja głowa wypadła na wysokości jego pachy.

- Mam z nim do pogadania. - Rozstawił szeroko nogi i kołysząc się na lewym obcasie, prawym wystukiwał rytm. Spojrzenie miał, delikatnie mówiąc, zadziorne.

- Teraz, przed świętami? - odważyłam się protestować.

- Święta nie mają tu nic do rzeczy.

- To aż takie pilne? Może pan przyjdzie po Nowym Roku - zaproponowałam naiwnie.

Uniósł do góry brwi i mruknął złowrogo, a potem przechylając się na jedną stronę, powiedział głośno i wyraźnie:

- To jest bardzo pilne.

Piotr schował się za moje plecy.

- Więc niech pan wcześniej zadzwoni i zapowie wizytę. Powiem mężowi, żeby czekał - poradziłam grzecznie i bezczelnie zamknęłam drzwi.

Jeszcze kilkanaście minut czekałam, aż odejdzie. Nie poszedł od razu. Słyszałam, jak włącza komórkę i wystukuje numer. Chyba się nie dodzwonił. Po chwili usłyszałam jego kroki.

Czekałam na Karola przy kuchennym oknie. Michał o dziewiętnastej odebrał Piotra.

Koło dziesiątej zadzwoniła Joanna z życzeniami. Szeptala tajemniczo w słuchawkę coś o Pawle. Wyglądała na radosną i o rozwodzie nie było mowy. Obiecywała, że po świętach odwiedzi nas i opowie. Dziękowała za wszystko, co dla niej zrobiliśmy.

Mamy się o nią nie martwić i spokojnie odpoczywać.

Mój niepokój pogłębiał się z każdą chwilą, a Karol nie dawał znaku życia. Żeby chociaż odebrał komórkę.

Minęła dziesiąta, kiedy na dobre straciłam cierpliwość. Jeszcze nigdy nie byłam w podobnej sytuacji. Co zrobię, jeżeli nie wróci?

Weszłam do pokoju Karola. Tutaj nic nie da się znaleźć. Na biurku zobaczyłam stosy nieuporządkowanych papierów.

Kolorowe teczki z dokumentami piętrzyły się na pół metra w górę. Pomiedzy nimi został mały prostokąt powierzchni, na której można było jeszcze pisać. Obok komputer z zachłapaną klawiaturą, zakurzone dyskietki, porzrzucone płyty CD i kilka kolorowych mazaków. W tym ogryzki od jabłek, pestki od brzoskwiń, papierki od gumy do żucia oraz inne tym podobne odpadki. To był prawdziwy warsztat pracy!

Powinno się zrobić zdjęcie i wysłać na konkurs. Rozejrzałam się z obrzydzeniem.

Z furią wzięłam się do pracy. Karteczki w jeden kartonik, dyskietki w drugi, a płyty na specjalny stojak - stał pusty pod oknem. Wyrzuciłam śmieci, wytarłam kurz i sprzątnęłam rozrzuconą bieliznę. Pościel poplamiona kawą nadawała się do wymiany, brudne kalesony i

mocno stwardniałe skarpety do prania. Pod jedną z poduszek znalazłam metalową butelkę. Wyglądała na piersiówkę.

Przejrzałam pobieżnie dokumenty, przeczytałam kilka kartek z zapiskami, odczytałam nagłówki na dyskietkach i płytach i nic mi to nie dało. Bo cóż można się dowiedzieć o własnym mężu z papierów, jeżeli tak mało zna się go na co dzień? Usiadłam zrezygnowana. To jest uczucie, które ostatnio towarzyszy mi najczęściej. Wciąż mam wrażenie, że nic ode mnie nie zależy. Wszystko płynie obok, a ja patrzę i nic nie mogę, ani przeszkodzić, ani pomóc, najwyżej popsuć.

Tutaj nikt nikogo nie słucha. Każdy rządzi po swojemu i żyje swoim życiem, zachowując jedynie pozory wspólnoty. Jedno wielkie udawanie.

W starym domu było wiadomo, że jak się posieje, to się zbierze, jak się podleje, to będzie rosło, jak wyrośnie, będzie co jeść. Byliśmy połączeni jak ogniwa łańcuszka i żyliśmy, komunikując się pomiędzy sobą bezbłędnie. A tutaj - o proszę - wzięłam do ręki pierwszy lepszy dokument: „Źródła metody prezentacji nazwisk” - jakaś notatka dotycząca pracy. Następna: „Nazwisko jako element historyczny” albo kolejna: „Stabilizacja i utrwalanie się nazwisk na byłych ziemiach polskich”. Jak na razie nic specjalnego - dla mnie czarna magia.

Usiadłam zrezygnowana. A więc tylko jego praca, ale dlaczego o niej nie rozmawiamy? Przecież to dość ciekawe - „Nazwiska polskich Żydów”. Przeglądałam dalej. Wszystkie teczki dotyczyły spraw zawodowych. Następne pełne były map i diagramów - „Metody kartograficzno-historycznej analizy rozmieszczenia nazwisk”.

Wszystko takie bezduszne, a gdzie w tym wszystkim jest człowiek? Sięgnęłam po następną. Wewnątrz leżał czerwony zeszyt formatu A4, a na nim napis: „Pierwsza służba wartownicza”. Otworzyłam zdziwiona. Co to jest? Przerzucałam powoli kartki i w miarę czytania czułam, jak rozjaśnia mi się w głowie.

W dniu 28 kwietnia 1943 roku zostałem przyjęty w skład oddziału samoobrony w Kolonii Krymno. Pomógł mi w tym starszy brat Lucjan. Był tam jednym z pierwszych. Tego samego dnia otrzymałem karabin.

Na pierwszą służbę wartowniczą wyznaczono mi dzień pierwszego maja, od zmroku do północy, przy posterunku numer cztery. To była północna strona za obwarowaniem placówki. Moim obowiązkiem było zająć miejsce w okopie i pilnować, by z przedpola nie zbliżały się do naszej osady obce osoby. W razie czego miałem natychmiast alarmować strzałem, a jeżeli byłby to napad, dać znak i wycofać się za wał obronny przygotowanym przejściem. Połą obserwacji było dobre. Na odległość osiemdziesięciu metrów miałem zaorane pole, a dalej rosło młode, jeszcze niskie żyto.

To było pismo ojca. Równe literki, wytrenowane na lekcjach kaligrafii, rozpoznałabym na końcu świata. To jego wspomnienia, pisane ołówkiem, ledwo widoczne na pożółkłym papierze. 1943 rok. Miał wtedy osiemnaście lat.

Wieczór był ciepły i bezwietrzny. Pachniało świeżo skoszoną trawą. Rozpierała mnie duma. Powierzono mi odpowiedzialne zadanie. Będę bohaterem. Gdy mieszkańcy kolonii poschodzili wreszcie z pól i zrobiło się zupełnie ciemno, poczułem strach.

Strasznie bałem się banderowców. Nazywaliśmy ich wtedy bulbowcami, od nazwiska ich dowódcy Bulby.

Nigdy nie widziałam tych zapisków. Zrobiło mi się wstyd. Karol miał je u siebie na biurku i nic nie powiedział. Nie podejrzewałam, że coś takiego istnieje, a musiało przecież powstać dawno temu. W jaki sposób dowiedział się o ich istnieniu? Dlaczego nie rozmawialiśmy na ten temat? Właściwie - zastanowiłam się - o czym my w ogóle rozmawiamy? Jakieś zdawkowe pytania, kilka uwag na temat Agnieszki, plotki z życia znajomych, trochę o tym, co w pracy, a potem każdy idzie do swojego pokoju. Każdy żyje swoim światem. Jaki jest pożytek ze sprzedaży domu? Przecież między nami nie zmieniło się nic oprócz odległości.

Rozmyślałam, nie mogąc oderwać wzroku od tekstu. Cofnęłam się o kilka kartek.

Marzec 1943 roku.

Pierwsza sobota miesiąca. Na polach leży jeszcze śnieg. Twardnieje wieczorem, a rano topi się w ciemną maź. Dzień wyjątkowo pracowity. Przy obejściu coraz więcej roboty. Zaraz po zachodzie słońca postanowiłem wyjść do kolegi. Nie było go w domu. Niedaleko była chałupa Storskich. Spodziewałem się, że tam go zastanę. U Storskich było bardzo skromnie, ale atmosfera zawsze przyjazna i bardzo polska. Całe mieszkanie składało się z jednej izby i przedsionka. Izba była niska i mała. Spełniała rolę kuchni, pokoju gościnnego i sypialni. Mebli prawie nie mieli. Jedynie kufer na ubrania, duża deska z gwoździami do wieszania kurtek i płaszczy, drewniana ława, na której stały naczynia kuchenne, a nad ławą małe okienko. W drugim kącie piec z płytą do gotowania, stół, a naprzeciwko drzwi dwa szerokie łóżka i kołyska.

W środku panowała cisza. Pani Storska usypiała w kołysce wnuka, a jej synowa Kasia czytała książkę przy zakopconej lampie. Chwilę po moim przybyciu zjawili się mężczyźni, Józek, Janek i Stach, brat Kasi. Rozmawialiśmy o Ukraińcach, którzy działali wówczas w niemieckiej policji. Najgorszym z nich był Maksym, sam komendant, Ukrainiec z krwi i kości. W tym czasie na naszym terenie zaczęła swoją działalność Ukraińska Powstańcza Armia. Baliśmy się, że dopiero teraz nastaną dla nas trudne czasy.

Jakby w odpowiedzi na te słowa, przed dom zajechały cztery wozy zaprzężone w małe poleskie kucyki. Wsiadło z nich kilku mężczyzn, a między nimi wspomniany wyżej Maksym. Gdy otworzyły się drzwi, wszyscy zamarli w bezruchu. Baliśmy się nawet oddychać. Wszyscy jeszcze niedawno znaliśmy się dobrze i nikt nikomu nie wchodził w drogę. Teraz byliśmy sobie wrogami.

Ukraińcy byli podpici i szukali zaczepki. Nie spodobała im się moja gęba i to, że miałem na sobie stary wojskowy mundur, jeszcze sprzed trzydziestego dziewiątego. Wyciągnęli mnie na dwór. Niby na przepytki, żeby zdobyć ode mnie informacje, który z Polaków przechowuje broń i gdzie we wsi ukryte są granaty.

Znałem ich postępowanie. Z góry wiedziałem, że żadne wyznania już mnie nie uratują. Zaprzeczałem wszystkiemu, tłumacząc im, że jestem młody i nie zajmuję się takimi rzeczami, ale to tylko pogorszyło sprawę. Już i tak byli rozjuszeni.

Jeden krzyknął mi prosto w twarz „Tobi smerf, wsim łachom smert’ ” i uderzył mnie lufą karabinu w brzuch, a następnie pięścią w twarz raz z jednej, a raz z drugiej strony. Na koniec przyłożył mi kolbę w głowę. Drugi chwycił za karabin.

„Howory, bo strelaju” - krzyknął i wycelował.

Cała dygotałam. Czułam, że dalsze czytanie tych wspomnień nie będzie dla mnie łatwe. Szczególnie teraz, gdy z ojcem działo się nie najlepiej. Myśl, że przez wszystkie lata nosił w sobie te wspomnienia, a teraz życie dostarcza mu wciąż nowych cierpień, była dla mnie prawdziwą udręką.

To straszne, że ciągle trzeba się o kogoś martwić. Obracałam w rękach czerwony zeszyt, który był dla mnie prawdziwą niespodzianką. Miałam ochotę przeczytać go do końca, lecz niepokój o męża całkowicie rozpraszał moją uwagę. Dziwiłam się, że te notatki nigdy nie wpadły w moje ręce. Czyżby rodzice ukrywali je przede mną? Czy można było wtedy cokolwiek przede mną ukryć?

Wydawało się, że znałam swój dom jak własną kieszeń, że przez pięćdziesiąt lat poznałam wszystkie kąty i każdy przedmiot. Kiedy byłam dzieckiem, myszkowałam po strychach i piwnicach, zaglądałam w najmniejszy zakamarek. Nie było wtedy zabawek. Głowy mieliśmy pełne pomysłów i wciąż szukaliśmy skarbów.

Właśnie w czasie takich poszukiwań odkryłam w pokoju rodziców tajną skrytkę. Nie wiedziałam wtedy, że to był po prostu sejf. Był popsuty, zamykał się na haczyk z gwoźdźca i schowany był za obrazem. Znalazłam w nim rewolwer. Tak się wtedy wystraszyłam, że dostałam gorączki. W tamtych latach telewizja nadawała bardzo dużo wojennych filmów, polskich albo radzieckich. Wciąż wojna i wojna, bombardowania, wybuchające miny, okrutni

Niemcy z rewolwerami w ręku, obozy koncentracyjne i ucieczki drogami z całym dobytkiem, i trupy. Na podwórku w czasie dziecięcych zabaw można było co chwilę usłyszeć Hdnde hoch. Innych zabaw nie znaleźliśmy. Takie to były czasy, naznaczone duchem wojny, tragicznymi wspomnieniami naszych dziadków i rodziców. Ta trauma przenikała polskie domy od piwnic aż po dachy. Dzieci ubierały to we własne wizje i cierpiały męki na równi ze starszymi. Moje sny przez wiele lat przepełnione były scenami z wojny.

Uwięzieni rodzice, zabijani koledzy, ucieczki po piwnicach, schowki, schrony. Do dzisiaj w snach wciąż przed kimś uciekam albo ktoś mi ginie. Myślałam o tym w kontekście czerwonego zeszytu, próbując dojść do pewnych wniosków. Może dlatego rodzice oszczędzili mi treści pamiętników.

Karol przyjechał taksówką. Miał pod okiem siniaka i przeciętą wargę.

Nie wiem dlaczego, ale odetchnęłam z ulgą. Może gdzieś w podświadomości spodziewałam się gorszego.

- Co się stało? - jęknęłam. Machnął ręką i w butach wszedł do swojego pokoju.

Dreptałam za nim bez słowa. Zauważył porządek na biurku i zamarł.

- Jacyś dranie dobierali się do mojego samochodu - powiedział, nie patrząc mi w oczy.

W pierwszej chwili myślałam, że mówi od rzeczy, ale zebrałam siły i z udawanym spokojem spytałam:

- Chcieli go ukraść czy zniszczyć?

- Chyba ukraść, ale nie zdążyli. Przyłapałem ich na gorącym uczynku, gdy dobierali się do zamka.

- Biłeś się z nimi czy co?

- Trochę oberwałem. - Dotknął palcami twarzy.

- A samochód?

- Został zatrzymany.

- Przez kogo? - chciałam poznać szczegóły.

- Przez policję. Będą zbierali ślady.

- Tyle fatygi o zwykłych chuliganów? - Nie mogłam uwierzyć. - To znaczy, że ich nie złapali?

- Gdzie tam, uciekli. Podałem z grubsza rysopisy. Było ciemno, niewiele widziałem. - Zdjął płaszcz i rzucił na czystą pościel. W mojej głowie rodziło się podejrzenie. W końcu nie wytrzymałam.

- A jak było naprawdę?

- Nie rozumiem - powiedział zaskoczony i po raz pierwszy spojrzał w moją stronę.

- Ktoś cię szukał - mówiłam dalej. - Jakiś podejrzany typ. Byłam w domu z Piotrusiem - powiedziałam głośno. - Trochę nas przestraszył.

- O kim mówisz i o co ci chodzi? - też podniósł głos.

- Wyglądał groźnie i pchał się do domu. Pytał, gdzie jesteś, i mówił, że jeszcze przyjdzie.

- I co powiedziałaś?

- Prawdę.

- To znaczy?

- Nie wiem, gdzie bywasz codziennie wieczorami - to mu powiedziałam. - Karol nie odezwał się ani słowem. Rozebrał się, umył ręce i usiadł przy stole. Wyglądał źle. Postawiłam przed nim talerz z pierogami.

- Jedz póki ciepłe.

Cała pewność siebie, z którą wszedł do mieszkania, uleciała.

- Nie mam apetytu - powiedział, mrożąc mnie spojrzeniem. Zobaczyłam, że wstaje.

- Zaczekaj. - Resztkami woli próbowałam zachować spokój. - Boję się o ciebie - wydusiłam. - Przecież widzę, że coś nie gra. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że kłamiesz... I... - załamał mi się głos. - Nigdy nie kłamałeś, a przecież coś ci grozi. Może nam też?

- Tobie nic nie grozi, bądź pewna - odpowiedział sucho.

- Nie jestem dzieckiem, nie mów mi takich rzeczy. Ciemne typy nie przychodzą do ludzi bez powodu, a ty udajesz, że nic się nie stało?

Siedział pochylony. Tym razem nie miał zamiaru się bronić. Powiedział spokojnie.

- Daj mi trochę czasu. Za tydzień, góra dziesięć dni, wszystko się wyjaśni.

- Za trzy dni są święta. Jakie one mają być, jeżeli między nami nie ma zgody? A co, jeżeli przyjdą po ciebie w samą Wigilię? Boże - złapałam się za głowę. - W coś ty się wplątał, człowieku, powiedz - błagałam.

- Nie mogę, uwierz. Jeszcze nie teraz - trochę spokorniał.

- Jest aż tak źle?

- Nie aż tak. Poradzę sobie - zapewniał.

- Trudno uwierzyć, że mamy przed sobą tajemnice. Nie wiem, co o tym myśleć.

- To wyjątkowa sprawa. Muszę się sam z tym uporać. Czulałam, że nie powie, że za wszelką cenę będzie milczeć. Wtedy palnęłam coś głupiego.

- Ale przed tym się rozpijesz. Ożywił się i spojrzał zdziwiony.

- Tego nie musisz się obawiać.

- A ta piersiówka pod poduszką? - postawiłam wszystko na jedną kartę. Obruszył się.

- Grzebiesz w moich rzeczach?

- Karol, co ty opowiadasz, jakich twoich? To nasze wspólne mieszkanie. Mieszkamy razem i wszystko tu jest wspólne. Nie ma moje i twoje. Po prostu chciałam posprzątać.

Poderwał się oburzony. Miał zaciśnięte pięści i bladą twarz. Bez słowa rzucił widelec na stół i wyszedł z kuchni.

Zostałam sama. Trzask zamykanych drzwi dowodził, że na dziś koniec rozmowy.

Dochodziła dwudziesta czwarta. Poszłam się umyć. Trochę zaskoczył mnie spokój, z jakim znosiłam to wszystko. Czy to normalne? Sypało się moje małżeństwo, mąż wdał się w jakąś aferę, święta zapowiadały się koszmarnie, a ja byłam całkiem spokojna. Podlałam kwiaty stojące na parapecie. Sprawdziłam, czy kiełkują już kasztany i położyłam się spać. Jutro Karol miał zostać w domu i ubierać choinkę.

Dam mu spokój aż do rana, a może nawet do wieczora. Miałam nadzieję, że prawda, którą przede mną ukrywa, da się jakoś znieść i oswoić.

Rozmawiamy ze sobą tylko oficjalnie. Tyle ile trzeba, żeby urządzić święta i w poprawnej atmosferze przyjąć gości. Chwilowy rozejm potrzebny był, żeby nie popsuć rodzinie świątecznej atmosfery. Karol został w domu. Pomagał sprzątać i przestawiał meble, ja do ostatniej chwili pracowałam. Agnieszka i Michał nie zauważyli, że od nas wieje chłodem. W ich towarzystwie zachowaliśmy pozory.

Napięcie i pośpiech, żeby ze wszystkim zdążyć, nieco rozluźniły napięcie. Były chwile, kiedy rozmawialiśmy normalnie. Gdyby nie to, nie udałoby się nam zdążyć na czas.

Na szczęście jest kilka momentów w roku, które osłodzą nawet najgorsze zmartwienia. W Wigilię rano nasz dom wypełnił się ludźmi. Byliśmy wszyscy.

Rodzice przyjechali dzień wcześniej, Marek z Basią i dziećmi wylądowali o dziesiątej rano. Z lotniska przywiózł ich Michał, bo my z Karolem zajmowaliśmy się domem. Jeszcze tylko stoły do kolacji i miejsca do spania. Trzy pokoje to nie jest wiele. Będzie nam ciasno. W starym domu przestrzeni nigdy nie brakowało. Na szczęście mieliśmy jeszcze mieszkanie Agnieszki.

W kuchni nie było wolnego miejsca. Wszędzie stały jakieś gary. Lodówka pękała w szwach, a na balkonie chłodził się tort i ryby w galarecie. Mama spędziła połowę nocy w kuchni, żeby ugotować na wieczór swój genialny barszcz i zrobić wannę uszek z grzybami. Ja pakowałam prezenty, szykowałam pościel i odbierałam telefony. Od rana dzwonili znajomi z życzeniami, koledzy Marka, chętni do sentymentalnych spotkań po latach. Marek przewidział na to jeden wieczór, a ja byłam ciekawa, czy zechce zorganizować go w naszym mieszkaniu.

Już pięć minut po tym, jak w drzwiach pojawili się goście, zrozumiałam, że nie będzie łatwo to wszystko przetrzymać. W jednej chwili mieszkanie zapełniło się ludźmi i trudno w nim było znaleźć spokojny kąt. Wszyscy przekrzykiwali się, żeby wymienić wrażenia. Spoglądałam na to szczęśliwa i przerażona.

- Dobrze wyglądasz - chwalił mnie Marek, odsuwając się na pewną odległość. -

Trochę schudłaś, dobrze ci z tym. Obcięłaś włosy, zawsze nosiłaś kok.

- Mareczku - uśmiechałam się pobłaźliwie. - Ten kok już nie istnieje od piętnastu lat.

- Żartujesz?

- Ani trochę.

- Ale ostatnim razem miałaś ciemniejsze włosy. Teraz rozjaśniasz?

- Raczej siwieję - żartowałam.

- Ta odległość do was jest zabójcza. - Kręcił się, próbując ogarnąć swoją gromadę.

Przedstawiał ich po kolei, nam i dziadkom. Nie wszyscy przecież się znali. Kiedy skończyły się powitania, rozłożył ręce. - Trochę wam podokuczamy.

- Ciasno u nas - próbowałam usprawiedliwić tłok w przedpokoju.

- Bez przesady - spojrział w prawo i w lewo. - Ładne mieszkanie.

- Wymaga jeszcze inwestycji - powiedział Karol, wnosząc do sypialni walizki.

Organizacyjny rozgardiasz trwał do czasu, aż mama zawołała wszystkich na kawę.

Dzieci zebrały się w jednym pokoju, dorośli w drugim. Tematów do rozmowy było tyle, że już po chwili straciłam wątek. Od emocji rozboleła mnie głowa. Ojciec wypytywał Marka o dom, ogród, firmę, nowe inwestycje, dochody, zawodowe plany, pytał, czy dzieci dobrze się uczą i co planują robić w przyszłości. Marek niezłe się uwijał, chcąc tatę zadowolić. Mnie bardziej interesowały drobiazgi, ale na rozmowy o drobiazgach będzie jeszcze czas.

Dopiero po godzinie udało mi się odciągnąć Marka na bok.

- Basia bała się podróży - opowiadał. - Przekonałem ją, że jest konieczna. To może być ostatnia okazja, żeby spotkać się z rodzicami. Osiemdziesiąt lat to poważny wiek, może zdarzyć się wszystko. Nigdy bym sobie nie darował, gdyby... - zaciął się.

Kiwałam tylko głową, bo nie wiedziałam, czy złe wieści o ojcu są Markowi potrzebne. Zauważył moje wahanie i powiedział wprost.

- Wiem, że nie jest ci łatwo. Mów prawdę, nie chcę być oszczędzany. I tak niewiele mogę ci pomóc.

- Mówiąc szczerze, niewiele brakowało - wyciągałam z cienia rodzinne tajemnice.

Opowiedziałam o ojcu, o jego pobycie w szpitalu. Zrelacjonowałam pokrótce sprawę domu, powiedziałam o wyrzutach sumienia, o wątpliwościach, które dręczyły mnie co dnia, o Agnieszce i Michale, że nie mają pracy. Słuchał, spoglądając pod nogi. Widać było, że jest mu przykro. Żeby mu do reszty nie zepsuć humoru, dodałam:

- Na całe szczęście powoli wszystko się układa - miałam na myśli rodziców. -

Mama jest całkiem pogodzona, jeszcze tylko ojciec. Jemu ciężko, ale i on wkrótce się uspokoi.

- Myślisz, że jest nieszczęśliwy?

- Myślę, że zrobiłam mu krzywdę.

- Chyba postąpiłbym tak samo. - Spojrzał w stronę rodziców. - Ale teraz ojciec promienieje i całkiem młodo wygląda.

- To wasz widok tak go odmienił. Ozdrowiał w jednej chwili.

Po kolacji usiedliśmy wokół choinki. Dzieci podziwiałały prezenty, dorośli nie mogli nacieszyć się sobą. Wspominaliśmy poprzednie lata, dzieciństwo. Każdy wydobywał z pamięci te najmiłsze chwile. Rodzice trochę zgorszzeni liczbą prezentów, mieli do tego swój własny stosunek. Cieszyli się, a jednak jakby mieli nam za złe, że urodziliśmy się już w innych czasach i zamiast dzierganego szalika pod choinkę dajemy sobie komputery. Powracali myślami do własnego dzieciństwa i do świąt z czasów, gdy na choince wieszano papierowe ozdoby, ciasteczka i suszone owoce. Czas tamtego dzieciństwa z obecnej perspektywy nam, którzy znamy je tylko z rodzinnych opowieści, wydawał się okresem upiornych wspomnień, ciężkich czasów i biedy. Marek wyczuł, że ojcu zebrało się na wspominki, więc podpuścił go i już po chwili przenieśliśmy się w odległe czasy, na poleskie pola i zasypane przerożliwie białym śniegiem wiejskie zagrody. Ale ojciec tym razem źle był nastrojony. Popadł w nostalgiczną zadumę nad losem swojej rodziny i trudnymi czasami, w których przyszło im żyć.

- Budujesz coś, a potem ci to zabiorą, całkiem bezprawnie, bo tak zakręci się koło historii. - Zaczął swoją opowieść. - Potem uciekasz jak złodziej z własnego domu, biorąc tylko to, co zmieści się w kieszeniach, bo nawet nie miałeś czasu się spakować. Zaczynasz wszystko od początku i nigdy nie wiesz, czy historia się nie powtórzy. W moim życiu powtórzyła się niestety i znowu wszystko straciłem.

- Niesłusznie porównujesz dzisiejszą sytuację do tamtych czasów. W czterdziestym trzecim roku to było coś całkiem innego. Wtedy była wojna, dzisiaj jesteś za stary i nadszedł dla ciebie czas odpoczynku.

- Za stary - powiadasz? - obruszył się ojciec. - Więc najwyższy czas, żeby mnie wyrzucić z własnego domu do jakiejś betonowej szuflady? Więc po co było to wszystko, te lata pracy i wyrzeczeń?

- To normalna kolej rzeczy. Przecież nie jesteśmy wieczni. Musisz zdać sobie sprawę, że wszystko ma swój kres. Obwiniasz Małgorzatę i Karola, masz pretensję do mnie, że nie chcieliśmy od ciebie przejąć domu i ogrodu. A my mamy własne marzenia i jedno życie, nie więcej.

Słuchałam Marka, wdzięczna za te słowa. To, że młodszy brat wziął mnie w obronę, miało dla mnie olbrzymie znaczenie, bo pozwoliło kolejny raz usprawiedliwić to, co zrobiłam. Niestety, nie wystarczyło, żeby ukoić sumienie.

- Mógłbyś nam wreszcie opowiedzieć o swoim pierwszym ogrodzie - postanowiłam zagrać na melancholijną nutę.

- Wiem, że pisałeś wspomnienia z tamtych lat. Trafiłam na nie przypadkowo - podkreśliłam.

Ojciec trochę się zmieszał. Wziął się do jedzenia ciasta, które mama położyła przed nim na talerzu. Miałam wrażenie, że zrobił się blady.

- Nie lubię mówić na ten temat. Coś tam spisywałem - wykręcał się.

- Opowiedz, chętnie posłuchamy - zachęcił go Marek. - Taka okazja już się nie powtórzy.

- Tylko żebyście nie narzekali, że zanudzam - uprzedził i spojrzał na skupioną wokół niego gromadkę. - Tak, strata rodzinnego domu była dla mnie czymś bardzo bolesnym, może bardziej niż dla moich rodziców - zaczął swoją opowieść. - Oni już niejedno przeszli i w pewnym sensie byli zahartowani.

Wszystko, co zostawiliśmy tam na Wschodzie, było dla mnie jak druga skóra, jak część ciała, bez której nie da się żyć. Myślałem, że za jakiś czas, gdy wichry wojny ucichną, wrócę tam i będę gospodarował. Nie przypuszczałem, że odchodzę na zawsze, że już nigdy więcej nie zobaczę swojego domu, kasztanowej alei, pól, ogrodu, koni, naszych krów, które myłem każdego ranka, zanim poszły na pastwisko, szorowałem, żeby były ładniejsze niż krowy sąsiada. - Ojciec opowiadał i z każdą chwilą jego twarz łagodniała.

- Najpiękniej było w pełni lata, po burzy. - Przymknął powieki i osunął się w zagłębienie fotela. - W lasach pachniało żywicą i mchem, dojrzewały maliny, jeżyny, czarny bez, dereń, czeremcha, trzmielina - bez końca wyliczał.

- Zaczynało już pachnieć grzybami, czasami można było znaleźć rydza. Trzeba było bardzo uważać, bo tereny były podmokłe, zdarzały się trzęsawiska o rdzawym nalocie na

łodygach i liściach. Na bagnach wyrastała łożynia, żurawina, brusznica, można było przyłapać rosiczkę, jak pałaszuje owady. - Układał dłonie w kształt roślin, wydawało się, że czuje ich zapach. - Na polach dojrzewały zboża, w sadach owoce. Pamiętam, że dojrzewające żyto miało płowy kolor, pszenica była jasnozielona, ciemnozielony owies, mocna zieleń ziemniaków, soczyste buraczyska i błękitne poletka kwitnącego lnu - ojciec opowiadał dalej.

- Wieczorem po łąkach rozchodził się śpiew. - Nagle zamilkł. Był bardzo wzruszony. Mały Piotr, który wydawał się zajęty zabawą, przerwał na chwilę i niespodziewanie powiedział:

- W lesie na wakacjach też było straszne bagno, a koło osiedla, za naszym domem, jest tak samo, dziadku. Jak skończy się zima, zobaczysz, jak tam jest zielono. -

Trzeźwy głos małego dziecka zabrzmiał jak przebudzenie. - Nie martw się - powiedział ciszej. - Jak chcesz, zaprowadzę cię tam.

- Zamilkł, czekając na jakąś reakcję. Ojciec uniósł siwą głowę i pokiwał z uznaniem.

- Trzymam cię za słowo, prawnuku.

Przerwany niespodziewanym obrotem sprawy ojcowski monolog zboczył nieco z tematu. Marek wiedziony ciekawością postanowił wrócić do urwanego wątku.

- Wtedy wszyscy opuścili swoje domy? - zapytał.

- Kto został, ten zginął. Plan był taki, żeby wszystkich Polaków i Żydów usunąć z terenów, na których w gruncie rzeczy byli mniejszością, a prawie wszyscy Polacy tereny te uważali za swoją ziemię ojczystą. Rozkochani w sienkiewiczowskich powieściach, czuliśmy się u siebie. Po załamaniu się siły wojskowej Polski jechaliśmy na jednym wózku z Żydami. Najpierw uciekali oni, a za nimi uciekaliśmy my. Pamiętam, którejś nocy przyszedł do nas młody Żyd z nieletnim synem. Wyruszyli nocą do lasu szukać dla siebie schronienia. Po drodze wstąpili na odpoczynek. Ojciec mój znał trochę tego Żyda. Spotykali się w piątki na targowisku. Każdy z nich sprzedawał tam swoje wyroby. Wtedy nie wiedzieliśmy wszystkiego. Dopiero po wojnie, bo rodzice wcześniej nie rozmawiali o tym, okazało się, że przyszedł tej nocy zapytać, czy może ukryć się w lepiance pod lasem, obok naszej łąki. Przygotował sobie już wcześniej tę kryjówkę i zaopatrzył w zapasy. Chciał tylko uprzedzić i prosić o wyrozumiałość. Rodzice zgodzili się, a potem, obarczeni odpowiedzialnością za ich życie, nocami zanosili im jedzenie i świeżą wodę. Bo ci żyli jak robaki zakopane w ziemi.

Wychodzili dopiero nocą rozprostować kości, a i tak byli w wiecznym strachu o swoje życie. Zresztą tak samo jak my, tak samo...

Matka siedziała skulona i słuchała.

- Po co te całe wspominki - powiedziała niespodziewanie. - Tylko spać po tym nie można.

- Może powinniśmy to wiedzieć? - zapytałam.

- Wszyscy wiedzą, jak wtedy było. Jest tyle książek i artykułów. Po co wracać i rozdrapywać stare blizny? Wam to już nie jest potrzebne. Macie swoje kłopoty.

Trzeba patrzeć w przyszłość, a nie stale oglądać się wstecz. I tak ludzie nie korzystają z doświadczeń rodziców. Nie chcą uczyć się na ich błędach. Wszystko muszą przećwiczyć sami, na własnym grzbiecie.

Nie podejrzewałam mamy o taką reakcję. Myślałam, że to ojciec nie lubi opowiadać. Tymczasem wystarczyło kilka słów zachęty, żeby rozpoczął spowiedź. Za to ona unikała wspomnień. Wiedziała, że straciła na Wschodzie całą rodzinę: rodziców i rodzeństwo. Wszyscy zostali rozstrzelani.

Mama przeżyła, bo w tym czasie była u sąsiadów i bawiła się z ich córką. Tak opowiadała, ale nigdy nie podawała szczegółów.

- Masz rację - ojciec potwierdził słowa swojej żony. - Historia się powtarza, a ludzie nie chcą z tego skorzystać. Wam się wydaje - zwrócił się w naszą stronę - że wtedy byliśmy dzicy i niedouczeni, że niczego nie było, ani sklepów, ani banków, wielkich fortun i biedy. Wszystko było, tak samo jak teraz. Mój ojciec ziemię na Polesiu kupił w Banku Hipotecznym. Wcześniej ta ziemia należała do dziedzica, który nazywał się Niepaniec, imienia nie pamiętam. Zubożał biedaczek.

Część ziemi przehulał, przegrał w karty, zadłużył się, a potem sprzedał bankowi.

Kto miał szczęście, kupił wolny kawałek gruntu, komu wiatr zawiał w oczy, dostał kawałek zadłużony. Mój ojciec też był poszkodowany. Spłacał i spłacał, a końca nie było widać. Najpierw spłacił własne długi, a potem dziedzica.

- Skąd mieliście pieniądze, żeby tę ziemię kupić? - zapytałam.

- Ojciec sprzedał swój majątek na Kielecczyźnie i z gotówką pojechał na Wschód.

Kupił czterdzieści hektarów ziemi w Kowlu i na niej gospodarował.

- Kupił ziemię razem z domem?

- Skądże. Na dom miał za mało pieniędzy. Przyjechał do Kowla w 1920 roku. Gdy zaczynał, wokół było pole. Przez kilka miesięcy mieszkał u sąsiadów. W wolnym czasie pomagał im, odpłacając za dach nad głową. Jednocześnie budował dom.

- A twoja matka? Ojciec nie był wtedy żonaty? - Basia zainteresowała się kobiecą częścią rodu.

- Ona w tym czasie była w ciąży z Lucjanem, a po ojca wyjeździe zaraz urodziła.

Przyjechała za rok, gdy stał już dom i zabudowania gospodarcze. Przyjechała z małym dzieckiem i dwiema starszymi pasierbicami, bo mój ojciec jak się ożenił, był już wdowcem. Potem zaczęliśmy rodzić się my.

Zauważyłam, że ojciec zmieniał się z każdym wypowiedzianym słowem. Odpytywał tak szczerze, że w jego zamglonych źrenicach dostrzegałam zarysy miejsc, o których mówił.

- Ja urodziłem się w dwudziestym piątym, to przecież wiecie - uśmiechnął się. -

Już w nowym domu. Byłem jego częścią. Dorastałem i męźniałem, kiedy rozwijało się i piękniało nasze gospodarstwo. Widziałem, jakim wysiłkiem ojciec budował znaczenie rodu. Był pracowity i potrafił zrobić wszystko. Nie pamiętam go, żeby odpoczywał. Kochał swoje gospodarstwo, był z niego dumny.

W innych sprawach też się nie ościagał. Rodzili się kolejni bracia. Mama też nie próżnowała. My wychowywaliśmy siebie nawzajem, starszy pomagał młodszemu i jakoś szło.

Grono słuchaczy malało z każdą chwilą. Dzieci trochę znudzone poszły się bawić do drugiego pokoju. Mama wstała od stołu i wyszła do kuchni. Hałasowała w niej jak nigdy, chyba specjalnie. Marek przypiął się do ojca, najbardziej ciekawy.

Podobnie jak ja nie znał rodzinnych historii. Słuchaliśmy w skupieniu, zdając sobie sprawę, że ten wieczór nigdy już się nie powtórzy. To jedyna okazja.

- Jak dwie osoby mogły uprawiać czterdzieści hektarów?

- Wynajmowaliśmy pracowników.

- A skąd braliście na to pieniądze?

- Wtedy pieniądź nie był jedynym środkiem płatniczym. Istniał zwyczaj wzajemnej pomocy. Mój ojciec, jak już powiedziałem, był pracowitym i oszczędnym człowiekiem. Matka również. W naszym domu nigdy nie było biedy. Ojciec latem pracował na gospodarstwie, a zimą harował w warsztacie. Robił ludziom na zamówienie najróżniejsze rzeczy. Potrafił zrobić wszystko: stół, łóżko, szafę, kufer, skrzynię. Kuferek ładnie pomalowany dostawała młoda męzatka od swoich rodziców na wiano. Robił noże z kawałka kosi albo starej piły; kiedy stary pług nie nadawał się już do orania, robił nowy. U znajomego bednarza zobaczył, jak się robi beczki i wiadra z klepek drewna. Raz zamówił dębową beczkę do kiszenia kapusty i wiadro na wodę, a następne zrobił już sam, w swoim warsztacie. Potrafił postawić piec, położyć dach i podłogę w chacie. Ludzie potrzebowali różnych sprzętów, żeby urządzić nowe domy, i kupowali albo jeżeli nie mieli pieniędzy, a najczęściej nie mieli - tłumaczył nam - latem przychodzili pomagać. Ojciec jako jedyny posiadał konie. Latem wynajmował je innym. Jeden dzień pracy konia wart był dwóch dni pracy człowieka.

Czasami było tak, że najpierw sąsiedzi pomagali nam, a potem my pomagaliśmy innym. Było nas pięciu braci, ale tylko trzech pracowało. Potem jechało się na targ z ziarnem, mąką, jajkami, serem. Za zarobione pieniądze kupowaliśmy odzież, środki czystości, zeszyty i książki. W polskich domach bardzo dużo się czytało.

Raz kupiona książka krążyła po kolonii, aż nie rozpadła się ze starości.

Czytaliśmy przy lampach naftowych i przy świecach, po cichu i głośno - tak, żeby wszyscy słyszeli.

- Sprytnie - zauważył Marek. - Wszystko jak w zegarku, zaplanowane i przemyślane. Już wtedy przydała się wam logistyka - zażartował.

- Tak to się nie nazywało, ale funkcjonowało jak należy i dawało efekty.

- A kiedy się zmieniło na gorsze?

- Do roku trzydziestego dziewiątego było elegancko. Żyliśmy jak paniska, prawdziwi kułacy. Krymno było polską osadą i nieźle sobie radziło. To budziło w innych zazdrość i niechęć. Gdy wkroczyli Rosjanie, zorganizowali coś a la wybory. Nowa władza, radziecka, zmusiła wszystkich do głosowania, pilnując, by każdy głosował po ich myśli. Według ustanowionego prawa wszyscy kułacy, a więc prywatni właściciele, mieli być wcielani do nowo powstających kołchozów.

- To znaczy co? - Marek naiwnie zapytał. - Wszystko do jednego worka i gospodarza na parobka?

- Coś w tym rodzaju - przytaknął ojciec.

- A jeśli ktoś się nie zgodził?

- Wtedy ustalali bardzo wysokie podatki, które trzeba było płacić. Kto nie zapłacił, pojawiała się władza i zabierała, co się da, albo wsadzała do ciupy. Tak długo przychodzili, aż wszystko zabrali.

Potem nie było ratunku, trzeba było oddać ziemię albo wyjechać, ze strachu przed więzieniem. Tak czy siak, traciło się wszystko bezpowrotnie.

- Wam też zabrali? - zapytała Basia.

- Przyszli dwa razy, zawsze jesienią, gdy stodoły pełne były ziarna, a piwnice zimowych zapasów, i brali wszystko, zostawiając nas bez szans na przetrwanie.

Zabrali bydło, ziarno, mąkę, ziemniaki, świnie. Zostawili puste zabudowania, a przed nami mroźna zima, nie taka lekka jak tutaj. Dom pełen ludzi i puste spiżarnie. Wyobrażacie to sobie? Nawet nie było z czego upiec chleba. Na szczęście ojciec, uprzedzony przez znajomego, zdążył zakopać skrzynię ziarna, żeby było wiosną na siew, i trochę ziemniaków. Zaprowadził do sąsiada jedną krowę i dwie kury.

Kiedy przyszła wiosna, praca ruszyła na całego. Mieliśmy sad i duży ogród.

Trochę pomogli sąsiedzi, również Ukraińcy, bo nie brakowało wśród nich bardzo dobrych ludzi, którym nie w smak była wojenna zawierucha. Też chcieli spokojnie gospodarzyć i dostatnio żyć. To dzięki nim stanęliśmy na nogi. Ziemia zaczęła rodzić, kury wysiadywać jajka, kupiło się świnki i mleczną krowę. Powoli wychodziliśmy z dołka, ale było dużo trudniej. Brakowało maszyn i koni, a musicie wiedzieć, że maszyny rolnicze mieliśmy nie byle jakie. Ojciec sprowadził je z Poznania od Cegielskiego, można było zarabiać, wynajmując. Wszystko nam zabrali. Dwa razy. Po tym już nie mogliśmy się podźwignąć.

Ojciec nie chciał dać za wygraną. Polacy jednak zaczęli wyjeżdżać. Bali się.

Było coraz gorzej. Gdy wkroczyli Niemcy, zaczęło się prawdziwe piekło. Podsyłali w miejscowej ludności nacjonalistyczne emocje. Najbardziej podatni zorganizowali się w specjalne, nacjonalistyczne bojówki i przeprowadzali narodowe czystki, wycinając w pień całe polskie osady. Dla nas, Polaków, tych, którzy nie zdecydowali się na porzucenie swoich gospodarstw, pozostało jedyne wyjście: organizować samoobronę i poszukać sojuszników. Nasza placówka, w której broniła się cała wieś, została rozgromiona w nocy z 27 na 28 lipca w roku czterdziestym trzecim. Kto przeżył, uciekł do lasu. We wsi zostały niedobitki. Ludzie nie mieli gwarancji, czy przeżyją do rana.

Zrobiło się bardzo późno. Przy ojcu zostałam tylko ja i Marek. Basia poszła sprawdzić, co robią dzieci, a Karol odpłynął gdzieś myślami. Chociaż starał się zachować pozory uwagi, widziałam, że nasze słowa odbijają się od niego jak od szklanej ściany. Zbudował wokół siebie przestrzeń, pozostając w niej nienaruszony. Kilkakrotnie zabierał głos, zadawał jakieś pytanie, żeby nikt się nie zorientował, w jakim jest stanie. Wszystko miało świadczyć o wewnętrznym spokoju, o idealnej uwadze. Delikatnie muskał tematy, przemykał po nich słowami i oddalał się we własne krainy. Usiłowałam z urywków wiedzy o własnym mężu poskładać sensowną całość, lecz bezskutecznie. Dramat toczył się w nim. Niczego nie uzewnętrzniał, zachowywał spokój, a we mnie budził ogromne współczucie. Nie potrafiłam mu pomóc. Moja wiedza kończyła się jak uskok skały pod wodospadem.

Wszystko, a potem nic. Głęboka bruzda w jego przystojnej twarzy i poblądłe policzki mówiły za siebie.

Dopiero późną nocą udało się wysłać dzieci do łóżek. Rodzice położyli się w osobnym pokoju, Agnieszka z Michałem wrócili do siebie, zabierając Basię i małego Adasia, który jakoś nie mógł rozstać się z ich Piotrem. Ci, którym nie chciało się jeszcze spać, przenieśli się do pokoju Karola, żeby w ciszy wigilijnej nocy spokojnie pogadać.

Powroty ojca do miejsc nam nieznanymi i odległymi wyjaśniły mi przyczyny jego desperacji. Było jasne, że życie nie poskapiło mu trudnych momentów. Brutalnie wyrwany z ziemi, z którą wiązał największe nadzieje, już nigdy nie zaznał prawdziwego spokoju. Przez wiele lat śniły mu się trudne chwile z partyzantki, ucieczki przez las, podpalane domy sąsiadów i twarze nieżyjących przyjaciół. Też mógłby tak wisieć jak oni na drzewie i nie powrócić nigdy do swojego kraju. Był wdzięczny losowi ponad miarę. W sercu pozostał jedynie wielki ból po stracie wszystkiego, co kochał, a to, co zbudował później, choć tylko w części i nie do końca, stało się elementem wielkiego planu. Szkoda, że nigdy mi o tym nie powiedział. Trzymał w ukryciu przed światem osobiste marzenia i nie odkrywał kart. Skąd mogłam wiedzieć, że na nowo zbudowane życie miało być powtórzeniem tego straconego, a dom i ogród powrotem do przeszłości? Postanowił, a może nawet przysiągł swoim przodkom, że kiedyś, w innym miejscu odbuduje rodzinny majątek.

Poświęcił się tej idei bez reszty. Nie wziął niestety pod uwagę faktu, że nikt już tego nie oczekuje, że czasy się zmieniły, że jego syn nie zasadzi kasztana w swoim parku. Ludzie szukają teraz innych podniet i inaczej realizują marzenia.

Chciał skupić nas wokół jednego miejsca, rozkochać w ziemi, ogrodzie, oczekiwał wdzięczności i wierności. A my, nic nie rozumiejąc, pozbawiliśmy go wszelakich złudzeń, gardząc otrzymanym darem. W ten sposób historia zatoczyła pewien krąg.

Znów stracił ukochany dom, tylko że oprawcami byli tym razem najbliżsi.

Marek przeżył ciężko ojcowskie wspomnienia. Długo w noc roztrząsał minione lata, próbował znaleźć wytłumaczenie. Zdał sobie sprawę z roli, którą odegrał w rodzinnej historii. Ja, jej ostatnie ogniwo, byłam tym kimś, kto wykonał wyrok.

Wtedy pomyślałam sobie, że rodzice nie powinni marzyć za własne dzieci.

Całą noc nie zmrzyłam oka, gdy zdałam sobie sprawę z tego, czego się dowiedziałam. Teraz ja wrosłam korzeniami głęboko. Zanim wymażę z pamięci widok starego domu i ogrodu, moje wnuki będą już dojrzałymi ludźmi. Byłam poniekąd ofiarą ojcowskich planów. Moimi rękami realizował obietnice wobec samego siebie, a teraz sprawił, że mam wyrzuty sumienia. Patrząc, jak bardzo poniosła go fala wspomnień, miałam wrażenie, że dokonał się wreszcie akt ostatecznego oczyszczenia. Gdy nad ranem szliśmy wreszcie spać, poczułam, że tego mu było trzeba. Wyznaniem zrzucił z siebie ciężar odpowiedzialności, może teraz odzyska spokój.

Za dwa dni sylwester. Marek z Basią wybierają się do znajomych mieszkających pod Warszawą. Z tej okazji wspomnieliśmy o Maryli. Ona była ważną postacią z tamtych czasów.

Marek żałował, że się nie spotkają. Gdy powiedziałam mu o jej ucieczce od męża, myślał, że żartuję.

- Nie podejrzewałbym jej o coś takiego - powtórzył zdumiony. - Była uosobieniem solidności. Powiedziałbym nawet, że planowanie było jej podstawową zasadą działania. Nie znosiła improwizacji i bała się ryzyka. Miała potrzebę dominowania. Chciała zaprogramować życie sobie i innym.

- Trochę głupio brzmi, gdy mówisz o niej w czasie przeszłym - zauważył zaczepnie Karol. - W końcu to tylko ucieczka.

- Maryla jest dla mnie od dawna kimś z przeszłości. Dlatego używam czasu przeszłego. - Marek nie dał się wyprowadzić z równowagi. - Nie sugeruję przecież, że coś jej się stało. Po prostu próbuję zrozumieć. Myślisz, że to hipokryzja?

- Nie wiem naprawdę, dlaczego nie dacie jej spokoju. Wciąż tylko słyszę Maryla to, Maryla tamto. Uciekła i tyle. Jej sprawa. Po co się wtrącać, analizować.

Miała wszystkiego dość i wyniosła się z miasta, gdzie pieprz rośnie. - Nerwy mojego męża nie wytrzymały zmęczenia.

- Ja ją widziałam - wtrąciłam. Chciałam nieco rozładować napięcie. - Wychodziła z naszej przychodni. Ale nie miałam odwagi podejść i zapytać.

- Może chciała się z tobą skontaktować? - zapytał po chwili Marek.

- Skąd mogła wiedzieć, że tam mnie spotka? To był mój pierwszy dzień w pracy.

- No właśnie, a propos twojej pracy. Nie pojmuję, jak możesz godzić się na coś takiego - zmienił niespodziewanie temat, jakby sprawa Maryli straciła nagle swój ciężar gatunkowy. - Jesteś doświadczonym stomatologiem, a wykonujesz taką nędzną robotę. Nie chce mi się wierzyć, że nie mogłaś znaleźć czegoś lepszego.

Karol wstał od stołu zirytowany. Czulałam, że już nie może dłużej usiedzieć.

- Myślisz, że tu jest tak, jak w Australii - wyrzucił z siebie. - Tutaj nie ma pracy dla nikogo. Magister, doktorant czy kucharz, wszyscy szukają pracy, czasami jakiegokolwiek, żeby przeżyć.

- Rozumiem, gdy ktoś zaczyna - kontynuował Marek.

- Ale żeby po dwudziestu latach pracy nic nie mieć?

- Jak to nic - Karol się obruszył. - Mieszkanie na gabinet, drugie dla Agnieszki i Michała, moja kawalerka, i teraz to - pokazał palcem. - Na warunki polskie to bardzo dużo.

Zerwałam się jak oparzona.

- A wam w końcu o co chodzi? - Miałam już dość. - To jakiś sąd?

- Czego się denerwujesz? - fuknął Marek. - Pytam po prostu.

- Zapytaj Agnieszkę i Michała. Oni wiedzą najlepiej. Oboje są bez pracy. Mimo porządnego wykształcenia nikomu nie są potrzebni. Być może to tylko sprawa czasu i w końcu coś się dla nich znajdzie, tylko co? Bez pieniędzy nie da się długo żyć, a my nie mamy już rezerw.

Czułam, że Markowi zrobiło się głupio. Nie dał po sobie poznać zmieszania, ale nie wrócił do tematu. Może niesłusznie. Przecież to nie jest jego wina, że żyje w całkiem innym świecie. Zanim usiedliśmy do kolacji, zauważyłam, że jest zły.

Siedział nadąsany i nie chciał jeść.

- Marek, nałóż sobie bigosu - mama troskliwie zachęcała, podsuwając mu pod nos półmisek. Nieświadoma naszej kłótni starała się jak mogła, żeby wszystkim dogodzić.

- Trudno wam cokolwiek radzić. Wciąż macie o coś pretensje - powiedział rozczarowany. - To prawda, co powiedział Karol, w Polsce rzeczywiście nie jest tak jak w Australii, przynajmniej i jednocześnie cieszę się z tego, że mogę w niej mieszkać i żyć. To kraj wolnych ludzi. Tam nikt nie martwi się swoimi korzeniami i tym, czy lubi swojego sąsiada, bo ma inny kolor skóry albo chodzi do innego kościoła. Europie potrzebna jest taka sama kuracja. Już dość w niej było i jest nienawiści. Nie można ciągle zmuszać ludzi, żeby z powodów przynależności narodowej czy religii zmuszani byli do zabijania swoich sąsiadów.

Wszyscy byli trochę rozdrażnieni. Takie nienaturalne obcowanie w dużej gromadzie wprowadza zawsze nadmierną nerwowość. Najpierw Karola poniosło, teraz Marek dał się sprowokować. Poczuł, że przesadził. Nic dziwnego, tak daleko odskoczył od naszych problemów. Ludziom stamtąd czasami trudno zrozumieć tutejsze układy.

Udawałam, że nic się nie stało. Marek był moim bratem. Miał prawo zadawać kłopotliwe pytania. Nie można ciągle udawać, że nie ma problemów, kiedy one naprawdę istnieją. Jeżeli rozmowa ma być szczerą, powinna dotyczyć istoty rzeczy, a rodzina jest po to, żeby dyskutować. Marek nie przyjechał chwalić, chce poznać prawdę. Tylko czy my nie obrażamy się na ludzi z zewnątrz za to, że mają lepiej, i zamiast uczyć się od lepszych, atakujemy?

W trakcie kolacji panowała nieco sztuczna atmosfera. Nie wróciliśmy już do rozpoczętej rozmowy. Święta to zły czas na politykowanie. Chcieliśmy na siłę zatrzeć ślady niefortunnej wymiany poglądów. Wszyscy byli dla siebie mili i uczynni. Kiedy robiłam kawę, zauważyłam, że Marek usiadł przy stole z Michałem i długo rozmawiali. Wypytywał go o różne rzeczy, w szczególności o pracę i o to, co najbardziej lubi robić. Michał z wrażenia dostał wypieków.

Sylwester. My zostaniemy w domu, w roli podwójnych opiekunów - małego wnuka i starych rodziców. Reszta się bawi. Za dwa dni goście wracają do domu. Rodzice są niepokieszeni, ja z praktycznego punktu widzenia zacieram ręce. Kocham ich wszystkich, ale prawdę mówiąc, mam dość. Martwi mnie Karol i wkurza, bo zamiast działać (myślę o samochodzie), je, śpi i ciągle gdzieś dzwoni. Próbowałam podsłuchać, ale był czujny. Czas mija, mam nadzieję, że dotrzyma słowa i kilka dni wymuszonej zwłoki nie zamieni się w więcej.

W domu straszny bałagan. Próbuję go opanować, ale nie ma efektów. W pokoju Karola dzieci urządziły kino. Cały dzień oglądają filmy na wideo. Karol zły, bo buszuje wszędzie i nic się przed nimi nie ukryje. Kwiaty w oplakany stanie.

Duna w doniczce z fikusem zakopała kość. Śmierdziało cały dzień, zanim wykryliśmy źródło zapachu. Dzisiaj obraziła się na nas i znów nie wróciła do domu. Wcale się jej nie dziwię. Też bym uciekła. Jak o dwunastej zaczną wybuchać petardy, znajdzie drogę do domu.

Od rana okropne zamieszanie. Wszędzie stoją walizki, my przekrzykujemy jeden drugiego, padają ostatnie słowa, za godzinę goście jadą na lotnisko. Dzwonili do Karola z policji, że samochód jest do odebrania. Był całkiem blady, gdy wychodził z domu. Trzy razy wracał, zanim znalazł potrzebne dokumenty. W tym zamieszaniu nawet nie możemy porozmawiać. Czuję na sobie wzrok Marka. Nie ma odwagi zapytać. Po co go denerwować, tym bardziej, że sama nic nie wiem. W głowie mam chaos.

Gości na lotnisko odwiózł Michał. Piotr stał zmartwiony na balkonie i zawzięcie machał. Było mu żal, że odjeżdżają. Szkoda, że nie mogłam powiedzieć tego samego. Mama krzątała się w kuchni. Na jej twarzy malowało się cierpienie.

- Zmęczona? - zapytałam, otwierając okno. Para z czajnika skropiła się na szybie.

- I to jak - odpowiedziała szczerze. - Może gdyby nie ta ciasnota, byłoby łatwiej wytrzymać.

- Tak - pokiwałam głową. - Tu jest naprawdę ciasno.

- W starym domu nie bylibyśmy tacy zmęczeni. Dzieci wyszłyby do ogrodu, pobawić się na śniegu. Psa by nie było i tych rozgrzanych kaloryferów.

- Nie przesadzaj. Kaloryfery można skrócić - zaprotestowałam.

- Tak, wiem, tylko to powietrze takie suche.

Nie skomentowałam. No cóż, miała rację. Też wolałabym wrócić na stare śmieci.

Tylko, że to już nie jest możliwe i trzeba się w końcu z tym pogodzić.

- Babciu - usłyszałam wołanie małego Piotra. - Pooglądaj ze mną filmy. Chodź, nauczę cię nastawiać wideo.

No tak, jeszcze brakuje, żeby gówniarz nabroił. Zostawiłam mamę przy kuchni i poszłam do gabinetu. Mały majstrował przy sprzęcie. Zanim krzyknęłam, kasety były już w środku.

- Zobacz, już potrafię. - Rozsiadł się wygodnie w fotelu Karola. - To jest film o basenie. Wszyscy się w nim kąpią.

- Odwrócił się w moją stronę zadowolony. - Poproszę dziadka, żeby zabrał mnie na taki basen, bo tam nie trzeba nosić kąpielówek ani motylków. Zobacz - pokazał palcem - wszystkie panie są rozebrane, a panowie się z nimi bawią w karate.

Spojrzałam przerażona. Rzeczywiście było karate. Na ekranie kilka rozebranych par uprawiało ostry seks. Zerwałam się jak oparzona. Gdy wyłączałam film, mały płakał.

- To nie są filmy dla dzieci - tłumaczyłam podniesionym głosem. - Dzieci nie mogą oglądać, jak dorośli się biją.

- A dziadek ogląda! - krzyczał rozżalony.

- Dziadek też nie ogląda, ten film zaplątał się przypadkiem - tłumaczyłam dziecku, żeby zatuszować zażenowanie.

- Nieprawda - próbował zaprzeczyć. - Dziadek ma dużo takich filmów.

- Dlaczego kłamiesz?

- Nie kłamię! - krzyczał z całych sił. - Jak chcesz, to ci pokażę! - Zeskoczył z fotela i pokazał na szufladę biurka.

- O tam, sama zobacz.

Szarpnęłam i na podłogę wysypały się nowiutkie kasety. Przejrzałam po kolei okładki, a tam pary w jednoznacznych pozach, dorodne organy męskie i żeńskie, piersi, brzuchy, języki. Erotyczna fizjologia z pełnym wachlarzem przypadków.

Czekanie na Karola stało się w pewnym sensie zasadą, lecz dziś nabrało specjalnego znaczenia. Siedziałam w jego pokoju, z gotowym wykładem na temat zboczonych zainteresowań panów po pięćdziesiątce. Odkrywanie pasji mojego męża przeszło najśmielsze wyobrażenia. Okazało się, że chociaż jesteśmy ze sobą już prawie trzydzieści lat, niewiele o sobie wiemy. Ostatnie odkrycie przebiło swoją oryginalnością wszystkie poprzednie. Właściwie czemu tu się dziwić. Facet czasami lubi popatrzeć na goliznę, w końcu jest wrokiem, tylko dlaczego ja dowiaduję się o tym ostatnia?

Wiele trudu kosztowało mnie przekonanie Piotra, że te filmy naprawdę nie są dla dzieci. Nie wierzył. On jeden doceniał męskie gusta i trzymał stronę własnej płci. Na jego szczęście sedno sprawy zupełnie do niego nie docierało i mogłam w dowolny sposób interpretować znaczenie podejrzanych scen. Najgorsze było to, że znając jego elokwencję, wiadomości z

pierwszej ręki sprzeda niebawem w przedszkolu. No cóż, miejmy nadzieję, że nie zostaną docenione.

Koło szesnastej przyjechał Michał. Zabrał Piotra do domu. Zanim wyszli, udało mi się dyskretnie naświetlić problem. Michał nie przejął się zbytnio, choć nie spodziewał się po teściu takiej odwagi.

- A swoją drogą - zaznaczył, gdy Piotrek pakował zabawki - z ojca jest niezły agent. - Uśmiechał się przy tym jakoś dziwnie i robił niedwuznaczne miny.

- Widzę, że ci zaimponował.

- No wie mama, to się u faceta ceni. Ma swoje lata, ale nie zasypia gruszek w popiele - zarechotał. - A mama się o to gniewa?

Popatrzyłam na niego wzburzona.

- Wszyscy jesteście jednacy - fuknęłam.

- No nie! - zaprotestował głośno. - Nie tylko my to lubimy - powiedział i zostawił mnie z tym oświadczeniem. Gdy zamykałam drzwi, słychać było, że dalej się śmieje. Jeszcze nie zdążyłam przekręcić zamka, gdy usłyszałam z pokoju głos ojca:

- Z czego się tak śmiejecie?

- Michał śmiał się ze mnie, że nie lubię chodzić na basen - odpowiedziałam bardzo głośno.

Kilka dni urlopu, które udało mi się wyżebrać, upłynęło jak jedna chwilka.

Wiadomo, co dobre, szybko się kończy. Nadchodził czas transformacji. Zegarek na siódmą trzydzieści, żegnaj pani doktor. Odłożyłam na lepsze czasy wszystkie modniejsze ciuchy i powróciłam do klimatów bliżej podłogi. Wymagało to ode mnie pewnego wysiłku, bo nie tak łatwo wcielić się w kogoś innego. Jeszcze tylko uczesanie i makijaż, a osiągnę zamierzony efekt. Wyciągnęłam z szafy brązowy płaszcz, żegnając się aż do soboty z ulubioną kurtką.

Tego dnia wchodziłam do przychodni wesoła jak szczygiełek. Mimo zmęczenia świętami, a w szczególności zamieszaniem, jakie wnieśli ze sobą moi goście, rozsadała mnie energia, wypełniał optymizm. Właściwie, gdyby nie tajemnice Karola, mogłabym być szczęśliwa. Był początek roku, początek miesiąca, czas nadziei.

Na samym progu, gdy otworzyłam wahadłowe drzwi, przeraził mnie tłum oczekujących pacjentów. - W przyrodzie nic nie ginie - pomyślałam. Wolne dni, zamknięta przychodnia - to zawsze się zemści. Opadły mi ręce, opuścił szampański nastrój.

Moja podłoga! - krzyczałam w myślach. I rzeczywiście. Jasne płytki pokrywała błotnista maź. Panował straszny zaduch. Rozgrzane kaloryfery i zamknięte okna, można było

powiesić siekiere. Przeciskałam się pomiędzy ludźmi w tłumie, myśląc jednocześnie, co mnie dzisiaj czeka. W takie dni kończyliśmy zawsze z dużym opóźnieniem. Dobrze, że przyszedłam przed czasem. Zdażę lepiej przygotować gabinety. W szatni rozebrałam się z płaszcza, butów i grubego swetra i założyłam szeroki fartuch. Lubiłam w nim pracować. Może nie był elegancki, za to wygodny. Nie ograniczał ruchów. Poprawiłam włosy i mocniej podkreśliłam usta. Ciemna szminka dodała mojej twarzy drapieżności. To nawet było przyjemne. Poczulałam się seksy.

Taka maskarada, gdy się wie, że potem można wszystko zmienić, była dość ekscytująca. Dziewczynki lubią się przebierać.

W szatni było tłoczno. Pojawiały się znajome twarze. Wszyscy jacyś smutni i milczący. Bez jednego słowa, automatycznie, jak ja, przeistaczali się w kogoś innego. Świadomość, że na razie nie ma na co czekać, że przed nami szare dni bez nadziei, psuła wszystkim nastrój. Wyszłam na korytarz. Otoczył mnie tłum ludzi i hałas. Minęłam boczny korytarz, drzwi do windy i skierowałam się do rejestracji.

Potrzebowałam kluczy do gabinetów. W rejestracji stopy kartotek, migający ekran komputera i ziewająca pielęgniarka. Za szybą dyżurki kilku lekarzy zajętych dyskusją, na talerzach poświęteczne placki, butelka szampana, a za oknem śnieg.

Przystanęłam na moment z zazdrością, żeby pomarzyć. To tam, za tą szybą, było moje miejsce. Pomyślałam, że za chwilę pobiegnę z miotłą zgarniać sprzed wejścia śnieg i zrobiło mi się niedobrze. Westchnęłam, oczy lekarzy nagle zwróciły się w moją stronę. Czy jeszcze kiedyś znajdę się wśród nich?

Usłyszałam głos dyżurnej, która na mój widok wychyliła głowę przez drzwi.

- Pani Małgosiu, proszę zajrzeć do szefowej. Czeka w swoim gabinecie.

- Na mnie? - spytałam wystraszona.

- Tak, tak, właśnie na panią.

- Czy coś się stało?

- No nie wiem. Niech się pani sama przekona - powiedziała z wyraźną sympatią.

Nie pamiętam, żebym coś zbroiła, pracowałam dopiero od miesiąca. Poczulałam strach. Czyżby chodziło o to, czyżby się wydało? Lecz kto mógłby mnie zdradzić, kogo obchodziło, jaką wykonuję tu pracę? Może poznał mnie mój dawny pacjent albo kolega po fachu, może sprawdzili dane i okazało się, że jestem lekarzem? Wszystko możliwe. Zdawałam sobie sprawę, że moja mistyfikacja nie mogła trwać wiecznie. Szkoda, nie było tak źle. Jakoś bym wytrzymała. Trochę nawet bawiła mnie rola, jaką przyszło mi zagrać. Bezmyślne machanie

szmatą, proste czynności, umysłowy odpoczynek, to, że nie trzeba się wysilać, udawać alfę i omegę - właściwy człowiek na właściwym miejscu, to byłam ja.

Pod drzwiami chusteczką wytarłam usta, rozpuściłam włosy i palcami zaczesalam je do tyłu. Podniosłam wysoko głowę i dopiero taka weszłam do środka. Chciałam z godnością przyjąć to wyzwanie. Niech się dzieje wola nieba - pomyślałam - i odważnie otworzyłam drzwi.

W gabinecie oprócz szefowej siedziała Ewa Brodzka. Na mój widok uniosła brwi do góry.

- Dzień dobry, pani doktor - powiedziała, mrożąc mnie wzrokiem.

Dlaczego mi to zrobiła? Przełykałam gorzką pigułkę. Przecież chciała mi pomóc.

To od niej dostałam ten adres. Czy to moja wina, że nie było innego etatu? Gdyby choć zadzwoniła, zapytała, czy sobie życzę. Nie zrobiła tego. Była nawet oburzona, że oszukałam dyrekcję kliniki, że się przeze mnie najadła wstydu.

Znajomy, który ją prosił o pomoc, powiedział, że nasyła na niego szpiegów, że sprawdza, jak pracują lekarze, czym i za ile.

- Miałam przez panią wielkie nieprzyjemności - mówiła z pretensją. Zapomniała, że jesteśmy na „ty”. - Koledzy ze związku stomatologów chcieli mnie pozbawić członkostwa w Radzie. Oskarżyli o stwarzanie precedensów, które mogą wywołać skandal w środowisku.

- Ale przecież pani nic nie zrobiła. To ja podjęłam decyzję o tej pracy. Sama chciałam tu pracować, potrzebowałam pieniędzy, czy to źle?

- No tak - przerwała - ale podała pani moje nazwisko. - Ja? - zdziwiłam się. -

Niczego nie podawałam.

- Jak to, a nie powołała się pani na moje poręczenie?

- Ach... rzeczywiście - poprawiłam się. - Ale przychodząc, nie wiedziałam przecież, co mnie czeka.

- Mogła sobie pani darować. - Elegancka, opanowana i bezkompromisowa pani doktor spoglądała na mnie jak na kryminalistkę.

- Jasne, pokornie i grzecznie pójść do domu.

- To obraza zawodu, łamanie reguł.

- W myśl zasady: jesteś niegrzeczna, nie ma cię wcale.

- Czego chce pani dowieść? - zapytała.

- A muszę czegoś dowodzić? Ja chcę tylko pracować.

- Ale nie w tym charakterze - powiedziała dobitnie. -1 nie tutaj - dodała.

- Pani mnie nie zatrudniała, więc nie będzie zwalniać! - prawie krzyknęłam.

- Wstyd mi za panią - ściszyła głos. - Chciałam pomóc, a tymczasem...

- Bardzo dziękuję. Zapamiętam tę pomoc do końca życia. Swoją drogą, to ciekawy sposób realizowania idei miłosierdzia - powiedziałam na koniec i wyszłam bez pożegnania.

Droga do domu strasznie się dłużyła. Autobusy stały w korkach, na ulicach straszna chlapa i odwilż. W mojej duszy rozpacz. Straciłam pracę, zostałam zdradzona, obrażona i wylana. Wyleciałam z hukiem, ale honorowo. Gdy żegnałam się z lekarzami, już wiedzieli i nie byli wcale obrażeni. Wszyscy podali mi rękę, a ich twarze nawet wyrażały podziw. Tylko szefowa się ciskała. Nie pozwoliła mi się wytłumaczyć. W końcu, co by to szkodziło udawać, że nic się nie stało. Mogłabym dalej pracować. Nie chciała nawet słyszeć. Woli poszukać kogoś innego. W końcu ktoś musi obrywać cięgi, a równemu sobie trudno wydawać rozkazy. Swoją drogą musiało być im strasznie głupio, gdy przeanalizowali całą sytuację. Żarty, niewybredne dowcipy pod moim adresem, swatania z panem Mietkiem teraz wszystkim wyszły bokiem.

Spoglądałam na zabłocone ulice i nie miałam pojęcia, co dalej. Zaczynać wszystko od początku, w mieście, gdzie stałam się persona non grata, czy dać sobie spokój i poszukać innego zajęcia. W końcu sprzątaczką można być wszędzie. Jeśli już raz potrafiłam się z tym pogodzić, drugi raz nie będzie tak mocno bolało.

Refleksje rodzące się w głowie dotykały najczulszych miejsc w moim sercu, a jednak starałam się zachować spokój. Lata pracy zawodowej i harówka w ogrodzie nauczyły mnie cierpliwości i wiary. Ale teraz dotknięta do żywego i ponizona, nie miałam już siły unieść głowy. W końcu zadałam sobie pytanie: czy to jest moja wina, że mi w życiu źle idzie, że ponoszę straty, że mąż nie chce ze mną rozmawiać, że ma sekrety? Może za mało kocham i dlatego czuję się odrzucona?

Jestem chłodna, nie okazuję uczuć. Przypomniała mi się legenda o pewnej roślinie - cesarskiej koronie, która ponoć rosła kiedyś w raju. Była tak nieskończenie piękna, że inne kwiaty spoglądały na nią z podziwem. To napełniło ją pychą i przekonało, że jest ze wszystkich kwiatów najlepsza. Gdy Chrystus wszedł do ogrodu Getsemani u stóp Góry Oliwnej w Jerozolimie, była zbyt dumna, by Mu się pokłonić. Bóg ukarał ją za tę wyniosłość, zesłał na nieprzychylną Ziemię i pozbawił urody. Od tamtej pory kwiaty cesarskiej korony zwisają w dół, a w kielichach błyszczą jak lzy ciężkie krople nektaru.

Jakiegoś podobieństwa na siłę można się doszukać. Wprawdzie pięknnością nigdy nie byłam, ale zesłaną na pewno i głowa mi opada ze zmartwienia.

Zbliżałam się do swojego przystanku. Za chwilę będę w domu. Czy mam chociaż jedną przychylną duszę, żeby spokojnie porozmawiać? Na Karola nie mogłam liczyć.

Był zaprzątnięty własnymi problemami. W domu prawie się nie odzywał, a jeśli był, nie wychodził ze swojego pokoju. Bał się ostatecznej rozmowy.

Było jeszcze dosyć wcześnie, gdy wchodziłam do mieszkania. Puste pokoje i mój smutek doskonale do siebie pasowały. Nie poddam się - pomyślałam. W końcu coś sobie znajdę, jakąś pracę, może lepszą? To przesada martwić się na zapas. Dość, że pogoda nie nastraja. Wystarczy spojrzeć za okno, żeby stracić wszelkie złudzenia. Jak tu mieć piękne myśli, gdy wiatr wyje za oknem i ze wszystkich stron nadlatują foliowe worki. Oklejają każdy płot, owijają się wokół krzewów, uderzają w szyby, powiewają w koronach drzew i na drutach z wysokim napięciem.

Smętny krajobraz. Patrzą na rząd drzew przy drodze. Przypominają ludzi - te wysokie, wyprostowane, te pogieęte, karłowate, pochylone, grube i chude. Pomiędzy pniami prześwituje szarość nieba i horyzont.

Otworzyłam szeroko okno, żeby wpuścić do domu odrobinę tlenu. Ostry powiew wyrwał mi z ręki okiennicę, a deszcz ochlapał okulary. Usłyszałam podjeżdżający samochód i trzask otwieranych drzwi. Przetarłam szklę, żeby lepiej zobaczyć. Coś dużego wypadło na chodnik, usłyszałam jęk i zobaczyłam samochód, czarny, duży, chyba mercedes. Odjeżdżając, pozostawił za sobą biały dym i głęboką brudę w brudnym śniegu. Poznałam ten szary płaszcz i szpakowate włosy.

Kiedy biegłam schodami w dół, myślałam tylko, czy żyje. Leżał nieruchomo z twarzą na chodniku. Gdy próbowałam unieść mu głowę, jęknął.

- Niech pani zostawi, ja pomogę - podbiegł do nas jakiś mężczyzna, podniósł go za ramiona i posadził. - Co mu się stało? - zapytał.

- Nie wiem, wysiadł z taksówki i upadł - skłamałam. - Jest chory czy pijany?

- Nie wiem - powtórzyłam zaskoczona. - Chyba niepijany.

- Pomogę wnieść go do domu, sama pani nie da rady. I będzie trzeba zadzwonić po lekarza. Dziwnie wygląda, i ten zapach! - Mężczyzna skrzywił się z niesmakiem.

Wtaszczyliśmy Karola po schodach. Obijał się o ściany, potykał. Całą drogę mamrotał. Potem jak kłoda zwałił się na łóżko.

- Dziękuję, już sobie poradzę - stałam speszona, drżąc z niepokoju.

- Będzie go trzeba rozebrać - zauważył mężczyzna.

- Jakoś sobie poradzę.

- Na pewno?

- Tak, tak - zapewniałam. - Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

- Jakby co, mieszkam na parterze. Wystarczy zadzwonić. Gdy zamknęły się za nim drzwi, wpadłam przerażona do pokoju. Zaczęłam ściągać z Karola obłocony płaszcz i buty. - Muszę poprosić Agnieszkę albo Michała - wybierałam nerwowo numer telefonu. Nie odpowiadał.

- Karol - potrząsnęłam nim, był strasznie ociężały. - Powiedz, co się stało? -

Nie wiedziałam, co robić. Leżał nieruchomo i postękiwał, z ust spływała mu ślina.

- Nie potrafię ci pomóc, Karol, a może zadzwonię po lekarza?

Uniósł lekko powieki i wymamrotał przez zaciśnięte zęby:

- Zadzwoń.

Karetka przyjechała po piętnastu minutach. Karol w tym czasie zasnął. Kiedy lekarz chciał go zbadać, obudził się i nie pozwolił rozpiąć koszuli.

- Muszę pana zbadać - skonsternowany lekarz próbował tłumaczyć. - Muszę stwierdzić, co panu jest.

Odczekaliśmy chwilę, aż się uspokoi. Znieruchomiał po kilku minutach. Wtedy lekarz dokładnie go osłuchiwał, zbadał brzuch, zajrzał pod powieki, oglądał nadgarstki i skórę na rękach i zapytał:

- Czy pan coś brał?

Karol wodził nieprzytomnym wzrokiem - Pytam, czy brał pan narkotyki? - lekarz powtórzył.

- Dostałem jakiś zastrzyk - odpowiedział cicho. - Nie wiem co.

Rzeczywiście. Na skórze w zgięciu łokcia widać było ślad ukłucia. Dokoła niego niewielki krwiak.

- To ślad po igle - tłumaczył lekarz. - Prawdopodobnie podano mu narkotyk albo sam sobie podał. - Uniósł wysoko brwi i spojrzał wymownie. - Ma charakterystyczne objawy - zwężone źrenice, skóra pokryta zimnym potem, dreszcze.

- Mam nadzieję, że nie prowadził w tym stanie?

- Nie wiem doprawdy, nie wiem, co się stało - rozkładałam ręce. - Ktoś przywiózł go pod dom i wysadził, a właściwie wyrzucił na ulicę - poprawiłam.

Lekarz łypnął nieufnie.

- Nie wiem, nie moja sprawa, ale mąż jest nieźle napstrykany - oświadczył, pakując swoją doktorską torbę. Potem umył ręce i poszedł. Zostawił mnie z napstrykanym Karolem i receptą, której i tak nie miał kto wykupić. W drzwiach zapytał ściszym głosem:

- Już wcześniej robił takie numery?

- Pierwszy raz - odpowiedziałam skruszona.

Karol spał cały następny dzień. Dzwonili, bo nie przyszedł do pracy. Miał jakieś ważne zajęcia. Siedziałam przy nim, nasłuchując, czy oddycha.

Joanna weszła szybkim krokiem do mieszkania. Odskokczyłam nerwowo. Ostatnie wydarzenia wyostrzyły mój instynkt samozachowawczy. Widok rudych włosów i szeroki uśmiech przyjaciółki rozwiął wszelkie wątpliwości. Patrzyłam zazdrośnie, jak zgrabnie zdejmuje krótki płaszczyk i poprawia fryzurę.

- Jak się czujesz? - pocałowała mnie w policzek i otaksowała szybkim spojrzeniem. - O! Widzę, że schudłaś - stwierdziła.

Odruchowo zerknęłam w lustro.

- Może odrobinę. - Poklepałam się po brzuchu. - Trochę schudłam. - Spojrzałam krytycznie. - Ale tu mi odstaje i tu.

- Zobacz na swoje ciuchy. - Dotknęła mnie palcem. - Ubierasz się w same worki.

Teraz wszystko powinno przylegać do ciała. - Wyprężyła się, żeby podkreślić swoją figurę. Jak zwykle wyglądała rewelacyjnie.

- A można się w tym ruszać? - przyglądałam się skórzanej spódnicy.

- Oczywiście - zapewniała żarliwie. - Ta skóra jest miękka jak jedwab. Zobacz - podtykała mi pod nos swój zgrabny zadek. Rany, jaka ona była ponętna. Poprawiłam sterczące na wszystkie strony kosmyki włosów, dawno niefarbowanych. Przy głowie połyskiwały siwe odrosty.

- Jestem za gruba - stwierdziłam.

- Daj spokój. Po prostu pokaż swoją figurę. Jest całkiem niezła. - Podniosła do góry mój gruby sweter i krzyknęła, jakby zobaczyła diabła. - A co ty masz pod spodem, okropność! Jak to się nazywa? Może barchany twojej mamy? A fuj!!!

Wyrwałam się.

- Bawełniana podkoszulka. Tego nie zdejmę - groziłam.

- Jak możesz w tym chodzić?

- Uwielbiam - zapewniałam.

- Co na to Karol? - zapytała, wchodząc do pokoju. Za nią snuł się przyjemny zapach perfum.

- Jak to co?

- Nie kręci nosem, nie wybrzydza? Nie zrozumiałam pytania.

- Niby na co ma kręcić nosem? - zapytałam.

- Na twoją mało ponętną bieliznę.

- Myślisz, że on to zauważy?

- Oczywiście!

- Jakoś nie wierzę. Nigdy nie zagląda mi pod sweter.

- Ale chyba wie, co masz na sobie?

- Prawie się nie widzimy.

- Pracuje na okrągło?

- Mam nadzieję - powiedziałam jakoś niepewnie. Od razu wyczuła, że coś nie gra.

- Tylko nie zrób tego, co ja. Pamiętasz, jak niedawno zwątpiłam w Pawła. Zrobiłam mu karczemną awanturę i wyszłam na idiotkę. Potem czułam się podle. Radzę ci, przestań posądzać go o zdradę.

- No właśnie - podjęłam temat z ochotą, byle tylko nie mówić o nas. - Opowiedz, jak to się skończyło?

Jedną ręką poprawiła fryzurę, a drugą kolczyki przy uszach.

- Nawet mi nie wspominaj. Jeszcze dzisiaj dostaję wypieków na samą myśl, jak się wygłupiłam.

- Rozumiem, że wszystko ci wyjaśnił?

- Rzeczywiście spotkał się z Marylą. Tego się nie zapierał. Wyobraź sobie - cedziła słowa. - Maryła zadzwoniła do niego dzień wcześniej i poprosiła o spotkanie. Obiecał jej dyskrecję.

- No i... - popędzałam. - Co z Marylą?

- Właściwie niewiele mu powiedziała. Ma jakieś problemy prawne. Nie może używać swojego konta w banku, czy coś takiego. Prosiła, żeby Paweł porozmawiał z Tomkiem.

- Chciała od Tomka pieniądze? - byłam zaskoczona.

- Widocznie.

- A mówiłaś, że Maryła płakała, a on głaskał ją po ręce. - Nie podarowałam sobie tego pytania.

- No tak - odpowiedziała zirytowana. - Płakała, bo było jej przykro z powodu Tomka i nas.

- A zdradziła jakieś szczegóły? Co robi, gdzie mieszka, dlaczego się do nas nie odzywa?

- Skąd - wyszeptała. - Przeciwnie. Zabroniła mu wspominać o tym, że się z nią widział.

- Ale dlaczego? - Byłam zła. - Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami, że nie mamy przed sobą tajemnic, a tymczasem? - Wzruszyłam ramionami. - Teraz wiem.

Byłyśmy jej potrzebne jedynie po to, żeby się mogła chwalić i przemądrzać - powiedziałam rozgoryczona, choć nie do końca przekonana o swojej racji.

Zazwyczaj starałam się nie analizować naszej przyjaźni. Nie wiem, co mnie tym razem pokusiło. Na szczęście Joanna nie usłyszała, zbyt zajęta własnymi problemami.

- Tak czy inaczej - kontynuowała. - Paweł okazał się niewinny. Opowiedział mi wszystko ze szczegółami. - Zgasiła niedopalonego papierosa i poprawiła kąciki ust. - Dlatego uprzedzam. Zanim się obrazisz na Karola, dwa razy się zastanów.

Możesz go zapytać wprost, czy cię zdradza.

- Mam nadzieję, że nie - westchnęłam i dla odwrócenia uwagi zaczęłam przygotowywać herbatę. Wyjęłam też wino. Ustawiłam kieliszki i nalałam.

- Może przeżywa męskie klimakterium albo przepuścił forszę.

- Raczej nie. Nie podejrzewam go o rozrzutność.

- Więc o co chodzi? Wzruszyłam ramionami.

- Sama nie wiem. Wraca późno w nocy, popija w łóżku, kręcą się wokół niego dziwne typy - jakoś nie miałam odwagi powiedzieć wszystkiego.

- Rozmawialiście o tym?

- Jasne, znasz mnie. Dopadłam go od razu. Niestety wykręcił się.

- Nie zakładaj, że kłamie - ostrzegła.

- Coś jednak kombinuje, jestem pewna.

- Może ma jakieś kłopoty w pracy?

- Nie wiem, naprawdę. Unika mnie. Nawet ze mną nie śpi. Joanna zrobiła wielkie oczy.

- Nie śpi?

- No właśnie - przyznałam skruszona.

- To chyba coś poważnego - nagle zmieniła zdanie. Ten argument natychmiast ją przekonał. - Od dawna?

- Od choroby ojca. Wykorzystał okazję i przeniósł się do swojego pokoju.

Joanna chwilę myślała, a potem jakby olśniona krzyknęła:

- Może prostata! Ma kłopoty z tym... Po prostu mu nie... - pokazała obrazowo. -

Martwi się i wstydzi.

- Nie... - wreszcie zrozumiałam. - On by powiedział. To nie to.

- Tak czy inaczej powinniście poważnie porozmawiać.

- Spróbuję - powiedziałam na odczepkę. Siedziałyśmy przy stole, popijając moje wino. Ileż to butelek tego wina popłynęło przez lata, ile rozmów.

- Wyobraź sobie, że kiedy się poznaliśmy, miałam dwadzieścia sześć lat - próbowałam policzyć.

- Pamiętam, oczywiście. Wtedy nie musiałaś się martwić o te sprawy.

- O lata?

- Jakie lata, jesteś chyba nieprzytomna. - Przewróciła oczami. - O spanie w jednym łóżku. Karol był w tobie taki zakochany.

- I co z tego? Teraz woli barłóg i metalową piersiówkę. Do niej się przytula.

- Nie martw się. Jeszcze wszystko się wyjaśni. Dogadacie się - uspokajała.

- A może mnie już nie zależy? - Rozłożyłam ręce, jakby to był koniec wszystkiego. - Czasami mam dość i wtedy rzuciłabym jego i ten cały cyrk - oświadczyłam rozgoryczona.

Pomilczałyśmy przez chwilę, a potem Joanna zapytała z innej beczki:

- A co u twojego ojca?

- Całkiem dobrze - wyjaśniłam. - Robi wrażenie, jakby nic się nie stało.

Odmłodził, poweselał. To chyba za sprawą Marka i jego rodziny. W czasie świąt trochę się odreagował i zrozumiał, że warto żyć. Teraz znowu się popisuje. Mama musi go hamować, bo wrywa się na samotne spacerki.

- Zawsze mi imponował. - Joanna dołała sobie wina. - Gdy przyjeżdżaliśmy do was, był ciągle w ruchu. Miał czasami w sobie więcej energii niż my.

- Aż za dużo. - Pokiwałam głową. - Niestety wymagał ode mnie tego samego.

Przyjemnie się patrzy na kogoś, komu się zawsze wszystko chce, ale kiedy trzeba dotrzymać mu kroku, to już nie jest takie proste.

Joanna zamilkła. Wyglądziła obrus, który zawinął się na rogu stołu, i spytała:

- Pamiętasz mojego teścia?

Próbowałam przywołać z pamięci obraz starszego pana, niezbyt wysokiego, z lekką łysiną na przedzie i siwymi włosami, nieco zbyt długimi, opadającymi wzdłuż twarzy.

- Jak przez mgłę - potwierdziłam.

- Był bardzo chorowity. Mieliśmy z nim ciągłe kłopoty. Szpital, łóżko, a jak było lepiej to sanatorium.

- Często o nim opowiadałaś - chciałam być miła.

- Miał wszczepiony stymulator serca. Chodził z nim dwadzieścia lat.

- Tak długo? - byłam zdziwiona. - Stymulatory co kilka lat się wymienia.

- W tym właśnie sedno. - Joanna zrobiła pauzę. Wyjęła z torebki papierosy i zapaliła. - On chodził z nim do końca. Stymulator się rozpędził i działał dwadzieścia lat.

- Miał szczęście. Teoretycznie mógłby mieć czterokrotnie zmieniany.

- Widziałaś takie coś w człowieku, taką maszynkę?

- Chyba nie - zastanowiłam się przez chwilę. - Wiem, że wszywa się go pod skórę na wysokości obojczyka, a potem naczyniami krwionośnymi prowadzi elektrody aż do ściany serca. Taki stymulator reguluje skurcze mięśnia sercowego - wyrecytowałam jak na egzaminie.

- A ja widziałam - nie wytrzymała wykładu.

- Jak mogłaś to zobaczyć? Zajrzałaś do środka? - zażartowałam.

- Widziałam na zdjęciu rentgenowskim - była bardzo przejęta. - To wygląda okropnie - skrzywiła się.

- Dlaczego okropnie?

- Aparat jest wielkości pudełka od zapalek.

- To wiem. Może bardziej płaski - poprawiłam.

- Od tego pudełka odchodzą takie długie wężyki - nie dała sobie przerwać - zawinięte w duże pętle. Wygląda tak, jakby oplatały całą klatkę piersiową. Ten człowiek nosił w sobie maszynkę z kablami. I wiesz co? - ściszyła głos.

- Co?

- Od tego czasu bałam się go dotknąć.

- Dlaczego?

- Nie śmieć się - poprosiła. - Ale gdy przyjeżdżał do nas na święta i chciał się przywitać, odsuwałam się, żeby mu czegoś nie uszkodzić. Bałam się, że ten stymulator zgniotę albo urwę kabelki, to znaczy te elektrody - mówiła przez łyżę.

- Może sobie myślał, że go nie lubię. Jak uważasz? To mnie od lat dręczy.

- Nie przypuszczam. Mówiłaś, że cię lubił.

- Ja też go lubiłam.

- No tak - próbowałam obrócić wszystko w żart. - My pewnie też niedługo dostaniemy takie aparaciki.

- I wiesz co? - uśmiechnęła się do swoich myśli i mówiła dalej. - Mam przecucie, że teraz, w grobie, zostały już po nim tylko te kabelki i metalowe pudełko.

- Zawsze coś - pocieszałam upiornie.

- A Paweł mówił na swojego ojca cyborg, tak pieszczotliwie, rozumiesz. -

Odwróciła głowę do okna. - Straszna jest taka świadomość. Tyle trudu, a potem choćbyś nie wiem jaki był piękny, mądry i dobry, nic nie zostaje, tylko syntetyki. - Stała w świetle okna i patrzyła przed siebie. Między jej twarzą a okienną framugą wisiał mój plamisty bluszcz. Owinął się dokoła patyczka, potem wspiał po ścianie, a teraz próbował wędrować

górami, równoległe do parapetu. Twarz Joanny w wianku z zielonych liści wyglądała jak na obrazku z dziecięcej bajki.

Ciekawe, czy istnieje jakaś średnia krajowa, określająca ilość nieszczęść przypadających na jedną rodzinę? Czy jest tak, że jeżeli los doświadczy kogoś bardzo mocno, ma prawo znów zsyłać na niego nieszczęście? Czy nie powinien istnieć sposób dzielenia nieszczęścia równo pomiędzy wszystkich?

Od dnia, w którym opuściłam swój rodzinny dom i porzuciłam ukochany ogród, nastał dla nas ciąg trudnych przypadków, jakby szczęście nie chciało zamieszkać z nami w mieszkaniu na Zielonej Skarpie. Nagle wszystko zaczęło się walić, moje małżeństwo, szczęście mojej córki, zdrowie rodziców, nawet pies coraz rzadziej zostawał w domu. Uciekał, wędrując ścieżkami przeszłości w poszukiwaniu ulubionych miejsc, miłych zapachów i ludzi, którzy kiedyś dużo bardziej kochali.

Sytuacja z Karolem coraz mocniej odciskała się na wspólnym życiu. Trudno było się z nim dogadać. Zamknięty, jakby przywalony ogromnym kamieniem, zaczynał i kończył każdy kolejny dzień. Próbowaliśmy rozmawiać, ale to było raczej ciche gadanie, zwyczajne wykręty. Powtarzał, że to trudne sprawy i że sam musi rozwiązać problem. Oddalał się z każdym dniem i tonął w kłopotach. Nie potrafiłam mu pomóc, bo jak? Żyliśmy w obcych światach, wciąż dalej od siebie.

Nie wiem, czy on się zmienił, czyja? Byłam przerażona. Dokąd to doprowadzi? Czy my czasami nie potrzebujemy pomocy?

Czuję, że coś mi umyka. Zbyt mało ze sobą byliśmy. Część jego samego pozostała nieodgadniona. Obecna sytuacja źle wróży. Chyba powinniśmy od siebie odpocząć.

Może rozstanie poprawi między nami układy? W końcu całe dotychczasowe małżeństwo oparte było na rozstaniach.

Podlewam kwiaty, przycinam, żeby się rozrastały. To wiosna, pora odradzania. Dla mnie okres trudny i bez perspektyw. Nie mam pracy, jestem prawie bez pieniędzy.

Za ostatnie grosze (to głupie) kupiłam odżywki do kwiatów i wskaźniki wilgotności. W mieszkaniu jest bardzo suche powietrze.

Po południu wychodzę. Umówiłam się w mieście z Pawłem. Ma do mnie jakąś sprawę.

Ale skąd ta konspiracja? Po co wyciąga mnie z domu, jakby nie mógł zwyczajnie przyjść albo zadzwonić? Randka w ciemno z Pawłem w kawiarni Fluid to raczej kiepska perspektywa. Byle nie kolejna małżeńska afera.

Ubrałam się według wytycznych Joanny, wybierając najciaśniejszy ciuch, jaki posiadam. Bawełniana koszulka, jako jedyny przejaw niesubordynacji, grzał mnie w plecy i brzusek.

Paweł się spóźniał. Miał być o osiemnastej trzydzieści. Dochodziła siódma.

Początkowo lokal świecił pustkami. Minęło pół godziny i zajęte już były wszystkie stoliki. Narastał hałas, dostawiano kolejne krzesła. Pierwszy raz byłam w tym miejscu. Wyglądało raczej na klub, bo wszyscy chyba się znali. Czy Paweł dostrzeże mnie w tym tłoku? Siedziałam w miejscu, z którego widać było wchodzących. W razie czego będę machać. Zamówiłam kawę i małe ciasteczko z wisienką. Jakoś nie wypadło siedzieć przy pustym stoliku. Kawa mocna, aromatyczna, podobno kolumbijska - polecana przez obsługę. Ciastko słodkie, jakby z niczego, może bez kalorii? Gorsza sprawa, że nie mam czym za nie zapłacić. Bez Pawła znajdę się w kłopotcie.

Wokół sami młodzi ludzie. Muzyka również nie na moje uszy, ale motyw jakiś osłuchany, powtarzany nieskończoną ilość razy, po prostu zdarta płyta. Cyk, cyk, cyk, cyk, bum, do znudzenia, dziesiątki razy. Rozglądałam się zdumiona, lecz oprócz mnie chyba nikomu to nie przeszkadzało. Przytulona parka wsysała się w siebie bez wstydu. Nikt na nich nie patrzył. To, że gną się i stękają, nikogo nie peszy. Odwracam wzrok. W powietrzu unosi się wonny dym.

Wszyscy dużo mówią i piją. Chyba piwo, może coca-colę. Podsluchuję z nudy.

Rozmawiają ze sobą dziwnym językiem. Słowa jak muzyka, obce, a jednak znajome.

Część wyrazu po polsku, reszta po angielsku, biforka, afterek, czilowanie.

Trudno się połapać. Patrzę na dziewczyny, tak kuso ubrane. Krótkie bluzeczki z obcisłej tkaniny, w niegustownych kolorach, małe kurteczki ze spranego koca, krzywe spódnice, dziurawe spodnie. Nad spodniami odsłonięte pępki, na głowach strąki, białe, brązowe, czarne, fioletowe, albo wyskubane piórka. Czy one w ogóle się czeszą? Przyglądałam nerwowo grzywkę, obciągnęłam swój galowy sweter, nic z tego, tych zmian już się nie dogoni. Po raz pierwszy tak namacalnie odczułam różnicę pokoleń. Zobaczyłam na własne oczy. Nie w kinie, nie w telewizorze, po prostu na żywo. Pomyślałam o zagrożeniach - narkotyki, przemoc, rozpusta. Nas już nie dotyczą, na szczęście mamy to za sobą. Już bym chyba nie chciała być młoda. Tyle trudu, żeby dożyć pięćdziesiątki, tyle cierpienia. A jednak czuję zazdrość. Czy gdybym mogła zacząć od nowa, wybrałabym inaczej? Nie wiem - waham się. - Chyba jednak tak samo.

Rozboliła mnie głowa, miałam serdecznie dość. Gdyby nie problem z pieniędzmi, poszłabym do domu. Byłam już niezłe przestraszona, gdy usłyszałam nad głową swoje imię.

Oddechnęłam z ulgą. Głos, który je wymówił, nie należał jednak do Pawła. Ledwo nie udusiłam się z wrażenia. Mocny napój dostał się w niemiecką dziurkę.

- Postukać w plecy? - To był głos Maryli.

- Co ty tu robisz? - wydusiłam.

- Przyszłam na spotkanie. - Ledwo się przywitała. Musnęła mój policzek swoim, jakby była obrażona. - Prosiłam Pawła, żeby pośredniczył. Myślę, że nie będziesz miała mu za złe? Chciałam spotkać się tylko z tobą, a nie z całym towarzystwem.

- Odsunęła krzesło i usiadła. - Dziwnie tu - zauważyła.

- Nawet bardzo. - Spoglądałam ukradkiem, jak prostuje fałdy wełnianej spódnicy.

Milczałam, ona też milczała. Zabrakło nam słów, żeby wyjaśnić wszystko w jednej chwili.

Zaczęła pierwsza. Przyglądała proste włosy, poprawiając spadający kosmyk.

- Jak idzie?

Byłam w kłopotcie. Co można powiedzieć przyjaciółce, która przez pół roku robiła mnie w balona? Czy powinnam zacząć od pretensji?

- A ty? Gdzie się tak długo podziewałaś? Przesunęła rękami po twarzy.

- Właściwie nigdzie. To znaczy przez cały czas byłam w pobliżu - poprawiła się.

- Wyjeżdżałam, ale na krótko.

- Mogłaś się odezwać - powiedziałam z pretensją. - Martwiliśmy się o ciebie śmiertelnie.

- Ale jakoś żyjecie? - na chwilę odzyskała pewność siebie. - Nie widziałam ogłoszeń na słupach, nikt nie popełnił z mojego powodu samobójstwa. W telewizji nie słyszałam apelu, że mnie ktoś szuka i prosi o kontakt.

- Oczekiwałaś tego? - odpaliłam.

- Może? - jej zadziorne spojrzenie nieco złagodniało.

- Nie przekopaliśmy z twojego powodu całego świata, fakt, ale to chyba nic by nie dało. Jeżeli nie chciałaś nas widzieć, twoja sprawa. - Czułam się głupio, mówiąc to, ale przecież miałam rację. - Wystarczyła choćby kartka, telefon.

Uniosła się na łokciu, jakby chciała uciec.

- Rozbiorę się, jest gorąco. - Zsunęła z ramion czarny płaszcz i wstała, żeby powiesić go na wieszaku. Postanowiłam, że nie będę natrętna. Jeżeli to takie dla niej trudne, możemy pominąć wszystko milczeniem. Najważniejsze, że znów była ze mną.

Zamówiliśmy kawę. Powiedziałam, że nie mam pieniędzy, za tę i poprzednią będzie musiała zapłacić. Uśmiechnęła się. Widać sprawa była mało istotna, żeby zaszczyścić ją komentarzem. Kopnęłam ją lekko w nogę.

- Mów wreszcie - syknęłam.

- Jestem chora na AIDS - oświadczyła spokojnie. Ostatnie litery ugrzęzły jej w gardle. Przełknęła ślinę. Myślałam, że coś jest nie tak z moim słuchem. - To nie jest żart - uprzedzała.

- Zaraziłam się rok temu w Holandii.

Nie dała mi dojść do słowa. To dobrze, bo odjęło mi mowę. Nie byłam w stanie o nic zapytać.

- Raz chciałam zaszaleć, odmłodzić się - kontynuowała.

- Poszłam na całość i tak się skończyło. - Przełknęła ślinę po raz drugi.

Dopiero teraz zauważyłam, że źle wygląda. - Nie wyjdiesz? - zapytała.

Nie zrozumiałam.

- Dlaczego miałabym wyjść? - wydukałam wstrząśnięta.

- Ludzie boją się zarażonych.

- Daj spokój - obruszyłam się, choć przeszył mnie strach.

- Gadasz głupstwa. - Pomyślałam o uścisku, który ze sobą wymieniliśmy, wsunęłam rękę pod stół i odruchowo wytarłam w spodnie. Maryla uśmiechnęła się, dostrzegając moje zakłopotanie. - Jestem tylko wyprowadzona z równowagi - tłumaczyłam. - Oświadczasz tak po prostu, że jesteś chora, i masz nadzieję, że zacznę podskakiwać z radości? Jestem w szoku, mam wrażenie, że to żart albo pomyłka. - Wzięłam łyk kawy, bo czułam, że w gardle mam pustynię. - Jesteś pewna?

- Niestety.

- Jesteś chora czy zarażona?

- Chora.

- Cholera!

- No właśnie - przytaknęła. - Gorsza wersja - uśmiechnęła się blado. - Jestem pod opieką lekarzy i tymczasem mogę przebywać w domu. To znaczy w wynajmowanym mieszkaniu.

- Kto cię zaraził?

- Zarażanie było bardzo przyjemne - zażartowała.

- Facet był młody, piękny, bogaty i chętny do miłości. Robił ze mną takie rzeczy, o jakich nie miałam pojęcia. Przez kilka dni mieszkaliśmy razem w hotelu. Po prostu oszalałam - powiedziała otwarcie. Chyba potrzebowała tej spowiedzi, bo każde wymawiane słowo było

jak wyuczona lekcja, jak tekst dawno napisany, który tylko czekał na moment wygłoszenia. - Straciłam głowę, postradałam zmysły.

Wyobrażasz to sobie? - zapytała, a ja nie mogłam sobie tego wyobrazić.

- Potem on wyjechał, ja również. Wymieniliśmy adresy. Tak właśnie się zaraziłam.

- Skończyła, lecz ja czułam, że to dopiero początek.

- Co było dalej? Nabrała powietrza.

- Za kilka tygodni czekał mnie kolejny kurs do Holandii. Mieliśmy się spotkać, ale nie zadzwonił. Jego telefon komórkowy nie odpowiadał. Początkowo byłam zrozpaczona. Zakochałam się beznadziejnie - wzruszyła ramionami.

- Wyobrażasz sobie zakochaną starą babę? Próbowałam go odszukać, lecz nie znałam adresu, tylko numer telefonu, a telefon milczał. Pojechałam do Holandii tylko po to, żeby go odszukać, w to samo miejsce, do tego samego hotelu. Ale kamień w wodę. Nikt nie potrafił mi pomóc. Mijały miesiące, facet nic. Zrozumiałam w końcu, że chciał przeżyć przygodę. Miałam do niego pretensje, a przecież poszłam do łóżka bez przymusu, więc skąd te żale? - tak sobie tłumaczyłam. Postanowiłam zapomnieć. Zaczęłam normalnie żyć i kiedy było już całkiem dobrze, mój ukochany sam mnie odnalazł. Niestety nie dla przyjemności. Zadzwonił z obowiązku i z ludzkiej przyzwoitości, żeby oznajmić tę dobrą nowinę - zacisnęła usta. - Że jest nosicielem wirusa, dowiedział się niedawno. Przepraszał, nie wiedział o tym, gdy się poznaliśmy. Wtedy uświadomiłam sobie, że widocznie robił to nie tylko ze mną. Co ja mówię - stuknęła się w czoło. - Mówiąc ściślej, robił to z kim popadło. Powiedział jeszcze, że jest w trakcie szczegółowych badań i dzwoni, żeby uprzedzić o ewentualnym zagrożeniu. Miał nadzieję, że zaraził się po naszym spotkaniu i nie ode mnie. To było wszystko. Pożegnał się, jak gdyby nigdy nic. W końcu nie było mu lekko z takim wyrokiem.

Zamknęłam się w domu. Unikałam Tomka, udawałam, że jestem chora. Dziecięca naiwność podpowiadała, że ucieczka jest możliwa, że kiedy schowa się głowę w poduchę... Niestety. Za kilka dni zadzwonił znowu i przeprosił. Mój Boże, gdyby to mogło cokolwiek zmienić.

Oświadczył, że zna kobietę, która przekazała mu wirusa. Dopiero wtedy zrobiłam badania. Wynik był wyrokiem. - Przerwała na moment, żeby odpocząć. - Jak widzisz, miałam pecha. - Na czole wystąpiły jej kropelki potu, ręką nerwowo gładziła policzek.

- Tomek nic nie wie? - zapytałam.

- Jestem z nim umówiona na ósmą. Nie mogę się w nieskończoność ukrywać.

- A co z nim? Jest zdrowy?

- Nie wiem. To znaczy wtedy, gdy odchodziłam, jeszcze był. Widocznie nie wszyscy są na to świństwo podatni.

- Sądzisz, że masz pewność, sprawdzałaś? - zastanawiałam się.

- Akurat tak się złożyło, że mieliśmy w firmie badania okresowe. Krew, prześwietlenie, to co zawsze. W laboratorium powiedziałam, że muszę zrobić mężowi dodatkowe badania. Nie było problemu. Zabrałam jego surowicę i jakoś załatwiłam. Na szczęście wynik wyszedł ujemny.

- Ale wiesz, że to nic nie znaczy - próbowałam jej uświadomić okrutną prawdę. -

Wirus potrzebuje czasu, żeby się ujawnić. Mógł już być zarażony, a wynik jeszcze tego nie wskazywał.

- Wiem - przyznała. - Jestem świnią. Ale teraz chcę się z nim zobaczyć.

- Postanowiłaś uciec?

- Cóż miałam robić? Czekać, aż wszyscy odsuniecie się ode mnie, a Tomek się wyprowadzi? Tego bym nie zniosła. Wybrałam ucieczkę i nie żałuję. Przynajmniej nie cierpiałam upokorzeń. Teraz jest mi łatwiej. Miałam dużo czasu, żeby wypłakać się do woli, pogodzić z myślą, że mój czas jest policzony. Teraz jestem silniejsza. Mogę unieść myśl o śmierci. Muszę tylko uporządkować swoje sprawy, wziąć rozwód, oddać Tomkowi firmę i uwolnić go formalnie od swojej osoby. Reszta zostaje w rękach lekarzy i podłego wirusa - wyrzuciła z siebie to najgorsze słowo.

- Kto jeszcze wie?

- Paweł. Widzieliśmy się kilka miesięcy temu. Potrzebowałam koleżeńskiej przysługi. Załatwił mi pieniądze i pomógł znaleźć odpowiednich lekarzy.

- Tak, słyszałam. Joanna widziała was razem. Myślała, że macie romans.

- Naprawdę? - nie mogła uwierzyć. - Biedna Joasia, wciąż zazdrosna o swojego męża?

- Znasz ją, jest słaba.

- I bardzo boi się starości. - Maryla spoważniała. - Ja już nie muszę się bać.

Wiosna na całego. Pod koniec marca lało, teraz cudnie świeci słońce. Na balkonie kwitną anemiczne rozsady, kupione u ogrodnika. Za kilkanaście dni, gdy złapią trochę promieni, wzmocnią się i zakwitną.

Wybieram się do starego domu. Muszę zobaczyć, jak wygląda ogród. W kwietniu i w maju jest tam najpiękniej. Podobno nowy gospodarz zwiózł już cegły i będzie budował. Ciekawe co?

Pamiętam, kiedy nasz dom nie był tak bardzo stary, ludzie z miasteczka przyjeżdżali podglądać, jak mieszkamy. Bardzo dbaliśmy, żeby ich nie zawieść.

Porządek, wygrabione alejki, krótka trawka, kwiaty. Dom zawsze prezentował się pięknie. Dwie ściany - południowa i zachodnia, obrośnięte były dzikim winem.

Ojciec musiał trzy razy do roku skracać pędy, bo wystarczyła chwila nieuwagi, żeby roślina zarosła wszystkie otwory okienne. Kiedyś końcówka pędu przeszła przez szparę w okiennej framudze i wprowadziła się do mojego pokoju. Wędrowała po ścianie, suficie, dokoła obrazów i mebli. Gdyby jej pozwolić, zarosłaby wszystko. Mnie to się nawet podobało. Zaznaczałam na ścianie, ile liści urosło w ciągu tygodnia, miesiąca, kwartału, i nie wiem, jak by się to zakończyło, gdyby nie protest mamy. Pewnego dnia wtargnęła z nożyczkami i zrobiła ostre postrzyżyny. Okazało się, że wasy rośliny tak głęboko wczepiły się w drobne pory muru, że siłą i po kawałku trzeba je było usuwać, a mimo to pozostały ślady.

Kwiecień wzmógł aktywność moich sił witalnych. Im bardziej świeciło słońce, tym częściej poddawałam się cudownym przemianom. Jakoś mniej dręczyły mnie koszmary, a wszystkie kłopoty odpływały w siną dal na białych obłokach do bardzo zimnych krajów.

Karol złagodniał. Odzywał się częściej, ale nadzieja na odbudowanie związku była niewielka. Poruszaliśmy się po wspólnych przestrzeniach, wchodząc sobie bez przerwy w drogę, nie dotykając się słowem ani tym bardziej ciałem. Panowały relacje, których nie można było nazwać nawet przywiązaniem. Wszystkie dotyczyły mechanizmów rządzących domem, codziennych obowiązków wypełnianych lub zaniechanych, jakichś pretensji o niekupiony cukier, spleśniały chleb, pogniecioną koszulę, bałagan. Po prostu mijanie.

Mercedesów już nie widziałam, nie było nieproszonych gości. Karol codziennie wracał do domu, spędzaliśmy wspólnie wieczory i dni wolne od pracy. Widocznie zapomniał o swoich kłopotach. Ja też udawałam, że zapomniałam. Zapraszaliśmy kolejnych gości i byliśmy zapraszani. Jakoś bez emocji, raczej z obowiązku, i aby uciec przed kłopotliwym milczeniem. Schudłam, podobno wyładniałam, aż dziw.

Karol dużo pisał i tylko trochę więcej pił...

Nasza paczka rozpadła się, niestety. Choroba Maryli dokonała ostatecznego zniszczenia. A ona jeszcze do lutego koczowała w wynajętym mieszkaniu. Tomek jakoś ciężko wychodził z załamania. Nie mógł uwierzyć, że mimo wszystko jest zdrowy. Potępił Marylę i przeklinał około czterech tygodni. Kiedy ujrzał ją któregoś dnia wychudzoną i bladą, natychmiast zabrał do domu. W pierwszych dniach wkładał gumowe rękawice. W nich robił herbatę i ścielił jej łóżko.

Obsesyjnie dezynfekował sprzęty i jadł z zupełnie innych naczyń. Co tydzień robił sobie analizę krwi. Patrzył, jak jego dobrze zbudowana żona zapada się w siebie i niknie w

oczach. Wtedy nagle narodził się na nowo. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zrezygnował z bezsensownej obrony. Nikt nie wie, skąd ta odmiana.

Któregoś dnia zadzwonił i jakby nic się nie wydarzyło, zaprosił nas na towarzyskie spotkanie. Byliśmy zaskoczeni i niezbyt chętni. Co innego bowiem wiedzieć o ludzkim nieszczęściu, a co innego na nie patrzeć. Maryla i Tomek byli nam bardzo bliscy, a jednak coś się zawaliło. Choroba stojąca najwyżej na liście przebojów, jak bestseller, jak Oscar, albo Nagroda Nobla, należała się przecież innym. Czy to możliwe, że przeszła tak blisko? Byliśmy zranieni tym wyróżnieniem. Odrzucaliśmy werdykt losu, jakby najwyższa komisja przydzielająca nagrody nie zyskała wiarygodnej rangi. Odrzucanie prawdy było jedynym sposobem, żeby uporać się z wewnętrznym szokiem. Dlatego nie było chętnych na spotkanie. Pomędzy wszystkim tym, co składało się na normalny dzień, trawiliśmy pomału sączącą się gorycz, lecz na przygotowanie się na wizytę u nich trzeba nam było więcej czasu. Szukaliśmy pretekstu, żeby nie iść, segregując kłamstwa na mniej i bardziej wiarygodne. Pod tym względem byliśmy jednogłośni, choć pozornie milczący. Najbezpieczniejszą metodą zachowania pozorów jedności z chorą był telefon. Więc zaczęliśmy dzwonić.

A to, żeby spytać o zdrowie, a to, że niby czegoś nam potrzeba, innym razem bez celu, tylko tak z ciekawości, z przyjaźni, w odruchu sympatii. Ale nie sposób było ich oszukać. Bo telefonami przecież nie da się wszystkiego zastąpić.

Istnieją jeszcze inne formy okazywania przyjaźni i tych innych form potrzebowali. Ale my na taką manifestację nie byliśmy jeszcze gotowi, odsuwając bez końca termin spotkania. Aż w pewnym momencie dłużej się nie dało. Tomek jednym telefonem zwołał nas na zbiórkę i już nie mogliśmy uciekać. Stawiliśmy się wszyscy, bliźsi i dalsi, każdy z solidnym postanowieniem przełamania niechęci, strachu, a może po prostu bezsilnej rozpacz.

Zbliżał się okres Świąt Wielkanocnych, czas na rachunek sumienia i na wewnętrzne przemiany. To spotkanie miało być oczyszczające jak tygodniowa głódówka, jak długi sen. Przynieśliśmy wiosenne kwiaty: tulipany, gałązki brzozy i leszczyny.

Umalowani w uśmiechy zasiedliśmy do stołu. Maryla, o dziwo, jaśniała. Była jakaś odświętna i pełna. Widać było efekty medycznych kuracji i Tomkowej troski. Ale obraz był fałszywy, czegoś w nim brakowało. Jakiś szczegół nie pasował do obrazu. Nie było koronkowej bluzki i naturalnej zgryźliwości gospodyni. Jeżeli można mówić w takiej sytuacji o plusach choroby, to choroba wyszła jej na dobre.

Po subtelnych powitaniach, mniej wylewnych niż zwykle, przystąpiliśmy do rozmów, a później do jedzenia. Maryla oświadczyła na wstępie, że chyba wraca do zdrowia, że choroba jest w fazie remisji, ma bardzo dobry apetyt i wyszła już z psychicznego dołka.

Atmosfera była aż nadto radosna. Nadmiar śmiechu i rozkosznych rechotów męczył mnie i denerwował. Każdy z gości na swój własny sposób próbował podkreślić nadmierną radością, że przecież nic się nie stało.

Gospodarze dla uczczenia wyjątkowego spotkania zamówili przeróżne wspaniałości.

Na stół kolejno wjeżdżały półmiski z łososiem, pstrągiem, jesiotr w białym sosie, polędwica z orzechami. Wszystko świeże, pochodzące z najlepszych zakładów gastronomicznych. Była również zupa i cały zestaw surówek. Brakowało tylko jednego: niezawodnej sałatki. Kiedyś bez niej niemożliwe byłoby towarzyskie spotkanie.

Tomek zmienił nam talerze, podał sztuce i napełnił kieliszki. Robił wszystko, żebyśmy nie trzeźwili.

- Muszę wam powiedzieć - wyraźnie zaintonował - że Maryla wczoraj dzielnie się sprawiła. Chyba rzeczywiście wraca do zdrowia. Dziarsko zabrała się do roboty.

Sprzątała i pomagała w kuchni.

Maryla była wdzięczna. Pewnie niczego więcej nie pragnęła. W odpowiedzi skromnie spuściła oczy.

- Przesadzasz, kochanie. Ten stół to tylko twoja zasługa. Przecież ja nic nie zrobiłam, jedynie kroiłam sałatkę.

Spojrzeliśmy zaskoczeni na półmiski. A tu sałatki ani śladu. Cóż za ulga.

- No właśnie. - Tomek poderwał się z krzesła. - Zapomnieliśmy o sałatce. To niemożliwe, żeby się bez niej odbyła impreza.

I przyniósł tę nieszczęsną sałatkę. Głęboka salaterka zapowiedzianego przysmaku, na samym czubku wielki wiecheć pietruszki, kilkanaście zielonych oliwek, już lekko przysuszonych, i olbrzymia, czerwona truskawka. Ta czerwień źle nam się skojarzyła.

Zrobiło się cicho.

Jedliśmy w milczeniu. Alkohol lał się litrami. Zalewaliśmy wstyd, bo do końca imprezy wiecheć pietruszki został nienaruszony.

Rzadko teraz u nich bywaliśmy. Nie przez chorobę Maryli, przecież nie ugryzie ani nie rzuci się na nas ze strzykawką w rękę. Tylko już nie potrafimy ze sobą normalnie rozmawiać. Wszyscy zaraz płaczą.

Panowie umawiają się na męską rozmowę o interesach, a my tylko czasami do siebie dzwonic. Karol przynosi złe wiadomości. Firma Tomka mocno podupada. Z każdym

miesiącem traci klientów i zawala kolejny kontrakt. Paweł stara się pomóc, uruchamia swoje znajomości, a Karol tylko pociesza i namawia Tomka, żeby się wreszcie obudził z odrętwienia.

- Nie stać cię na to. Skąd wiesz, jakiej gotówki będziesz potrzebował? Leczenie kosztuje. To nie grypa, że wystarczy odleżeć w łóżku. Bez pieniędzy sobie nie dasz rady. Musisz pracować, to ważne!

- Dla mnie już nic nie jest ważniejsze od niej.

Wielkanoc minęła niepostrzeżenie. Pogoda była kapryśna, padało i wiało.

Przesiedzieliśmy całe święta w domu. Agnieszka i Michał szybko poszli do siebie, zabierając nam wnuka, najmilszą osłodę wieczoru. Rodzice w drugi dzień świąt kazali się odwiedzić do domu i zostaliśmy sami. Nie było po kogo zadzwonić. Tomek z Marylą wyjechali do rodziny, a Joanna z Pawłem w góry. Czekaliśmy cierpliwie na poprawę pogody.

Agnieszka wciąż szuka pracy. Jest jak kwiat, który przedwcześnie uwiądnął.

Zgaszona i cicha odkłada na bok kolejne dni roku, bezpowrotnie tracąc ich niepowtarzalność. Michał pracuje u kolegi na stacji benzynowej. Miał prowadzić biuro, jak dotąd nalewa do baków. Starcza na skromne życie i opłaty. Agnieszka czasami tłumaczy coś dla znajomych, nieoficjalnie i za grosze. Odbili od grona rówieśników, jako ci, którym się nie udało. Nie wychodzą z domu, z nikim się nie spotykają. Młodzi ludzie lubią iść w gromadzie, jak stado żarłocznych owadów zajmować nowe tereny.

Kto zostanie z tyłu, ten przepadł. Sam nie zdobędzie stromego brzegu ani wysokiej góry.

Na szczęście mamy małego Piotrusia. Czasami dzięki niemu różnej spogląda się w przyszłość. To on, zadając fundamentalne pytania dotyczące rządzących życiem konieczności i ograniczeń, zapuszcza się w pogmatwane labirynty i oczekuje wskazówek.

Mnie się bardziej poszczęściło. Pracuję w pogotowiu, najczęściej na nocną zmianę. Płacą dość dobrze, a praca niezbyt męcząca. Przeczekam tam do powrotu Marysi Wysockiej.

Na Lipowej pojawiłam się dopiero z końcem lipca. Początek lata był zimny i deszczowy, więc zwlekałam, ponieważ bałam się tego, co zobaczę. W końcu ogród prawie od roku nie był koszony. Przygotowałam się na najgorsze. Niepotrzebnie.

Gdy weszłam przez dziurę w płocie, okazało się, że nie jest tak źle.

W starej szopie na tyłach domu odnalazłam Dunę. Właściwie to ona pierwsza podbiegła, rozpoznając bezbłędnie moje kroki. Trochę wychudzona, ale szczęśliwa.

Obejrzałam legowisko. Ktoś wyłożył podłogę kawałkiem starego dywanu, a w aluminiowej misce zostawił trochę suchej karmy. Od dawna wiedziałam, że Duna wróciła do

siebie, a obecni właściciele przyjęli ją bez zastrzeżeń. Raz na miesiąc powracała na Zieloną Skarpę. Zostawała czasami kilka dni. Ale tęsknota szybko dawała o sobie znać. Wtedy wyla pod drzwiami i nie było rady. Godziliśmy się z tym zwyczajem.

Niezawodna towarzyszka wędrówek po ogrodzie, nie odstępowała mnie na krok.

Spacerowałyśmy utartymi trasami, jak za dawnych czasów. Chodziłam, chodziłam i wciąż czułam niedosyt. Głaskałam stare pnie, przytulałam brzozy, wachałam miętę i tymianek. Przyroda znowu mnie wchłaniała. Odwiedziłam swoje róże i ogród z kwiatami. Tam najbardziej widać było straty. Żeby nie podsycać żalu, dałam nura w gęsty sad. Było jeszcze wcześniej i jak zwykle o tej porze w gałęziach jabłoni buszowały ptaki. Leżałam w trawie, słuchając. Ich znajomy jazgot poruszył we mnie najmiłsze wspomnienia. Wiał lekki wiatr, poruszał gałęzie. Znad wody dochodził delikatny zapach tataraku. Zaciągałam się jak wytrawny palacz. Musi mi starczyć na długi czas.

Utonęłam w masie zieloności, tonęłam w drzewach. Obok mnie sosnę przytulała sosna, świerk dotykał świerka, dęby jak bliźniaki rosły wsparte konarami, szeleściły brzozy, osika, jarzębina. Odurzały aromatem świeże liście, kosmate owady tańczyły pomiędzy drobnymi kwiatami, których pełno było w wysokiej trawie.

Rozłożyła się zieleń jak bezkresna równina.

Najpiękniej było nad stawem. Stadami zleciały nad wodę ptaki. W tym roku deszczowa wiosna zostawiła po sobie duże ilości wody. Zasiliła źródło, rozjaśniła ciemną zazwyczaj toń. Teraz dużo wyraźniej odbijał się w niej świat.

Nad wodą usiadłam wygodnie, opierając nogi o wilgotny mech. Minęła godzina, a ja siedzę wciąż bez ruchu i patrzę na wodę i boję się mrugać, choć wiem, że szelest rzęs nie spłoszy przecież zwierzyny. Ale wydaje mi się, że nadmiar przezorności nigdy nie zaszkodzi. Widowisko zaczyna się od rzeczy drobnych, więc widzę, że chore liście spadają na wodę i woda mruga. Na łodydze łopianu kochają się błękitne ważki i liść drzy w rytm miłosnego aktu. Ryby wcinają rzęsę i drobne wiry pochłaniają wodę. Teraz wróbel siada nad brzegiem, podskakuje, wchodzi do wody, coraz głębiej. Zanurza dziób jeden raz, drugi, trzeci, chwilę odczeka, jakby chciał, żeby ostatnia kropla dokładnie spłynęła do brzuszka. A potem szybko odlatuje. Nadlatują inne wróble, też piją, ale wolniej, spokojniej, bez tego pośpiechu, dokładniej siorbią orzeźwiający płyn, a potem zaczyna się szalona kąpiel. Stroszą szare piórka, uderzają piersią, rozchylają skrzydła, radośnie trzepiąc o wodę. Pyskają na wszystkie strony, jakby wołały do innych ptaków - dołączcie do zabawy!

Na brzegu, pomiędzy kamieniami trup małej rybki. To chyba karaś. Mulista ciecz opływa mu skrzek. Lekka fala przesuwą drobne ciało o kilka milimetrów. Śmierć cicha,

niedostrzegalna, mało ważna, choć asystuje w naszym bytowaniu. Wydaje się człowiekowi płaska, niebolesna i zupełnie nieludzka, ale myśl o niej nie psuje humoru. Jestem tu po to, żeby marzyć, wspominać, wchłaniać energię i wachać.

Zrobiłam sobie prawdziwy piknik. Jak to się stało, że kończy się dzień? Nie zauważyłam przemiany. Robi się coraz ciszej. Większość ptaków już odleciała.

Przez drzewa przedziera się czerwone słońce. Uznałam, że czas na mnie, że dosyć czasu poświęciłam wspomnieniom. Już nic więcej dzisiaj nie zobaczę.

Po drodze wstąpiłam do rodziców. Chciałam umówić się z ojcem na wyjazd. Niech i on wszystkim się nacieszy.

Kiedy dotarłam na miejsce, ojciec drzemał w fotelu pod oknem. Mama czytała w kuchni książkę. Zrobiła herbatę i postawiła w pokoju na stole. Promienie słońca, chyba ostatnie tego dnia, oświetlały jej pogodną twarz. Wydawała mi się jakaś młodsza i ładniejsza, a może to ja patrzyłam na nią szczęśliwymi oczami.

Rozmawialiśmy półgłosem, omawiając szczegóły wyprawy.

- Ja z wami nie pojedę - stwierdziła. - Nie chcę na to patrzeć. Zapiłam w pamięci najpiękniejsze chwile i zaniosę je ze sobą do nieba. Ojcu bardzo zależy, ja już się pogodziłam i rozumiem, że inaczej nie można było. Po prostu samo życie. Chęci i możliwości nigdy nie idą w parze. Ojciec to co innego - pokiwała głową. - On nigdy nie daje za wygraną.

- Wiesz - zawahałam się. - Czasami myślę, że miał rację. Człowiek powinien trzymać się przeznaczonego miejsca. Jeśli coś nie jest dla ciebie, nie sięgaj.

Trzeba znać własne potrzeby, trzeba być wiernym. Inaczej giniesz - powiedziałam z żalem.

- Ja także bałam się, że nie przywyknę. To ja najgłośniej krzyczałam - uderzyła się w piersi. - Ale nie dla siebie, wierz mi. Robiłam to dla niego. Znasz ojca.

On cierpi w ukryciu.

- Więc tobie nie zależało? - zważyłam.

- Powiedzmy, że nie płakałam tak bardzo jak on.

- Zaskakujesz mnie.

- Jestem już stara - uśmiechnęła się. - Mam prawo mieć humory. A w młodości lubiłam zmiany. Dusiałam się w jednym miejscu. Chciałam podróżować, poznawać ludzi. Marzyły mi się studia, a ojciec nic, tylko ten ogród. Żadnych wakacji, wypraw, wędrówek, tylko grabie i łopata. Ot, cała prawda - ściszyła głos. -

Tylko nie mów mu. On nie wie o tym.

- Ukrywałaś swoje marzenia, żeby on był szczęśliwy. Dlaczego?

- Jak to: dlaczego? Takie były czasy.

- Tak mówią ci, którym zabrakło odwagi.

- To nie był problem odwagi.

- Więc czego?

- Ktoś musiał ustąpić. Był jeden wóz i nie mógł jechać w dwie różne strony.

- Postanowiłaś złożyć marzenia na ołtarzu małżeństwa, rozumiem. Ale przecież mogłaś coś uhandlować.

- I żyć trochę tu, a trochę tam, jak ty i Karol?

- Ojciec zrozumiałby. Karol też rozumiał.

- Ojciec jest zbyt chciwy - stwierdziła.

- Chyba przesadzasz - zaprzeczyłam.

- Jest chciwy ziemi, jak każdy gospodarz. Urodził się w ogrodzie, na polach spędził młodość i tak postanowił umrzeć. A ja szybko zapomniałam o swoich marzeniach. Może nie dorosłam do nich? - zamyśliła się. Potem spojrzała w kierunku pokoju, w którym drzemał ojciec i stwierdziła: - Niczego nie żałuję.

- Więc dlaczego nie lubisz wspominać? W twojej przeszłości są jakieś tajemnice?

- zażartowałam.

- Po prostu nie lubię i tyle. Każdy człowiek ma swoje obsesje. Ojciec ogród, a ja ten dom i wszystko to, co zastaliśmy w nim pewnego wiosennego dnia. Wyszadzili nas pod bramą z wojskowego samochodu i pokazali papier z przydziałem. Adres i miejscowość. Wszystko się zgadzało.

- Dom nie był wasz - potwierdziłam. - Ale ogród? Ogród stworzył ojciec.

- Chyba żartujesz - mama spojrzała zaskoczona. - Mówisz jak dziecko. Czy w tamtych czasach można było mieć coś własnego? Ogród i dom należały do Niemców.

Dostaliśmy wszystko, że tak powiem, w komplecie - podkreśliła.

- Do Niemców? - krzyknęłam. - Co ty mówisz! Dostaliście go po rodzinie nauczycieli, którzy zginęli w czasie wojny. Nazywali się... - nazwisko uciekło mi z pamięci.

- Krawietz - uprzedziła.

- No właśnie - przytaknęłam.

- Ale przez „tz”, a nie „c”. Zmienili to po wojnie.

- Więc ci przed nami byli Niemcami?

- Nie zmienię tego, choćbyś nie wiem jak głośno krzyczała. Prawda jest właśnie taka. Dlatego nie mogę wybaczyć ojcu, że kocha coś, co nie należało i w gruncie rzeczy dalej nie należy do niego.

- A więc jak to się stało, że mogłam sprzedać ten dom jako swój? Przecież z dokumentów tak wynikało.

- Kupiliśmy go za parę groszy od państwa, bo to ono przyznało sobie prawo do dysponowania.

Zrobiło się bardzo cicho. Matka miętoliła chusteczkę do nosa, robiąc na niej dziesiątki supłów, a ja wyskubywałam zębami skórki przy paznokciach.

- Gdy przydzielono nas do tego domu, w pokoju na poddaszu mieszkał jeszcze poprzedni właściciel. Reszta rodziny uciekła do Niemiec, ale on, ze względu na wiek i na miłość do ogrodu, nie dał się wyprowadzić. My razem z rodzicami ojca zajęliśmy cały parter, on używał tylko jednego pokoju, tego z najlepszym widokiem na ogród.

- To znaczy mojego? - zapytałam, nie dowierzając.

- Tak - przyznała. - Twojego. -1 co dalej?

- Przyjechali po dziadka zaraz po wojnie.

- Jak to? - Nie pojmowałam. - Czyli że mieszkał z wami? On mieszkał z wami, a może to wy mieszkaliście u niego?

- No właśnie. To jest pytanie, które zadaję sobie od pięćdziesięciu pięciu lat.

Poczułam się dziwnie. Nagle moja wyobraźnia poszybowała wysoko (bo moja wyobraźnia zawsze wzlata ponad mnie samą) i stworzyła sobie obraz człowieka zamkniętego we własnym domu, w pokoju na górze, patrzącego przez okno na wypielęgowany ogród, w którym rośliny przez lata syciły się jego potem i rozkwitały miłością, którą im okazywał. Patrzył na swój kwitnący sad, na ogród pełen kwiatów, na winnice, nieco zdziczałe, ale bujne, i pytał: Czy jest takie prawo na ziemi, które pozwala zabierać i dawać bez ograniczeń? Czy jest takie prawo, według którego można mieszkać w domu swojego wroga, tylko dlatego, że stoi w złym miejscu? Czy jest taki przepis, dający obcym ludziom prawo do naszej własności?

- Pamiętam, jak przyjechał po niego wojskowy gazik, z jakimś polskim urzędnikiem, który dobrze mówił po niemiecku. Szczupła Niemka - mama kontynuowała - weszła do kuchni i grzecznie zapytała babcię, czy może zabrać z góry ciepłe ubrania. Żaliła się, że nadchodzi zima, a tam w Niemczech nie mają gdzie mieszkać. Za mieszkanie służy im drewniana szopa i ojciec bez swojej pelisy nie wytrzyma. Nie zapomnę tej sceny do końca życia. Pamiętam również, jak moja przyszła teściowa poszła z tą Niemką do piwnicy. Otworzyła dużą szafę. Tam leżały poukładane wszystkie ubrania poprzednich właścicieli. Teściowa niczego dla siebie nie wzięła. Widziałam nieraz zawartość tej szafy. Chodziliśmy na dół popatrzeć, bo nasze oczy nigdy wcześniej nie widziały czegoś równie pięknego.

Niemka strasznie płakała. Patrzyła na swoje haftowane obrusy, na adamaszkową pościel, chusteczki do nosa z wyszytymi imionami, na swetry, bluzki, sukienki i nie wierzyła, że przetrwały w nienagannym porządku i czystości.

Bała się je zabrać, ale zabrała. Uprosililiśmy polskiego urzędnika, żeby pozwolił zapakować wszystko w kufry. Pozwolił. Też był człowiekiem. Na pamiątkę dostałam od tej Niemki kupon materiału na sukienkę. Delikatny kreton w kolorowe motyle.

Sukienkę przechowuję do dziś. Była najładniejszą rzeczą, jaką miałam. Od tego czasu nigdy tej Niemki nie widziałam.

Gdy wyszłam za ojca, teściowie się wyprowadzili. Woleli mieszkać z córką niż z synową, chociaż wychowali mnie jak własną. Już wtedy ojciec oszalał na punkcie ogrodu. Postanowił poświęcić własną młodość i wszystkie siły, żeby niczego w nim nie zmarnować.

Całe życie myślę o tamtej Niemce - dodała. - Patrzę na ojca, gdy cierpi z tęsknoty, i wspominam staruszką z pokoiku na piętrze. Czy ten dom i ogród rzuca na ludzi urok?

A może dusza solidnego Niemca zamieszkała w duszy pracowitego Polaka?

Dziwne myśli towarzyszyły mi w drodze do domu. Świat roślin i zwierząt wydawał się dużo prostszy i bardziej czytelny od ludzkiego. Byłam zmęczona i rozstrojona rozmową z matką. Pragnęłam odpoczynku. Kiedy kładłam się do łóżka, Karol jeszcze pracował. Słyszałam, jak stuka w klawiaturę i raz po raz rozmawia przez telefon.

Następnego dnia czekała mnie wizyta u Joanny w szpitalu. Jakiś czas temu stwierdziła, że traci resztki urody. W tajemnicy przed Pawłem zafundowała sobie operację korygującą. To miał być dla niego prezent na rocznicę ślubu. Podobno zwisała jej skóra z pośladków, a na twarzy kąciki ust straciły odpowiedni kąt nachylenia. To rzeczywiście poważny problem. Teraz leży w szpitalu i czeka na cudowne ozdrowienie. Mam nadzieję, że rozpoznam ją, gdy tam się jutro zjawię.

Gdy wychodziłam z domu, jeszcze spał. Od jakiegoś czasu zmienił styl pracy, miał dużo zajęć, egzaminy. Zostawiłam mu kartkę, że jadę do Joanny.

Chirurgia plastyczna to był oddział w szpitalu, na który ja bałam się nawet wchodzić, a na którym Joanna czuła się jak ryba w wodzie. Biegała tam z najmniejszym mankamentem urody. Coś wydłużała, skracala, prostowała, a czasem krzywiła. Zawsze to były drobiazgi. Tym razem poszła na całego. Co do rezultatów, trzeba było poczekać. Prawdziwe efekty będzie można oglądać za kilka tygodni. Tymczasem jej nadwerżone zdrowie na szczęście jakoś się poprawiało, twarz wracała do formy, jednym słowem odzyskiwała urodę.

Wygląd przyjaciółki był dla mnie zaskoczeniem. Właścicielka nowej visage, spoglądając w lustro kilkadziesiąt razy w ciągu dnia, siłą rzeczy przyzwyczaiła się już do

swojego wyglądu, dla tych, którzy widzieli ją po raz pierwszy, zmiana musiała być szokiem. Skóra, owszem, była naciągnięta i gładka, obwisłe policzki napięte do granic wytrzymałości, kąciki ust poszły w górę, nosek w dół, brwi wysoko uniesione, oczka skośnawe a la Madame Butterfly, w sumie łagodna postać choroby Downa. Ciekawe, co na to Paweł. Gdy spotkałam go pod drzwiami, nie wyglądał na szczęśliwego. Szkoda, że Joanna tak bardzo chciała się zmienić. Tej starej Joanny będzie mi bardzo brakowało. Tyle zmian zaszło wokół mnie, tego jednego mogła mi oszczędzić.

- Za dwa dni wracam do domu. Wieczorem będę sama. Wpadnij, porozmawiamy - szeptała mi do ucha.

- To chyba za wcześnie. Mogę ci zaszkodzić.

- Daj spokój. Leżę tu od czterech tygodni. Mam dość szpitalnych zapachów. Muszę się napić porządnej kawy.

Umówiliśmy się na środę wieczorem.

Wróciłam do domu lekko zszokowana. Miałam jeszcze godzinę, żeby wziąć kąpiel i wyjść. Leżałam w wannie i co kilka minut dolewałam sobie ciepłej wody. Nie mogłam zapomnieć smutnych oczu Pawła i oszpeconej Joanny. Wtedy zadzwonił telefon. Karol rozmawiał z kimś podniesionym głosem. Był poirytowany i wściekły. Zakręciłam kran.

- Zostań tam i nikomu nie otwieraj! - usłyszałam. - Nikt nie wie, gdzie jesteś.

Nie histeryzuj. To nieprawda, że ktoś się dowiedział. Nie, niemożliwe. Uspokój się, nie płacz - powtarzał.

Dalej słuchałam. Za drzwiami zapadła cisza. Wahałam się: zostać czy wyjść?

Włożyłam koszulę. Po drugiej stronie słychać było, jak Karol się miota.

- Co się dzieje? - uchyliłam drzwi.

- Musisz mi pomóc! Stało się coś strasznego. Wrzuciłam na siebie szlafrok.

Przeszłam przez korytarz, zostawiając na podłodze mokre ślady. Czułam, jak drżą mi kolana. Karol stał przerażony ze słuchawką w dłoni. Był nie do poznania. Deptał po swojej marynarce, po krawacie i miał rozpięte spodnie. Wisiały mu żałośnie na biodrach, a nogawki opadały, układając się na ziemi w harmonijkę. Na stole leżał jego paszport, na fotelu walizka i płaszcz.

- Wyjeżdżasz? - zapytałam zdziwiona. - Wyjeżdżam i nie wiem, kiedy wrócę - powiedział szybko.

- Dlaczego tak nagle? A ta walizka. - Spojrzałam na fotel. - Po co ci tyle rzeczy? - Patrzyłam, jak próbuje zasunąć zamek. - Uspokój się, poczekaj. -

Pomogłam mu podciągnąć pasek i wyprostować zgniecenia. - Powiesz wreszcie, o co chodzi? Chyba już dość tych tajemnic - wydusiłam.

Wahał się, zwlekał, chciał mi oszczędzić prawdy. Prychał lekko jak koń przed gonitwą.

- Muszę komuś pomóc - powiedział zbyt głośno, prawie krzyknął. - Ktoś ma przeze mnie kłopoty. Mam mało czasu, żeby tłumaczyć. Zadzwoń do ciebie z podróży.

Jeżeli będą odpowiednie warunki - dodał ciszej.

Stałam przestraszona, nie poznając osoby, z którą spędziłam połowę życia. Czy to naprawdę mój mąż? Znałam go przecież na pamięć. Byłam zaskoczona. Rozpoznałam w jednej sekundzie każdy grymas jego twarzy, zmarszczki koło ust i między brwiami, wszystkie jego pieprzyła, niedoróbki i mankamenty. Wiedziałam, co lubi, a czego nie znosi. Wszystkie odcienie jego zapachów wżarły się w moją skórę. Mogłam zakreślić kształt ud, nie widząc ich, poznać go po krokach, oddechu, kaszlu, po mlaskaniu przy obiedzie, odbieraniu telefonu, otwieraniu drzwi i spuszczeniu wody w łazience. Poznałabym go zawsze i wszędzie. A teraz patrzyłam mu w oczy i nie wiedziałam nic.

- Nie martw się - szybko zareagował. - Tobie nic nie grozi, możesz być spokojna, ani Agnieszce, ani nikomu.

- Boję się o ciebie - ledwo wydusiłam.

- To tylko chwilowe, to minie - mamrotał.

- Więc skąd ta panika?

- Już powiedziałem, mam kłopoty.

- Chcę wiedzieć jakie - nalegałam. - Karol! Na miłość boską, mów.

Krążył nerwowo dokoła stołu. Siadał i wstawał na zmianę. Przeczesał nerwowo włosy, rozkładał ręce i próbował coś z siebie wydusić. W końcu usiadł naprzeciw w fotelu i zaczął:

- Poznałem pewną kobietę - zakrztusił się i głośno przełknął ślinę. - Zupełnie przypadkowo - dodał, jakby to miało dla sprawy jakiegokolwiek znaczenie. - Mam przez to same kłopoty. Ona również. Różne typy depczą nam po piętach. Te narkotyki to oni. Dopadli mnie wtedy i grozili, chcieli przestraszyć. - Usiadł na tapczanie. Na jego bladej twarzy rozkwitły czerwone plamy. Czulałam, jak mięknie. Uszło z niego powietrze i oklapł. Z rozłożonymi szeroko nogami, z głową opuszczoną do kolan, siedział i cedził słowa. - Pogoda była okropna. Ona stała zmarznięta na poboczu drogi. Tego dnia bez końca padało. Znasz mnie - podniósł na chwilę wzrok, szukając zrozumienia. - Byłem czymś zaprzątnięty, jak

zwykle lekko nieprzytomny. Zrobiło mi się jej żal. Wyglądała całkiem normalnie, niewinnie. Była przemoczona i zmarznięta, i taka podobna do Agnieszki.

Zamknęłam oczy i słuchałam. To wyznanie przeszło najśmielsze oczekiwania.

Porównywał ją do Agnieszki. A więc była aż taka młoda.

- Zatrzymałem się odruchowo, niczego sobie nie myśląc. Nie przyszło mi do głowy, że to nie jest niewinna panienka, że takie stoją pod lasem bez względu na pogodę, że nie można się do nich zbliżać. Już w tym momencie, gdy tylko otworzyła drzwi, zrozumiałem pomyłkę. Chciałem odjechać, lecz ona zwinnie wskoczyła do środka i... - znów zwolnił i zakaszłał - i została. A potem zjechaliśmy na boczną drogę do lasu - zakrył rękami twarz i mówił dalej. - Nie wiem, jak do tego doszło. Wiesz, one mają swoje sposoby - spojrzał żałośnie. -

Nie zdążyłem zaprotestować. - Mówił tak, jakby sam nie rozumiał, o czym opowiada. Bał się swoich słów i mojej reakcji. Siedział skulony, chował się jak ślimak w muszli, z obawy, że zacznę histeryzować. Potem całkiem się zaciął.

Sączył zeznania jak kiepskie wino. Na sam koniec zostawił męty. Niech wyduka do końca swój wstyd, to będzie największa kara. Było mi zimno. Siedziałam w mokrym szlafroku, na brzegu fotela i zgrzytałam zębami. Może ze strachu, a może po to, żeby zagłuszyć strach.

Karol podparł czoło rękami i nisko pochylony znów mówił, a historia, którą opowiadał, wydawała się farsą. Jak mały chłopczyk przyłapany na gorącym uczynku, naiwnie wyznawał winę i spojrzeniem wyrażał żal. Nachylił się jeszcze niżej i mówił, mówił, a tych słów okazywało się ciągle za mało.

- Potem kazała się zawieźć do motelu. Stał przy drodze. Musiałem tylko lekko zboczyć z trasy. Dałem jej pieniądze, które chciała, i czekałem, aż wysiądzie.

Powiedziała, że jeżeli było mi dobrze, to jutro znajdę ją w tym samym miejscu.

Podawała mi jeszcze numer swojej służbowej komórki. Byłem oszołomiony, zgłupiałem.

To wszystko stało się zbyt szybko. Zrozum - jęknął. - To może się przydarzyć każdemu. Spróbuj zrozumieć! - błagał.

Próbowałam. Ze wszystkich sił próbowałam. Chciałam za wszelką cenę odnaleźć w naszym wspólnym życiu moment, w którym to się zaczęło. Podobno po facetach można poznać, kiedy zdradzają żony. Byłam taka ślepa, taka ograniczona, że nagły chłód w naszych stosunkach przyjąłm jako chwilowe niedopasowanie. Co mówił, jak się zachowywał, jaką miał minę? Analizowałam w popłochu, kiedy ostatni raz spaliśmy razem. Jaki był, co mówił, co ja mówiłam?

- Powiedz coś - usłyszałam. - Dlaczego nic nie mówisz?

- Bo nie wiem co. Nie potrafię. Do cholery! - krzyknęłam wreszcie. - Czego ode mnie oczekujesz? Mam cię pocieszyć, pożałować?

Dostałam dreszczy. Chciałam od niego uciec. Schować się w jakiś kąt i zasnąć, a potem wstać z przekonaniem, że to był tylko sen.

- Przez kilka dni myślałem o tym, co się stało - kontynuował. - Nie mogłem spać ani pracować. Gryzły mnie wyrzuty sumienia. Ale po jakimś czasie zapomniałem - powiedział trochę spokojniej. - Nawet zacząłem usprawiedliwiać swój występki. W końcu dla ciebie prawie nie istniałem. Dawałaś mi jakieś nędzne ochłapy czułości, byłaś odległa i ciągle zajęta. Milsze ci były grządki z różami niż ja.

Grzebałaś uparcie w ziemi, jakby dawała ci więcej niż całe nasze małżeństwo.

- Jesteś niesprawiedliwy - zawołałam.

Podniósł się niespodziewanie i rzucił kluczykami o blat stołu.

- Przecież my już od dawna udajemy małżeństwo.

- Udajemy małżeństwo? - byłam oburzona. - Dla ciebie w małżeństwie liczy się tylko seks? A co z całą resztą?

- Mój Boże! Chcesz się licytować? Będziemy robić rachunek sumienia? - zaczął zbierać porozrzucane przedmioty. - Wybacz, ale nie mam na to czasu. Muszę jechać. Mam przed sobą daleką drogę.

- Pewnie. - Zerwałam się oburzona. - Najłatwiej uciec od wszystkiego.

- Nie uciekam - odwrócił się i pokiwał głową. - Ty mnie i tak nie zrozumiesz.

Zależy ci tylko na kwiatach.

- Bredzisz? Wszystkie kwiaty zostały sprzedane, razem z moim ogrodem, i to ty zorganizowałaś.

- Myślałem, że kiedy odbiorę ci ogród, będziemy mieli więcej czasu dla siebie.

- No i?

- To nic nie dało. Postarałaś się o nowe.

Nie rozumiałam, co do mnie mówi. Zmarszczyłam brwi i słuchałam.

- Mów jaśniej - wydusiłam zniecierpliwiona. - Jakie nowe?

- No więc rozejrzyj się dokoła! - wymachiwał śmiesznie rękami. - Spójrz na ten pokój i na tamten, zobacz, co dzieje się na parapecie w kuchni. A w łazience? Na każdej półce po jednej paprotce. Wszędzie jakieś bluszcze i fikusy, nawet krzesła nie ma gdzie ustawić. Nie chcę mieszkać w ogrodzie botanicznym, duszę się. Wszędzie stoją doniczki, płaczą się

gałęzie, coś kwitnie, coś wędnie albo śmierdzi. A ty zamykasz się przede mną, unikasz moich dotyków, odtrącasz. Nie mogę tego znieść, wyjeżdżam - powtórzył.

- Ja mam kwiaty, a ty masz kochankę - nie wytrzymałam. - I chcę poznać prawdę o tej kobiecie. Do końca! - Chwyciłam kluczyki.

Parsknął, a potem roześmiał się w głos.

- Myślisz, że tym mnie zatrzymasz? Przecież dobrze wiesz, że mam drugie.

- Niech wreszcie wszystko będzie jasne. Jeżeli wyjeżdżasz, chcę wiedzieć dlaczego. Już i tak jest źle, już nie może być nic gorszego. - Myślałam, że zabije mnie wzrokiem.

- Więc dobrze - podszedł do okna. Na plecach i pod pachami zauważyłam ciemne plamy potu. - Kiedy znowu jechałem tą drogą, odruchowo spoglądałem w las. -

Mówił bez wstydu, jakby opowiadał film. - Podniecała mnie myśl, że spotkam ją znowu. Bawiłem się tylko. Tak mi się wydawało. Zobaczyłem ją dopiero po miesiącu. Ona chyba też na mnie czekała. Poznała samochód i wyszła prawie na drogę. Nie wytrzymałam.

- Nie wytrzymałeś - powtórzyłam odruchowo i myślałam, że serce mi pęknie. -

Chyba zwymiotuję - oświadczyłam.

- Nie wytrzymałam - powtórzył. - Zaczęliśmy się spotykać. Najpierw rzadko, potem coraz częściej. Ale to nie było proste. Pilnowali jej goryle. To oni kręcili interes. Ona tylko pracowała. W końcu przestałem jej płacić. Uznałem, że to uczciwy układ. Wynająłem jej mieszkanie, dałem pieniądze na życie.

- Mogłeś sobie załatwić ryczałt - kpiłam oburzona. - Byłoby taniej.

- Zaczęli deptać nam po piętach, aż w końcu ją pobili. A ona chciała być tylko ze mną.

- Po chwili nieśmiało dodał:

- Chyba się we mnie zakochała.

- Wyobrażam sobie - syknęłam. - Znalazła naiwniaka i już go nie puściła. Ależ ty jesteś głupi. Przecież im o to chodzi, żeby poszukać jelenia, co dobrze płaci, a potem się żeni. I teraz ją utrzymujesz? - zapytałam zdruzgotana.

- Tak - przyznał się ze wstydem. - Teraz ją utrzymuję. To mnie najbardziej zabolalo. Nawet zdrada nie była tak dotkliwa, jak to, że moim kosztem oszczędzał dla niej.

- Oskubujesz rodzinę, żeby utrzymać kochankę? - zapiszczałam ochryple.

- Tak się skomplikowało - jeszcze się bronił.

- Te oszczędności, wydzielanie pieniędzy i awantury o wydatki były dlatego, że chciałeś się urządzać superkomfortowo!

- Z tobą nigdy nie było komfortowo - ciął na oślep.

- Odwaliałaś robotę, a ja z tych sekund szczęścia miałem być zadowolony? Zrobiłem świństwo, przyznaję, ale masz w tym swój udział. Udawałaś, że między nami nie ma problemu, ale on przecież był, przez cały czas. Przed śmiercią dziecka i po.

Przed sprzedażą domu i po.

- No właśnie. - Straszna myśl przyszła mi nagle do głowy. - A sprzedaż domu?

Jeżeli chciałeś odejść, po co to całe zamieszanie? Mogłeś zamieszkać z nią w kawalerce i byłbyś szczęśliwy. Zamieszkałeś w moim życiu, przewróciłeś do góry nogami życie moich rodziców, a teraz oświadczasz mi, że odchodzisz? Dlaczego, skoro miałeś już ją na oku? Bo rozumiem, że to trwa, że to nie jest zupełnie świeża sprawa?

- Znam ją od roku.

- Od roku - powtórzyłam załamana. - Od roku motasz intrygę.

- Nie traktowałem tego poważnie - rozbrajająco oświadczył. - Tylko chwilowo.

Byłam zdruzgotana.

- Chyba nie wiesz, co mówisz.

- To prawda. Myślałem, że jakoś się z tego wyplączę. Wiesz, jak to jest. Ale dziewczyna się zakochała.

- Zakochała!? Ileż ona ma lat?

- Dwadzieścia.

Nie wiedziałam, czy śmiać się czy płakać.

- A więc jedziesz do niej, bo cię potrzebuje? - wycedziłam przez zęby. - A ja mam uwierzyć, że to są te twoje kłopoty?

- Jadę, bo mnie potrzebuje - podkreślił. - Od kilku miesięcy deptają nam po piętach jej pracodawcy. Już ci mówiłem. Grożą, że zrobią jej krzywdę, bo rzuciła pracę i ma niespłacone długi.

- No tak, za mało dawała i zrobiła im debet - szydziłam złośliwie.

- To przestępcy. Żyją z tego procederu i pilnują, żeby dziewczyny nie uciekły. A teraz ona się boi. Siedzi zamknięta i nigdzie nie wychodzi. Twierdzi, że ktoś się do niej dobija i telefon dzwoni bez przerwy, a przecież tylko ja mam ten numer.

Muszę jechać. Jeżeli to prawda, powinienem być przy niej.

- Szkoda, że nade mną tak się nie litujesz. - Załamalam ręce nad jego głupotą.

Nie pojmowałam, jak można być takim naiwnym. Czy nie czuł, że jest śmieszny?

Dziecko by zrozumiało. Dziwka napuszcza ciemnych typów, żeby płacił. Nie miałam siły uświadamiać mu takich oczywistości. Należała mu się kara. Za głupotę każdy musi płacić.

- Gdzie ją ukrywasz? - zapytałam zirytowana. Zawahał się.
- Nie mogę ci powiedzieć. To byłoby niebezpieczne. Lepiej, żebyś nie wiedziała.
- Jest za granicą? - nie dawałam za wygraną.
- Nie naciskaj, proszę.
- Chociaż to muszę wiedzieć. Bierzesz paszport?
- Nie jest za granicą - spanikował. - Mieszka w kraju. Ukryłem ją w górach.
- Mieszka w hotelu?

Znów się zawahał. Walczył ze sobą. Czułam, że boi się wyznać prawdę.

- Ma tam małe mieszkanie - wydusił.
- Swoje? - coś mi podpowiadało, że muszę zapytać. - Tak.
- Swoje własne?
- Chcesz mnie zapytać, czyje kupiłem? Bałam się odpowiedzi.
- Kupiłem.
- Za co? - mało nie oszalałam. - Tylko nie mów, że okradłeś moich rodziców, żeby

kupić dla niej mieszkanie?

- Nie dosłownie - zaprotestował.
 - Czy kupiłeś dla niej mieszkanie za pieniądze ze sprzedaży kawalerki?
- Westchnął głęboko.
- Tak.

Wyszłam do kuchni. Nie było nic do dodania. Niech jedzie. Byłam powalona, już mi nie zależało. Ogrom rozczarowań, jaki zwałił się na mnie w ciągu kilkunastu minut, był nie do udźwignięcia. Czegoś takiego nigdy bym się nie spodziewała.

Mój mąż zadaje się z prostytutką z ulicy. Co ja mówię: z prostytutką? To zbyt piękne określenie. On się zadaje z tirówką, z dziwką najgorszego rodzaju. To nawet było śmieszne.

Wszystkie pytania, na które jeszcze niedawno nie było odpowiedzi, znalazły wyjaśnienie. Brak pieniędzy, ciągle oszczędzanie, chłód pomiędzy nami, osobne łóżko, piersiówka pod poduszką, taśmy pornograficzne. A Agnieszka, jej kłopoty z pracą? Brak pieniędzy? Finansował prostytutkę, gdy ona cierpiała biedę? Nie mogłam otrząsnąć się z szoku. A moje zdrowie? - przeraziłam się.

Pomyślałam ze strachem o Tomku i dopiero teraz zrozumiałam, co on czuje.

Usłyszałam trzaśnięcie drzwi i spojrzałam przez okno. Samochód Karola odjeżdżał spod domu.

Noc była straszna. Prawie nie spałam. O szóstej rano zadzwonił telefon. Ktoś grzecznie pytał o męża. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Pora wydawała się dość niezwykła.

- Wyjechał - odpowiedziałam przestraszona. - A o co chodzi?

- Szukamy go i na pewno znajdziemy. A pod drzwiami leży od nas coś dla niego na pamiątkę.

Leżałam w łóżku jak sparaliżowana. Cały moje życie waliło się w gruzy, a ja nic na to nie mogłam poradzić. Czy jest szansa, żeby wszystko naprawić, i czy warto?

Pomyślałam o małżeńskiej zdradzie. Skąd się bierze? Przecież pojawia się zawsze tam, gdzie wcześniej jest wierność. Gdyby nie było wierności, nie istniałby problem zdrady. Muszę dokonać u siebie autokorekty. Zanim wstanę i otworzę drzwi, muszę pomyśleć, jak dalej żyć. Mimo wszystko. Nie mogę nagle przestać oddychać tylko dlatego, że mam brzydkie płuca.

Obudziło mnie głośne pukanie. Poderwałam się przestraszona. Pamięć o tym, co się stało, wróciła szybciej, niż bym chciała.

- Za żadne skarby nie otworzę - pomyślałam, zakrywając poduszką głowę.

Dochodziła dziesiąta. - Może czekają tam na mnie w czarnym mercedesie?

Znowu to pukanie.

- Mamo! - usłyszałam wołanie swojej córki. - Otwórz proszę, zobacz, co się stało! - głośno płakała.

- Boże! - zawołałam - czym jeszcze chcesz mnie ukarać?

Droga do drzwi wydawała się wiecznością. Palce ślizgały się po kluczu. Dławiłam się własnym oddechem. Na progu stała Agnieszka cała zalana łzami, a na wycieraczce ujrzałam zakrwawione ciało psa. To była Duna. Leżała wyprostowana z równo ułożonymi nogami. Miała poderżnięte gardło.

Tego dnia urwał mi się film. Pamiętam jedynie, że przyjechał Michał, zapakował psa w czarny worek i włożył do bagażnika. Posprzątałam na klatce schodowej, bo krew z wycieraczki spłynęła schodami na niższe piętro i rozlała się kałużą pod drzwiami sąsiada. Zrobiłam to mechanicznie, nie analizując, tak jakbym myła schody z okazji dyżuru. Potem wyniosłam wycieraczkę do śmietnika i do końca dnia siedziałam w domu. Telefon dzwonił kilkanaście razy, bez skutku. Jeżeli to była mama, nie chciałam jej martwić. Gdyby to byli właściciele mercedesa, próżny ich trud. Nie miałam im nic do powiedzenia. A jeżeli dzwonił Karol, to jeszcze lepiej.

Wypiłam prawie całą butelkę wódki. Nie pamiętam, żeby kiedyś tak mi smakowała.

Kac z samego rana oznaczał, że przedawkowałam. To dobry powód, żeby kolejny dzień pozostać w domu. Towarzyszem był mi telewizor. Przełączałam kanały, szukając informacji o napadach i pobiciach. Brak wiadomości to dobra wiadomość, bo złe szybko się rozchodzą. Smutek powoli mijał. Najpierw zagłuszyłam go alkoholem, a teraz dotkliwy ból głowy oderwał mnie od jego powodu. Złość zamieniła się w obawę, czy będzie kiedyś lepiej.

Pokój Karola w półmroku bocznej lampy robił wrażenie pieczary. Coraz wyższe sterty książek rzucały strzeliste cienie na ściany. Dotykałam palcami zakurzonych teczek i miałam ochotę je spalić. Jego teczki przeciwko moim kwiatom. Czy to naprawdę dobry pomysł? Ja wyrzucę kwiaty, a on spali swoje papiery i mapy. Każdy poświęci coś dla drugiego. Spodobał mi się ten projekt.

Jedną z map rozłożyłam na ziemi. Po lewej stronie nagłówek: „Metoda kartograficzno-historycznej analizy rozmieszczenia nazwisk w Polsce. Nowak - występuje najczęściej - 220 217 osób, Kowalski - 131 940, Wiśniewski - 104 418, Dąbrowski - 92 945, Lewandowski - 89 366, Kamiński - 87 935, Zieliński - 89 366 osób”. Cóż za nuda. Komu to jest potrzebne? Czy naprawdę warto dla statystyki poświęcać życie? Powinnam to spalić bez chwili wahania. Zniszczyć lata pracy tak, jak on zniszczył! całą moją przyszłość i przeszłość.

A jednak nie spaliłam. Usiadłam przygnębiona na dywanie i włączyłam muzykę.

Rozwścieczone głośniki dopadły mnie na środku pokoju. Coś z pogranicza muzyki poważnej i szalonego tanga. Słysząc w niej było odgłosy ulicy, a potem tętent ciężkich kopyt walących o bruk. Miałam wrażenie, że jestem w hiszpańskiej Pampelunie, a stado byków napiera na mnie ze wszystkich stron. Ta muzyka oddawała stan mojego ducha i może dlatego nie mogłam jej słuchać. Wyłączyłam, to nie na moje nerwy. Wybrałam drzemkę w ciszy czterech ścian i tabletkę od bólu głowy.

Przez to wszystko nie poszłam do pracy. Opuściłam aż trzy nocne dyżury. Trudno, najwyżej mnie wyleją. Miałam to w nosie. Co z tego, że ciężko haruję, kiedy mój mąż i tak cały dorobek zanoszą kochance. Zbyt dużo działo się w ostatnim czasie.

Miałam wrażenie, że spoglądam na świat z krzeselka kręcącej się karuzeli. Moje życie w przyspieszonym tempie. Można od tego dostać solidnych zawrotów głowy. Z niedowierzaniem spoglądałam za siebie. Czy to możliwe, że w jednym roku może się aż tyle zmienić? Czy w ciągu kilku miesięcy można prawie wszystko utracić? W uszach brzmiały mi słowa Karola i jego pretensje, a w duszy obawa, że może miał rację? Przekonanie, że nasze małżeństwo było kiedyś udane i szczere, opuściło mnie na zawsze. Nadchodził czas skrupulatnej spowiedzi. Dwa dni samotności i duchowego oczyszczenia to w sam raz dla opuszczonej żony.

Otworzyła mi Joanna.

- Co się stało? - to były pierwsze słowa, jakie usłyszałam. Mój wygląd mówił za siebie.

Teraz ja, spuchnięta, nieumalowana, stałam pod drzwiami i płakałam. Widok przyjaciółki przygnębił mnie, zamiast dodać otuchy. Nie mogłam mówić.

Rozpłakałam się tak bardzo, że dopiero środek uspokajający pomógł mi odzyskać równowagę. Zasnęłam na tapczanie, otulona kocem.

Obudził mnie zapach parzonej kawy.

- Jak się czujesz? - Zobaczyłam nad sobą zatroskaną twarz Joanny.

- Jako tako - odparłam, prostując nogi. - Trochę boli mnie głowa. Z przyjemnością napiję się kawy - powiedziałam, wstając. Po pierwszym łyku zaczęłam się zwierzać. Nie ukrywałam niczego. Teraz, gdy Maryla zdana na łaskę wirusa, skupiła się wyłącznie na swojej chorobie, a my z fałszywej troski o jej święty spokój oszczędzałyśmy jej zmartwień, tylko Joanna mogła mnie pocieszyć.

Nawet mi nie przerywała. Widziałam, że słucha skupiona, kiwając raz po raz głową, na znak, że wszystko rozumie. Kiedy padło ostatnie zdanie i sięgnęłam nerwowo po chusteczkę do nosa, ostrzegła:

- Tylko nie rycz.

- Kiedy nie mogę przestać. Jak tylko przypomnę sobie... - pociągnęłam nosem.

Joanna westchnęła.

- Wszystko się sypie - powiedziała zgnębiona. - Byliście moją ostatnią nadzieją i dowodem na jakąś stałość. Aż boję się myśleć o sobie. Człowiek się stara, cierpi, a potem taka wdzięczność - odruchowo dotknęła policzka.

- Najgorzej, jak się niczego nie spodziewasz - dodałam. - Chociaż ja chyba nie chciałam o niczym wiedzieć. Dowiedziałam się od Karola, że nasze małżeństwo już od jakiegoś czasu jest fikcją, i wiesz - zawahałam się - byłam zaskoczona. A przecież źle się działo, tylko że ja nie brałam tego tak poważnie. W małżeństwie przecież różnie bywa.

- Pamiętam, już na gwiazdkę coś między wami nie grało.

- Okazuje się, że jeszcze wcześniej - sprostowałam.

- Czasami to rzeczywiście normalne.

- Tylko że to, co zrobił mi Karol, nie mieści się w granicach normy.

- Fakt - Joanna potwierdziła. - On chyba oszalał. Zdradził i do tego oszukał.

Można nawet powiedzieć, że okradł.

- Czy mógł tak bardzo się zmienić?

- Takie świąteczne małżeństwo może okazać się pułapką. To jak z marynarzem.

- Uogólniasz. Za tym stoi wyższa filozofia.

- Więc co teraz zrobisz? Będziesz medytować?

- Nie ja pierwsza i nie ostatnia, której się wydawało, że on jest mój, więc mogę tyć i cały weekend chodzić w pizamie. Po co się malować, stroić, zabiegać o łaski?

- Lekko przesadziłaś - oburzyła się Joanna.

- Przyznaj, że nie dbałam o siebie ostatnio.

- Rany! Przecież to nie o to chodzi. Chodzi o uczciwość, lojalność, zaufanie.

- Wiem, wiem. Tylko pytam. Szukam wyjaśnienia, próbuję zrozumieć go i usprawiedliwić.

- To tak, jakbyś mu wybaczyła.

- Wtedy też chciałaś wybaczyć Pawłowi. Pamiętasz? Powiedziłaś to.

- No tak, ale to była niewinna sprawa. Z tobą to co innego.

- Gdy pomyślę o tym, co się stało, chce mi się śmiać. Przecież to śmieszne i żałosne. Ten stary osioł myśli, że ona go kocha. Wyobrażasz sobie?

- Co chcesz od Karola? - Joanna zamyśliła się. - Niczego mu nie brakuje.

- Uważasz, że to dobra partia?

- Tobie też się kiedyś spodobał. Pamiętasz, jaka byłaś zakochana?

- Eee... - wydułam pogardliwie usta.

- Mówiłaś mi, że znalazłaś prawdziwą miłość - przypomniała.

- Bo tak było, niestety do czasu.

- Myślałaś, że jest ciastkiem, które możesz bezkarnie zjadać i jednocześnie trzymać w dłoni.

- Pomyliłam się?

- Przestałaś być czujna. - Joanna dotknęła mnie palcem. - To był twój błąd.

- Ciało się starzeje, człowiek gnuśnieje. Tak mówi mój ojciec.

- Karol jest chyba innego zdania. Przynajmniej dał tego dowód.

- No właśnie - podchwyciłam. - On myśli, że seks to jak codzienny posiłek, trzeba go zjeść, żeby żyć. Ja muszę czuć niedosyt. Tylko wtedy mi się coś chce, mam swoje bariery.

- Teraz będziesz miała niedosytu w nadmiarze - uśmiechnęła się i wyszła. Zostałam sama w pokoju. Postanowiłam, że nie będę już siebie obwiniać. Muszę spojrzeć na to z innej strony, skoro teraz przyjdzie mi żyć samej. Jeszcze nie potrafiłam myśleć normalnie, bo sprawa była zbyt świeża. To, co działo się z moim małżeństwem, przypominało filmową

historię, a w filmach i książkach prawie wszystko kończy się dobrze. Czy mogłam mieć jeszcze nadzieję? Czego tak naprawdę chciałam?

- Niby jesteśmy dorosłe - powiedziała Joanna po powrocie. - Kariera, dzieci, znajomi. Głowę wciąż zajmują nam jakieś ckliwe historie, na jawie zaś codzienność, nuda i zmęczenie. To również dotyczy mężczyzn. Ale nam nie mieści się w głowie, że nasz mąż może czuć się znudzony.

- A potem bum - dodałam od siebie. - Wszystko się wali, jak miasto w czasie trzęsienia ziemi.

Popijałyśmy drugą kawę, wałkując jeden temat. Ta rozmowa pomogła mi zrozumieć pewne rzeczy, ale nie wskazała właściwej drogi.

- Co zrobisz, jeśli wróci? - Joanna zadała pytanie, które krążyło cały czas w mojej głowie.

- To zależy - próbowałam uniknąć odpowiedzi.

- A jaśniej? - nalegała.

- Nie jestem bohaterką telenoweli ani odważną amerykańską kobietą. Musiałabym przekreślić wszystko i zacząć od nowa.

- A tobie się nie chce - stwierdziła wyrozumiale.

- To nie jest lenistwo, tylko narodowa tradycja, żeby trwać mimo wszystko.

- I ty chcesz trwać? - próbowała się upewnić.

- W każdym razie nie przekreślać.

- Co zrobisz, jeśli odejdzie na stałe?

- Wtedy już nie będzie nic do zrobienia.

- A jeśli do ciebie wróci, będziesz umiała z nim żyć? Potrafisz wszystko zapomnieć, wpuścić go do domu, do łóżka, siadać z nim wspólnie do stołu i rozmawiać?

- Nie mam pojęcia - podparłam obolałą głowę, powtarzając: - nie mam zielonego pojęcia.

- Więc co zrobisz?

- Powinnam przegonić go na cztery wiatry. Tak robią prawdziwe kobiety. Ale ja - westchnęłam - ja zawsze byłam dziwna. Przecież nie wyrzekasz się syna, nawet gdy ucieknie, narozrabia, gdy ukradnie. Wciąż jest synem. Kochasz go, więc wybaczasz, przyjmujesz, a kiedy śpi i nie widzi, głaszczesz po głowie.

- Ale Karol nie jest twoim synem.

- Dla mnie to chyba jest to samo - oświadczyłam.

- Masz rację, ty rzeczywiście jesteś dziwna. - Joanna machnęła ręką i zapaliła papierosa.

Trzeciego dnia rano zmartwychwstałam. Czas najwyższy. Odbicie w lustrze nie było budujące. Żeby poprawić sobie samopoczucie, zrobiłam małą korektę. Tyle jeszcze przede mną zadań. Przede wszystkim wyjazd na Lipową. Nie byłam w sosie, ale chciałam mieć to już za sobą. Koło dwunastej jak gdyby nigdy nic przyjechałam do rodziców. Mama stała przy drzwiach i popędzała ojca.

- Tylko ubierz się ciepło, zapnij kurtkę, zawiń szalik. Na dworze jest wiatr, jeszcze dostaniesz kataru.

Ojciec podniecony wkładał flanelową koszulę.

- Weź podwójne skarpety, bo w trawie na pewno będzie rosa.

- Mamo, nie przesadzaj - próbowałam protestować. - Jest osiemnaście stopni, chcesz go ugotować?

- Już ja wiem, co dla niego najlepsze, niech mnie słucha, to nie zginie.

- Lepiej byś pojechała z nami - zachęcał ojciec.

- Ustaliłam już z Małgosią, że pojedziecie sami. Nagadacie się za wszystkie czasy, a ja wezmę się za robienie obiadu. Ano właśnie - matka wpadła na genialny pomysł - mogłaś zabrać ze sobą Karola. Zjadłby razem z nami.

- Karola nie ma - powiedziałam spokojnie. - Wyjechał na kilka dni służbowo.

- Tak? - była zdziwiona. - A umówił się z nami na jutro wieczorem. Widocznie zapomniał.

- Widocznie - uśmiechnęłam się.

- Szkoda, że nie ma go z nami, pomógłby mi wykopać róże - ojciec oświadczył niespodziewanie.

- Jakie róże? - zapytałam.

- Chciałem posadzić kilka krzaków pod naszym blokiem. Przypominałyby mi twoje rosarium. Zabierzemy łopatę i poszabrujemy na swoim. Szabrowanie zawsze mnie podniecało.

Wyglądał jak mały chłopiec, który snuł nieczne plany. Oczy błyszczały mu na samą myśl o tym, co nas czeka. Z nim było to samo, co ze mną. Chciał obrastać w zielone, patrzeć, jak kwitną rośliny i dać się wchłonąć przyrodzie. Ależ on się cieszył. Nawet kawa mu nie smakowała. Wypił jednym duszkiem, nie słuchając upomnień mamy.

- Kawa to nie jest woda sodowa. Pije się wolno i z namaszczeniem - tłumaczyła.

- Przecież wiem, ale chciałem, żeby było szybciej - oświadczył rozbijając.

Jechaliśmy pustą drogą. Ojciec nerwowo przebierał palcami. Na twarzy miał wymalowane szczęście, uśmiechał się do swoich myśli, promieniał. To dobrze, że zdecydowałam się wreszcie zabrać go na Lipową. Kto wie, co dalej z nami będzie.

Myśl o tym, co stało się z moim życiem, odebrała moc innym sprawom. Nic innego nie było takie ważne.

Już z daleka coś mi nie grało. Znałam na pamięć zarysy ogrodu. Patrzyłam na znajome kontury i miałam uczucie, że coś jest nie tak. Brakowało drzew. Ojciec poprawiał okulary i przecierał szybki kawałkiem szalika.

- Z daleka wygląda jakoś obco - potwierdził moje obawy. - Wydawało mi się, że nasz ogród jest większy.

Milczałam. Targały mną straszne obawy. Byliśmy na miejscu. Czy to możliwe, żeby przez kilka dni ktoś mógł dokonać takiego zniszczenia? Nie było płotu, nie było bramy, nie było bzów i akacji. Wyrżnięto wszystkie kaliny, forsycję i krzewy berberysu. Rozebrano brukowany podjazd, razem z klombem wysadzonym płożącą irgą.

Pomiędzy rzadkimi pniami najstarszych drzew majaczyła plama wyciętego sadu.

Zniknęły niskie szpalery winogron i majowe wiciokrzewy. Buldożery rozkopwały trawę. Bałam się wchodzić dalej. Spojrzałam na ojca - był blady.

- Chodź ze mną - podał mi rękę. - Muszę wszystko zobaczyć.

Ale dalej nic już nie było. Ani moich ziół, ani róż, ani piwonii. Nieliczne ocalałe drzewa z przybitymi do pnia karteczkami stały jak żołnierze przeredzonej armii, a wokół świeciła pustka.

Największy szok przeżyłam nad stawem. Ktoś zasypał go zwałami gruzu, a tatarak i gęste szuwały, rozgniecione gąsienicami sychacza, zostały zmielone w pył.

Ojciec zdołał tylko wydusić z siebie pytanie:

- A ryby? - Potem upadł na kolana i zawył.

Metody tworzenia nazwisk i źródła ich powstawania byty rozmaite. Wywodzono je od nazw miejscowości oraz od licznych pojęć z otaczającego świata. Nie wszystkie jednak nazwy zwierząt, roślin czy cech stawały się nazwiskami lub jako takie przetrwały do naszych czasów. Być może wiązało się z tym jakieś tabu.

Przykładowo w Polsce, poza jedną osobą, nie notuje się nazwiska Pies. Zanotowano natomiast 19 902 osoby o nazwisku Kot. To zdumiewająca proporcja, zważywszy, że oba zwierzęta chyba w równy sposób towarzyszyły i towarzyszą człowiekowi.

Wspomniane przemiany można zilustrować na przykładzie cebuli. W czasach jagiellońskich na tę roślinę mówiono cybula. Zbiegiem wieków przyjęto się mówić cebula,??

bulą jednak pozostała w mowie gwarowej. Gdy w dawnych czasach kogoś nazywano Cybula, być może miano na myśli osobę, która często spożywała cebulę lub ją uprawiała. Wraz ze zmianą sposobu wymowy nazwy rośliny zmieniło się brzmienie większości nazwisk: spotyka się więc wiele osób o nazwisku Cebula, a o nazwisku Cybula jest bardzo niewiele. Natomiast z nazwiskiem utworzonym od nazwy cebuli z dodanym przyrostkiem - ski jest odwrotnie. Cybulskich jest dużo, a Cebulskich mało. Wyjaśnianiem takich między innymi zagadnień zajmują się onomaści.

Czytałam jedną z mądrych książek stojących u Karola na półce. Spodobała mi się ta zabawa. Sprawilo mi przyjemność to, że moja miłość do przyrody i Karola do nazwisk miała choć jeden punkt styczności. Ryba - Rybicki, krowa - Krowicki, gęś - Gąsowski, ptak - Ptaszyński, słoń - Słonimski, kaczka - Kaczorowski, kogut -

Kogut, wróbel - Wróblewski, Jaskółka - Jaskólski albo Jaskulak, a potem rośliny: róża - Różycki, wiśnia - Wiśniewski, śliwka - Śliwiński, gruszka - Gruszczyński, dąb - Dębicki, Dąbrowski, Dąbek, itd. Można by bez końca wyliczać.

Od kilku dni śpię w jego pokoju. Śpię w ciągu dnia, bo na noc chodzę do pracy.

Czas wypełniają mi rozmyślenia, bo to jeszcze wciąż moje ulubione zajęcie. Coraz więcej myślę o sobie jak o kimś, kto się nie rozwija. Ograniczam swoją aktywność do pracy zawodowej, do sprzątanania i wspomniania przeszłości. Mam zaledwie pięćdziesiąt lat, a zachowuję się jak staruszka, której do życia już niewiele trzeba. Muszę coś zmienić, jeszcze czegoś dokonać. W tym pokoju, gdzie na pierwszym miejscu jest komputer i książka, czuję się jak niepotrzebny przedmiot.

Już nawet kwiaty nie dają mi satysfakcji. Wokół mnie zbierają się chmury.

Każdego dnia ciemniejsze. Wyjazdy do rodziców stały się karą.

Od wizyty w ogrodzie ojciec zamknął się w sobie i milczy. Nie pomogły tłumaczenia ani prośby. Obraził się na cały świat. Trzeba go namawiać do jedzenia. Tylko mama potrafi nawiązać z nim kontakt i jej tylko słucha. Zamyka się w swoim pokoju nawet przede mną. Jestem obita i przestraszona. Wszystko, co kocham, rozplywa się w nicość. Zerwały się więzy, którymi przymocowana byłam do skały, a skała runęła. Aż dziwię się, że jakoś to znoszę. Na szczęście z pracy mnie nie wylali i mogę w niej odnaleźć resztki godności.

Ile mojej winy było w tym, co się stało, nie potrafię powiedzieć. W końcu, czy człowiek musi na wszystko mieć wpływ? Przecież pewne rzeczy dzieją się niezależnie od naszej woli. Cokolwiek by mówić i jak nie argumentować, stało się w moim życiu coś, czego absolutnie nie umiem wytłumaczyć. Coraz częściej dochodzę do wniosku, że potwierdza się stare jak świat powiedzenie: przesadzanie dużych drzew rzadko przynosi pozytywne efekty.

Nawet najlepsze warunki to za mało, żeby bez szkody dla organizmu roślina mogła dobrze się zakorzenić. W nowym miejscu choruje lub umiera.

Zadzwoiłam do Agnieszki. Jakoś zbliżyłyśmy się ostatnio. Kłamię, że ojciec wyjechał na zajęcia do Krakowa, nie chcę, żeby się o nas martwiła. Zresztą jak mam powiedzieć córce, że ukochany tatuś uciekł z prostytutką, a po piętach depta mu banda alfonsów? Pomyślałabym, że zwariowałam. I tak były problemy, żeby jakoś pogodziła się ze śmiercią Duny. Zgoniłam wszystko na niegodziwych chuliganów.

Już od miesiąca nie mam od niego żadnych wiadomości. Złość jest najmocniejszym uczuciem, które do niego czuję.

Ojciec nie wrócił z kościoła. Mama dzwoniła zapłakana.

- Ubrał się w swoje najlepsze ubranie i wyszedł pół godziny przede mszą - tłumaczyła przez łzy.

- O której to było?

- Poszedł na ranną mszę. Chciał też pójść do spowiedzi.

- Był w kościele?

- Chyba tak, bo widziała go sąsiadka z parteru.

- Po mszy czy przed?

- Chyba przed.

- Będzie trzeba go poszukać. Nie martw się, zaraz przyjadę.

- Wiem, może trochę przesadzam, ale wiesz, jaki był ostatnio dziwny. Wygrażał ludziom, którzy zniszczyli mu ogród. Ten niefortunny wyjazd był chyba pomyłką - powiedziała w końcu.

- Przecież się dopomina! - krzyknęłam zdenerwowana.

- Nie mógł ci wybaczyć, że nie zawiozłaś go wcześniej.

- Mamo, nie dobijaj, proszę, i tak czuję się podle.

- Sama nie wiem, co myśleć. Jeżeli możesz, jedź po niego, proszę! Ja chyba domyślam się, gdzie on teraz jest.

- Ja chyba też.

Wracałam do matki zapłakana. Nigdzie go nie znalazłam. Objechałam wszystkie miejsca, do których mógł dojść. Pytałam ludzi, sąsiadów, szukałam go u starych znajomych i oczywiście na Lipowej. Matka stała w przedpokoju ze słuchawką od telefonu.

- Co robisz? - spytałam.

- Dzwonię po szpitalach - oświadczyła z kamiennym spokojem. - To niemożliwe, żeby tylko się zawieruszył. Minęło już tyle czasu. Myślałam, że pojechał do swojego ogrodu, ostatni raz się pożegnać. Byłam pewna, że tam go znajdziesz.

- Nie ma już ogrodu - powiedziałam. - Wszystko wycięte i zaorane. Wokół krążą samochody z piachem, pełno ludzi i maszyn. Nawet nie wiem, w którym miejscu stał dom. Widziałam, jak trzy olbrzymie koparki wybierały ziemię, a spychacze rozsypywały ją po terenie.

- Rozmawiałaś z kimś, pytałaś? Może ojciec tam był, może ktoś go widział?

- Zatrzymałam się przy drodze, dalej nie wchodziłam. - Usiłowałam zebrać myśli.

- Przecież bym go poznała. Ludzie byli daleko, pracowali. - Odczytywałam z pamięci zarejestrowane obrazy.

- To może on też tam był, trzeba było sprawdzić - spojrzała z wyrzutem. -

Szkoda, że nie spytałaś.

- Byli czymś bardzo zajęci - gorączkowo myślałam. - Jeśli chcesz, pojedę jeszcze raz.

- Już tak późno. - Wpadła w panikę. Chodziła od ściany do ściany, co chwilę przysiadła, żeby za chwilę wstać. - Nie usiedzę beczynn timer. Zróbmy coś - błagała. - Jedźmy obydwie. - Poderwała się do drzwi, żeby założyć buty.

- Dobrze - rzuciłam w pośpiechu - tylko odbiorę telefon. Matka była pierwsza.

- Kto mówi? - cicho zapytała.

Szpitalne korytarze to dla niektórych droga w zaświaty. Tą drogą poszedł w nocy mój ojciec i nawet nie pomachał na pożegnanie. Odszedł tak szybko, że nie zdążył zobaczyć się z mamą. Żył jeszcze godzinę po wystrzale, a potem spokojnie zamknął oczy. Nie powiedział ani słowa. Pielęgniarka, która czuwała przy noszach, niczego nie słyszała.

- Leżał bardzo cicho, ale chyba go bolało, bo jęczał - nie oszczędziła nam szczegółów.

- Miał przestrzelone serce. Kula przeszła na wylot. Lekarze nawet nie zdążyli przygotować sali do operacji. Kilkanaście minut po tym, jak go przywieźli, zmarł.

Siedziałyśmy w izbie przyjęć, słuchając relacji lekarza. Mówił i mówił, nic nie rozumiałam.

- Kula przeszła na skos przez serce, uszkodzając prawy przedsionek i lewą komorę. Nie zdążyliśmy go zoperować, ale i tak były słabe szanse. Miał biedak pecha - lekarz wyjaśniał pokrótce. - Niestety - spojrzał przeproszającym wzrokiem - będą panie musiały chwilę poczekać. W gabinecie ordynatora siedzi policjant. Chce spisać wstępne zeznania. Za chwilę poproszę do siebie.

Policjant zadawał mnóstwo pytań, lecz mama nie odpowiadała.

- Ona jest w szoku - próbowałam wyjaśnić. - Przed chwilą dowiedziałyśmy się o wypadku.

Policjant położył na biurku przezroczystą foliową torbę. W środku był pistolet.

- Czy poznaje pani ten przedmiot? Czy ta broń należała do ojca?

Patrzyłam z niedowierzaniem.

- Widziałam ją kiedyś w naszym domu. Ale to było dawno temu.

- Ma pani pewność?

- Tak - oświadczyłam zdecydowanie. - Poznaję po napisie wygrawerowanym na lufie.

To pistolet mojego dziadka z czasów wojny. Ojciec przechowywał go jako pamiątkę.

Policjant słuchał uważnie. Wwiercał we mnie oczy i czekał, czy jeszcze coś powiem.

- Czy ojciec zwierzał się ostatnio ze swoich kłopotów? Czy bał się kogoś albo groził, że kogoś zabije?

To, co mówił, wciąż było zagadką.

- Ojciec miał już siedemdziesiąt dziewięć lat. Do tego chore serce i słaby wzrok. To chyba nieporozumienie - byłam przestraszona. - Sugeruje pan, że do kogoś strzelał? Nie wierzę, żeby mógł planować coś takiego.

- Więc dlaczego zjawił się dzisiaj rano na cudzej posesji z zamiarem zastrzelenia właściciela?

- Mój ojciec? - byłam wstrząśnięta.

- Przyjechał taksówką, wysiadł i wszedł na teren posesji. Szukał właściciela.

Pytał napotkane osoby, gdzie można go znaleźć, a potem podszedł i wystrzelił.

Jeszcze powiedział do niego: „Nie dostaniesz mojej ziemi”. Trafił go w sam środek dłoni, bo ten pan dłonią chciał się zasłonić. Zaczęli się szarpać, pistolet wystrzelił po raz drugi i trafił ojca w serce.

Policjant czekał na moją reakcję. Absurd sytuacji sprawił, że prawdziwa tragedia utonęła w morzu wątpliwości. Nie myślałam o tym, że ojca już nie ma, a jedynie o bezsensownym oskarżeniu.

- Czy potrafi pani to jakoś wytłumaczyć? - policjant nie ustępował. Spojrzałam na mamę. Miała zamknięte oczy i łkała. Czułam, że dłużej nie wytrzyma.

- Tak, potrafię to wytłumaczyć - powiedziałam z rezygnacją. - Tylko może innym razem - spojrzałam błagalnie. - Domyślałam się, o co chodzi. Ale teraz muszę zająć się mamą. Przede wszystkim odwiedzić ją do domu. Proszę zadzwonić jutro, porozmawiamy - dodałam.

Jechałyśmy w milczeniu, bezsilne i zagubione. Niewyobrażalnie szybkie tempo ostatnich wydarzeń pozbawiło nas poczucia rzeczywistości. Niejasne okoliczności wypadku, ich niemal fabularny przebieg, sprawiły, że czułam się jak w kinie.

Obraz historii był niepełny, bohaterowie przestraszeni, a koniec okrutny.

Nieuchronnie nasuwało się pytanie, czy jest z tego jakieś wyjście. Szerokim łukiem omijałam zdarzenia ostatnich dni. Mój udział w nich był bezsporny, lecz myślenie o rzeczach trudnych nie przynosiło ulgi. Na moją rozpacz nie było czasu. Musiałam wziąć się w garść. Było mi teraz wszystko jedno. Kolejny cios już nie powalał, to wszystko do mnie nie docierało. Świadomość, że ojca nie ma, była tak nieprawdopodobna, że chciało mi się śmiać. Czy to możliwe, że człowiek, który towarzyszył mi przez tyle lat, odszedł dziś bezpowrotnie? Zniknął cały ze swoim domem i trawą, wchłonęła go zieleń, tak jak tego zawsze pragnął. Kołatały mi w głowie ostatnie słowa, które do mnie powiedział, i rozczarowanie w spojrzeniu, że zawiodłam.

Chciałam z kimś o tym porozmawiać, wytłumaczyć, że tak być musiało. Przecież on sam powinien wiedzieć, że w życiu niczego nie dostaje się na zawsze, że wciąż trzeba się z czymś rozstawać, żegnać. Nie przyjął tego do wiadomości. Próbował przechytrzyć los. Chciał jeszcze żyć i działać, sadzić i grabić, siać i zbierać.

Krażyłyśmy po mieszkaniu jak cienie. Mama zamknęła się w sobie, ja walczyłam ze łzami. Muszę to jakoś wytrzymać. Przede mną jest jeszcze tyle kłopotów. Nie ma nic gorszego, niż przynosić ludziom złe wieści. Spazmatyczne drgawki wstrząsały moim gardłem, nie mogłam mówić. Szukałam jakiegoś zajęcia. Robiłam rzeczy głupie, przyziemne, niepotrzebne, żeby zabić czymś czas i myśli. Wypastowałam wszystkie buty, posprzątałam w szufladach, wciąż napotykałam przedmioty, które o czymś mówiły. Szukałam odpowiedzi na setki pytań, martwił mnie czas, ten utracony i ten, który miałam przed sobą. Wszystko jest jakieś płytkie, powierzchowne, jakby tylko na chwilę, żeby przetrwać, żeby wytrzymać i nie płakać, a tu trzeba jeszcze zawiadomić Michała i Agnieszkę. Załatwić formalności, zadzwonić do Marka. Boże, Marek będzie zdruzgotany!

Mama siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, schowana w cieniu fotela, jej plecy wygięte konwulsyjnie zdawały się bronić przed rozpaczą, jakby czekały wybawienia. Broniła się jak zazwyczaj, kamiennym spokojem.

W końcu zasnęłam. Obudziła mnie, szarpiąc za rękaw. Była spuchnięta od płaczu.

- Ktoś puka do drzwi - powiedziała przestraszona i szybko wyszła do łazienki.

Wyrwana z nerwowego snu potrzebowałam kilka sekund, żeby odzyskać równowagę.

Czułam na piersi wielki ciężar, oddychałam z trudem. Bez wahania otworzyłam drzwi. Na progu stał Karol. Byłam zaskoczona. Niestety, nie wyglądał najlepiej.

Przestępował z nogi na nogę, tarł ręce, widać nie wiedział, jak się zachować.

Skąd wziąć siły na rozmowę, na dodatkowe pytania, na zarzuty i pretensje? Było mi obojętne, skąd wraca i co się z nim działo. Nareszcie nie byłam sama.

Poczułam ulgę. Zanim zdążył otworzyć usta i cokolwiek powiedzieć, rzuciłam się w jego ramiona i rozplakałam.

- Małgośka, co ci się stało? - spytał przerażony, słysząc moje rozpaczliwe łkanie.

Pochowaliśmy ojca w piątek rano. Markowi zależało na czasie. Chciał na początku tygodnia koniecznie wrócić do domu. Śmierć ojca przyjął spokojnie, nie histeryzował, nie płakał. Mężczyźni inaczej podchodzą do takich wydarzeń. Bałam się pretensji i uwag, że czegoś nie dopilnowałam, że nie wyczułam nadchodzącego nieszczęścia. Przyjechał zmartwiony i zatroskany najbardziej o mnie i o mamę.

Pomógł nam w zorganizowaniu pogrzebu i razem z Karolem pokierował uroczystością.

Z rana padał drobny deszczyk, a w samo południe zaświeciło słońce. Cała ceremonia trwała kilka minut, nie licząc mszy. Czy to wystarczy za całe życie?

Rozkleiłam się niemiłosiernie. Wszystko wypadło mi z rąk, zemdlałam w kostnicy, zgubiłam torebkę, obtarłam nogi w nowych butach, obraziłam księdza. Pewnie ojciec, patrząc z góry, z politowaniem kiwał głową. Przez cały czas próbowałam z nim rozmawiać. Miałam nadzieję, że jego duch krąży jeszcze nad nami. Może wybaczy mi wszystkie winy? Mama trzymała się dzielnie. Przyjmowała kondolencje, witała i żegnała gości. Ja tylko płakałam i czekałam na jakiś znak od niego. Oni zawsze dają jakiś znak. Przybywają na swój pogrzeb w ukrytej postaci i próbują zwrócić na siebie uwagę. Siadają na trumnie w postaci motyla, na gałęzi drzewa jako ptak, odprowadzają trumnę w ciele psa lub wpadają słonecznym promieniem przez okno do ciemnej kaplicy, prosto pod nogi żałobników.

Obserwują swoją ostatnią ziemską drogę i sprawdzają, czy bliscy po nich płaczą, czy może patrzą z ulgą, jak na pokrywę trumny spadają kamienie i piach.

Ojciec przybył na swój pogrzeb jako liść kasztana, choć na cmentarzu nie było drzew. Gdy wychodziliśmy z kościoła, spadł z nieba pod nasze nogi. Schyliłam się i podałam mamie, zrozumiała. Poglądziła go delikatnie, a potem schowała do torebki.

Dwa dni przed pogrzebem byliśmy na policji. Nasze zeznania rozwiały wszelkie wątpliwości. Mężczyzna poszkodowany w wypadku, wstrząśnięty śmiercią ojca i usatysfakcjonowany przeprosinami, nie wniósł oskarżenia, złożył tylko kondolencje.

Zrozumiał motywy i dziękował Bogu, że uniknął śmierci. Ojciec porwał się na niego z bronią i jak mały chłopiec myślał, że to sprawiedliwa wojna. Ciężko okupił miłość do ogrodu. Zginął jak prawdziwy żołnierz w obronie kawałka ziemi, do której nawet nie miał prawa.

Późnym wieczorem, tuż przed wyjazdem, Marek oznajmił, że chce zabrać mamę do Australii. Nie mogłam uwierzyć jego słowom. Nigdy przedtem czegoś takiego nie proponował. Zamiatalam podłogę w kuchni, gdy podzielił się ze mną tą nowiną.

Patrzył pod nogi, jakby się wstydził słów, które padły; kiwał się na boki, oparty o kuchenne szafki. Nie pojmowałam jego intencji. Chciał tego, czy tylko wykonywał niepotrzebny gest, mając nadzieję, że powiem - nie!

- Mama powinna na jakiś czas wyjechać - przekonywał mnie podczas kolacji. - To jej dobrze zrobi. U nas jest dużo miejsca. Jest olbrzymi dom. Szybko zapomni o zmartwieniach, pomoże Basi i jakoś łatwiej zniesie rozstanie z ojcem.

- Skąd nagle ten pomysł? - pytałam zdumiona, spoglądając na mamę. Stała przy oknie i milczała.

- Już dawno proponowałam rodzicom wyjazd, ale ojciec kategorycznie odmawiał.

Widocznie miał powody. Wczoraj ponowiłam swoje zaproszenie i mama wyraziła zgodę.

- To prawda? - spojrzałam zaskoczona.

- Mam ochotę na tę podróż - odpowiedziała bez wahania. - Samotność mnie zabije, potrzebuję zmian.

- Ale nie byłabyś sama - zaprotestowałam. Stałam zakłopotana, ściskając w rękach miotłę. - Zostawisz mnie i wyjedziesz? - Jakoś nie mogłam uwierzyć.

- Masz dość swoich kłopotów - wyjaśniła. - Widzę, jak ostatnio się miotasz, mizerniejesz i chudniesz. Stanę się jednym z nich, jeśli nie wyjadę.

- Co ty mówisz?

- Ja wiem, jak to jest. Swoje przeżyłam. Teraz potrzebujesz spokoju i odpoczynku. Uporządkuj własne sprawy, poszukaj pracy, zadbaj o siebie, bo widzę, jak więdniesz. Kiedy wszystko wróci do normy, a ja zatęsknię, przyjadę i ułożymy sobie życie po nowemu.

- Myślisz, że bez ciebie będzie mi lżej?

- Tak - oświadczyła zdecydowanie. - Tak właśnie myślę. Nawet gdy to wydaje się dzisiaj okrutne, za parę dni pojmiesz dlaczego.

- Za parę dni? - zapytałam. - Jak to za parę dni? Chcesz zaraz wyjechać?

- Za dwa tygodnie. Muszę tylko posprzątać mieszkanie, uporządkować sprawy ojca, załatwić bilet i jeżeli wszystko zagra i nic się nie zmieni, w połowie czerwca wyjadę.

- A co z emeryturą? - szukałam jakiegoś punktu zaczepienia, pretekstu, żeby została.

- Emerytura będzie wpływała na konto w banku. Zrobisz z nią, co zechcesz - zaproponowała. - Wykorzystasz albo zainwestujesz.

- Widzę, że zdążyłaś wszystko zaplanować. Sama na to wpadłaś, czy to wspólny pomysł, twój i Marka? - spojrzałam na brata.

- Nie ukrywam, że rozmawialiśmy o tym - odpowiedział pierwszy. - Uważam, że powinnaś się zgodzić. To rozsądna decyzja. Mamie nie będą potrzebne pieniądze.

Niczego jej nie zabraknie, nie będzie miała krzywdy. To dobra odmiana. Koło nas mieszkają inni Polacy, są spotkania towarzyskie i jest kościół. Pokażemy jej kawałek świata, coś jej się jeszcze od życia należy. Przemyśl to sobie. Musimy zacząć przygotowania.

- Dlaczego to ja mam decydować, skoro już wszystko ustalone? - powiedziałam łamiącym się głosem. - Matka nie jest małym dzieckiem. Jeżeli chce, cóż znaczy moje zdanie?

- Bo nie chcemy przewracać ci całego życia. Tym bardziej, że jest inna sprawa do omówienia.

- Więcej już nie zniosę - zaprotestowałam.

- Chodzi o Michała i Agnieszkę - ściszył głos. Zadawanie ciosów po cichu niestety mniej nie boli. Skuliłam się przed kolejnym uderzeniem.

- Wujek załatwił nam w Australii bardzo dobrą pracę - wykrztusił Michał. Stali z Agnieszką obok siebie, trzymając się za ręce.

A ja myślałam, że nie może być gorzej. Ciosy spadały jak meteory, stadami.

Kolejne wydarzenia bledły przy następnych. Co za chwilę usłyszę? Robiło mi się słabo.

- Mamo, przepraszam, ale taka okazja już się nie powtórzy - błagała Agnieszka, mrugając rzęsami.

- Niedaleko nas, kilkanaście kilometrów od miejscowości, w której mieszkamy, polska firma buduje olbrzymie tereny sportowe - stadiony, hale, pływalnie.

Szukają specjalistów, dobrze płacą. To robota w sam raz dla Michała. W końcu ma już za sobą kilka dużych inwestycji, które realizował. - Marek wypuścił powietrze z płuc, jakby mu nagle ulżyło. - Agnieszka sprawdziłaby się jako tłumacz i nauczyła zarządzania firmą. To dla nich wielka szansa. Powinnaś się zgodzić. A ja cieszę się, że w ten sposób będę mógł wam pomóc. Zostaniecie z Karolem sami, to wam dobrze zrobi. Tyle ostatnio przeżyłaś, pomyśl o sobie.

Dzieci wrócą. Przecież nie wyjeżdżają na stałe. Skończy się kontrakt i wrócą. Wtedy będą ustawieni.

Odwróciłam głowę do okna. Spojrzałam na niebo. Jaki błękit! Maj tego roku wyjątkowo dopisał. W domu na Lipowej, na piętrze, pięknie pachnie jaśmin. Krzak, pod którym kochaliśmy się tamtej letniej nocy, sięgał bardzo wysoko. Gdy wychylałam się z okna, mogłam zerwać gałązkę. A jak tam moje tulipany, szczególnie na tarasie? Czy czerwienią się jak zawsze o tej porze? Chciałabym je zobaczyć.

Czas przetaczał się wolno jak pociąg na bocznym torze. Nie dlatego, że wciąż byłam sama, ale głównie przez to, że nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Jeszcze niedawno zagoniona pomiędzy trzema domami z ledwością nadążałam z wypełnianiem obowiązków. Teraz czas dłużył się, a każdy dzień rozciągał w nieskończoność. Nie było czym wypełnić pustych godzin, komu je poświęcić i ofiarować. Powinnam mieć więcej dzieci.

Jesteśmy klockami wielkiej układanki i nie od nas zależą koleje, którymi toczy się życie, trzeba podporządkować się nieuchronnym wyrokom, bo innej drogi i tak nie znajdziemy. Ostatnie tygodnie były dla mnie ciężkie. Dołączyłam do grona ludzi oplakujących swój los. Blżej mi teraz do Maryli. Nie widziałam jej dawno.

Słyszałam, że po powrocie z Berlina czuje się lepiej. Obiecałam jej, że zadzwonię. Widziałyśmy się na pogrzebie ojca, ale nie było okazji, żeby porozmawiać.

Karol wrócił do domu po miesięcznej tułaczce i milczy. Nie obchodzi mnie to.

Zbyt wiele przecierpiałam, żeby spekulować, czy coś jeszcze do niego czuję.

Żyjemy obok siebie przykładnie, mijając się bez słowa. Nie czekam na wyznanie, ono i tak niczego nie zmieni. Nie da się wymazać słowami tego, co się stało.

Słowa jeszcze nie mają takiej mocy. Opiekuję się nim jak towarzyszem niedoli, nie jak przyjacielem. Przecież przez wieki mężczyzna dawał się obsługiwać kobiecie, a ona od zawsze żyła przekonana, że stworzona jest po to, żeby się zajmować drugim człowiekiem. Nigdy nie byłam zbyt energiczna, zawsze potulna i cicha. Nieliczne akty buntu pomagały mi przetrwać najgorsze chwile. A okazało się, że trzeba walczyć, więc przegrałam swoje szczęście. Nie lubię brać za wszelką cenę.

Dlatego od ludzi wolę zieleń.

Karol schudł i bardzo się zestarzał. Ten miesiąc chyba dużo go kosztował. Jak łatwo popsuć to, co się budowało, jak trudno poskładać znów w całość. Mimo że nie dbałam o wyjaśnienia, pewnego dnia przemówił. Powiedział tylko, że wszystko skończone. Spłacił długi, sprzedał mieszkanie, dziewczynę wysłał do mamusi. To były ogólne zeznania. Szkoda,

że nie wyjaśnił jeszcze, co stało się z jego górną jedyką i dlaczego na prawym policzku ma półkolistą bliznę, nie do końca zagojoną.

Śmierć ojca spadła na nas tak nagle. Zostaliśmy tylko we dwoje. Byłoby głupotą wchodzić sobie w drogę. Mieliśmy siebie i choć bardzo oddaleni, to jednak byliśmy razem. Karol miał problemy zawodowe. Naraził się kolegom z pracy.

Znaleźli się tacy, którzy uważali, że za karę powinien odejść. Według nich człowiek honorowy nie może rzucić z dnia na dzień pracy i zniknąć bez słowa, nie ponosząc za to stosownych konsekwencji. Ponieważ praca Karola nie polegała na prowadzeniu zajęć ze studentami, ale głównie na kontynuacji rozpoczętej pracy naukowej, jego odejście zachwiało realizacją całego programu. Brak zasadniczego ogniwa, nad którym właśnie pracował, zagrażał renomie uczelni.

Dlatego nie został zwolniony. Na szczęście. Wprawdzie emerytura mamy wpływała regularnie na konto, nie miałam jednak śmiałości jej naruszać. Zresztą płaciłam czynsz za mieszkanie ich i Agnieszki, więc niewiele z tego zostawało. Pracowałam nocami w pogotowiu, a w ciągu dnia nudziłam się, sprzątając i piorąc. Mój pomysł, żeby poświęcić się czemuś nowemu, na razie przestał mnie bawić. Jak na zbawienie czekałam na znak od Marysi.

Pokój Karola wyglądał jak zawsze. Mimo że dobrze wiedział, jak mnie denerwuje, pod tym względem niczego w sobie nie zmienił. Brud rozszerzał swoje terytorium coraz częściej o kuchnię i łazienkę. Dzięki temu, że nie brakowało mi czasu, mogłam nad tym zapanować, lecz wystarczyło, że kilka dni nie sprzątałam, a dom zmieniał się w poczekalnię dworca kolejowego. Jak to możliwe, że kulturalny człowiek przez pięćdziesiąt lat życia niczego się nie nauczył?

W wolne dni jeździłam do mieszkania rodziców. Wywiozłam tam niektóre kwiaty, bo u nas już się nie mieściły. Bluszcze tak szybko rosły. Miałam kilka odmian.

Różniły się wielkością liści, trochę kształtem, ubarwieniem, a w końcu wzorkami na blaszce liściowej. Nie wymagały słońca ani częstego podlewania. W mieszkaniu rodziców było dla nich dość miejsca, a ja miałam pretekst, żeby raz po raz wyjechać z domu.

W ich mieszkaniu czułam się bardzo dobrze. Jakoś bliższe mi były sprzęty i zapachy, przypominały dzieciństwo i lata młodości. Miałam też okazję przeczytać do końca pamiętnik ojca. Zabrałam go Karolowi, gdy ostatni raz grzebałam w jego rzeczach. Teraz czytanie tych wspomnień sprawi mi prawdziwy ból, lecz nie powinnam się przed tym bronić. Patrząc na znajome pismo, nie mogłam uwierzyć, że ta ręka nie napisze już niczego. Przytuliłam czerwony zeszyt i przełamałam strach.

15 WRZEŚNIA 1943 ROKU

Wróciliśmy z porannej akcji zdobywania opału. Noce robią się coraz chłodniejsze, przed nami mroźna zima. Nocami nie palimy prawie wcale ognisk, ze strachu przed banderowcami. Wypatrują tylko, gdzie nas zaatakować. Martwię się o rodziców.

Krymno opustoszało. Polacy, którzy przeżyli, puciekali do lasu albo do miast, część przedarła się do granicy. Niektórzy dostali się w ręce oddziałów niemieckich, a dalej do wagonów, którymi zostali wywiezieni w głąb Niemiec na roboty. Czekam na brata. Męczą mnie złe przecucia. Ludzie opowiadają okropne rzeczy.

29 WRZEŚNIA 1943 ROKU

Dopiero teraz poznałem szczegóły. Są przerażające. Mam wiadomości z pierwszej ręki i już wiem, że rodzice żyją, ale twierdza Krymno, która przez jakiś czas dawała nam bezpieczne schronienie, opustoszała, a potem przestała istnieć.

Ludzie uciekali z niej etapami. Wszystkim żal było opuszczać rodzinne strony, zostawiać dom, gospodarstwo, pola i żyzne ogrody, więc czekali. Każdy liczył na cud, na jakieś wybawienie i czekał do ostatniej chwili. Ale to nie zdało się na nic. Musieli ratować skórę. Najpierw wysyłano do lasu dzieci. Rodzice bali się o ich życie, bo każda następna noc niosła kolejne ofiary. Matki ubierały potomstwo, zaopatrywały w prowiant na drogę i pokazywały palcem kierunek. I szły biedactwa w sam środek gęstego lasu, zdane na własne siły, próbując znaleźć drogę do lepszego domu. Wiele z nich nie doszło do celu. Tak uciekał mój najmłodszy brat, z dziećmi od sąsiadów. Długo szukali go rodzice na cudzych wozach. Odnalazł się na polskiej granicy. Kobiety szły za nimi. Nie chciały zostawić mężów na pastwę losu. Nie miały wyboru.

Mój ojciec został do końca. Wychodził z osady ostatni. Było mu żal koni i krów, których się w końcu dorobił. Najlepsza jałówka właśnie miała się ocielić. Nie miał serca zostawiać jej samej. Ukrywał się za podwójną ścianą w stodole i czekał na cud. Ale cud nie nadchodził. Myślał: a może przyjdzie jakieś wyzwolenie, ale ono nie przyszło.

Nocą zaczął się kolejny szturm. Siedział zamknięty w stodole i obserwował. Po drugiej stronie wsi mieszkała jego najstarsza córka. Nie wiedział, czy zdążyła uciec. Właśnie z tamtej strony dochodziły odgłosy strzałów. Modlił się do rana, a gdy świtało, przemykając niepostrzeżenie pomiędzy spalonymi domostwami, doszedł do domu pod lasem. Dom stał nienaruszony, panowała zupełna cisza. A jednak wszyscy uciekli - czuł ulgę. Zaszedł od tyłu. W środku nie było nikogo.

Lecz potem zauważył ich przez okno pokoju, całą rodzinę. Córka i jej mąż leżeli na środku podwórka. Ich odrąbane głowy leżały obok. Pieniek ociekał świeżą krwią. Pod domem

znalazł ciało najmłodszego wnuka. Został zastrzelony. Pod płotem, z roztrzaskaną głową leżała wnuczka. Miała dopiero dwanaście lat. Jeszcze żyła. Umarła po chwili z wykrwawienia. Pochował ich pod lasem.

Na rozpacz nie było czasu. Szedł ogłuszony nieszczęściem i płakał.

Konie nie chciały wyjść ze stajni, czuły, że idą na wygnanie. Musiał je potraktować batem. Krowy wybiegły same. Pędziły na złamanie karku w stronę najbliższej łąki. Kto je wieczorem wydoi? Kury rozproszyły się po okolicy. Ze sobą zabrał tylko dwie, które lubiła mama - duże, rudopióre. Obiecał, że je uratuje.

Przemykał skrajem opustoszałej wioski i modlił się, żeby po drodze nie znaleźć ciał swoich dzieci albo żony. Z lasem graniczyła nasza najlepsza łąka i staw.

Przypomniał sobie o małym żydowskim chłopcu i jego ojcu, którzy od kilku miesięcy mieszkali w ziemiance. Podszedł tam i nieśmiało zajrzał. Gdy podnosił drewniany strop przysypany grubą warstwą ziemi, miał wrażenie, że w środku nie ma już nikogo. Ale byli, skuleni, przerażeni i głodni. Powiedział im, że odchodzi i muszą radzić sobie sami. Wzruszony ich beznadziejnym położeniem, w odruchu solidarności, jako ostatnią rzecz, którą mógł dla nich zrobić, oddał im dwie rude kury, które przez cały czas włókł ze sobą.

Przednim majaczyły budynki ostatniej zagrody. Stała pogrążona w gęstym lesie.

Poczuł zapach dymu i usłyszał rozpaczliwe rzenie koni. Pomiędzy drzewami płonęła stodoła. Podbiegł i wyjął z drzwi drewniany skobel. Na zewnątrz wyskoczyły dwa przestraszone konie. Ledwo go nie stratowały. Jednemu płonęła grzywa. Ze środka buchnęło gorącem. Paliło się zboże. Na klepisku leżał nadpalony źrebak. Wtedy usłyszał strzał. Po nim zaraz drugi. Przykucnął przerażony. Znał ludzi, którzy mieszkali w tym domu. Z budynku dobiegał dziecięcy płacz. Zajrzał przez okno i zamarł. Na podłodze pod ścianą siedziała mała dziewczynka, przed nią mężczyzna w dziwnej pozie. Miał opuszczone spodnie i podciągniętą koszulę. Skórzany pasek z dużą, metalową klamrą leżał tuż obok. Mężczyzna czołem i łokciami wspierał się o podłogę. Wokół jego głowy rosła powoli kałuża krwi i wciekała pomiędzy deski.

Obok leżała martwa kobieta. Była rozebrana i pewnie zgwałcona. Jej zmasakrowaną twarz oklejały długie, ciemne włosy. Dziewczynka trzymała w ręku pistolet. Patrzyła przed siebie tępym wzrokiem i ciągle strzelała.

Otrzeźwił mnie ostry dźwięk komórki. Czułam pulsowanie w skroniach i strach.

Wracałam do rzeczywistości. Dzwonił Karol. Oznajmił, że za chwilę będziemy mieć gości - niezapowiedziana wizyta Joanny i Pawła. Gdyby nie to, powiedziałabym, że zostaję na noc.

W drodze powrotnej kupiłam ciasto.

- Nareszcie! - zawołała Joanna, widząc mnie na progu mieszkania. Tryskała humorem.
- Karol narzeka, że nie wie, czym nas poczęstować.

- Nie przesadzaj - bronił się. - Uwijam się jak przykładowy gospodarz.

- Przydałaby się jeszcze kawa.

- Poczekajcie chwilę. Rozbiorę się i zaraz zaparzę - obiecałam.

Zamknęłam się w kuchni i włączyłam ekspres. Wolałabym zostać sama. W oczach miałam jeszcze potworne obrazy wojny i mojego dziadka z dzieckiem na rękach.

Myślałam, że czegoś takiego nie da się przeżyć, a potem zapomnieć. Z czymś takim żyje się do końca, bez jednej chwili spokoju, bez wytchnienia. Nasze kłopoty w obliczu tego nie znaczą nic. Aż wstyd się do tego przyznać. To rozczulanie nad każdym drobiazgiem, pretensje o głupstwa, jakieś papiery na podłodze, kilka brudnych talerzy... - to głupstwo, to po prostu nic. Nawet ta zdrada, stracone pieniądze, w obliczu tamtych nieszczęść nie znaczą nic.

- Co z tą kawą? - usłyszałam głos Joanny zza drzwi. - Mogę wejść? - zapytała.

- Oczywiście - chwyciłam za klamkę - wejdź.

- Może pomóc? - zaproponowała.

- Wciąż tylko ryczę - próbowałam się usprawiedliwić.

- Jak nie można inaczej, to rycz - uśmiechnęła się. - To z powodu Karola?

- Nie, to nie dlatego. Wspominam ojca i tyle.

- Rozumiem. A z Karolem jak?

- Nijak - odpowiedziałam krótko. - To teraz nie jest najważniejsze.

- W końcu jakoś się ułoży.

- Tak myślę - chciałam zakończyć temat. - A ty, jak twoja twarz? Nie boli?

- Coś ty, tylko nie mów, że nic nie widzisz? Według mnie jest rewelacyjnie. -

Przeciągnęła po policzku palcem. - Zobacz, jaki aksamitny.

- Rzeczywiście - dotknęłam. - Rewelacja. - Przytuliłam ją do siebie mocno. - Weź kawę, ja przyjdę za chwilę.

Dołączyłam do nich po kilku minutach. Poprawiłam makijaż i rozczesalam włosy.

Ładnie mi się ostatnio zawijały. Nowa farba dodała im blasku.

Widok przyjaciół ucieszył mnie i rozczulił. Wnosiłam tacę z talerzem pełnym ciastek. Joanna cały czas paplała. Nie lubiła ciszy.

- Opowiadajcie, co u waszych dzieci, jak czuje się mama?

- Młodzi jak młodzi, wszędzie im się podoba, gorzej z mamą. Potrzebuje czasu.

- Jasne. Nowe otoczenie, podróże, trochę znajomości - Joanna zaszczebiotała, sprowadzając wszystko do przyjemności. - Raz dwa się pozbiera. Każdy potrzebuje odmiany. Może tylko okoliczności niezbyt miłe - szybko poprawiła.

- Tak, okoliczności są przykre - przytaknęłam apatycznie.

- A my - Joanna uniosła się na fotelu - jesteśmy tu, żeby się pochwalić.

- O! - powiedział Karol.

- Otwieramy w centrum miasta sklep z porcelaną - prawie krzyknęła. Potem uniosła wysoko brwi, czekając na reakcję. Udało mi się wydać z siebie coś na podobieństwo zachwyty.

- Rewelacyjnie! Tylko czy nie jest już za późno na tego typu interesy?

- No wiesz - była zaskoczona. - To najlepsza pora.

- Ray Kroć założył pierwszy bar McDonalds kiedy miał 50 lat - Paweł przyszedł Joannie z pomocą.

- No to moje uznanie, Joanno - powiedziałam. - To naprawdę jest świetny pomysł.

- Prawda... - przeciągnęła radośnie. - Nie takie tam byle co - dodała. - No wiecie, chodzi o artystyczną porcelaną w rodzaju Wedgwooda, Rosenthala oraz... - dodała tajemniczo - kolejna niespodzianka: porcelana polskich artystów młodego pokolenia. Może trochę zbyt sielska, anielska, makatkowo-odpustowa, ale za to jaka modna! Trzeba popierać młodych ludzi. I co wy na to?

- Jesteśmy w szoku - Karol też się postarał.

- Wiedziałam, że to was ucieszy. Dlatego dowiedzieliście się o tym pierwsi.

- A lokal? - zdołałam się wtrącić. - Macie już pomieszczenie?

- Tak, oczywiście. Paweł załatwił. - Joanna z uwielbieniem spojrzała na męża.

- Sklep będzie się mieścić w samym centrum, w pobliżu Rynku. Trochę nas to kosztowało - Paweł przejął pałeczkę i tłumaczył bez zbytej ekscytacji. -

Niestety, taki sklep nie może znajdować się w ciasnym zaułku. Wprawdzie czynsz będzie zabójczy, ale chyba się opłaci.

- A ty? - zwróciłam się do przyjaciółki. - Masz w tym swoją działkę, czy tylko sekundujesz?

- Nie żartuj! - oburzyła się. - Jak to sekundujesz? Ja o takim sklepie marzyłam całe życie!

- Ale nie znasz się na handlu.

- Na razie. Zapisalam się na specjalny kurs. Trzy miesiące i będzie ze mnie handlarz jak marzenie.

- Zaskakujesz mnie - powiedziałam z zazdrością. - Ciągłe coś ci się chce. A ja?

Jak usychający wiecheć.

- Biadolisz, jak zwykle. A tu trzeba działać. Też miałam depresję. Jeszcze niedawno, pamiętasz? Ale wzięłam się w garść i proszę. - Rozłożyła szeroko ręce jak modelka na wybiegu i uniosła wysoko brodę. - Kwitnę i tyle - przyznała się bezwstydnie. -

Co prawda skorzystałam z porady Maryli, zbałam sobie poziom hormonów i teraz biegam z plasterkiem, ale za to jaki efekt. Tobie, Małgosiu, też radzę. To naprawdę działa.

- Dzięki - uśmiechnęłam się. - Może skorzystam. Trochę później.

- Nie ociągaj się, proszę, bo mamy w stosunku do ciebie specjalne plany - spojrzała wymownie na męża.

- A mianowicie? - zapytałam z obawą.

- Chcemy, żebyś u nas pracowała - spojrzała niepewnie.

- Sorry, jeśli to cię obraża, ale to byłaby praca ekskluzywna.

- Ja??? - zatkało mnie. - Nie obrażasz mnie, skądże, tylko z takim wyglądem? Poza tym nie znam się na porcelanie.

- Daj spokój! - zawołała podniecona. - Nie potrafisz sprzedawać malowanych kotków, misek w maki i dzbanków w niezapominajki? Przecież kochasz kwiatki!

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Propozycja była zaskakująca i w stylu Braci Gimm. Siedziałam, jakbym połknęła kij. Wydusiłam z siebie tylko to, co przyszło mi właśnie do głowy:

- Ale nie poddam się operacji plastycznej, za nic w świecie - zaznaczyłam, a wszyscy parsknęli śmiechem. Karol śmiał się razem ze wszystkimi, ale nie był podniecony propozycją Joanny. Gdy emocje nieco już zelzały, sprowadził nas na ziemię.

- Wracając do tematu - spojrzał przeciągle. - Nie wyobrażam sobie Małgosi za ladą. Nie zna się na biznesie i chyba - zawahał się - źle by się czuła w roli sprzedawcy. Ona nie potrafi nawet siebie zachwalić, a co dopiero porcelanę.

- Karol, jesteś mało postępowy. Czasy się zmieniają. Uczepiłeś się uczelni i trzęsiesz spodniami.

- Dlaczego mam być biznesmenem, jeżeli znam się dobrze na czymś innym. Każdy powinien robić to, co potrafi najlepiej. A Małgosia jest stomatologiem. A ty, nie żal ci? Nie wolałabyś pracować w swoim zawodzie? Jesteś polonistką, a bawisz się w handel.

- Sprzedawanie pięknej porcelany to przyjemna rzecz, szczególnie dla kobiety.

Zaangażowałam w to cały swój czas. Nie wiem tylko, co powiedzą dzieci.

- Przesada - wycedził Karol, kładąc akcent na literę „s”. - Twoje dzieci są przecież dorosłe. Chcesz być bohaterską Demeter?

- Wciąż są dla mnie najważniejsze. Jeszcze ciągle potrzebują pomocy - Joanna broniła swoich pozycji.

- Będziesz je prowadzić za rączkę?

- Dopóki się da - oświadczyła.

- A co one na to?

- Kiedyś okażą mi wdzięczność - dodała pewna siebie, skubiąc delikatnie kawałek truskawkowego ciasta.

- Znamy z historii przykłady takiej wdzięczności.

- Ja wiem swoje i ty wiesz swoje - naburmuszyła się. - Historia historią, a życie życiem.

- Więc zapytaj matkę Hitlera - Karol żartował. - Czy składała Bogu dary, by jej syn się nawrócił? A Agrypina - matka Nerona? Co czuła, gdy palce ukochanego synka zaciskały się na jej szyi? A Edyp? Przecież to właśnie on uciukał tatusia, ożenił się z własną mamusią, a potem miał wyrzuty sumienia, aż w końcu mu odbiło.

- To wyjątkowe przypadki - Joanna zbagatelizowała przestrożę.

Pomyślałam o mojej matce. Postanowiłam, że zaraz po wyjściu Joanny i Pawła zadzwonię do niej. Muszę zapytać ją o te kilka zdań z pamiętnika, które przez cały wieczór chodziły mi po głowie. Wierciłam się w fotelu, niecierpliwie oczekując końca wizyty. Joanna wymuszała na mnie obietnicę, że nie odmówię pomocy w prowadzeniu sklepu, a Paweł chciał się ze już mną umówić na spotkanie w celu załatwienia formalności. Nie byłam pewna, czy się zdecyduję. Obiecałam, że prześlę się z tym pomysłem i dam odpowiedź. Jeszcze ich kroki nie ucichły na schodach, kiedy chwyciłam za telefon.

- Halo, kto mówi - usłyszałam jej głos. Był taki czysty i młody. Walczyłam ze łzami. Bez wstępu, jakby nie istniało nic poza moim pytaniem, powiedziałam:

- Mamo, pistolet, którym wtedy zabiłaś, to ten sam, z którego strzelał ojciec?

Po drugiej stronie panowała cisza, ale ja słyszałam jej oddech.

- Czytałaś? - zapytała.

- Przeczytałam. Czy ta dziewczynka... czy to ty strzelałaś?

- Tak - powiedziała beznamiętnie. - To właśnie mnie zabrał ze sobą twój dziadek i zaniósł na rękach do Polski.

Zdażyłam jeszcze krzyknąć:

- A te rude kury?

Nie odpowiedziała. Odłożyła słuchawkę.

Wracałam z dyżuru przez żółknący park. To już jesień. Jak prędko minął czas.

Niedawno była wiosna, a już poszarpane przez wiatr babie lato czepia się twarzy, osiada na ciemnym kołnierzu kurtki. Na osiemnastą umówiłam się w Lagunie z Karolem. Zaprosił mnie na uroczystą kolację. Dzisiaj są moje urodziny. To będzie pierwsza randka od niepamiętnych czasów. Nie wiem, czy zasłużył na nią. Musimy spróbować. Samotność to nie jest sposób na życie. Ostatnio lepiej nam się wiedzie. Ale ciężko jest razem. Zawadzamy sobie, a jednocześnie nie potrafimy żyć osobno. Różnice są zbyt jaskrawe i trudno nam znaleźć złoty środek. Każdego dnia uczymy się własnych wad.

Spacerowałam w parku przy Operze. Tutaj od lat nic się nie zmieniło. Pamiętam, jak dawno temu, po balu maturalnym kąpaliśmy się w fontannie. Woda biła wysoko do góry, moczyła nas i nasze sukienki. Ale to było wiosną, w maju. Teraz stare drzewa były całkiem gołe. Chude gałęzie strzelały ponad dachy domów. Ciekawe, ile mają lat? Wydaje się, że rosły tu zawsze. Dzisiejszy dzień był pogodny, ale wczoraj chłodny wiatr prawie całkiem oskubał gałęzie. Tylko brunatne liście dębów i grabów trzymały się uparcie.

Przeszłam na drugą stronę ulicy, przyglądając się znajomym budynkom, całkiem nowym sklepom. W perspektywie majaczył Okrągłak, miejsce dawnych wypraw na zakupy, teraz niemal całkiem zapomniany. Ileż razy moje nogi biegały tymi ulicami. Przypomniała mi się młodość. Byliśmy wtedy dużymi dziećmi, którym przydarzyła się dorosłość, zbyt młodymi na zakładanie rodziny. Wtedy było inaczej. Mniej nerwowo, bez tej paniki zmuszającej do nadmiernej aktywności, odbierającej smak i nastrój emocjom, kiedy powoli wkracza się w dorosłe życie.

Taki obowiązywał styl. Studenci zaczynali życie od końca. Zakładaliśmy rodziny, najpierw płodząc dzieci, mieszkaliśmy kątem u rodziców, w międzyczasie kończyliśmy studia, żeby dopiero potem ze stoickim spokojem, wodząc palcem po mapie Polski, wybrać miejsce na założenie gniazda. Kto kochał las i otwartą przestrzeń, wyjeżdżał w niezmaczone cywilizacją, pozbawione wygód, ale wolne od wielkich wyzwań wiejskie ostępy. Komu marzyła się sława i tytuły, dobijał się do bram uczelni, przysiadając na kilku metrach kwadratowych w hotelu asystenckim. Dla kogo liczyła się przedsiębiorczość, chciał budować, tworzyć, unowocześniać, trafiał w ramiona przemysłowych molochów, zasiedlał małe mieszkanca przyzakładowych osiedli i pysznił się swoją misją przed całym światem. Lecz z czasem przyszło otrzeźwienie, bo ta misja okazywała się improwizacją, a nasze życie historią z Truman Show. Świadomość, że może być inaczej, dochodziła do nas nieśmiało, nikłym głosem przekazów z drugiej strony kurtyny. Przepływała echem w niektórych programach

radiowych, dobijała się do naszych głów muzyką. Czuliśmy nadchodzące zmiany. Ta świadomość budziła w nas niepokój i dziwne pożądanie. Ciało wydawało się za małe. Szukaliśmy nowych emocji. Coś nas pociągało, kusilo, ekscytowało, jak przejażdżka na roller coaster.

Istniała w nas ogromna potrzeba życia w grupie. Nie wiadomo, z czego to wynikało. Prawdopodobnie z potrzeby dzielenia się własnym doświadczeniem i czerpania doświadczeń od innych. Uczyliśmy się wszystkiego od siebie. Wszak nie było wówczas instytucji doradztwa ani wyrazistych przepisów i zasad, jak należy postępować. Trzeba było improwizować. Przy cierpkim rieslingu wykuwaliśmy losy, zmienialiśmy świat, dokonywaliśmy przewrotów. Mieszkania w dzień służyły za rodzinny dom, a nocami przemieniały się w parlament, trybunał konstytucyjny, izbę lordów. Marzył nam się Olimp i wielkie przemiany.

Dzieci nigdy nie były zawadą. Bawiły się ze sobą gdzieś w kącie albo w drugim pokoju, jeśli był, szczęśliwie, że mają koło siebie nas i swoich rówieśników.

Potem zasypiały na dywanach, pod stołami, w cudzych łóżkach. Przenosiliśmy je w kocu do domu nad ranem. Pamiętam, że syn Joanny, wyjątkowo do niej przywiązany, kiedy był senny, przychodził do pokoju i zasypiał pod stołem koło naszych nóg. Za kołdrę służyła mu gazeta, którą wcześniej czytaliśmy, a za poduszkę sweter ojca. Wakacje wyglądały podobnie. Cały dobytek zamknięty w jednym plecaku, w drugim dziecko, namiot „Mikrus” i w Tatry.

Widok znajomych miejsc, budynek uczelni, ulubiony sklep, w którym kupowałam drożdżówki, wspomnienia, wspomnienia... Kąpałam się w nich bez pamięci, tracąc poczucie czasu. Ocknęłam się dopiero przed wejściem do Laguny. Kiedy weszłam do środka, Karol siedział przy stoliku. Przed nim w wazonie czerwone róże. To chyba dla mnie. Wstał i odsunął krzesło.

- Siadaj - skinął głową. - Bałem się, że zapomniałaś - powiedział skruszony.
- Czyżbym się spóźniła? - Spojrzałam na zegarek.
- Trochę.
- No nie. - Byłam zaskoczona. Zegarek wskazywał wpół do siódmej. - Spóźniłam się pół godziny.
- Nie szkodzi. - Zapalił świeczkę. - Przeczytałem w tym czasie gazetę.
- A ja najpierw ugrzęzłam w sklepie, a potem w parku - tłumaczyłam.
- Kupiłaś coś?

- Chciałam wydać pieniądze, które przysłała mi mama. Obiecałam jej, że kupię za nie coś wyjątkowego.

- No to pokaż - wyciągnął rękę.

- A wiesz - zawahałam się. - Mówiąc szczerze, nic mi się nie podobało. To moda raczej nie dla mnie. Same tworzywa, obcisłe i za krótkie. Wyglądałam niepoważnie - próbowałam się tłumaczyć. - Chociaż wyobraź sobie, widziałam czarną koronkową bluzkę. Chyba koronki wracają do łask.

- Maryla będzie zadowolona - powiedział złośliwie.

- Ciekawe, co u niej? Ostatnio się nie odzywa.

- Ale za to dzwoniła Joanna.

- I co, skończyła kurs?

- Jeszcze miesiąc, ale są już po remoncie.

- Więc pewnie ruszą - pokiwał głową. - Nie wierzyłem, że coś z tego wyjdzie. A ty? - zapytał. - Zdecydujesz się na tę pracę?

- Zastanawiam się.

Kelner przyniósł kartę z menu. Nie byłam głodna. Za to Karol namiętnie kartkował stronę po stronie, jakby od wieków nie jadł niczego dobrego. Siedział tyłem do okna i jego twarz pogrążyła się w dziwnym półcieniu. Przed sobą miałam szybę, a za nią widok na ulicę i kawałek nieba. Przez szpary pomiędzy domami przeciskały się pomarańczowe smugi światła.

- Jutro będzie ładna pogoda - stwierdziłam. - Słońce takie czerwone.

Karol nie słuchał. Zmarszczył grube brwi i intensywnie myślał, spoglądając w tekst przed sobą. Podbarwiony na brązowo papier i banalnie nadpalone brzegi miały sugerować, że dania będą swojskie i treściwe. Spoglądałam ukradkiem na twarz męża i na zmiany, które wyrły na niej ostatnie miesiące, na worki pod oczami, na siwe skronie i bruzdę pomiędzy dolną wargą a brodą. Byłam pewna, że przedtem jej nie było. Nawet kolor oczu, układ brwi i nos wydawał się inny.

Jakbym spotkała go po długim niewidzeniu, po wielu latach rozłąki. Jego pot pachniał jakoś inaczej, a ręce jakby drżały. Poczułam się dziwnie. Irracjonalna sytuacja - pomyślałam.

- Czyżbym się umówiła z kimś całkiem innym?

- Muszę wyjść do toalety - poderwała mnie dziwna siła. - Spróbuj w tym czasie zamówić - uśmiechnęłam się nieporadnie.

- Coś się stało? - zerkał podejrzliwie.

- Nie, tylko chcę umyć ręce.

- Poczekam z tym zamówieniem. To kolacja urodzinowa. Masz pierwszeństwo wyboru - dotknął mojej ręki i próbował spojrzeć mi w oczy. Udawałam, że nie dostrzegam tego gestu. Też był mi obcy, Karol na trzeźwo nigdy się tak nie zachowywał.

Przypomniał mi się Don Juan i jego zaloty poprzedzone kulinarnymi orgiami.

Czyżby Karol zmieniał się na starość w sprośnego koguta i szykował miłosną libację?

Tylko nie to. Na samą myśl, że miał wobec mnie jakieś zamiary, zrobiło mi się niedobrze.

W toalecie był tłok. Zamknęłam się w kabinie. Dobre miejsce na kilka chwil skupienia. Siedząc na sedesie, analizowałam sytuację. Pomyślałam, że to urodzinowe spotkanie jest być może próbą pojednania, a w konsekwencji może być wstępem do czegoś więcej. Na to nie byłam gotowa. Na to chyba już nigdy nie będę gotowa. Miałam ochotę uciec gdzieś z tej Laguny, pobiec przed siebie, a potem zakopać się w parku przed Operą w stertę suchych liści.

Otrzeźwiło mnie pukanie do drzwi.

- Czy coś się pani stało? - usłyszałam z drugiej strony. Musiałam opuścić „przytulną” kryjówkę i wrócić do stolika. Tylko czy miałam na to ochotę? Tam, w kącie pod oknem, siedział mój mąż, popijał sok i nerwowo bębnił w stolik. Przed nim stał wielki bukiet róż, a za oknem kończył się dzień. Czy mam ochotę na ten wieczór? - zapytałam siebie po raz drugi. - Czy zdołam opanować zakłopotanie, czy już wiem, w jaki sposób zachować się, kiedy klamka zapadnie, kiedy mój mąż wypluje te swoje przeprosiny i zażąda czegoś więcej?

Wyszłam na ulicę niepostrzeżenie, zostawiając w szatni płaszcz i szalik. Na dworze szarzało, zaczął siąpić drobny deszcz. Skuliłam ramiona i ściskając pod pachą torebkę, biegłam w kierunku postoju taksówek. Chciałam być jak najszybciej w domu. Zerwał się wiatr, a ja miałam przed sobą niezły kawał drogi. Jedną z przecznic przebiegłam na czerwonym świetle, nie zważając na klaksony. Potknęłam się, zahaczając o słupek z jakąś reklamą. Poczułam szarpnięcie i fioletowy strzępek materiału, porwany wiatrem, upadł kilka metrów dalej. Przy każdym kroku moje udo wyłaniało się spomiędzy fałdów rozdartej sukienki, a dziura w rajstopach pod kolanem błyszczała przesadnie jasnym światłem. Obejrzałam się spłoszona. Za mną nie było nikogo. Łudziłam się, że nadchodzący zmrok ukryje mankamenty stroju. Wystawy odsłaniały mój kształt w zachlapanej szybie.

Spostrzegłam, że ten kształt ma się całkiem dobrze. Wyglądało na to, że straciłam kilka kilogramów. Zatrzymałam się, zapominając o deszczu. Olbrzymia tafła szkła, będąca wejściem do jakiegoś lokalu, perfekcyjnie odtworzyła moją sylwetkę. Sprawdziłam ze wszystkich stron, z prawej, z lewej, na wprost, na baczność i na spocznij.

Rzeczywiście, odbicie w szybie nie kłamało - nie było ze mną tak źle. Poczułam się różnie. Już nawet chłód nie wydawał się taki dotkliwy. Po drugiej stronie drzwi, naprzeciwko, stał mężczyzna i uśmiechał się rozbawiony. Wyglądałam chyba pociesznie - potargana, bez płaszcza, z podartą sukienką i bardzo zadowoloną miną. Pomyślałam, że chyba go znam. Te jasne włosy, sylwetka, wydawały mi się znajome. Zauważyłam, że idzie w moją stronę. Zanim zdążył chwycić za klamkę, uciekłam przestraszona.

Karol nie skomentował mojej ucieczki. Zrozumiał, że na szczere pojednanie jest jeszcze za wcześnie. Rano jak zwykle, wychodząc z domu, zapytał, o której wrócę.

Miałam dyżur. Tym razem spokojny. Pacjenci dali mi odpocząć. Mimo to czułam się wyczerpana. Coraz trudniej przetrwać noc w pozycji na baczność. Wprawdzie było gdzie przyłożyć głowę i czasami pospać, a jednak świadomość, że za chwilę znowu ktoś zadzwoni, odbierała tej czynności cały smak. Z miarowego siorbania porannej kawy wyrwał mnie sygnał komórki. Dzwonił Tomek. Pytał, czy o dwudziestej zastanie nas w domu. W drodze do domu zrobiłam małe zakupy, trochę owoców, dwie butelki wina, zielone oliwki i ser.

- Może nie zabawi długo - Karol nie miał ochoty na ponure opowieści. Na radosne newsy raczej nie było szans. Zresztą to nie dotyczyło tylko jego. Wszystkich ogarnęła już jesienna nostalgia i marazm.

Tomek jednak nie przyszedł. Zadzwonił i przeprosił, że nie przywiezie obiecanych fotografii. Musiało coś się stać. Drżał mu głos. Chodziło o Marylę.

- Jest w szpitalu - próbował wydusić. - Ma wysoką gorączkę i ciężkie zapalenie płuc, a rano czuła się całkiem dobrze.

- Gdzie leży? - zapytałam.

- Mówiłem już - powtórzył. - W szpitalu.

- To wiem, ale w którym?

- W zakaźnym. Wszystko było jasne.

- A więc to kolejny etap choroby?

- Ciągle są nawroty. Nic na to nie można poradzić. Odporność spadła prawie do zera.

- Jesteś teraz u niej w szpitalu? Mamy do ciebie przyjechać? - Kątem oka zobaczyłam, że Karol kiwa przecząco głową.

- Wróciłem właśnie do domu. Od wczoraj nie spałem. Muszę się wykapać i może uda mi się zdrzemnąć. Wezmę coś na uspokojenie.

- Jest aż tak źle?

- Mam nadzieję, że wyjdzie z tego. Była w dobrej kondycji. Dopiero wróciliśmy z Turcji. Dwa tygodnie w pełnym słońcu i dzisiaj wszystko się zawaliło.

- To przez nagłą zmianę temperatury, do tego klimatyzacja w samolocie, zmęczenie - próbowałam mu wyjaśnić. - Zdrowi ludzie łapią przeziębienie, co dopiero ona.

- A więc uważasz, że ta Turcja była głupim pomysłem?

- Przestań się obwiniać. Pamiętaj, ona ma AIDS. W tej chorobie wszystko może się zdarzyć.

- Rozumiem - mówił trochę spokojniej. - Ale myślałem, że medycyna lepiej sobie radzi ze zwykłym przeziębieniem. Tymczasem skończyło się zapaleniem płuc.

Małgosiu! - prawie krzyknął. - Oni są całkiem bezradni. Ja nie wiem, co mam robić. Czy wieść ją gdzieś, czy cierpliwie czekać. A jeżeli umrze? Nie wybaczyłbym sobie, że nic w tej sprawie nie zrobiłem, że stałem beczynnie, gdy ona ginęła.

- Nie histeryzuj - usiłowałam przywołać go do porządku. - Maryla nie jest pierwszą osobą, którą leczą. To szpital zakaźny. Bądź dobrej myśli. Pojadę do niej, jeśli chcesz, i zostanę na noc - zaproponowałam. - Obiecuję, że jeżeli będzie trzeba, zadzwonię.

Położ się spać i odpocznij.

- Zrobiłabyś to dla mnie?

- No jasne. Ubieram się i jadę.

Znalazłam ją w specjalnym pokoju. Była ode mnie oddzielona szybą. Nie pozwolono mi wejść do środka. Mogłabym stać się dodatkowym źródłem infekcji. W takim stanie najdrobniejsze zakażenie dla osoby pozbawionej własnej odporności jest bezpośrednim zagrożeniem. Leżała przykryta lekką folią, pod aparatem tlenowym, i nie przypominała człowieka. Była podobna do dużej poczwarki owada. Próbowałam dostrzec z tej odległości, czy jeszcze oddycha. Chociaż monitory pokazywały pracę serca, miałam wrażenie, że patrzę na trupa. Była biała jak prześcieradło.

- Pani jest kimś z rodziny? - zapytała mnie przechodząca lekarka.

Zerwałam się z krzesła przestraszona. Atmosfera miejsca odebrała mi pewność siebie.

- Nie - zaprzeczyłam. - Jestem przyjaciółką. Obiecałam Tomkowi, to znaczy jej mężowi, że posiedzę. Był zmęczony, więc pojechał do domu. Chciał się trochę odświeżyć.

- Rzeczywiście - potwierdziła. - Jeszcze przed chwilą widziałam go śpiącego w fotelu.

- Spojrzała przez szybę w kierunku łóżka i uprzedziła moje pytanie. -

Bardzo trudno opanować to zapalenie płuc. Stosujemy możliwe najlepsze środki, ale ze słabym skutkiem.

- To Pneumocystis carinii? - zapytałam. Lekarka spojrzała zaskoczona.

- Owszem - potwierdziła i natychmiast zapytała. - Pani jest lekarzem?

- Niezupełnie - uśmiechnęłam się do niej. - Stomatologiem.

- Ach tak? - odwzajemniła uśmiech.

- Czy ona ma szansę żyć z tym przez jakiś czas? Myślę oczywiście o AIDS.

- To zależy od wielu czynników. Mimo że nie jest możliwe wyzdrowienie, to niektórzy pacjenci przeżywają dłużej niż pięć lat. Jeżeli uda się opanować podatność na zakażenia, jest szansa na przeżycie. Bo w AIDS nadal zakażenia pozostają bezpośrednią przyczyną zgonów. Czyli najważniejsze w tym przypadku jest możliwie najlepsze uodpornienie pacjentki. - Spojrzała na mnie. - Nie chcę pani straszyć - powiedziała bardzo poważnie - ale na sąsiedniej sali leży mężczyzna, stomatolog. Zaraził się od swojego pacjenta. W tej chwili przechodzi zakażenie ośrodkowego układu nerwowego, a dokładniej toksoplazmowe zapalenie mózgu. Proszę się strzec. Ta choroba nikogo nie oszczędza.

Pogrążałam się w mrocznym nastroju, mając przed sobą ciało kijanki złożone w zielonym pokoju, pod folią. To uczucie odczłowieczenia było takie trudne do przyjęcia. Poczułam się źle. Koniecznie chciałam stamtąd uciec. Ostre, zielone światło raziło w oczy. Irracjonalne wrażenia, które odbierałam, wpędzały mnie w coraz większe przygnębienie. Puste korytarze, głośnie odliczanie ściennych zegarów, uciekające z łoskotem minuty życia i panika. Wszystko usuwało się spod nóg. Nie było punktu zaczepienia. Brakowało mi czegoś pewnego, co nie zniknie, nie odjedzie nagle z mojego życia. Najważniejsze elementy składające się na każdy dzień rozsypały się jak domek z kart. Nie potrafiłam tego złożyć.

Postanowiłam wracać. Ileż czasu tu sterczę bez potrzeby. Ona i tak niczego nie rozumie. Nie pomogę jej w niczym. Przez chorobę i śmierć trzeba przejść w pojedynkę. Trudno znaleźć na ten czas przyjaciela. Umieranie to samotna podróż.

Wracając do domu, nie mogłam opanować łez. Na szczęście ruch był niewielki i bezpiecznie przejechałam przez miasto. Nie było mnie cztery godziny. W oknach mieszkania było ciemno.

Gdy otworzyłam drzwi, na wykładzinie pod wieszakiem leżała rozbita doniczka z paprotką. W korytarzu pozrywane bluszcze tworzyły zielony dywan. Kuchnia przypominała pole bitwy. Wyglądało na to, że Karol miał gości. Na podłodze wały się puste butelki po winie. Lodówka otwarta na oścież, w środku bałagan. Na stole dwa brudne kieliszki, dwie filizanki po kawie. Podniosłam do oczu, na jednej ślad czerwonej szminki. Zjedzona sałatka. Świat zawirował.

Karol spał snem sprawiedliwego, przykryty po czubek głowy. Na podłodze rozrzucone ubranie i poplamiona koszula. Wokół rozsypane kompaktki, rozdeptane pudełko wbiło się ostrymi końcem w miękką wykładzinę. Włączony komputer, a na ekranie?... Chyba go zabiję - rżący potwór z twarzą psychopaty sownie skrapiał wszystko swoją spermą. Pod

nim, z udawaną rozkoszą, piszczała drobna blondynka w czerwonym kubraczku. Leżeli na łące, w oddali góry, a dookoła stado beczących baranów.

- Co tu się działo, do cholery!!! - rozdarłam się na całe gardło.

Spojrzał nieprzytomny, niezrozumiale bełkotał. A więc kolejny bonus od życia.

Mój Boże, co ja mam robić? Sterczałam bezradnie pośrodku pokoju, mając przed oczami film porno, a w łóżku pijanego męża, śniącego o seksie i drobnej góralce spod szczytów Schwarzwaldy. Nadopiekuńcza wyrozumiałość, w którą wyposażyła mnie natura, skończyła się. Zostały mi tylko szczątki godności i sponiewierane uczucia. Czy to wystarczający powód, żeby trwać dłużej w chorym układzie? Już niczego dobrego nie mogłam się tutaj spodziewać. Musiałam zastosować samo uleczenie.

Wyłączyłam komputer, wrywając przewód ze ściany. Opętała mnie potrzeba odwetu.

Czułam, że to jedyne wyjście z sytuacji. Lecz cóż jeszcze mogłam zrobić? Jak można się zemścić na kimś, kto nic nie czuje? Spojrzałam na niego ostatni raz.

Pomiędzy tapczanem a ścianą zauważyłam coś błyszczącego. To była satynowa koszula z koronką i koronkowe figi.

Droga do mieszkania rodziców wydawała się podróżą bez końca. Opuszczałam swój dom i swojego męża. Żeby odnaleźć na powrót prawdziwy sens życia, potrzebna mi była nowa filozofia. Czy potrafię jeszcze znaleźć ją w sobie? To, co działo się ostatnio, było jedynie jej imitacją. Musiałam zacząć wszystko od początku. Iluzja o szczęściu, tkana przeze mnie bez większego sensu, zupełnie się rozpadła. Czułam w sobie objawienie, że żyłam tylko na pozór, cały czas w fałszu. Ale niestety fałszowaliśmy oboje. W takiej orkiestrze nie da się dłużej grać.

Nie chcę nikogo widzieć. Mieszkam u rodziców. Nie odbieram telefonów, nie otwieram drzwi. Muszę uporać się ze sobą, poukładać każdy przeżyty dzień.

Dopiero wtedy wyjdę, ale nie wiem, co będzie dalej. Dostyc mam wiecznych porażek, smutnych wiadomości, wspomnień, które rzucają na kolana, obietnic, że jutro będzie lepiej, że każdy człowiek nosi swój własny krzyż, że muszę być silna i nie wymagać zbyt wiele. Więc po co żyć, jeżeli niczego nie można chcieć, na nic czekać? Jeżeli sposobem, żeby nie oszaleć, jest egzystencja mimo wszystko? Mam gdzieś taki los. Wolę siedzieć w samotności i obserwować kwiaty, przynajmniej nie robią mi krzywdy. Łączy nas doskonała symbioza. Dają mi wrażenie szczęścia, a ja karmię je, podlewam. Milczą, a więc też mogę milczeć.

Ogołociłam kwaciarnie z paproci, wykupiłam bluszcze. W mieszkaniu nie ma już miejsca na nic. Przypomina biurko Karola, a zamiast szarości - zieleń. To jedyne kolor, w którym mogę przebywać. Ściany w kuchni i każdym pokoju zarosły na zielono. Ze

wszystkich stron zwisają gałęzie bluszczu, kładą się na meblach i telewizorze. Jedna z odmian płóży się w narożnikach ścian i lada dzień zaatakuję podłogę. Nie śpię na tapczanie. Dziwnie mi w ich małżeńskim łóżku. Leżę na ziemi w śpiworze. Nade mną zielony sufit. Tak mi najlepiej. Nie zajmuję niczyjej przestrzeni. Zieleń nastraja mnie pozytywnie, unikam trudnych spraw.

Karol przyjeżdża co kilka dni. Nie otwieram. Trzymam go na klatce, choć trochę wstydzę się sąsiadów. Prosi mnie, błaga, ostatnio nawet klęczał pod drzwiami.

Chce, żebym wróciła. Pewnie nie ma mu kto sprzątać. Już widzę mieszkanie.

Zamienił je z pewnością w śmietnik. Nie będę niczyją sprzątaczką. Robię kreski w zeszytach. Był już osiem razy. Była też Joanna. Nie otworzyłam. Słyszałam tylko jej oddech.

Skończyłam z pracą zawodową. Zadzwoiłam z prośbą o rozwiązanie umowy z powodu nagłego wyjazdu. Jeszcze chcę pożyć. Oddychanie pod cieniutką folią, za pomocą aparatów tlenowych - nie dla mnie. Potrzebuję zieleni. Muszę zrobić w sobie wiosenne porządki, a pieniądze? Nie ma sprawy, jest przecież emerytura mamy. Już od dawna stałam się emerytką. Wykarczowałam swoje poletko pragnień i żyję przeszłością. Czy uratuje mnie prozac, a może ziółka, termofor i brazylijskie seriale?

Nie robię nic. Nicnierobienie sprawia mi przyjemność. Budzę się i nic nie muszę, nic nie chcę i nic nie posiadam. Tak jak ja żyje człowiek wolny, czy więzień?

Czy nicnierobienie z własnej woli może być przyjemne, czy szkodliwe? Ten stan wywołuje we mnie wiele refleksji. Jeszcze niedawno marzyłam o lenistwie, dziś już nie wiem, czy miałam rację. Zawsze ciężko pracowałam i było mi dobrze. Teraz też jest mi dobrze, tylko jak długo? Pieniążki przychodzą same, nawet nie muszę po nie wychodzić. Długo śpię, dużo czytam, oglądam telewizję, czasami coś jem.

Niczym się nie martwię. To chyba dobry sposób na życie?

Minął już miesiąc. Jestem wyleczona. Zmieniłam sposób działania. Teraz pracuję nad sobą. Uprawiam optymistyczne myślenie, otrząsam się z szoku, próbuję układać plany i zarastam. Zarastanie sprawia mi przyjemność. Wciąż dowożę kwiaty. Jeżdżę coraz dalej, żeby nie robić sensacji w okolicznych sklepach. Moja przestrzeń ogranicza się do zieleni. Ten kolor wytycza właściwy kierunek. Coraz częściej, leżąc na ziemi, spoglądam w sufit. Jeszcze kilka miesięcy, a cały będzie zielony. Wtedy zasnę na wieki. Umieranie mam dobrze przećwiczone. Kontempluję zielone całymimi godzinami. Roztrząsam w sobie pretensje i żal. Robię wciąż na nowo rachunek sumienia.

Żyję bardzo skromnie, tylko tyle, żeby żyć. Oszczędzam na kwiaty. Zieleń karmi mnie jak najlepsza strawa. To chyba jest możliwe. Słyszałam o pewnym sposobie na odżywianie

energiją świetlną. Jest ponoć człowiek, który nie wziął do ust jedzenia od kilku lat. Tylko pije wodę i wystawia się na światło. Czy życie w zieleni nie mogłoby podobnie zadziałać? Przecież tyle się pisze o terapiach kolorem, zapachem, doradza się dla duchowej odnowy medytacje i ćwiczenia.

Postanowiłam zacząć od korzeni. Układanie rodzinnych puzzli sprawia mi przyjemność. Kolejny raz otwieram czerwony zeszyt, rodzinny elementarz. Na pierwszej stronie tytuł „Od Szczepana do Jana”. Wciąż od nowa przeglądam pamiętniki ojca. Znam je na pamięć. Sięgają w dawne czasy, pochodzą z rodzinnych przekazów, wspomnień, rozmów przy stole. Na ich tle widzę ojca. Próbuję zrozumieć jego postawę i upór. Dlaczego przeszłość wywarła piętno na jego życiu?

Co w niej takiego było, a czego brakowało? Czy to, o czym opowiedział nam w ten wigilijny wieczór, było prawdą? Czerwony zeszyt dostarcza dowodów.

Po kilku miesiącach od śmierci żony Jan postanowił się ożenić ponownie. Zanim zmarła, wyraziła życzenie, żeby drugą matką Ewci i Marii była Wiktoria Sornat z Gruszczyzna.

Było to na początku czerwca, gdy szli drogą w swaty. Zobaczył ją w polu, jak pielęła len. Podeszli, żeby porozmawiać. Z tej rozmowy mama nasza niewiele pamiętała. Wspomina tylko, że pomyślała: Nie jest stary, chociaż wdowiec.

Niebrzydki, wygląda na statecznego. Zgodzę się na ślub, chociaż dzieciaty, córki Weroniki to moja rodzina, krewne po dziadku Sornacie.

Nasz tato mówił, że jego wspomnienia są takie: Gdyby nie małe dzieci, to bym się nie ożenił. Ale jeśli Weronika przed śmiercią wskazała na Wikte, niech tak będzie. Wikte widziałem kilka razy przed jej wyjazdem na saksy, ale nie pamiętałem, jak wyglądała. Gdy zobaczyłem ją pośród lnu, wydawała się taka drobna, ale ładna i żwawa dziewczucha. Tylko czy ona podoła ciężkiej robocie w gospodarstwie, czy potrafi wychować dzieci? Ale przecież była w Prusach na zarobku, choć nie musiała, więc chyba jest zaradna. Nie było mi wtedy do żartów i przymilania się. Już nie byłem jakimś tam młokosem, bo już 32 lata miałem. Niech widzi, jaki jestem, i zdecyduje. Jak się zgodzi, będziemy rodziną pracowitą i dbającą o dzieci.

Za oknem zima. Śnieg leży wszędzie. Jak pięknie. Oczy przyzwyczajone do zieleni i półcienia cierpią rażone białym światłem. Spacer dobrze mi robi. Drugi miesiąc w samotności okazał się właściwą terapią. Stan świadomości na temat tego, co zdarzyło się w ciągu roku, kształtował się powoli, ale skutecznie. Na razie ząbkowałam.

Droga za miastem prowadziła na skraj świerkowego lasu. To była trasa moich wędrówek. Wokół spokój i pustka. Uciekałam od ludzi. Unikając utartych ścieżek, chodników

i ulic, broniłam się przed wścibstwem. Tutaj prawie wszyscy mnie znali. Założę się, że komentarze były sensacyjne, i plotki, i domysły. Nie miałam do tego głowy. Pragnęłam spokoju i jak kiedyś Joanna, żadnego człowieka.

Samotna wyspa na oceanie, poduszka pod głowę i kwiaty. Żyłam w ukryciu, nie docierały do mnie wiadomości ze świata. Ten stan był cudownie bezpieczny.

Załamala się pogoda i od lasu brnęłam w zamieci. Z zachodu ciągle napływały chmury. Będzie sypać całą noc. Wiatr szarpał suchymi drzewami, jakby chciał wyrwać im duszę. Wtuliłam się w ciepły szal - czas na kawę.

Minął kolejny tydzień. Już długo tu nie wytrzymam. Jeszcze nie wiem, co zrobię.

Nie chce mi się żyć. Przeglądam gazety. Sprzedawczyni w kiosku zapytała, czy znowu otwieram gabinet. Cóż za pomysł.

Wieczorem przyjechała Joanna. Jej czerwony samochód poznałam z daleka.

- Nareszcie - odetchnęła z ulgą, słysząc, że otwieram. Weszliśmy do środka.

Joanna nie widziała jeszcze mieszkania po remoncie. Spojrzała w głąb zaskoczona.

- Co to jest? - wykrzywiła twarz z obrzydzeniem. - Jak ty mieszkasz? To jakaś okropna nora! I te rośliny...

- To tylko bluszcz - wyjaśniłam spokojnie.

- Widzę, że bluszcz, ale po co aż tyle? Jeszcze parę dni i całkiem zarośniesz.

- Mnie się podoba - oświadczyłam. Joanna przeszła po pokojach, zajrzała do kuchni, do łazienki. Potem znów do pokoju.

- Wiesz co - powiedziała ze złością. - Jedno ci powiem.

- Słucham - uśmiechnęłam się rozbawiona.

- Tobie chyba odbiło.

- Być może - spojrzałam krytycznie na mieszkanie. - Trochę tu dziwnie i z lekka paranoidalnie.

- Siedzisz tu już drugi miesiąc. Za tydzień święta. Może byś wreszcie wróciła.

Mój sklep już gotowy. W sobotę było otwarcie. Co z tobą, Małgośka, do cholery, chcesz zdechnąć w tej dżungli?

- Usiądźmy - poprosiłam. Widziałam, że zaraz się uspokoi. Usiadliśmy przy stole w centralnym punkcie pokoju.

Nad nami wisiała długa gałązka bluszczu. Joanna mimo woli otrząsnęła się ze wstrętem.

- Ja bym tu zwariowała - oświadczyła. - Czy ta bezczynność cię uszczęśliwia?

- Szczęście? O czym ty mówisz? Masz na to jakiś przepis?

- Nikt ci go nie poda - wzruszyła ramionami. - Szczęście to nie jest drożdżowy placek.
- Patrzcie, jaka mądra - wzruszyłam ramionami. - Sama niedawno narzekałaś.
- I wyciągnęłam z tych narzekań jakieś wnioski, za to ty...
- Ja to co innego - przerwałam. - Nie porównuj się ze mną.
- Bo co?
- Chyba nie muszę ci tego wyjaśniać.
- Wstydziłabyś się. Bez końca się użalasz, zamiast zmienić swoje życie.
- Dziwne, ten tekst kogoś mi przypomina - wstałam, żeby przerwać rozmowę.

Joanna bez słowa otworzyła torebkę. Widziałam, że jest zła. Z trudem maskowała irytację.

- Przywiozłam ci listy - powiedziała naburmuszona.

Położyła na stole kilka kopert.

- Od kogo? - zapytałam.

- Od wszystkich - wyjaśniła, a po chwili wyjęła jeszcze złożoną kartkę. - To jest list od niego.

- Możesz zabrać z powrotem - oświadczyłam krótko.

- Nalegam, żebyś przeczytała. Nie pożałujesz.

- Obejdzie się - prychnęłam urażona.

- Jak chcesz, twoja sprawa - poprawiła włosy i wstała. Miała na sobie zielony sweter i oliwkową spódnicę. Pasowała do mojego wnętrza.

- Na miłość boską, kiedy to wyrosło? - jeszcze raz przyjrzała się kwiatom.

- To stare rośliny. Przywiozłam je po śmierci ojca. Resztę kupiłam.

- I tak urosły?

- Znam się na bluszczach - oświadczyłam chłodno.

- No nie wiem - zawahała się. - Czy to możliwe, żeby wyhodować taką dużą roślinę w ciągu kilku miesięcy? A może one wysysają twoje soki? Dlatego są takie olbrzymie. Może to podstępne pasożyty. Sprawdź to, radzę ci.

Wzruszyłam ramionami.

- Dobrze wiesz, co potrafię zrobić z kwiatami. Pamiętasz rosarium? Ono też wypijało moją krew? - Joanna słuchała ze stoickim spokojem. Pokiwała głową z pobłażaniem. - No nie wiem. Czuję, że to się źle skończy. Słyszałam, że rośliny potrafią wydzielać również toksyny. Upewnij się - nalegała.

- Mówisz tak, żeby mnie stąd wykurzyć. Ale mi na życiu nie zależy - oświadczyłam.

- Byłoby dobrze, gdybyś wreszcie zmadrzała.

- Ciesz się swoim szczęściem, póki trwa... - odpowiedziałam.

Spojrzała na mnie z politowaniem.

- Myślisz, że mnie jest łatwo. Nawet nie wiesz, ile pracy i upokorzeń kosztuje, żeby ta rodzinna sielanka się nie rozpieprzyła. Ale ja nie pękam, ja walczę. -

Podsunęła mi pod nos kupkę kopert i powiedziała na pożegnanie: - Przeczytaj wszystko dokładnie i wracaj. Czekamy na ciebie. Musisz pomóc mi w sklepie.

Spodoba ci się, zobaczysz. Pójdiesz między ludzi, to ci przybędzie oleju w głowie.

- Spójrz na mnie - zrobiłam krok w tył. - Do ludzi, z takim wyglądem?

- Wiesz co, radzę ci, idź ty, kobieto, do okulisty. Odprowadziłam ją do drzwi.

- Jak wrócisz, odwiedzimy Marylę. Tomek przywiezie ją na święta do domu. Jakoś się pozbięrała. Czuje się lepiej. Wygląda mizernie, ale on o nią dba. Jest po prostu niesamowity.

Zostałam sama z listami i moim bluszczem. Zmienił się przez te kilka chwil. Był mniej przyjazny, nawet złowrogi. Sprawił to zmrok za oknem. Zły czar minął po zapaleniu wszystkich świateł. Przyniosłam okulary, żeby przeczytać listy.

Był list od mamy, od Marka i od Agnieszki. Piotruś narysował kartkę świąteczną i laurkę z ubraną choinką.

Kochana Mamo!

Zbliżają się święta. Tak nam przykro, że nie spędzimy ich razem. Tutaj Polacy na punkcie Bożego Narodzenia mają prawdziwego fioła. Teraz jest gorące lato. Nie ma nastroju na święta. Ale na wszystko znajdzie się sposób. Ciocia Basia kupiła dużo sztucznego śniegu w sprayu, a w holu na dole ustawiła kilka choinek. Będzie sztuczny śnieg, sztuczny bałwan, prawdziwe sanki i Mikołaj zamówiony w jakiejś śmiesznej firmie. Już od kilku dni trwają przygotowania. My jednak wolelibyśmy być razem z Wami. Brakuje nam naszych pór roku. Tutaj jest wszystko na odwrót. W grudniu lato, w czerwcu zima, słońce inaczej wschodzi, jeździ się drugą stroną ulicy. Czujemy się jak odbici w lusterku. Pamiętasz cudowne święta zeszłego roku. Żył jeszcze dziadek. Było ciasno, ale za to normalnie, po naszemu.

Na samym dole nieporadny dopisek drukowanymi literami: „Babciu już umiem pisać. Niedługo przyjadę, zrobisz mi pierogi z uszami”.

Listy były bardzo szczegółowe. Przeczytałam je z przyjemnością. Przy liście od mamy rozplakałam się. Bardzo mi jej brakuje. Ona chyba też mocno tęskni.

Chwaliła Marka i jego żonę, wiele widziała, ale to nie wystarcza jej do szczęścia.

Chciałabym przyjechać na święta. Jednak ze względu na odległość i koszty jest to niemożliwe. Przykro mi, że spędzicie je sami. To będą dla was pierwsze święta we dwoje. Myślę, że Karol jest zadowolony. Tyle razy powtarzał, że brakuje mu na co dzień żony.

Pozdrów go, a jak będziesz na cmentarzu, to pozdrów ode mnie ojca i powiedz mu, że bardzo tęsknię. Ciekawe, jak mu tam w niebiańskich ogrodach?

Nieraz zastanawiał się nad tym, jak będzie po śmierci. Szkoda, że nie może podzielić się wrażeniami. Może byłoby nam łatwiej. Jeszcze nie wiem, co zrobię dalej, czy zostanę tu, czy wrócę. To zależy od różnych rzeczy i oczywiście od Marka. Tęsknię za tobą, córeczko, i bardzo proszę, dbaj o siebie i pamiętaj o mnie.

PS Żałuję, że nie ma tu ojca. Marek ma piękny ogród. Ojciec miałby co robić.

Kartki od Karola nie przeczytałam, wystarczyło kilka ruchów i jej drobinki popłynęły razem z wodą w ubikacji. To wielki zaszczyt dla takiego dzieła. Niech płynie.

Był jeszcze list od Marysi Wysockiej. Preczytałam go na końcu. Przepraszała, że to trwało tak długo, ale za kilka dni wraca i czeka z obiecaną pracą. Wraca tylko na miesiąc, potem jedzie w kolejną podróż. Napisała jeszcze, że na mnie liczy, że dostanę jej gabinet i dobre wynagrodzenie. „Zadzwoń do mnie we wtorek, pod ten numer” - to były ostatnie słowa listu.

To przesądziło sprawę. Nie mogę zmarnować szansy. W tunelu pojawiło się światło, na które czekałam. Muszę wracać.

Ale następnego dnia znowu ogarnęło mnie zwątpienie. Pogoda się popsuła. Zaczął padać deszcz. Biały śnieg zamienił się w błotnistą bryłę. Leżałam do dwunastej w śpiworze i patrzyłam w sufit.

W końcu zasnęłam. Przyśnił mi się Jan, wnuk Szczepana, mój dziadek. Stał pośrodku wielkiego podwórza okolonego budynkami. Obok niego najstarszy syn Lucjan i młodszy Antoni, mój ojciec. Jan trzymał w dłoniach kasztany. Dorodne owoce drzew, które rosły wzdłuż drogi. W tle jakieś dziwne wojsko na furmankach, podpici żołnierze, a może bandyci. Z daleka nie było widać.

„Tylko to nam zostało - oznajmił synom ojciec, podając kasztany. - Bierzcie i rozmnażajcie...”

Obudziło mnie walenie do drzwi. Otworzyłam oczy przerażona. Coś działo się na klatce schodowej. Jakieś krzyki i łomot. W pierwszej chwili myślałam, że włamanie. Dopiero potem zrozumiałam, że to Karol. Dobijał się bezczelnie, robiąc przy tym straszny hałas.

- Jeżeli natychmiast nie otworzysz, wyrąbuję drzwi - usłyszałam. Wyjrzałam przez wizjer. To on. Napuszony jak dzielny samuraj, w ręku trzymał siekiere.

Wymachiwał nią ostentacyjnie, manifestując złość. Po kolei na piętrach otwierały się drzwi. Wywiad sąsiedzki wkraczał do akcji. Bez wahania przekręciłam klucz.

Stał na progu rozczochrany i wściekły.

- Jesteś śmieszny - syknęłam ostro. - Zachowujesz się jak gówniarz.
- A to, co ty robisz, to nie jest dziecinada? To nie jest chore?
- Nic ci do tego. Robię, co mogę, żeby nie zwariować, i przestań mnie nachodzić - syknęłam, wpuszczając go do mieszkania. - Robisz tylko sensację.
- Mam dość czekania - zawołał głośno.
- Już nie ma na co czekać. Wróć i daj mi spokój. Chcę spokoju.
- Nie wkurzaj mnie - chwycił moją rękę. -1 daj mi spróbować. Przecież ty też tego chcesz.

- Małżeństwo to nie są ćwiczenia jogi. Nie można go bez końca powtarzać - chciałam być twarda. Staliśmy obok siebie speszeni. Nie wiedziałam, co robić. Miałam już dosyć wygnania, chciałam stąd odejść, jakoś żyć, tylko jak, żeby znów nie wejść w bagno? Miłość i zaufanie były już przeszłością, więc cóż mogło nas jeszcze połączyć, mieszkanie, rodzina, pieniądze?

Zmiękliśmy oboje. Z Karola uszło powietrze, ze mnie złość. Oklapnięci i zmęczeni, patrzeliśmy na siebie. Spotkaliśmy się ze sobą jak dwa samotne okręty na środku oceanu. Żadne z nas nie wiedziało, jaki obrać kurs.

- Wróć do domu - powiedział zrezygnowany. - Bez tego nic nie ma sensu.
- Do domu, znaczy do ciebie? - zapytałam.
- To także twój dom, zrozum.
- Od kiedy?
- Jak mam cię przekonać, że wszystko będzie dobrze?
- Nie ze mną - oświadczyłam.
- Z tobą, inaczej nie chcę. Spakuj się, proszę. Nie ruszę się stąd bez ciebie - powtórzył i usiadł na krześle.

Siedział tak przez godzinę. Milczał i cierpliwie czekał. Zamknęłam się w kuchni.

Przyszedł do mnie cichy i pokorny.

- To co - zapytał. - Jedziemy? - Spojrzał na zarośnięte mieszkanie i bezsilnie opuścił ręce. - Tylko bez tego lasu, bardzo cię proszę!

Marzyłam, żeby droga do domu nigdy się nie skończyła. Decyzję o powrocie podjęłam dobrowolnie, lecz nie wiedziałam, czy dobrze robię. W środku czułam pustkę. Straciłam tę dziewczęcą radość, która towarzyszyła moim działaniom.

Straciłam moją wiosnę, moje lato, jesień i zimę. Nie miałam do czego się przytulić, na co czekać. Domy i domy, mój dom pusty i martwy, mąż, który mnie zdradził, córka, co

odjechała, tak jak i matka, i ojciec na górze, i pięćdziesiąt lat na karku. Wracam, okaleczona i trochę martwa, ale z zaszczepioną nadzieją, pewną wizją na najbliższe lata.

Znajomy zgrzyt klucza w zamku, znajomy zapach, jakieś migawki chwil spędzonych w tym miejscu, coś we mnie poruszyły. Może jednak jestem u siebie? Karol wniósł torby bez słowa, zostawiając mnie w korytarzu.

W mieszkaniu panował porządek, pachniało farbą. Pomalowane ściany, czyste firanki, w oknach nowe zasłony, w pokoju prawdziwa choinka, jeszcze nieubrana.

A on stał za mną i czekał, co powiem. Miałam to gdzieś.

- Wszystko zrozumiałem i zmienię się, zobaczysz - zadeklarował pierwszy. -

Zawrzemy umowę, dobrze? Ja będę idealnym mężem, a ty nie będziesz hodować kwiatów. To mój jedyny warunek - zaznaczył.

- Ty chcesz stawiać warunki - parsknęłam śmiechem.

- Nie pójdę na żadną ugodę. Jestem tu, bo mnie prosiłeś. Miałam zupełnie inne plany. Myślisz, że wzruszyłeś mnie tymi ścianami? Jesteś naiwny.

- Ja nic nie myślę - szybko odpowiedział. - Chcę tylko wiedzieć, czy mnie rozumiesz.

- Ze co? Że pomalowałeś pokój i myślisz, że wszystko tym załatwisz, że mnie przekonasz?

- Więc nie przeczytałaś listu?

- Nie przeczytałam.

- Więc zrób to jeszcze - poprosił. - Już go nie mam. Popłynął do Warty.

Karol zrezygnował z walki. Powoli miał dość, lecz jeszcze zebrał siły, żeby mi wszystko wyjaśnić.

- Tamtej nocy, gdy byłaś w szpitalu u Maryli, odwiedziła mnie Joanna. Czekaliśmy na ciebie dwie godziny. Joanna wypila kawę, kieliszek wina, a potem zjedliśmy kolację. Dobrze się nam rozmawiało, jakoś tak szczerze. Mówiliśmy o nas, Maryli i o tym wszystkim, co się zdarzyło. Koło dziesiątej Joanna pojechała do domu.

Zostałem sam i z rozpaczą za dużo wypłem. Nawet nie wiedziałem, kiedy wróciłaś.

- To nie pamiętasz także, że spałeś z kimś tamtej nocy - spokojnie dodałam.

- Nie rozumiem? - powiedział zdziwiony.

- Znalazłam w łóżku jej bieliznę - warknęłam. Otworzył oczy ze zdziwienia.

- To był prezent dla ciebie - wyjaśnił. - To była moja niespodzianka.

Ziemia aż po horyzont tonęła w deszczu. Spoglądałam przez szybę na świat. Gdzieś tam, za zakrętem, gdzie nie docierają już światła miasta, a ostatnia latarnia pochyła się nisko ku ziemi, jest mój nieistniejący dom. Pewnego dnia rozplynął się w powietrzu jak mgła,

odszedł ode mnie o świcie i zapadł w przeszłość bez powrotu. Gdy zamykam oczy, widzę go, jak stał tego ostatniego dnia w blasku słońca, piękny i kochany. Pogrzebała go potrzeba zmian i ludzka pycha. Podeptane szczątki przeszłości, nasze poczucie stałości i więzi. Moje zielone niebo rozpościerające się u jego stóp, razem z nim pogrzebane, wrosło we mnie wspomnieniem na zawsze. Zbieram w sobie odwagę, by spojrzeć ostatni raz na ślad, który po nim pozostał, na grudkę ziemi, strzępek świata, najcudowniejsze miejsce na Ziemi - moje. Oglądam fotografie. Tyle ich zrobiłam, na całe szczęście.

Samochód toczy się po rozkopanej drodze, aż trafia na asfalt. Asfalt w tym miejscu? Niczego nie poznaję. Tam, gdzie powinien być zakręt - wysokie góry piasku. A może to sen? Jakbym tu nigdy nie była. W oddali mającą serpentyny szos, jakiś wiadukt, światła, rząd reklam na billboardach, olbrzymie budowle, wielkie napisy, szklane ściany, metal i szkło, kilkadziesiąt, może kilkaset hektarów miejsca, którego nie znam, którego nigdy nie widziałam. A gdzieś to przecież było? Mój ogród, moje róże, mój jaśmin. W którym miejscu stał stary dom na Lipowej?

Epilog

Słońce grzało niemiłosiernie. Jak tu cicho. Szpalery wysokich jałowców wyznaczają tor mojej podróży. Choć drogę znam na pamięć, liczę zakręty. Za chwilę będę u siebie. Róże tak pięknie kwitną, i jaśmin. Niosę konewkę, dzisiaj muszę podlać kwiaty. W takiej suszy nic się nie uchowa. U sąsiada wczoraj zwiędły wszystkie pelargonie, a niby takie odporne. Może da sieje uratować.

Mijam ludzi, każdy zamyślony. W takim miejscu zawsze wracają wspomnienia. Lubię wspominać.

Siadam na cmentarnej ławce, wyjmuję termos i głęboko oddycham. Przyjeżdżam tu często napić się z ojcem kawy. Pogodziłam się z przemijaniem, oswoiłam ze śmiercią. Już nie przeraża mnie kolejny dzień. Czasami zamykam oczy, leżę w oparach ziół albo pracuję wśród róż. Gdy ma się bujną wyobraźnię, wszystko jest możliwe. Grzeję się wspomnieniami i żyję.

Gdzieś daleko leży nowy kraj mojej mamy. Czasami do mnie powraca, tylko w snach lub w telefonach. Czytam jej listy i czuję, że też jest szczęśliwa. To oddalenie od domu i cmentarza, na którym leży jej mąż, pozwala zapomnieć stare blizny.

Przyjechała do niego tylko raz. Długo rozmawiali. Chyba umawiali się na wieczność. Potem wyjechała, ale kiedyś powróci. Teraz jestem ja i czuwam, żeby i on był szczęśliwy w swoim wiecznym ogrodzie.

Już czwarta, zaraz przyjadą po mnie dzieci. Rok temu wrócili do kraju. Agnieszka znowu zostanie mamą. Tym razem to będzie dziewczynka, Wiktoria, czyli Wikta.

Zamykam zeszyt. To jest ostatni dzień, który zapisuję. Moje życie będzie już tylko odpoczywaniem, bez względu na to, co się w nim wydarzy.

Autorka „mieszka za miastem, na pustkowiu, gdzie nie docierają już żadne miejskie światła, a ostatnia latarnia miga niewyraźnie za zakrętem. Droga, która prowadzi do domu, urywa się zaraz za płotem i kończy w ślepych polu”. Niebo ma kolor zielony nie jest jednak książką o niej, choć ukryła w powieści cząstki życiorysów i zdarzeń, które kiedyś i gdzieś miały już miejsce.

Krystyna Januszevska (ur. 1953 w Brzegu nad Odrą) mieszka w Rogoźnie Wielkopolskim. Pracuje zawodowo, maluje i pisze. W roku 1998 zdobyła pierwszą nagrodę w konkursie na pamiętniki Polek ogłoszonym przez miesięcznik „Twój STYL”. Jej opowiadanie zostało zamieszczone w zbiorze Historie prawdziwe opublikowanym przez Wydawnictwo Książkowe Twój STYL. W 2002 roku ukazała się jej powieść pt. Przytulać kamienie, która otrzymała wyróżnienie w konkursie na najlepszą powieść polską ogłoszonym przez Zysk i S-ka Wydawnictwo, którego symbolem jest rodzinny dom, a właściwie ogród, wraz z całym bagażem jego jasnych i ciemnych stron. Historia ta odkrywa, jak trudno połączyć ze sobą dwa odmienne światy, tak samo jak trudne jest bliskie obcowanie, gdy jedna ze stron traci to, co kocha ponad wszystko, a drugiej odbiera się niezależność. To powieść współczesna, lecz pojawiają się w nici także wątki z przeszłości, rzucające cień na losy bohaterów. Czy to książka o zdradzie, o niezrozumieniu, o tym, co dzieli, czy o tym, co łączy? () czymkolwiek ona jest, stawia ważne pytania: Czy warto karać, czy wybaczać? Trwać czy trząskać drzwiami? co dzieli, stawia ważne pytania.

Potrzeba było zdrady i podłości, aby siebie odnaleźć. Piękno, nadzieja, wybaczenie w bohaterce powieści są ja cichy strumyk, który sprawia, że odrastają liście i niebo ni kolor zielony. Poruszająca i wnikliwa opowieść o ludzkiej głupocie, słabości i wierności.

Jest to książka o codzienności, o porozumieniach i nieporozumieniach, o pożądaniu i odmowie ciała, o sile i bezsilności, o trwaniu i przemijaniu. A wszystko to w gęstwinie uczuć, pragnienia otulone są zapachem ziół, opadającą mgłą, niekiedy są spłoszone jak ptaki. Piękno tej zwykłej i zarazem niezwyklej książki polega na połączeniu tego, co banalne, z tym, co zaskakuje. Książka może pomóc Czytelnikowi w wyciszeniu wewnętrznych burz pogodzeniu się z tym, co nieuchronne.